

Kurt Vonnegut

Tabakiera z Bagombo

Przełożyła: Elżbieta Zychowicz

Wydanie polskie: 1999

TMN

SPIS OPOWIADAŃ

Thanasfera
Mnemonika
Każda godziwa propozycja
Pakiet
Beztalencie
Biedne bogate miasteczko
Pamiętka
Rejs „Wesołego Rogera”
Panna młoda na zamówienie
Ambitny drugoklasista
Tabakiera z Bagombo
Niebieskoszary smok
Prezent dla Wielkiego Świętego Nicka
Bezpłatny konsultant
Der Arme Dolmetscher
Chłopak, który nienawidził dziewcząt
Ten mój syn
Noc dla miłości
Znajdź dla mnie marzenie
Ucieczki
2BR02B
Anonimowi kochankowie
Cudowna lampa
Hala Irwina

Przedmowa

Kurt Vonnegut zyskał szerokie uznanie jako jeden z najlepszych pisarzy amerykańskich drugiej połowy dwudziestego wieku powieściami Rzeźnia numer pięć, Kocia kołyska, Śniadanie mistrzów i Sinobrody. Jego talent twórcy krótkich form był mniej doceniony. W pierwszej dekadzie jego kariery pisarskiej i później opowiadania Vonneguta cieszyły się powodzeniem u szerokiej rzeszy czytelników w najpoczytniejszych czasopismach. W latach pięćdziesiątych oraz na początku lat sześćdziesiątych napisał wiele opowiadań, które zostały opublikowane w „Collier’s”, „The Saturday Evening Post”, „Cosmopolitan”, „Argosy”, „Redbook” oraz innych magazynach. Dwadzieścia trzy opowiadania zostały zebrane w Witajcie w małpiarni, a teraz inne znalazły się w obecnym zbiorze.

Nowele Vonneguta trafiły na podatny rynek, ponieważ ukazywały się w najlepszych ilustrowanych czasopismach o szerokim zasięgu, i cieszyły się powodzeniem, gdy te periodyki się rozwijały. Były pomysłowe, zróżnicowane i świetnie napisane. Zebrane w Witajcie w małpiarni, nadal miały ogromną rzeszę czytelników. Były pełne życia, humoru i mądrości. Jest rzeczą nader ważną, że dwadzieścia kilka znanych opowiadań, które nie znalazły się w Witajcie w małpiarni, będzie wydanych w formie książkowej, ponieważ mieszczą się w kanonie Vonneguta tak niezawodnie, jak jego uznane powieści. Właśnie w tych opowiadaniach, gdzie doskonalił swoje pisarskie umiejętności, widzimy dojrzewanie talentu Vonneguta oraz tematy i techniki, rozwinięte w jego późniejszej pracy.

Vonnegut zaczął pisać opowiadania pod koniec lat czterdziestych, pracując w biurze prasowym General Electric w Schenectady, w stanie Nowy Jork. Wcześniej ostrzył swoje pióro, stawiając pierwsze kroki w pracy dziennikarskiej, gdy uczęszczał do liceum Shortridge High School w Indianapolis (1936-1940). Był stałym autorem tekstów i naczelnym redaktorem ukazującej się codziennie szkolnej gazetki „The Shortridge Echo”, a w college’u pisał dla „Cornell Daily Sun”. W swych rubrykach tworzy wyraziste postacie i zaczynamy dostrzegać humor i dowcipne społeczne obrazoburstwo w pełni widoczne w jego dojrzałej twórczości. Przeszkodziła mu wojna, stwarzając dramatyczne okoliczności, które posłużyły za kanwę arcydzieła Rzeźnia numer 5, jednakże podwaliny pod jego pisarstwo zostały położone.

Po wojnie nastąpił w Stanach Zjednoczonych rozkwit popularnych czasopism, drukujących opowiadania. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych telewizja wciąż jeszcze była w powijakach, istniał więc ogromny popyt na zabawne teksty do czytania. W 1949 roku Vonnegut wysłał Raport w sprawie efektu Barnhouse'a do „Collier's”. Knox Burger, będący tam redaktorem literackim, zwrócił uwagę na nazwisko autora, którego znał z Cornell, gdzie Burger był redaktorem satyrycznego czasopisma campusu, „The Widow”, i zainteresował się opowiadaniem. Po wprowadzeniu kilku zmian zostało ono przyjęte jako pierwsze opowiadanie Vonneguta do druku. Burger przedstawił również Vonneguta Kennethowi Littauerowi i Maxowi Wilkinsonowi, dwóm agentom o dużym doświadczeniu w kierowaniu młodymi ambitnymi pisarzami. Ich rady w dziedzinie pisania dobrze skonstruowanej prozy były wręcz nieocenione (i nawet zostały uwzględnione przez Vonneguta w jego ośmiu zasadach, które przedstawił we wstępie do niniejszego zbioru). Po wydaniu większej liczby opowiadań i wyraźnym popycie na jego utwory Vonnegut zrezygnował z pracy w General Electric, przeniósł się na Cape Cod i poświęcił się całkowicie pisarstwu.

Niniejszy zbiór zawiera kilka opowiadań, w których znalazły odzwierciedlenie doświadczenia Vonneguta z okresu drugiej wojny światowej. Wydarzenia, na których została oparta Rzeźnia numer 5, są obecnie ogólnie znane — jak Vonnegut został wzięty przez Niemców do niewoli podczas kontrofensywy niemieckiej w Ardenach pod koniec 1944 roku, był przetrzymywany jako jeńiec wojenny w Dreźnie, znalazł schronienie w podziemnym magazynie mięsa, gdy miasto płonęło wskutek zmasowanych ataków powietrznych, a po klęsce nazistów wędrował krótko z uciekinierami niemieckimi, dopóki nie przyłączył się do wojsk amerykańskich. Der Arme Dolmetscher, Pamiątka i Rejs „Wesołego Rogera” opowiadają o następstwach wojny z humorem, ale i przejmująco.

Wiele z opowiadań daje nam fascynujący wgląd w zachowanie i obsesje Amerykanów w latach pięćdziesiątych. Motto obowiązujące w General Electric brzmiało: „Postęp jest naszym najważniejszym produktem”. Był to slogan, który stanowił sumę optymizmu tamtej dekady i przedłużenia wojennego nastroju „potrafię zrobić”. Panowała wówczas ogólna wiara w wielkie możliwości nauki i techniki w dziedzinie ulepszania życia codziennego. Koncepcja stabilnego społeczeństwa, które może zaoferować przeciętnej rodzinie szczęśliwy dom, coraz lepsza sytuacja finansowa, łatwiejsze warunki życiowe i coraz bardziej fascynujące sprzęty mechaniczne, dostarczyła pomysłu na wspomniane niżej opowiadania. Vonnegut podważa tę świetlaną wizję, wykazując, że taki rzekomy postęp może być przeprowadzany ludzkim kosztem. A zatem bohaterowie Pakietu odkrywają, że nie odpowiada im blichtr ich nowego, wyposażonego w wymyślne urządzenia domu w drogiej eleganckiej podmiejskiej dzielnicy, i dochodzą do wniosku, że woleli solidność swego dawnego życia. Podobnie mieszkańcy Biednego boga-

tego miasteczka przedkładają dawne sposoby nad nowe, a skromne środki nad dostatek, obiecywany przez inwestorów. Ten sam temat powtarza się w pierwszej powieści Vonneguta, pisanej równocześnie, Pianoli (1952), oraz w wielu późniejszych utworach.

Vonnegut ostro rozprawia się w tych historyjkach z pozorami. Ludzie, którzy wynoszą się ponad innych, są zwykle demaskowani, często przez dzieci. Dzieciaki demaskują gangstera-egotystę w Prezencie dla Wielkiego Świętego Nicka, a dziewięciolatek przyłapuje na błędzie popisującego się akwizytora w Tabakierze z Bagombo. Czasami pozory stają się sposobem na uporanie się z życiowymi problemami, jak w przypadku męża sławnej gwiazdy w Bezpłatnym konsultancie, który wynajduje sobie wymagowaną rolę, by zachować poczucie własnej wartości. Kitty Cahoun z Panny młodej na zamówienie buntuje się przeciwko występowaniu w roli Falloleen, w którą wtoczył ją mąż projektant. A młody Kiah z Niebieskoszarego smoka zostaje odarty ze złudzeń, gdy próbuje udawać przynależność do bardziej wyrafinowanego świata, kupując egzotyczny sportowy samochód. Te opowiadania zapowiadają ostrzeżenie zawarte w Matce nocy: „Jesteśmy tym, za kogo chcemy uchodzić, toteż musimy być bardzo ostrożni, kogo udajemy”.

Podobnie jak w powieściach, zajęcie często określa tożsamość przynajmniej w przypadku mężczyzn. Stosunki ojciec-syn, który to wątek powtarza się często także w powieściach, mogą pomóc w określeniu tożsamości zarówno ojca, jak i syna — patrz: Ten mój syn. Owe stosunki rzadko bywają łatwe, częściowo z powodu skłonności ojców, by narzucać synom, kim mają zostać, a częściowo dlatego, że ojcowie boją się tego, jak są odbierani przez swoje dzieci.

Jest pewien aspekt tych opowiadań, który bardziej niż cokolwiek innego sprawia, że wydają się trochę przebrzmiałe, a mianowicie chodzi o rolę kobiet. Przecież w tamtych czasach wiele zamężnych kobiet nie pracowało poza domem i często kierowały się przy wyborze tego, jak mają się ubierać, gotować, urządzać mieszkanie, z jakich korzystać rozrywek, jak postępować z dziećmi, lekturą czasopism, w których ukazywały się te opowiadania. Chociaż trudno oczekiwać od opowiadań pisanych w latach pięćdziesiątych, by wykazywały wrażliwość na sprawy kobiet, tak silnie wyrażoną w powieściach Galapagos i Sinobrody, dążą już w tym kierunku. Nawet romantyczne historie, Noc dla miłości i Znajdź dla mnie marzenie, pokazują uciążliwe oczekiwania świata mężczyzn wobec kobiet. Nowela Anonimowi kochankowie, opublikowana w 1963 roku, traktuje z humorem społeczne zakłopotanie, spowodowane nowo powstałym ruchem „wyzwolenia kobiet”.

Krótkie formy literackie wymagają szybkiego nakreślenia postaci i właśnie one ujawniają biegłość Vonneguta w zarysowaniu indywidualnej osobowości w kilku akapitach. Ta umiejętność widoczna jest również w powieściach, gdzie postać częstokroć wydaje się podporządkowana przesłaniu. I rzeczywiście, bardziej skomplikowane psycholo-

gicznie postacie, jak na przykład Howard Campbell w *Matce nocy* czy Rabo Karabekian w *Sinobrodym*, są tworzone niemal z pominięciem opisu ich cech fizycznych. Niektóre portrety z opowiadań — przychodzi mi tu na myśl dyrygent szkolnej orkiestry, George M. Helmholtz, występujący w trzech nowelach — może być prototypem tych powieściowych bohaterów.

W niektórych opowiadaniach występuje narrator, na przykład sprzedawca zimowych okien czy doradca finansowy, który ma dostęp do rozmaitych środowisk społecznych. Taka osoba odwiedza domy bogatych znakomitości, jak to się dzieje w *Pannie młodej na zamówienie* i *Bezpłatnym konsultancie*, i czyni rzeczowe uwagi. Owi narratorzy nadają większą autentyczność relacji dzięki bezpośredniości przekazu. Często bywają głosem zdrowego rozsądku, który neutralizuje dziwactwa dnia codziennego, a ich ironiczny komentarz lub drwiący ton są źródłem humoru.

Zabawne opowiadania Vonneguta pasują do amerykańskiej tradycji nieprawdopodobnych historii, których reprezentantem był Mark Twain. *Pies Edisona*, nowela zawarta w *Witajcie w małpiarni*, jest klasycznym przykładem tej formy. Zarówno *Mnemoniczka*, jak i *Każda godziwa propozycja* w niniejszym zbiorze kończą się niespodziewaną żartobliwą puentą. Nowatorskie u Vonneguta jest zastosowanie humoru w opowiadaniach science fiction. W swoisty sposób wykorzystuje zabawne sytuacje pozaziemskich układów i dziwnych wydarzeń typowych dla science fiction. *Thanasfera* należy do kategorii humorystycznej prozy fantastycznej, opowiada o podróży kosmicznej (w tamtych czasach była to jedynie podniecająca perspektywa) w połączeniu z konwencjonalnymi wyobrażeniami duchów przebywających „tam w górze”. Fakt, że humor opowiadania ma cierpki posmak, jest również charakterystyczny dla Vonneguta. *Fabuła Pianoli* i *Syren z Tytana*, powieści napisanych w konwencji science fiction, obfitują w wydarzenia, które są jednocześnie zabawne i przykre, podobnie jak klasyczne opowiadanie *Epicac*, wchodzące w skład antologii *Witajcie w małpiarni*.

Telewizja przyczyniła się do zakończenia kariery Vonneguta jako autora krótkich form literackich. Czasopisma, które chętnie kupowały jego opowiadania, zaczęły skarżyć się na brak czytelników i dochodów z reklam. Dotychczasowi odbiorcy coraz częściej szukali rozrywki w telewizji, a zleceniodawcy reklam, którzy stanowili główne źródło zysków dla owych periodyków, uznali to nowe medium za nieodparte. Niektóre czasopisma zrobiły klapę, inne zmieniły szatę zewnętrzną, jeszcze inne objętość. Vonnegut przestawił się na pisanie powieści — najpierw wydawane w miękkich okładkach, jak *Syreny z Tytana* (1959) i *Matka noc* (1961), a następnie w twardych, począwszy od *Kociej kołyski* (1963). Wszystkie jego powieści, obecnie w liczbie czternastu, są ciągle w sprzedaży.

Jak już wspomniałem wcześniej, antologia *Witajcie w małpiarni* (1968) zawierała dwadzieścia trzy opowiadania. Jedenaście z nich ukazało się we wcześniejszym zbio-

rze *Canary in a Cat House* (1961), ale obecnie nakład jest wyczerpany. Cudowna lampa Hala Irwina, która była zawarta w tamtym zbiorze, ale nie ukazała się w *Witajcie w małpiarni*, znajduje się również w niniejszym zbiorze, choć w wersji znacznie różniącej się od oryginału. Pozostałe opowiadania nigdy dotąd nie były publikowane w wydaniu książkowym. Pisząc studium *The Short Fiction of Kurt Vonnegut* (Greenwood Press, 1997), trafiłem do stęchłych archiwów i odszukałem publikacje Vonneguta w takich periodykach, jak: „*The Saturday Evening Post*” czy „*Collier's*”. Wydało mi się oczywiste, że te rozproszone opowieści zasługują na osobne wydanie, nie mniej od zebranych w *Witajcie w małpiarni*. Naturalnie, byłem zachwycony, że Kurt Vonnegut podzielił mój entuzjazm w tej materii.

Chciałbym zdradzić pewną ciekawostkę tym, którzy interesują się szczegółami literackimi. Opowiadanie *Der Arme Dolmetscher* figuruje na stronie copyrightowej *Witajcie w małpiarni*, ale nie znalazło się w zbiorze. Ze wzmianki dowiadujemy się, że zostało zamieszczone w „*The Atlantic Monthly*” pod tytułem *Das Ganz Arm Dolmetscher*, choć w rzeczywistości „*Atlantic*” użył krótszego, gramatycznie poprawnego tytułu. I jeszcze jedna ciekawostka. Aczkolwiek opowiadanie ukazało się dopiero w lipcu 1955 roku, mogło być przyjęte znacznie wcześniej; w przedmowie bowiem jest mowa o tym, że Vonnegut pracuje w *General Electric*, gdy tymczasem odszedł stamtąd w 1950 roku.

Peter Reed

Wstęp

Mój długoletni przyjaciel i krytyk, profesor Peter Reed, wykładowca na wydziale filologii angielskiej University of Minnesota, uznał za swój obowiązek zebranie tych opowiadań z odległej przeszłości. W przeciwnym razie nigdy nie ujrzałyby światła dziennego. Ja sam nie zachowałem nawet skrawka papieru z tamtego okresu mojego życia. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że do czegoś dojdę. Chciałem jedynie utrzymać rodzinę.

Peter podszedł do swoich poszukiwań w sposób naukowy. Mimo to poprosiłem go, żeby zrobił dla mnie coś więcej, a mianowicie opatrzył nieoficjalnym wstępem to, co w gruncie rzeczy jest raczej jego niż moim zbiorem.

Niech cię Bóg błogosławi, doktorze Reed.

Te opowiadania, jak również dwadzieścia trzy opowiadania podobnego rodzaju, wydane w zbiorze Witajcie w małpiarni, powstały pod koniec złotego wieku literatury drukowanej w czasopiśmie w naszym kraju. Przez mniej więcej pięćdziesiąt lat, powiedzmy aż do 1953 roku, podobne historyjki stanowiły łagodną, acz popularną formę rozrywki w milionach domów, nie wyłączając mojego.

Stary człowiek musi mieć nadzieję, że niektóre, jeśli nie wszystkie jego najwcześniejsze opowieści, mimo swej łagodności i niewinności, mogą wciąż bawić w tych trudnych czasach.

Nie byłyby teraz wznowione, gdyby powieści, które napisałem mniej więcej w tym samym okresie, nie zyskały, lepiej późno niż wcale, zainteresowania krytyków. Moje dzieci były już wówczas dorosłe, a ja w średnim wieku. Spodziewałem się, że te opowiadania, drukowane w czasopiśmie pękających w szwach od tego typu utworów i najrozmaitszych reklam, czasopiśmie, które obecnie w większości już nie istnieją, będą miały równie długie życie jak robaczki świętojańskie.

To, że wszystko, co napisałem, nadal znajduje się w sprzedaży, zawdzięczam staraniom jednego wydawcy, Seymoura „Sama” Lawrence’a (1927-1994). Gdy w 1965 roku, kompletnie spłukany, nie drukowany, prowadziłem warsztaty pisarskie w University of Iowa, gdzie pojechałem sam, zostawiwszy rodzinę na Cape Cod, po to by zarobić na jej

utrzymanie, Sam kupił za bezcen od wydawców prawa do moich książek, zarówno tych w twardych, jak i miękkich okładkach, i przelał je na mnie. To Sam podsunął z powrotem moje książki pod krótkowzroczne oczy czytelników.

Sercowo-płucna reanimacja autora, który był już prawie martwy!

Tak to podniesiony na duchu Łazarz napisał dla Sama Rzeźnię numer 5. Ta książka uczyniła mnie znanym. Jestem humanistą, nie mam więc prawa spodziewać się życia pozagrobowego dla siebie ani dla kogokolwiek. Jednakże podczas nabożeństwa żałobnego Seymoura Lawrence'a w New York City's Harvard Club powiedziałem z pełnym przekonaniem: „Sam jest teraz w niebie”.

Nawiasem mówiąc, 7 października 1998 roku wróciłem do Drezna, miejsca akcji Rzeźni numer 5. Zaprowadzono mnie do piwnicy, w której, wraz z setką innych amerykańskich jeńców wojennych, przetrwałem straszliwą pożogę powstałą w wyniku zrzućenia bomb zapalających, kiedy to udusiło się lub spłonęło około stu trzydziestu pięciu tysięcy osób. Florencja nad Łabą przypominała po niej księżycowy krajobraz.

Gdy znalazłem się jeszcze raz w tamtej piwnicy, przeszła mi przez głowę następująca myśl: „Ponieważ żyję tak długo, jestem jednym z niewielu ludzi na Ziemi, którzy widzieli Atlantyde, zanim pogrzyżyła się na zawsze w falach”.

Krótkie formy literackie bywają naprawdę wspaniałe. Niektóre opowiadania zrobiły na mnie ogromne wrażenie jeszcze w czasach, gdy byłem w szkole średniej. Myślę tutaj o Krótkim szczęśliwym życiu Franciszka Macombera Ernesta Hemingwaya, Otwartym oknie Sakiego, Mirrze, kadzidle i złocie O'Henry'ego i Przy moście nad Sowim Potokiem Ambrose'a Bierce'a. Ja natomiast nie pretenduję do wielkości ani jeśli idzie o opowiadania zamieszczone w niniejszym zbiorze, ani w innym.

Mimo to jednak moje nowele mogą być interesujące, jako relikty epoki „przedtelewizyjnej”, kiedy autor mógł utrzymać rodzinę dzięki pisaniu opowiadań, które podobały się bezkrytycznym czytelnikom, i w ten sposób zyskiwał dość wolnego czasu na pisanie poważnych powieści. Gdy w 1950 roku stałem się „pełnoetatowym” wolnym strzelcem, spodziewałem się, że będę to robił przez resztę mojego życia.

Cieszyła mnie ta perspektywa, znajdowałem się bowiem w doborowym towarzystwie. Hemingway pisywał dla „Esquire”, F. Scott Fitzgerald dla „The Saturday Evening Post”, William Faulkner dla „Collier's”, John Steinbeck dla „Woman's Home Companion”!

Mówcie sobie o mnie, co chcecie, nie napisałem nigdy niczego dla czasopisma o nazwie „Woman's Home Companion”, ale był czas, kiedy uczyniłbym to z najwyższą przyjemnością. Chciałbym jeszcze dodać tę myśl: to, że kobieta tkwi z konieczności w domu wtedy, gdy jej mąż jest w pracy, a dzieci w szkole, nie oznacza bynajmniej, że jest imbecylem.

Publikacja niniejszej książki skłania mnie do rozważań na temat dobroczynnego wpływu, jaki wciąż może wywierać na nas lektura opowiadań, co czyni je tak różnymi od powieści, filmu, sztuki teatralnej czy przedstawienia telewizyjnego.

Jeśli mam jednak przedstawić mój punkt widzenia, musicie wyobrazić sobie najpierw razem ze mną dom z mojego dzieciństwa i młodości w Indianapolis, w samym środku wielkiego kryzysu. Poprzedni wielki kryzys trwał od krachu na giełdzie dwudziestego czwartego października 1929 roku aż do momentu, gdy Japończycy wyświadczyli nam przysługę, bombardując naszą znajdującą się w stanie śpiączki flotę wojenną w Pearl Harbor, siódmego grudnia 1941 roku. Małe żółte sukinsyny, jak ich nazywaliśmy, były śmiertelnie znudzone wielkim kryzysem. My również.

Wyobraźmy sobie, że jest znowu 1938 rok. Mam szesnaście lat. Wracam do domu po kolejnym okropnym dniu w Shortridge High School. Matka, która nie pracuje poza domem, mówi mi, że na małym stoliku leży nowy numer „The Saturday Evening Post”. Na dworze pada deszcz, a ja czuję się nie lubiany. Ale nie mogę włączyć czasopisma, tak jak się włącza odbiornik telewizyjny. Muszę wziąć je z blatu stolika albo będzie tam nadal leżało, martwe jak kamień. Bez mojego udziału nie funkcjonuje.

Gdy już je podniosłem, muszę usadowić wygodnie osiemdziesiąt kilogramów żywej wagi młodego męskiego ciała w fotelu klubowym. Następnie muszę przewracać strony, by trafić na opowiadanie o inspirującym tytule i ciekawych ilustracjach.

W złotym wieku amerykańskiej prozy drukowanej w czasopismach graficy otrzymywali tyle samo pieniędzy co autorzy, których opowiadania ilustrowali. Często byli równie albo nawet bardziej znani od autorów. Ich Michałem Aniołem był Norman Rockwell.

Gdy rozglądam się za opowiadaniem, moje oczy trafiają również na reklamy samochodów, papierosów, kremów do rąk i tak dalej. To zleceniodawcy reklam, nie czytelnicy, płacili prawdziwe koszty takich nęcących publikacji. I niech ich Bóg za to błogosławi. Ale pomyślcie tylko, jaką niewiarygodną rzecz ja sam z kolei muszę zrobić. Włączam mój mózg!

A to przecież dopiero początek. Gdy mój mózg pracuje już na pełnych obrotach, przystępuję do niemal niemożliwej rzeczy, którą ty w tej chwili robisz, drogi czytelniku. Nadaję sens idiosynkratycznym układom w linii horyzontalnej, liczącym zaledwie dwadzieścia sześć fonetycznych symboli, dziesięć cyfr arabskich i może osiem znaków przestankowych, na wybielonej i spłaszczonej miazdze drzewnej!

Ale kiedy zaczynam czytać, puls mi się uspokaja, oddech staje się wolniejszy. Szkolne kłopoty gdzieś odpływają. Znajduję się w przyjemnym stanie, czymś pośrednim między snem a odpoczynkiem.

Co wy na to?

A potem, po jakimś czasie — ile może zająć czytanie opowiadania, dziesięć minut? — zrywam się z fotela. Odkładam „The Saturday Evening Post” z powrotem na stolik, dla kogoś innego.

Co wy na to?

Wtedy mój tata architekt przychodzi do domu po pracy, a raczej po braku pracy, albowiem małe żółte sukursyny nie zbombardowały jeszcze Pearl Harbor. Mówię mu, że przeczytałem opowiadanie, które może mu się spodobać. Zapraszam go, by usiadł w fotelu klubowym, którego miękkie poduszki wciąż jeszcze są wgłębione i ciepłe od mojego młodzieńczego tyłka.

Tata siada. Biorę czasopismo i otwieram je na tamtym opowiadaniu. Tata jest zmęczony i przygnębiony. Zaczyna czytać, puls mu się uspokaja, oddech staje się wolniejszy. Kłopoty gdzieś odpływają. I tak dalej.

Tak! I co udowadnia, drogi czytelniku, nasza mała domowa jednoaktówka, odgrywana w latach trzydziestych? Otóż udowadnia, że opowiadanie, z powodu swego fizjologicznego oraz psychologicznego wpływu na człowieka, jest bliżej związane z buddyjskimi stylami medytacji niż z jakąkolwiek inną formą narracyjnej rozrywki.

A zatem, przy lekturze niniejszego zbioru, podobnie jak każdego innego zbioru opowiadań, znajdziesz sposobność do krótkiej buddyjskiej medytacji.

Gdy czytasz, na przykład, Wojnę i pokój, takiej sposobności nie masz. Ponieważ powieść jest bardzo długa, czytanie przypomina małżeństwo na całe życie z kimś, kogo nikt inny nie zna albo kto nikogo nie obchodzi. Zdecydowanie nie jest to pokrzepiające!

Och, jasne, zanim nastała telewizja, mieliśmy radio. Ale radio nie potrafiło przyciągnąć na dłużej naszej uwagi ani zapanować nad naszymi emocjami, z wyjątkiem czasów wojny. Radio nie potrafi sprawić, byśmy siedzieli spokojnie. W przeciwieństwie do materiałów drukowanych, przedstawień, filmów i telewizji, radio nie daje nam niczego, na czym mogłyby spocząć nasze niespokojne oczy.

Posłuchajcie. Gdy wróciłem do domu po zakończeniu drugiej wojny światowej, jako dwudziestojednoletni kapral, nie zamierzałem zostać pisarzem. Poślubiłem moją ukochaną jeszcze z dzieciństwa, Jane Marie Cox, która również pochodziła z Indianapolis, a obecnie znajduje się w niebie, i zapisałem się jako absolwent szkoły średniej na wydział antropologii University of Chicago. Ale wcale nie chciałem też zostać antropologiem. Miałem jedynie nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o istotach ludzkich. Postanowiłem zostać dziennikarzem!

W tym celu podjąłem również pracę w charakterze dziennikarza policyjnego w Chicago City News Bureau. W tamtych czasach News Bureau było utrzymywane przez wszystkie cztery chicagowskie gazety codzienne, jako czujnik przekazywania wiadomości, penetrujący miasto we dnie i w nocy, i jako teren szkoleniowy. Jedynym sposobem dostania pracy w którejś z tych gazet, gdzie nie istniało zjawisko nepotyzmu, było przejście najpierw przez ciężką harówkę w News Bureau.

Stało się jednak oczywiste, że przez następne kilka lat nie będzie wolnych posad w gazetach w Chicago czy gdziekolwiek indziej. Dziennikarze wracali po wojnie do domu i chcieli odzyskać swoje stanowiska, ale kobiety, które ich zastępowały, nie zamierzały zrezygnować z pracy. Kobiety były wspaniałe. Nie powinny były odchodzić.

A potem wydział antropologii odrzucił moją pracę magisterską, która dowodziła, że nie należy lekceważyć podobieństw między paryskimi przedstawicielami kubizmu z 1907 roku a przywódcami Native American Party lub przywódcami powstań Indian pod koniec dziewiętnastego wieku. Na wydziale stwierdzono, że praca jest nieprofesjonalna.

Powoli, lecz pewnie, przeznaczenie, które oszczędziło moje życie w Dreźnie, obecnie zaczęło tworzyć ze mnie pisarza i nieudacznika, aż do wieku czterdziestu siedmiu lat! Najpierw jednak musiałem pracować przez pewien czas w biurze prasowym General Electric w Schenectady, w stanie Nowy Jork.

Moim szefem podczas pracy w General Electric, polegającej na pisaniu tekstów reklamowych, był facet o imieniu George. George przykleił na drzwiach swego gabinetu, na zewnątrz, satyryczne rysunki, które jego zdaniem miały związek z firmą lub rodzajem wykonywanej przez nas pracy. Jeden z nich przedstawiał dwóch mężczyzn w biurze fabryki produkującej baty do małych powozików. Wykres na ścianie pokazywał, że sprzedaż ich produktów spadła do zera. Jeden mówił do drugiego: „Tu nie może chodzić o jakość naszych wyrobów. Produkuje najlepsze na świecie baty do powozów”. George wywiesił ten rysunek, by uczcić fakt, że GE ze swoimi wspaniałymi nowymi produktami sprawia, że wiele firm czuje się, jak gdyby próbowały sprzedawać baty do powozików.

Załamany aktor filmowy, Ronald Reagan, pracował wówczas w General Electric. Przez cały czas był w trasie, wykładając w izbach handlowych i potężnych firmach na temat szkodliwości socjalizmu. Nigdy się nie spotkaliśmy, toteż pozostałem socjalistą.

W 1950 roku, gdy mój przyszły prezydent dwóch kadencji kipiał wściekłością na bankietach z podłym żarciem, ja zacząłem pisać opowiadania nocami i podczas weekendów. Mieliśmy wówczas z Jane dwójkę dzieci. Potrzebowałem więcej pieniędzy, niż zarabiałem w General Electric. Chciałem również mieć w miarę możliwości więcej szacunku dla samego siebie.

W latach pięćdziesiątych był szalony popyt na krótkie opowiadania. Cztery tygodniki zamieszczały po kilka w każdym numerze. Sześć miesięczników czyniło to samo.

Zatrudniłem agenta. Gdy przysyłałem mu opowiadanie, któremu coś brakowało, które nie zadowoliłoby czytelnika, mówił mi, jak mam je przerobić. Agenci i wydawcy w tamtych czasach mogli mówić autorowi, w jaki sposób ma podrasować tekst, jak gdyby byli mechanikami, a utwory samochodami wyścigowymi. Z pomocą agenta sprzedałem jedno opowiadanie, potem dwa, a następnie trzy, i zarobiłem więcej pieniędzy, niż wynosiło moje roczne wynagrodzenie w General Electric.

Rzuciłem pracę w General Electric i zacząłem pracować nad moją pierwszą powieścią, czyli Pianolą. Jest to satyra na GE. Ugryzłem dłoń, która mnie karmiła. Książka przepowiadała to, co naprawdę musiało nadejść, dzień, kiedy maszyny z racji tego, że są takie niezawodne, wydajne, niestrudzone i coraz tańsze, odbiorą ludziom połowę przyzwoitych miejsc pracy.

Nasza czteroosobowa rodzina przeniosła się na Cape Cod, najpierw do Provincetown. Poznałem tam Normana Mailera. Był w moim wieku. Podobnie jak ja był szeregowym piechoty z wyższym wykształceniem i zyskał już światowy rozgłos dzięki swej wspaniałej powieści wojennej Nadzy i martwi. Podziwiałem go wówczas i podziwiam obecnie. Jest majestatyczny. Jest królewski. Taka była Jacqueline Onassis. Taki był również Joe DiMaggio. Taki jest Muhammad Ali. Taki jest Arthur Miller.

Przenieśliśmy się z Provincetown do Osterville, nadal na Cape. Nie minęły jednak nawet trzy lata, odkąd opuściłem Schenectady, gdy zleceniodawcy reklam zaczęli wycofywać swoje pieniądze z czasopism. Opowiadania, które schodziły z mojej maszyny do pisania, stawały się tak przestarzałe jak bity do powozików.

Pewien miesięcznik, który kupił ode mnie kilka opowiadań, „Cosmopolitan”, obecnie egzystuje jako wstrząsająco niedwuznaczny podręcznik seksu.

W tym samym 1953 roku Ray Bradbury wydał swoją powieść Fahrenheit 451. Tytuł odnosi się do temperatury zapłonu papieru. Do takiej temperatury trzeba rozgrzać książkę lub czasopismo, żeby stanęły w płomieniach. Główna postać męska stawia sobie za cel życiowy palenie wszelkich drukowanych materiałów. Nikt już nie czyta. Wiele zwykłych tanich domów, takich jak mój i Raya, ma pokój ze ścianami pokrytymi od góry do dołu ekranami telewizyjnymi i z jednym krzesłem ustawionym pośrodku.

Aktorzy i aktorki na czterech telewizyjnych ścianach są przygotowani do zaakceptowania każdego, kto usiądzie na tym krześle, nawet jeśli nikt na nim nie siedzi, jako przyjaciela lub krewnego. Żona mężczyzny, który podpalał papier, jest nieszczęśliwa. Stać go zaledwie na trzy ekrany. Żona cierpi, ponieważ nie wie, co dzieje się na brakującym czwartym ekranie, a telewizyjni aktorzy i aktorki są jedynymi ludźmi, których kocha, jedynymi, którzy ją obchodzą.

Fahrenheit 451 był wydany, zanim my i większość naszych sąsiadów w Osterville staliśmy się posiadaczami telewizorów. Sam Ray Bradbury chyba go nie miał i być może nie ma go do tej pory. Do dzisiaj Ray nie potrafi prowadzić samochodu i nienawidzi latać samolotami.

W każdym razie Ray był cholernie przewidujący. Podobnie jak ludzie z zaburzeniem czynności nerek otrzymują w dzisiejszych czasach w szpitalu nowe, doskonałe nerki, Amerykanie z zaburzeniami życia towarzyskiego, tak jak w książce Raya, dostają idealnych przyjaciół i krewnych z odbiorników telewizyjnych. I to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Ray pomylił się jedynie co do liczby ekranów, które są potrzebne do udanej transplantacji ludzi. Jeden nędzny mały sony w zupełności do tego wystarczy, nocą i dniem. Potrzeba do tego jedynie aktorów i aktorek, którzy przekazują wiadomości i karmią nas bzdurami w mydlanych operach lub czymś w tym rodzaju i którzy traktują każdego, kto ich ogląda, jak członka rodziny.

„Piekło to inni ludzie” — powiedział Jean-Paul Sartre. „Piekło to inni prawdziwi ludzie” — powinien był powiedzieć.

Nie można walczyć z postępem. Można go najwyżej ignorować, dopóki ostatecznie nie odbierze nam środków do życia i szacunku do samych siebie. Po pewnym czasie firma General Electric musiała poczuć się jak fabryka batów do powozików, gdy Bell Labs oraz inne firmy zmonopolizowały patenty na tranzystory i ich wykorzystanie, a ona nadal bocznikowała elektrony w próżniowych lampach elektronowych.

Jednakże, w przeciwieństwie do mnie, zbyt wielka, by upaść, GE wyszła z kryzysu wystarczająco dobrze, by zwolnić z pracy tysiące ludzi i zatruć rzekę Hudson dwufenylem polichlorowanym.

W 1953 roku mieliśmy z Jane już trójkę dzieci. Uczyłem więc angielskiego w szkole z internatem na Cape. Potem pisałem teksty reklamowe dla agencji przemysłowej w Bostonie. Napisałem dwie powieści wydane w miękkich okładkach: Syreny z Tytana i Matka noc. Nigdy nie zostały zrecenzowane. Otrzymałem za każdą z nich tyle, ile dostawałem zwykle za jedno opowiadanie.

Próbowałem sprzedać kilka z pierwszych samochodów marki Saab, które wchodziły na nasz rynek. Drzwi otwierały się pod wiatr. Za przednią kratą znajdowała się osłona, którą można było związać za pomocą łańcucha pod tablicą rozdzielczą. Miała za zadanie chronić w zimie silnik przed wyziębieniem. W pierwszych saabach trzeba było mieszać olej z benzyną za każdym razem, gdy napełniało się bak. Gdyby się o tym zapomniało, silnik nadawałby się na złom. Gdy pewnego razu wydlubałem za pomocą dłuta i młota kowalskiego silnik z saaba, przypominał wyglądem meteor!

Jeśli saab stał zaparkowany dłużej niż dzień, olej opadał na dno zbiornika benzyny jak syrop klonowy. Gdy włączało się silnik, wydech z rury zatruwał do nieprzytomności całe sąsiedztwo. Kiedyś załatwiłem w ten sposób Woods Hole. Kasłałem jak wszyscy inni i nie potrafiłem zrozumieć, skąd się bierze cały ten dym.

Następnie uczyłem twórczego pisania, najpierw w Iowa, potem w Harvardzie, jeszcze później w City College w Nowym Jorku. Joseph Heller, autor Paragrafu 22, również wykładał w City College. Powiedział mi, że gdyby nie wojna, pracowałby w branży pralni chemicznych. Ja odpowiedziałem mu na to, że gdyby nie wojna, prowadziłbym dział ogrodniczy w „Indianapolis Star”.

A teraz proszę słuchać uważnie. Oto zasady twórczego pisania:

1. Wykorzystuj czas całkiem obcej osoby w taki sposób, żeby nie miała wrażenia, że zmarnowała ten czas.
2. Daj czytelnikowi przynajmniej jedną postać, której mógłby się trzymać.
3. Każda postać powinna czegoś chcieć, nawet jeśli jest to tylko szklanka wody.
4. Każde zdanie musi służyć jednej z dwóch rzeczy — ujawnianiu charakteru lub rozwijaniu akcji.

5. Zaczynaj tak blisko końca, jak to tylko możliwe.

6. Bądź sadystą. Nieważne, jak urocze i niewinne są twoje główne postacie, stawiaj je w sytuacjach, w których przytrafiają im się okropne rzeczy — aby czytelnik mógł zobaczyć, z jakiej gliny są ulepione.

7. Pisz w taki sposób, by zadowolić tylko jedną osobę. Jeśli otworzysz okno i, nazwijmy to, będziesz kochać się z całym światem, twoje opowiadanie nabawi się zapalenia płuc.

8. Podaj czytelnikom jak najwięcej informacji w jak najkrótszym czasie. Do diabła z suspensem. Czytelnicy powinni mieć tak pełne rozeznanie w tym, co się dzieje, gdzie i dlaczego, żeby mogli sami dokończyć opowiadanie, gdyby karaluchy pożarły ostatnich kilka stron.

Najwybitniejszą autorką krótkich form literackich z mojego pokolenia była Flannery O'Connor (1925-1964). Łamała praktycznie wszystkie moje zasady, z wyjątkiem pierwszej. Wielcy pisarze mają taką tendencję.

Pani O'Connor może łamała moją siódmą zasadę, a może wcale nie. „Pisz w taki sposób, by zadowolić tylko jedną osobę”. Nie uda nam się dowiedzieć się tego z całą pewnością, chyba że jednak istnieje niebo i ona tam jest. Jeśli tam również pójdziemy, będziemy mogli ją o to spytać.

Ja jestem jednak niemal pewny, że nie złamała siódmej zasady. Nieżyjący już amerykański psychiatra, doktor Edmund Bergler, który twierdził, że traktuje pisarzy bardziej profesjonalnie od innych lekarzy jego specjalności, napisał w swojej książce *Pisarz a psychoanaliza*, że większość pisarzy tworzy, by zadowolić jedną osobę, którą znają dobrze, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Nie jest to żadna sztuczka, lecz naturalna ludzka rzecz, niezależnie od tego, czy wychodzi to opowiadaniu na dobre, czy też nie.

Doktor Bergler uważał, że zwykle potrzebna była psychoanaliza, by jego pacjenci uświadomili sobie, dla kogo pisali. Ale ja natychmiast po skończeniu książki i zaledwie kilkuminutowym namyśle, wiedziałem, że pisałem dla mojej siostry Allie. To dla niej są przeznaczone opowiadania zamieszczone w tej książce. Wykreślałem wszystko, co moim zdaniem nie podobałoby się Allie. Zostawiałem wszystko, co mogłoby sprawić jej frajdę.

Allie jest obecnie w niebie, razem z moją pierwszą żoną Jane, Samem Lawrence'em, Flannery O'Connor i doktorem Berglerem, ale ja wciąż piszę, by sprawić jej przyjemność. Allie była zabawna, co upoważnia mnie, bym również był zabawny. Allie i ja byliśmy sobie bardzo bliscy.

Moim zdaniem, opowiadanie napisane dla jednej osoby sprawia przyjemność czytelnikowi, ponieważ czyni go uczestnikiem akcji. Sprawia, że czuje się — sam nawet o tym nie wiedząc — jak gdyby podsłuchiwał fascynującą rozmowę pomiędzy dwojgiem ludzi przy sąsiednim stoliku, powiedzmy, w restauracji.

Tak przynajmniej przypuszczam.

A oto jeszcze jeden powód. Czytelnik lubi opowiadania, pisane dla jednej osoby, ponieważ wyczuwa — znowu nie zdając sobie z tego sprawy — że opowiadanie ma granice, jak boisko. Nie może po prostu zmierzać dokądkolwiek. To właśnie, tak mi się wydaje, zaprasza czytelników, by zeszli z linii bocznych i włączyli się do gry z autorem. Jak potoczy się dalej opowiadanie? Dokąd nas zaprowadzi? Nie fair! Beznadziejna sytuacja! Przyłożenie!

Pamiętacie moją zasadę numer osiem? „Podaj czytelnikom jak najwięcej informacji w jak najkrótszym czasie”. Tak żeby mogli sami dokończyć opowiadanie. Gdzie, poza gajem Akademosą, ktoś może lubić opowiadanie, w którym tak wiele informacji jest zatajonych, a czytelnicy nie mogą w żaden sposób rozwikłać tajemnic?

Granice boiska moich opowiadań oraz powieści były niegdyś granicami duszy mojej jedynej siostry. Ona nadal żyje w ten sposób. Amen.

Kurt Vonnegut

Thanasfera

W południe, dwudziestego szóstego lipca, w małych górskich miasteczkach hrabstwa Sevier w stanie Tennessee szyby w oknach zadrżały od wstrząsu spowodowanego dalekim wybuchem. Grzmot, który przetoczył się po północnych zboczach Great Smokies, nadszedł od strony pilnie strzeżonej przez siły powietrzne eksperymentalnej bazy położonej w lesie, piętnaście kilometrów na północ od Elkmont.

Rzecznik prasowy sił powietrznych oświadczył: „Bez komentarza”.

Tego wieczoru astronomowie amatorzy z Omaha w stanie Nebraska oraz z Glenwood w stanie Iowa niezależnie donieśli, że o 9.57 przez tarczę Księżyca przemieścił się ciemny punkt. W mediach zapanowało wrzenie. Astronomowie większych obserwatoriów Ameryki Północnej twierdzili, że nie zaobserwowali niczego.

Kłamali.

W Bostonie, w czwartek rano dwudziestego siódmego lipca, przedsiębiorczy dziennikarz odnalazł doktora Bernarda Groszingera, młodego konsultanta sił powietrznych do spraw pocisków rakietowych.

— Czy możliwe, że ten punkt, który zaobserwowano na tle księżycowej tarczy, był statkiem kosmicznym? — spytał dziennikarz.

Doktor Groszinger wybuchnął śmiechem.

— Moim zdaniem zaczyna się kolejny okres psychozy latających spodków — powiedział. — Tym razem wszyscy widzą statki kosmiczne między Księżycem a naszym globem. Może pan, przyjacielu, powiedzieć swoim czytelnikom: co najmniej przez dwadzieścia lat żaden statek kosmiczny nie opuści Ziemi.

Kłamał.

Wiedział znacznie więcej, niż się przyznał, ale nieco mniej, niż mu się wydawało. Nie wierzył w duchy — i dopiero miał się dowiedzieć o Thanasferze.

Doktor Groszinger oparł długie nogi na blacie zagraconego biurka i patrzył, jak sekretarka otwiera rozczarowanemu dziennikarzowi zamknięte na klucz drzwi i przeprowadza go obok uzbrojonych strażników. Zapalił papierosa i spróbował odprężyć się przed powrotem do stęchłego powietrza i napiętej atmosfery radiostacji. CZY ZA-

MKNAŁEŚ SWÓJ SEJF? — pytał napis na ścianie, przypięty przez jakiegoś gorliwego strażnika. Napis irytował go jak diabli. Strażnicy, przepisy bezpieczeństwa, wszystko to spowalniało tylko jego pracę, prowokowało go do myślenia o sprawach, o których nie miał czasu myśleć.

Poufne dokumenty w sejfie nie zawierały żadnej tajemnicy. Mówiły to, co jest znane od wieków: zgodnie z podstawowymi prawami fizyki, pocisk wystrzelony w przestrzeń w kierunku X, z prędkością Y kilometrów na godzinę, będzie poruszał się po łuku Z. Zmodyfikował równanie: zgodnie z podstawowymi prawami fizyki i przy nakładzie miliarda dolarów...

Zagrażająca wojna dostarczyła mu okazji, by przeprowadzić eksperyment. Groźba wojny była dla niego jedynie incydentem, otaczający go wojskowi irytującym warunkiem pracy — sedno sprawy stanowił eksperyment.

Nie ma niewiadomych, rozmyślał, znajdując zadowolenie w niezawodności świata materialnego. Młody doktor Groszinger uśmiechnął się na myśl o Krzysztofie Kolumbie i jego załodze, którzy nie mieli pojęcia, co się rozpościera przed nimi, którzy byli śmiertelnie przerażeni nie istniejącymi morskimi potworami. Może przeciętny współczesny człowiek czuje to samo w odniesieniu do przestrzeni kosmicznej. Epoka zabobonów wciąż jeszcze się nie skończyła.

Ale mężczyzna w statku kosmicznym, znajdującym się w odległości trzech i pół tysiąca kilometrów od Ziemi, nie miał żadnych niewiadomych, których by się obawiał. Ponury major Allen Rice nie przekazywał w swoich raportach niczego zaskakującego. Mógł jedynie potwierdzić to, co już zostało odkryte na temat przestrzeni kosmicznej.

Większe amerykańskie obserwatoria astronomiczne, które ściśle współpracowały w ramach projektu, komunikowały, że statek okrąży obecnie Ziemię po przewidywanej orbicie z przewidywaną prędkością. W pomieszczeniu radiostacji spodziewano się teraz w każdej chwili pierwszej wiadomości z kosmosu. Przekaz radiowy miał nastąpić w paśmie UHF, na którym nikt dotąd nie przekazywał ani nie odbierał żadnych komunikatów.

Pierwszy przekaz się opóźnił, ale nic się nie stało — nic nie mogło się stać, zapewniał sam siebie doktor Groszinger. To mechanizmy kierowały lotem, a nie człowiek. Człowiek był zaledwie obserwatorem, pilotowanym do samotnego dogodnego punktu obserwacji przez nieomyłne mózgi elektroniczne, szybsze od mózgu ludzkiego. Miał, oczywiście, na swoim statku zespół przyrządów sterowniczych, ale wyłącznie do ślizgania się przez warstwę atmosfery, gdy sprowadzą go do niej z kosmosu. Był wyekwipowany na kilkuletni pobyt w kosmosie.

Nawet sam mężczyzna w najwyższym stopniu przypomina maszynę, pomyślał z satysfakcją doktor Groszinger. Jest szybki, silny, opanowany. Psychiatrzy wybrali majora Rice'a spośród setki ochotników, przewidując, że będzie funkcjonował tak dosko-

nale jak silniki statku, jego metalowy kadłub i elektroniczny układ sterowniczy. Wyciąg z akt: silna budowa ciała, dwadzieścia dziewięć lat, pięćdziesiąt pięć misji w całej Europie podczas drugiej wojny światowej, bez oznak zmęczenia, bezdzielny wdowiec, samotny, ponurak, żołnierz zawodowy, demon pracy.

Misja majora? Prosta: przekazywanie informacji na temat warunków meteorologicznych nad terytorium wroga i obserwacja dokładności sterowanych pocisków atomowych w wypadku wojny.

Obecnie major Rice znajdował się w systemie słonecznym, trzy i pół tysiąca kilometrów nad Ziemią, właściwie całkiem blisko — taka bowiem odległość dzieli Nowy Jork od Salt Lake City — na tyle blisko, że widział nawet pokrywą lodową na obu biegunach. Za pomocą teleskopu Rice mógł bez trudu dostrzec małe miasteczka i kilwatery statków. To musi być niesamowite uczucie patrzeć na ogromną niebieskozieloną kulę, widzieć, jak podkrada się do niej noc, jak kłębią się wokół niej chmury, szaleją burze.

Doktor Groszinger zgasił papierosa, z roztargnieniem zapalił natychmiast kolejnego i ruszył korytarzem w kierunku małego laboratorium, w którym znajdował się sprzęt radiowy.

Generał porucznik Franklin Dane, szef projektu „Cyklop”, siedział obok radiooperatora. Mundur miał pognieciony, kołnierzyk rozpięty. Wpatrywał się wyczekująco w znajdujący się przed nim głośnik. Na podłodze poniewierały się papierki po kanapkach i niedopałki papierosów. Przed generałem i radiooperatorem stały papierowe kubki z kawą, a obok leżak, na którym Groszinger spędził w oczekiwaniu całą noc.

Generał Dane skinął Groszingerowi głową i nakazał mu milczenie gestem dłoni.

— Able Baker Fox, tu Dog Easy Charley. Able Baker Fox, tu Dog Easy Charley...
— powtarzał monotonicznie kod wywoławczy radiooperator. Miał zmęczony głos. — Czy mnie słyszysz, Able Baker Fox? Czy mnie...

W głośniku coś zatrzeszczało, po czym, nastawiony na najwyższą moc, ryknął:

— Tu Able Baker Fox. Nadawaj, Dog Easy Charley. Odbiór.

★ ★ ★

Generał Dane zerwał się na równe nogi i chwycił w objęcia Groszingera. Obaj śmiali się głupkowato i klepali się nawzajem po plecach. Generał wyrwał mikrofon radiooperatorowi.

— Udało się, Able Baker Fox! Dokładnie na kursie! Jak tam jest, chłopcze? Co czujesz? Odbiór.

Doktor Groszinger pochylił się do przodu, obejmując za ramiona generała, z uchem zaledwie kilka centymetrów od głośnika. Radiooperator wyregulował dźwięk, dzięki czemu głos majora Rice'a brzmiał bardziej naturalnie.

Major odezwał się znowu, mówił cicho, niepewnie. Doktor Groszinger zaniepokoił się — oczekiwał ostrego, rzeczowego tonu.

— Ta strona Ziemi jest teraz ciemna, bardzo ciemna. Mam uczucie, że spadam — tak jak pan przewidywał. Odbiór.

— Czy coś się stało? — spytał z obawą generał. — Masz taki głos, jak gdyby...

— O, o, teraz! Słyszeliście to? — wtrącił major, nie dając mu dokończyć zdania.

— Able Baker Fox, niczego nie słyszymy — odparł generał, spoglądając z zakłopotaniem na doktora Groszingera. — Co to jest — jakieś zakłócenia w twoim odbiorniku? Odbiór.

— Dziecko — powiedział major. — Słyszę płacz dziecka. Nie słyszycie go? A teraz — słuchajcie! — teraz staruszek próbuje je pocieszyć. — Jego głos zdawał się dobiegać z dalszej odległości, jak gdyby major przestał mówić wprost do mikrofonu.

— To niemożliwe, bzdura! — powiedział doktor Groszinger. — Sprawdź swój aparat, Able Baker Fox, sprawdź swój aparat. Odbiór.

— Są coraz wyraźniejsze. Głosy są coraz wyraźniejsze. Zagłuszają mi was. Zupełnie jak gdybym stał wśród tłumu i wszyscy naraz chcieli zwrócić moją uwagę. To tak, jak... Po czym głos zamarł. Słyszeli tylko jakieś szumy dobiegające z głośnika. Nadajnik majora był nadal włączony.

— Czy mnie słyszysz, Able Baker Fox? Odpowiedz! Czy mnie słyszysz? — wołał generał Dane.

Szumy ustały. Generał i doktor Groszinger gapili się tępo na głośnik.

— Able Baker Fox, tu Dog Easy Charley — wywoływał radiooperator. — Able Baker Fox, tu Dog Easy Charley...



Doktor Groszinger leżał w ubraniu na łóżku polowym, które dla niego przyniesiono, zasłoniwszy gazetą oczy od rażącego światła sufitowej lampy w pomieszczeniu radiostacji. Co kilka minut przeczesywał długimi szczupłymi palcami potargane włosy i kłął pod nosem. Jego maszyna działała bez zarzutu, po prostu bez zarzutu. Zawiodła jedyna rzecz, której nie projektował, a mianowicie ten cholerny facet siedzący w środku, który zniweczył cały eksperyment.

Przez sześć godzin próbowali nawiązać na nowo kontakt z szaleńcem, który patrzył z góry na Ziemię ze swego małego stalowego księżycy i słyszał głosy.

— Mamy go znowu, panie generale — powiedział radiooperator. — Tu Dog Easy Charley. Nadawaj, Able Baker Fox. Odbiór.

— Tu Able Baker Fox. Nad strefami siedem, jedenaście, dziewiętnaście i dwadzieścia trzy pogodnie. Strefy jeden, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć — zachmurzenie. Burze tworzą się nad strefami osiem i dziewięć i przesuwały się na południe i południowy zachód z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Odbiór.

— Już mu przeszło — rzekł z ulgą generał.
Doktor Groszinger nie ruszył się z polówki, głowę nadal miał przykrytą gazetą.
— Proszę go zapytać o głosy — powiedział.
— Able Baker Fox, nie słyszysz już głosów, prawda?
— Co ma pan na myśli, mówiąc, że ich nie słyszę? Słyszę je lepiej niż pana. Odbiór.
— Odbiło mu — powiedział Groszinger, wstając.
— Słyszałem — odparł spokojnie major Rice. — Może i mi odbiło. Można będzie z łatwością się o tym przekonać. Musicie tylko sprawdzić, czy Andrew Tobin zmarł w Evansville w stanie Indiana siedemnastego lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. Odbiór.
— Nie bardzo rozumiem, Able Baker Fox — rzekł niepewnie generał. — Kim był Andrew Tobin? Odbiór.
— On jest jednym z głosów. — Nastąpiła niezręczna cisza. Major Rice odchrząknął.
— Twierdzi, że zamordował go brat. Odbiór.
Radiooperator podniósł się powoli ze swego stołka, twarz miał kredowobiałą. Groszinger popchnął go z powrotem i wyjął mikrofon z bezwładnej dłoni generała.
— Albo straciłeś rozum, albo jest to najbardziej sztubacki kawał w historii ludzkości, Able Baker Fox — powiedział niecierpliwie doktor Groszinger. — Rozmawiasz z Groszingerem i jesteś głupszy, niż sądziłem, jeśli wydaje ci się, że potrafisz nabić mnie w butelkę. — Kiwnął głową dla potwierdzenia mocy swych słów. — Odbiór.
— Nie słyszę was dobrze, Dog Easy Charley. Przykro mi, ale głosy stają się coraz donośniejsze.
— Rice! Opanuj się! — zawołał Groszinger.
— Posłuchajcie, udało mi się coś wyłapać: Pamela Ritter chce, żeby jej mąż powtórnie się ożenił dla dobra dzieci. On mieszka...
— Przestań!
— ...mieszka przy tysiąc pięćset siedemdziesiąt siedem Damon Place, Scotia, Nowy Jork. Koniec przekazu.

★ ★ ★

Generał Dane potrząsnął lekko za ramię doktora Groszingera.
— Spał pan pięć godzin — powiedział. — Już północ. — Podał mu kubek kawy.
— Mamy kilka nowych przekazów. Interesuje to pana?
Doktor Groszinger upił łyk kawy.
— Wciąż wariuje?
— Nadal słyszy głosy, jeśli o to panu chodzi. — Generał rzucił dwie nie otwarte despesze na kolana Groszingera. — Sądziłem, że to pan powinien je otworzyć.
Doktor Groszinger roześmiał się cicho.

— Sprawdziliście Scotię i Evansville, tak? Niech Bóg ma w opiece naszą armię, jeśli wszyscy generałowie są tacy zabobonni jak pan, mój przyjacielu.

— Dobra, dobra, to pan jest naukowcem, mózgowcem. Właśnie dlatego chcę, żeby pan pierwszy otworzył depesze i powiedział mi, co, u diabła, się tu dzieje.

Doktor Groszinger uśmiechnął się protekcyjnie i otworzył telegramy.

HARVEY RITTER, ZAMIESZKAŁY 1577 DAMON PLACE, SCOTIA. INŻYNIER GEOLOG. WADOWIEC, DWOJE DZIECI. ZMARŁA ŻONA MIAŁA NA IMIĘ PAMELA. CZY POTRZEBUJECIE WIĘCEJ INFORMACJI? R. B. FAILEY, SZEF POLICJI, SCOTIA.

Doktor Groszinger wzruszył ramionami i podał depeszę generałowi Dane'owi, a sam przeczytał drugi telegram:

ZGODNIE Z ZAPISEM W AKTACH POLICYJNYCH, ANDREW TOBIN ZGINAŁ W WYPADKU PODCZAS POLOWANIA SIÓDMEGO LUTEGO 1927 ROKU. BRAT PAUL JEST RZUTKIM BIZNESMENEM, WŁAŚCICIELEM FIRMY GÓRNICZEJ, KTÓRĄ ZAŁOŻYŁ ANDREW. MOŻEMY DOSTARCZYĆ BARDZIEJ SZCZEGÓŁOWYCH INFORMACJI.

E. B. JOHNSON, SZEF POLICJI W EVANSVILLE.

— Nie jestem zaskoczony — rzekł obojętnie doktor Groszinger. — Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju. Przypuszczam, że jest pan w tej chwili głęboko przekonany, że nasz przyjaciel major Rice odkrył, iż kosmos zamieszkują duchy?

— Cóż, raczej to on jest pewien, że coś go zamieszkuje — odpowiedział generał, czerwieniąc się.

Doktor Groszinger zmiął w kulkę drugi telegram i rzucił go przez długość pokoju, nie trafiając do kosza. Złożył ręce i przybrał pozę cierpliwego kaznodziei, jaką przyjmował zawsze, wykładając fizykę studentom pierwszego roku.

— Najpierw, przyjacielu, mieliśmy do wyboru dwie ewentualności: albo major Rice oszalał, albo dopuścił się spektakularnej mistyfikacji. — Kręcił młynka palcami, czekając, by generał przetrawił tę informację. — Obecnie, gdy wiemy, że jego komunikaty przekazywane przez duchy dotyczą realnych osób, musimy wyciągnąć wniosek, że realizuje dawno zaplanowaną mistyfikację. Zdobył nazwiska i adresy jeszcze przed startem. Bóg jeden wie, co ma nadzieję przez to osiągnąć. Bóg jeden wie, co możemy zrobić, by go powstrzymać. Zresztą, to pański problem.

— A zatem próbuje upuścić projekt, tak? — spytał generał, mrużąc oczy. — Zobaczmy, zobaczymy. — Radiooperator drzemał. Generał poklepał go po ramieniu. — Do pracy, sierzancie, do pracy. Wywołuj Rice'a, dopóki go nie złapiesz, zrozumiałeś?

Radiooperator musiał wywołać go tylko raz.

— Tu Able Baker Fox. Nadawaj, Dog Easy Charley — odezwał się major Rice. Miał zmęczony głos.

— Tu Dog Easy Charley — powiedział ostrym tonem generał Dane. — Mamy po dziurki w nosie twoich głosów, Able Baker Fox, rozumiałeś? Nie chcemy więcej o nich słyszeć. Poznaliśmy się na twoich gierkach. Nie wiem, co knujesz, ale wiem z całą pewnością, że ściągnę cię na dół i wylądujesz na skałach w Leavenworth tak szybko, że zostawisz zęby w kosmosie. Zrozumieliśmy się? — Generał odgryzł z wściekłością koniuszek nowego cygara. — Odbiór.

— Czy sprawdziliście tamte nazwiska i adresy? Odbiór.

Generał popatrzył na doktora Groszingera, który skrzywił się i pokręcił głową.

— Jasne, że tak, ale to niczego nie dowodzi. Masz tam na górze listę nazwisk i adresów. I co z tego? Odbiór.

— Mówi pan, że sprawdziliście nazwiska? Odbiór.

— Mówię ci, żebyś przestał się w to bawić, Rice. Natychmiast. Zapomnij o głosach, słyszałeś? Podaj komunikat meteorologiczny. Odbiór.

— Rozpogodzenia nad strefami jednaście, piętnaście i szesnaście. Gruba warstwa chmur nad strefami jeden, dwa i trzy. Nad pozostałymi strefami pogodnie. Odbiór.

— Tak już lepiej, Able Baker Fox — rzekł przyjaźnie generał. — Zapomnimy o głosach, co? Odbiór.

— Starsza kobieta mówi coś z niemieckim akcentem. Czy jest tam doktor Groszinger? Chyba go wzywa. Prosi, żeby zbytnio się nie angażował w pracę... żeby nie...

Doktor Groszinger pochylał się nad ramieniem radiooperatora i wyłączył odbiornik.

— Cóż za tani, beznadziejny chwyt — warknął ze złością.

— Posłuchajmy, co ma do powiedzenia — rzekł generał, uśmiechając się lekko. — Myślałem, że jest pan naukowcem.

Doktor Groszinger zmierzył go buntowniczym spojrzeniem, włączył z powrotem odbiornik i stanął, wspierając dłonie na biodrach.

— ...mówi coś po niemiecku — rozległ się znów głos majora Rice'a. — Nic nie rozumiem. Może wy zrozumiecie. Powtórzę tak, jak idzie: Alles geben die Götter, die Unendlichen, ihren Lieblingen, ganz. Alle...

Doktor Groszinger ściszył odbiornik.

— Alle Freuden, die Unendlichen: alle Schmerzen, die Unendlichen, ganz — powiedział cicho. — Tak się to kończy. Usiadł na łóżku. — Ulubiony cytat mojej matki — z Goethego.

— Mogę go jeszcze raz postraszyć — powiedział generał.

— Po co? — Groszinger wzruszył ramionami, uśmiechając się. — Kosmos jest pełen głosów. — Zaśmiał się nerwowo. — To coś, co ożywiłoby podręcznik fizyki.

— To znak, panie generale, to znak — wybuchnął nagle radiooperator.

— Jaki, u diabła, znak ma pan na myśli? — spytał generał. — A więc przestrzeń kosmiczna pełna jest duchów. To mnie nie dziwi.

— Wobec tego nic już pana nie zdziwi — rzekł doktor Groszinger.

— To prawda. W przeciwnym razie nie nadawałbym się na generała. O ile wiem, księżyc jest zbudowany z twarogu. I co z tego? Chcę tylko, żeby facet, tam w górze, powiedział mi, że trafiam w to, do czego celuję. Guzik mnie obchodzi, co się dzieje w kosmosie.

— Nie rozumie pan? — spytał operator. — Nie rozumie pan? To znak. Gdy ludzie dowiedzą się o tych duchach, zapomną o wojnie. Nie będą myśleli o niczym poza nimi.

— Spokojnie, sierżancie — rzekł sucho generał. — Nikt się o nich nie dowie, zrozumiano?

— Nie może pan zataić takiego odkrycia — powiedział zdumiony Groszinger.

— Jest pan stuknięty, jeśli wydaje się panu, że nie mogę — odparł generał. — Jak chciałby pan powiedzieć ludziom o tej sprawie, nie wspominając jednocześnie o statku kosmicznym?

— Mają prawo wiedzieć — gorączkował się radiooperator.

— Gdyby świat dowiedział się o naszym statku kosmicznym, mielibyśmy trzecią wojnę światową — rzekł generał. — Powiedz mi teraz, że tego właśnie chcesz. Nieprzyjaciel nie będzie miał wyboru, spróbuje zdmuchnąć nas z powierzchni Ziemi, zanim zdążymy wykorzystać do czegokolwiek majora Rice'a. A wtedy nam nie pozostanie nic innego, jak ich uprzedzić. Czy o to ci chodzi?

— Nie, panie generale — odparł radiooperator. — Chyba nie.

Siedział apatycznie, z rękami złożonymi na kolanach.

— Cóż, tak czy owak możemy dalej eksperymentować — powiedział doktor Groszinger. — Dowiemy się jak najwięcej na temat tych duchów. Możemy wysłać Rice'a na szerszą orbitę, żeby dowiedzieć się, na jaką odległość słyszy głosy i czy...

— Nie, nie możemy, a przynajmniej nie z funduszków sił powietrznych — pokręcił głową generał Dane. — Nie po to się tam znalazł. Nie stać nas na zajmowanie się głupstwami. Ma zostać tam, gdzie jest.

— Dobrze, dobrze — zgodził się Groszinger. — Wobec tego posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

— Złap go, sierżancie — polecił generał.

— Tak jest, panie generale. — Radiooperator manipulował apatycznie pokrętłami. — Chyba w tej chwili nie nadaje. — W głośniku rozległ się szum. — Zdaje się, że go mam. Able Baker Fox, tu Dog Easy Charley...

— King Two X ray William Love, tu William Five Zebra Zebra King z Dallas — odezwał się głośnik. Wywołujący miał głos znacznie wyższy od głosu majora Rice'a i przeciągłą wymowę, charakterystyczną dla mieszkańców południowych stanów.

— Tu King Two X ray William Love z Albany — odpowiedział bas. — Nadawaj, WSZZK, słyszę cię dobrze. A ty jak mnie słyszysz? Odbiór.

— Wyraźnie jak gdybyś siedział obok, K2XWL — częstotliwość dwadzieścia pięć tysięcy megaherców. Próbuje ograniczyć odchylenie do...

— Nie słyszę cię wyraźnie, Dog Easy Charley — usłyszeli głos majora Rice'a. — Głosy są w tej chwili bardzo donośne. Rozróżniam poszczególne słowa. Grantland Whitman, aktor hollywoodzki, krzyczy, że jego testament został sfałszowany przez jego bratanka Carla. Mówi...

— Powtórz, K2XWL — rzekł wyższy głos. — Musiałem źle cię zrozumieć. Odbiór.

— Ja nic nie mówiłem, WSZZK. Co to było o Grantlandzie Whitmanie? Odbiór.

— Tłum się ucisza — powiedział major Rice. — Teraz słyhać tylko jeden głos — chyba młodej kobiety. Jest tak cichutki, że nie mogę zrozumieć, co mówi.

— Co się dzieje, K2XWL? Czy mnie słyszysz, K2XWL?

— Powtarza moje imię. Słyszycie? Woła mnie — rzekł z podnieceniem major Rice.

— Zagłusz tę częstotliwość, do cholery! — wykrzyknął gorączkowo generał.

— Wrzeszcz, gwizdź — rób coś!



Samochody, sunące wczesnym rankiem ulicą, przy której znajdował się uniwersytet, zatrzymały się, trąbiąc ze złością, gdy doktor Groszinger przeszedł w zamyśleniu ulicę na czerwonym świetle, wracając do pracy i do pomieszczenia radiostacji. Doktor podniósł zdumiony wzrok, wymamrotał jakieś przeprosiny i wszedł śpiesznie na chodnik. Zjadł samotnie śniadanie w całodobowym barze, dwie przecznice od budynku laboratorium, i poszedł na długi spacer. Miał nadzieję, że dzięki temu rozjaśni mu się trochę w głowie — ale nadal w jego myślach panował kompletny zamęt, czuł się bezradny. Czy świat ma prawo się dowiedzieć, czy nie?

Nie było więcej przekazów od majora Rice'a. Na rozkaz generała częstotliwość została zagłuszona. Teraz niespodziewani podsłuchujący radioamatorzy nie słyszą niczego poza ciągłym buczeniem na częstotliwości dwudziestu pięciu tysięcy megaherców. Krótco po północy generał Dane złożył w Waszyngtonie meldunek o impasie. Być może rozkazy, co zrobić z majorem Rice'em, dotarły już do laboratorium.

Groszinger przystanął w promieniu słońca padającym na schody prowadzące do budynku laboratorium i przeczytał jeszcze raz wiadomości z pierwszej strony, pod nagłówkiem: **TAJEMNICZY KOMUNIKAT RADIOWY UJAWNIA PRAWDOPODOBNE SFAŁSZOWANIE TESTAMENTU**. Artykuł opowiadał o dwóch radioamatorach, którzy eksperymentując nielegalnie na podobno nie używanej częstotliwości UHF, ze zdumieniem usłyszeli, jak jakiś mężczyzna mówi o głosach i testamencie. Radioamatorzy złamali prawo, nadając na nie przydzielonym paśmie częstotliwości, jednakże nie trzymali buzi na kłódkę i rozgłosili swe odkrycie. Teraz radioamatorzy na całym świecie będą próbowali złapać tę częstotliwość.

— Dzień dobry panu. Ładny poranek, prawda? — powiedział strażnik schodzący ze służby, gruby wesoly Irlandczyk.

— Rzeczywiście ładny — zgodził się doktor Groszinger. — Trochę się chyba chmurzy na zachodzie. — Zastanawiał się, jaka byłaby reakcja strażnika, gdyby powiedział mu, co wie. Prawdopodobnie wyśmiałby go.

Sekretarka doktora Groszingera odkurzała właśnie jego biurko, gdy wszedł.

— Mógłby się pan trochę przespać — powiedziała. — Naprawdę nie rozumiem, czemu wy, mężczyźni, tak mało dbacie o siebie. Gdyby miał pan żonę, zrobiłaby pana...

— Nigdy w życiu nie czułem się lepiej — odrzekł Groszinger. — Są jakieś wiadomości od generała Dane'a?

— Szukał pana z dziesięć minut temu. Wrócił do radiostacji. Rozmawiał przez pół godziny telefonicznie z Waszyngtonem.

Miała jedynie mgliste pojęcie, czego dotyczył projekt. I znów doktor Groszinger poczuł nieprzewartą chęć, by opowiedzieć jej o majorze Rice'u i o głosach, żeby zobaczyć, jaki efekt wywrze ta wiadomość na kimś innym. Możliwe, że sekretarka zareagowałaby tak jak on, apatycznie, bez podniecenia, albo tak jak generał — wzruszeniem ramion. Być może to jest duch czasu, tego świata bomby atomowej, bomby wodorowej, Bóg-wie-jakiej-kolejnej-bomby nie dziwić się niczemu. Nauka dała ludzkości potężne środki wystarczające do zniszczenia globu ziemskiego. Polityka zaś dała ludzkości słuszne przekonanie, że te środki zostaną użyte. Trudno by znaleźć większy powód do lęku. Ale dowód, że istnieje świat duchów, prawdopodobnie by mu dorównał. Może takiego właśnie wstrząsu potrzebował świat. Może głos duchów zmieniłby samobójczy bieg historii.

Generał Dane podniósł ze znużeniem wzrok, gdy doktor Groszinger wszedł do pomieszczenia radiostacji.

— Ściągają go — powiedział. — Nie możemy zrobić nic innego. Nie jest dla nas w tej chwili przydatny do niczego.

Głośnik, ściszony do maksimum, buczał monotennie, zagłuszając częstotliwość. Radiooperator spał, oparłszy głowę na złożonych rękach.

— Próbowaliście znów go wywołać?

— Dwukrotnie. Kompletnie mu odbiło. Usiłowałem polecić mu, by zmienił częstotliwość, on jednak paplał bez przerwy — jak gdyby w ogóle mnie nie słyszał — o tym kobiecym głosie.

— Czy powiedział, kim jest ta kobieta?

Generał Dane popatrzył na niego z dziwną miną.

— Twierdzi, że to jego żona, Margaret. To chyba wystarczy, żeby załamać kogoś, nie sądzi pan? — Generał uniósł brwi. — Okazaliśmy się niezwykle bystrzy, wysyłając tam faceta bez więzów rodzinnych. — Wstał i przeciągnął się. — Wychodzę na chwilę. Proszę trzymać ręce z dala od nadajnika. — Zatrzasnął za sobą drzwi.

Radiooperator drgnął, budząc się z drzemki.

— Sprowadzają go na dół — powiedział ochrypłym głosem.

— Wiem — skinął głową doktor Groszinger.

— To go zabije, prawda?

— Ma urządzenia sterownicze do ślizgu, gdy wejdzie w warstwę atmosfery.

— Użyje ich, jeśli będzie chciał.

— To prawda. Sprowadzą go z orbity z powrotem do atmosfery za pomocą silników raketowych, a potem od niego będzie zależało, czy przejmie inicjatywę i wyląduje.

Umilkli obaj. W pokoju rozległ się jedynie stłumiony sygnał zagłuszania, dobiegający z głośnika.

— On nie chce żyć, zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? — powiedział nagle radiooperator. — A pan by chciał?

— To jest chyba coś, czego człowiek nie wie, dopóki sam się z tym nie zetknie — odrzekł wymijająco doktor Groszinger, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Próbował wyobrazić sobie przyszły świat — świat będący w stałym kontakcie z duchami, życie nierozłącznie związane ze śmiercią. Tak się musi stać. Inni ludzie, wysłani w kosmos, z pewnością odkryją to samo co oni. Czy życie stanie się wtedy niebem, czy piekłem? Włóczędzy i geniusze, przestępcy i bohaterzy, przeciętni ludzie i szaleńcy staną się na zawsze częścią ludzkości — będą doradzać, kłócić się, współdziałać, łagodzić...

Radiooperator zerknął ukradkiem na drzwi.

— Chce pan go usłyszeć jeszcze raz?

Doktor Groszinger pokręcił przecząco głową.

— Każdy łapie teraz tę częstotliwość. Mielibyśmy wszyscy duże kłopoty, gdyby przestał pan zagłuszać. — Nie chciał usłyszeć nic więcej. Był zakłopotany, przygnębiony. Zadawał sobie pytanie, czy zdemaskowana Śmierć przywiodłaby ludzi do samobójstwa, czy też przyniosłaby nową nadzieję? Czy żyjący porzuciliby swoich przywódców i zwrócili się o radę do umarłych? Do Cezara... Charlemagne'a... Piotra Wielkiego... Napoleona... Bismarcka... Lincolna... Roosevelta? Do Jezusa Chrystusa? Czy zmarli byli mądrzejsi od...

Nim Groszinger zdołał go powstrzymać, sierżant wyłączył oscylator, który zagłuszał ich częstotliwość.

Usłyszeli nagle głos majora Rice'a, wysoki i drżący z podniecenia.

— ...są ich tysiące, tysiące, otaczają mnie, unoszą się w powietrzu, migotliwi jak zorza północna — piękna, zataczająca łuk w przestrzeni, spowijająca Ziemię niczym skrzącą się mgła. Widzę ich, słyszycie? Teraz ich widzę. Widzę Margaret. Daje mi znaki dłonią, uśmiecha się, mglista, niebiańska, piękna. Gdybyście mogli to zobaczyć, gdyby...

Radiooperator, słysząc odgłos czyichś kroków w korytarzu, błyskawicznie pstryknął przyciskiem zagłuszania.

Do pomieszczenia radiostacji wkroczył generał Dane. Popatrzył na zegarek.

— Za pięć minut zaczną go ściągać — powiedział. Wsadził ręce głęboko do kieszeni i zgarbił się z przygnębieniem. Tym razem nam się nie udało. Następnym razem, z pomocą Bożą, powiedzie nam się. Następny człowiek, który tam polecą, będzie wiedział, co go czeka — będzie na to przygotowany.

Położył dłoń na ramieniu doktora Groszingera.

— To najważniejsze zadanie, jakie miał pan kiedykolwiek do wykonania: trzymać buzię na kłódkę i nie pisnąć nikomu ani słowa na temat tamtych duchów, rozumie pan? Nie chcemy, żeby nieprzyjaciel dowiedział się o naszym statku w kosmosie ani o tym, co tam napotkają, jeśli uda im się tam dotrzeć. Bezpieczeństwo naszego kraju zależy od tego, czy dochowamy tajemnicy. Czy wyrażam się jasno?

— Tak jest, panie generale — odpowiedział cicho doktor Groszinger, wdzięczny, że nie ma wyboru, lecz musi zachować milczenie. Nie chciał być tym, kto poinformowałby świat. Żałował, że ma cokolwiek wspólnego z wysłaniem Rice'a w kosmos. Nie miał pojęcia, jaki wpływ na ludzkość wywarłoby odkrycie strefy zmarłych, ale wstrząs byłby z pewnością straszliwy. Teraz musiał wraz z innymi oczekiwać nerwowo następnego burzliwego zakrętu historii.

Generał spojrzął znów na zegarek.

— Ściągają go w tej chwili — powiedział.



W piątek, dwudziestego ósmego lipca, o godzinie 13.39 brytyjski liniowiec „Capricorn”, znajdujący się w odległości dwustu osiemdziesięciu mil morskich od Nowego Jorku i zmierzający do Liverpoolu, przekazał drogą radiową wiadomość, że nie zidentyfikowany obiekt wpadł do oceanu, wzbijając na horyzoncie ogromny gejzer wody, po prawej stronie burty statku. Niektórzy pasażerowie twierdzili, że widzieli, jak coś błyszczącego spada z nieba. „Capricorn” doniósł też, że po dopłynięciu na miejsce upadku zauważono martwe i ogłuszone ryby unoszące się na powierzchni oceanu, wzburzoną wodę, ale ani śladu jakichkolwiek szczątków.

Gazety sugerowały, że „Capricorn” był świadkiem katastrofy rakiety eksperymentalnej, wystrzelonej dla sprawdzenia zasięgu. Sekretarz Obrony natychmiast stanowczo zaprzeczył, by prowadzono tego rodzaju próby nad Atlantykiem.

W Bostonie doktor Bernard Groszinger, młody konsultant sił powietrznych do spraw pocisków raketowych, oświadczył dziennikarzom, że to, co zaobserwował „Capricorn”, mogło być spadającym meteorem.

— To wydaje się nader prawdopodobne — powiedział. — Jeśli to był istotnie meteor, fakt, że dotarł do powierzchni Ziemi, powinien być według mnie jednym z najważniejszych wydarzeń roku w nauce. Zwykle meteory spalają się doszczętnie, jeszcze zanim przedostaną się przez warstwę stratosfery.

— Przepraszam pana — przerwał mu dziennikarz. — Czy istnieje coś poza stratosferą, to znaczy, czy ma to jakąś nazwę?

— Cóż, właściwie termin „stratosfera” jest dość przypadkowy. Jest to zewnętrzna warstwa atmosfery. Nie można określić dokładnie, dokąd sięga. Poza nią jest, powiedzmy, martwa przestrzeń.

— Martwa przestrzeń — czy to właściwa nazwa? — spytał dziennikarz.

— Jeśli woli pan coś bardziej wymyślnego, możemy przełożyć ją na grecki — odrzekł żartobliwie doktor Groszinger. — Thanatos oznacza po grecku „śmierć”. Może zamiast „martwej przestrzeni” woli pan „thanasferę”. Brzmi bardziej naukowo, nie sądzi pan?

Dziennikarze przyjęli jego słowa uprzejmym śmiechem.

— Doktorze Groszinger, kiedy pierwszy statek kosmiczny zostanie wysłany w kosmos? — spytał inny dziennikarz.

Doktor Groszinger machnął niecierpliwie ręką.

— Naczytaliście się, panowie, zbyt wiele komiksów. Wróćcie za dwadzieścia lat, może wtedy będę miał wam coś interesującego do zakomunikowania.

Mnemonika

Alfred Moorhead wyrzucił sprawozdanie do kosza na śmieci, uśmiechając się na myśl, że może sprawdzić pewne fakty, nie zaglądając do notatek i akt. Sześć tygodni temu było to nieosiągalne. Obecnie, odkąd uczęszczał do dwudniowej kliniki pamięci w swej firmie, nazwiska, fakty i liczby trzymały się jego umysłu jak rzep psiego ogona. Pośrednio klinika wyjaśniła wszystkie większe problemy w jego nieskomplikowanym życiu, z wyjątkiem jednego — niemożności przełamania lodów z własną sekretarką, Ellen, którą uwielbiał potajemnie od dwóch lat...

★ ★ ★

— Mnemonika jest sztuką poprawiania pamięci — powiedział instruktor kliniki. — Wykorzystuje dwa podstawowe fakty psychologiczne: człowiek zapamiętuje lepiej rzeczy, które go interesują, od tych, które go nie interesują. Obrazy tkwią dłużej w pamięci niż odizolowane fakty. Wykorzystamy pana Moorheada jako naszego królika doświadczalnego.

Alfred poruszył się z zakłopotaniem, gdy mężczyzna przeczytał bezsensowną listę wyrazów i kazał mu je zapamiętać: „Dym, dąb, sedan, butelka, wilga”. Instruktor mówił przez pewien czas o czymś innym, następnie wskazał na Alfreda.

— Panie Moorhead, proszę powtórzyć listę.

— Dym, wilga, eee... — Alfred uśmiechnął się i wzruszył bezradnie ramionami.

— Proszę się nie zniechęcać. Jest pan absolutnie normalny — rzekł instruktor. — Popatrzmy jednak, czy nie uda się panu pomóc. Proszę stworzyć w wyobraźni jakiś przyjemny obraz, coś, co chciałby pan zapamiętać. Dym, dąb, sedan, widzę mężczyznę odpoczywającego pod zielonym dębem. Pali fajkę, a w tle widać jego samochód, żółty sedan. Widzi pan to, panie Moorhead?

— Uhum. — Alfred widział to jak za mgłą.

— Dobrze. Teraz co do butelki i wilgi. Obok mężczyzny stoi butelka z mrożoną kawą, a na gałęzi nad głową śpiewa wilga. Możemy zapamiętać ten szczęśliwy obrazek bez kłopotu, prawda? — Alfred skinął niepewnie głową.

Instruktor przeszedł do innych spraw, po czym nagle znów kazał Alfredowi powtórzyć listę.

— Dym, sedan, butelka, eee... — Alfred unikał wzroku instruktora.

Gdy ucichły pogardliwe parsknięcia, instruktor rzekł ironicznie:

— Pewnie myślicie, że pan Moorhead udowodnił, iż mnemonika to banialuki. Wcale nie. Pomógł mi poruszyć jeszcze jedną ważną kwestię. Obrazy stosowane do wspomagania pamięci różnią się znacznie w zależności od osoby. Otóż osobowość pana Moorheada jest całkowicie inna niż moja. Nie powinienem był zmuszać go, żeby zapamiętał obrazy stworzone przeze mnie. Powtórzę całą listę, panie Moorhead, i tym razem poproszę, żeby pan stworzył swój własny obraz.

Pod koniec zajęć instruktor jeszcze raz wywołał Alfreda. Alfred wyrecytował listę jak pacierz.

Technika była tak skuteczna, rozmyślał Alfred, że zapamiętał bezsensowną listę na całe życie. Widział, jak siedzi z Ritą Hayworth pod potężnym dębem i pali papierosa. Napełnia jej kieliszek szlachetnym czerwonym winem z butelki, a gdy kobieta pije, wilga muska jej policzek skrzydełkiem. Następnie Alfred całuje ją. A co do sedana, to pożyczył go Aly Khanowi.

Jego nowa umiejętność została błyskawicznie i hojnie wynagrodzona. Awans wzdzięczał niewątpliwie znajomości szczegółów zawartych w aktach.

— Moorhead, nigdy nie uwierzyłbym, że człowiek może tak się zmienić w ciągu kilku tygodni — powiedział jego szef, Ralph Thriller. — Rewelacja!

Czuł niezmacone szczęście, z jednym wyjątkiem — melancholijnego stosunku do swej sekretarki, Ellen. Podczas gdy jego pamięć była niezawodna jak szwajcarski zegarek, ulegał paraliżowi na samą myśl, że miałby wyznać miłość spokojnej brunetce.

Alfred westchnął i wziął do ręki plik faktur. Pierwsza była adresowana do Davenport Spot-welding Company. Zamknął oczy i natychmiast ukazał mu się migotliwy żywy obraz. Stworzył go dwa dni temu, gdy pan Thriller dał mu specjalne instrukcje. Naprzeciwko siebie stały dwa tapczany*. Na jednym leżała Lana Turner, w obcisłej lamparciej skórze. Na drugim Jane Russell, w sarongu z depeusz. Obie przesyłały pocałunki Alfredowi, który kontemplował je przez chwilę, a następnie z ociąganiem pozwolił, by zniknęły.

Naskrobał notatkę dla Ellen: „Proszę się upewnić, czy Davenport Spot-welding Company i Davenport Wire and Cable Company nie zostały pomyłone w naszych fakturach”. Sześć tygodni temu ta sprawa bez wątpienia wyleciałaby mu z głowy. „Kocham panią” — dopisał, po czym starannie zamazał te słowa szeroką atramentową krechę.

*Davenport – tapczan, przyp. tłum



Pod pewnym względem jego dobra pamięć była przekleństwem. Ponieważ oszczędzał wiele godzin, które tracił przedtem na grzebanie w aktach, miał więcej czasu na zamartwianie się z powodu Ellen. Najwspanialszymi chwilami w jego życiu były — nawet zanim zaczął uczęszczać do kliniki pamięci — marzenia na jawie. Najrozkoszniejsze z nich dotyczyły Ellen. Gdyby dał jej okazję, żeby go odrzuciła, co niewątpliwie by zrobiła, nigdy więcej nie pojawiłaby się w jego marzeniach. Alfred nie mógł narażać się na takie ryzyko.

Zadzwoił telefon.

— Pan Thriller — zaanonsowała Ellen.

— Moorhead — odezwał się pan Thriller — nagromadziło mi się trochę drobiazgów do załatwienia. Może pan przejąć część z nich?

— Z przyjemnością, szefie. Niech pan strzela.

— Ma pan ołówek?

— Niepotrzebny, szefie — rzekł ze znudzeniem Alfred.

— Nie, mówię poważnie — rzekł ponuro pan Thriller. — Lepiej niech pan zapisze. Jest tego okropnie dużo.

W piórze Alfreda zabrakło atramentu, a nie chciało mu się wstać, by wziąć długopis, wzruszył więc tylko ramionami i skłamał:

— W porządku. Proszę strzelać.

— Po pierwsze, dostajemy mnóstwo subkontraktów na duże prace w dziedzinie obronności. Zastosujemy dla nich nową serię numerów kodowych. Każdy numer zaczynający się od 16A będzie oznaczał, że to jedna z nich. Lepiej proszę powiadomić o tym telegraficznie nasze zakłady.

W pamięci Alfreda Ava Gardner wykonała zręczny manewr strzelbą. Na jej swetrze widniał duży nadruk: „16A”.

— Tak jest, szefie.

— A tu mam wykaz od...

W piętnaście minut później Alfred, spocony jak ruda mysz, powiedział po raz czterdziesty trzeci: „Tak jest, szefie” i odłożył słuchawkę. Przed jego oczami rozgrywało się widowisko przewyższające wszelkie najbardziej ekstrawaganckie fantazje Cecila B. de Mille’a. Otaczały go wszystkie gwiazdy filmowe, jakie kiedykolwiek widział, każda z nich miała coś na sobie lub niosła coś, wymachiwała czymś lub siedziała okrakiem na czymś, za co Alfred mógłby zostać zwolniony, gdyby o tym zapomniał. Obraz był gigantyczny i najmniejszy wstrząs mógłby spowodować, że roztrzaskałby się na drobne kawałki. Musi znaleźć papier i ołówek, zanim zdarzy się tragedia. Przeszedł bezszelestnie przez pokój, zgarbiony, skradającym się krokiem jak myśliwy do zwierzyny.

— Panie Moorhead, dobrze się pan czuje? — spytała zaniepokojona Ellen.

— Mmm, mmm! — mruknął Alfred, marszcząc brwi.

Odetchnął, chwyciwszy ołówek i notatnik. Obraz zasnuwał się mgłą, ale wciąż jeszcze był widoczny. Alfred przyglądał się kolejno wszystkim kobietom, zapisywał komunikaty, które miały do przekazania, i pozwalał im zniknąć.

W miarę zmniejszania się tego tłumu opóźniał odejście ślicznotek, by napawać się ich widokiem. Oto Ann Sheridan, przedostatnia w kolejce, jadąca na oklep na kucyku, postukała go w czoło żarówką, żeby przypomnieć mu nazwisko ważnego pośrednika w General Electric — pana Bronka. Zarumieniła się pod jego spojrzeniem, zsiadła z kuczka i zniknęła.

Ostatnia kobieta stała przed nim, trzymając w ręku plik papierów. Alfreda ogarnęła chwilowa konsternacja. Papiery wydawały się jedyną wskazówką, a nie nasuwały mu żadnych skojarzeń. Z roztargnieniem wyciągnął ramiona i przytulił dziewczynę do siebie.

— A tobie, mała — powiedział szeptem — co chodzi po głowie?

— Och, panie Moorhead — westchnęła Ellen.

— O rany! — jęknął Alfred, puszczając ją. — Ellen, bardzo przepraszam, zapomniałem się.

— Cóż, dzięki Bogu, wreszcie przypomniał pan sobie o mnie.

Każda godziwa propozycja

Kilka dni temu, zanim przyjechałem tutaj, do Newport, na wakacje, pomimo że byłem splukany, doszedłem do wniosku, że nie istnieje zajęcie — czy też kant lub cokolwiek innego — w którym dostaje się większe cięgi od klientów niż w handlu nieruchomościami. Jeśli stoisz spokojnie, wałą cię pałką; jeśli biegniesz, strzelają.

Być może dentyści mają trudniejsze stosunki z pacjentami, ale wątpię. Jeśli da się człowiekowi możliwość wyboru między wyrwaniem zęba a utratą prowizji, za każdym razem wybierze szczypce i nowokainę.

Weźmy Delahanty'ego. Dwa tygodnie temu Dennis Delahanty poprosił mnie, żebym sprzedał mu dom. Powiedział, że chce za niego dwadzieścia tysięcy.

Tamtego popołudnia pokazałem dom ewentualnemu klientowi. Klient obejrzał go raz, stwierdził, że mu się podoba i że go kupuje. Tego samego wieczoru zawarł transakcję. Z Delahantym. Za moimi plecami.

Wówczas wysłałem Delahanty'emu rachunek na należną mi prowizję — pięć procent od ceny sprzedaży, tysiąc dolarów.

— Kim ty, u diabła, jesteś? — spytał mnie. — Rozchwytywanym gwiazdorem filmowym?

— Wiedziałeś, jaką biorę prowizję.

— Jasne, jasne. Ale pracowałeś zaledwie godzinę. Tysiąc dolców za godzinę! Czterdzieści tysięcy tygodniowo, dwa miliony rocznie! Właśnie obliczyłem.

— Bywają lata, że wyciągam dziesięć milionów — rzekłem ze znużeniem.

— Ja pracuję sześć dni w tygodniu, pięćdziesiąt tygodni w roku, a potem płacę jakiemuś młodemu gówniarzowi w twoim rodzaju tysiąc za godzinę uśmiechów, krótką rozmówkę i pół kwarty benzyny. Zamierzam napisać do mojego kongresmana. Jeśli to jest legalne, to z pewnością nie powinno być.

— On jest również moim kongresmanem, a ty podpisałeś umowę. Przeczytałeś ją, prawda?

Odłożył słuchawkę. Do tej pory mi nie zapłacił.

Zaraz po Delahantym zadzwoniła stara pani Hellbrunner. Jej dom był wystawiony na sprzedaż od trzech lat. To niemal wszystko, co pozostało z rodzinnej fortuny Hell-

brunnerów. Dwadzieścia siedem pokoi, dziewięć łazienek, sala balowa, pracownia, gabinet, pokój muzyczny, solarium, wieżyczki z otworami dla kuszników, pozorowany most zwodzony, spuszczana krata w bramie i sucha fosa. Podejrzewam, że gdzieś w piwnicach znajduje się sala tortur i szubienica dla nieposłusznej służby.

— Coś tu jest nie w porządku — powiedziała pani Hellbrunner. — Pan Delahanty sprzedał tę swoją paskudną małą rudę w ciągu jednego dnia i dostał cztery tysiące więcej, niż za nią zapłacił. Dobry Boże, ja chcę dostać za mój dom tylko jedną czwartą wartości odszkodowania ubezpieczeniowego.

— No cóż, pani dom może zainteresować jedynie bardzo szczególnego klienta, pani Hellbrunner — powiedziałem, mając na myśli szaleńca zbiegłego z domu wariatów. — Ale nadejdzie czas, że taki ktoś się zjawi. Podobno są domy dla każdego i ludzie, którym odpowiada każdy dom. Nie co dzień trafia się ktoś, kto szuka posiadłości wartej setki tysięcy dolarów. Ale prędzej czy później...

— Gdy pan Delahanty został pańskim klientem, zabrał się pan od razu do pracy i zarobił swoją prowizję — rzekła z wyrzutem. — Czemu nie może pan zrobić tego samego dla mnie?

— Musimy być po prostu cierpliwi. To...

Ona również rzuciła słuchawkę. Podniósłszy oczy, zobaczyłem wysokiego siwowłosego dżentelmena stojącego w progu mego biura. Coś w nim — a może we mnie sprawiło, że przykuł moją uwagę. Wciągnąłem obwisły brzuch.

— Czym mogę służyć? — spytałem z ożywieniem.

— Czy to pańskie ogłoszenie? — spytał, podając mi wycinek z porannej gazety. Trzymał go w dwóch palcach, jak gdyby to była brudna chusteczka, która wypadła mi z kieszeni.

— Tak jest, proszę pana. Posiadłość Hurtych. To moje ogłoszenie.

— To tutaj, Pam — powiedział i natychmiast podeszła do niego wysoka, ciemno ubrana kobieta. Nie patrzyła wprost na mnie, lecz gdzieś ponad moim lewym ramieniem, jak gdybym był szefem kelnerów lub jakimś pomniejszym urzędnikiem.

— Może chcieliby państwo dowiedzieć się, ile właściciele żądają za dom, zanim tam pojedziemy — powiedziałem.

— Czy basen działa? — spytała kobieta.

— Tak, proszę pani. Został wybudowany zaledwie dwa lata temu.

— A stajnie? — zainteresował się mężczyzna.

— Pan Hurty trzyma tam w tej chwili swoje konie. Stajnie są świeżo pobielone, ognioodporne i tak dalej. Pan Hurty chce za swoją posiadłość osiemdziesiąt pięć tysięcy i jest to ostateczna cena. Czy mieści się ona w skali pańskich możliwości?

Wydął pogardliwie wargi.

— Wspomniałem o skali cen, ponieważ niektórzy...

— Czy wyglądamy na takich? — spytała kobieta.

— Nie, z pewnością nie.

I rzeczywiście nie wyglądali. Z każdą sekundą perspektywa prowizji w wysokości czterech tysięcy dwustu pięćdziesięciu dolarów wydawała się bardziej realna. — Zaraz zadzwonię do pana Hurty'ego.

— Proszę mu powiedzieć, że pułkownik Bradley Peckham oraz jego żona są zainteresowani kupnem posiadłości.



Peckhamowie przyjechali taksówką, toteż zawiozłem ich do posiadłości Hurty'ego moim starym dwudrzwiowym sedanem. Przeprosiłem ich za to i po ich minach poznałem, że postąpiłem słusznie.

Wyjaśnili, że w ich samochodzie coś denerwująco piszczało, oddali go więc do miejscowego warsztatu, którego właściciel poręczył swą reputacją, że usunie nieprzyjemny pisk.

— Czym pan się zajmuje, pułkowniku? — spytałem, próbując nawiązać rozmowę.

— Czym? — Peckham uniósł brwi. — Wszystkim, co mnie bawi. Albo, w chwilach kryzysu, tym, co jest najbardziej potrzebne mojemu krajowi.

— Obecnie wprowadza ulepszenia w National Steel Foundry — powiedziała pani Peckham.

— Dziwna zabawa — zauważył pułkownik — ale jakoś leci, jakoś leci.

Pan Hurty otworzył nam drzwi ubrany w tweedowy garnitur i buty z ostrogami. Jego rodzina przebywała w Europie. Gdy dokonałem oficjalnej prezentacji, pułkownik oraz jego żona kompletnie przestali zwracać na mnie uwagę. Mimo to Peckhamom niełatwo było obrazić moją dumę wartą cztery tysiące dolarów.

Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą i słuchałem pogawędki tych, którzy kupowali i sprzedawali z uprzejmą niedbałością posiadłości warte osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Nie było żadnych niskich pytań, ile kosztuje utrzymanie czy ogrzewanie domu, jakie są podatki lub czy piwnica jest sucha. Za nic w świecie.

— Ogromnie się cieszę, że jest tu cieplarnia — powiedziała pani Peckham. — Miałam wielkie nadzieje co do tej posiadłości, ale w ogłoszeniu nie wspomniano o cieplarni i po prostu modliłam się, żeby tu była.

„Nigdy nie należy nie doceniać potęgi modlitwy” — pomyślałem sobie.

— Tak, uważam, że świetnie pan to wszystko urządził — rzekł taktownie pułkownik. — Cieszę się, że ma pan tu basen z prawdziwego zdarzenia, a nie jedną z tych obramowanych betonem kałuż.

— Może pana zainteresować — wtrącił Hurty — że woda nie jest chlorowana, lecz poddana działaniu promieni ultrafioletowych.

— Należałoby się tego spodziewać — powiedział pułkownik.

— Hm — mruknął Hurty.

— Czy macie państwo labirynt? — spytała pani Peckham.

— A co to takiego? — zdziwił się Hurty.

— Labirynt zbudowany z żywopłotu z bukszpanu. Są niesamowicie malownicze.

— Przykro mi, ale nie mamy — odpowiedział Hurty, przygryzając nerwowo wąsy.

— Cóż, nie szkodzi — rzekł pułkownik, dzielnie robiąc dobrą minę do złej gry.

— Możemy go sami założyć.

— Tak — potwierdziła żona. — O Boże — szepnęła, kładąc dłoń na sercu. Wywróciła oczy i zaczęła osuwać się na podłogę.

— Kochanie! — Pułkownik podtrzymał ją, obejmując w talii.

— Proszę... — zachłysnęła się.

— Jakiś środek pobudzający! — zakomenderował pułkownik. — Brandy! Cokolwiek!

Wytrącony z równowagi Hurty chwycił karafkę i nalał sporą porcję alkoholu.

Pułkownik wlał odrobinę płynu do ust żony. Po chwili rumieniec powrócił na jej policzki.

— Jeszcze trochę, kochanie? — spytał.

— Łyczek — wyszeptała.

Gdy wypięła wszystko, pułkownik powąchał pusty kieliszek.

— Ho, ho, jaki wspaniały bukiet! — Wyciągnął do Hurty'ego kieliszek z udręczoną, dociekliwą miną uczonego na tropach absolutnej prawdy. Gospodarz napełnił go.

— Na Jowisza! — mruczał pułkownik, smakując trunek, wdychając jego aromat. — Pierwsza klasa. Mmm. Wie pan, tylko ginąca rasa ma cierpliwość, by delektować się wybornymi rzeczami w życiu. Większość łyka je pośpiesznie i puszcza się znów za nimi w szalony pościg.

— Z pewnością — zgodził się Hurty, zatykając karafkę.

— Lepiej się czujesz, kochanie? — spytał pułkownik żonę.

— O wiele lepiej. Wiesz, jak to jest. Przychodzi i mija.

— No cóż, panie Hurty — rzekł pułkownik, biorąc książkę z półki i spoglądając na okładkę, by upewnić się, że to pierwsze wydanie, po czym odkładając ją z powrotem — chyba zorientował się pan, jak bardzo podoba nam się pański dom. Oczywiście, wprowadzimy pewne zmiany, ale na ogół...

Hurty spojrział na mnie pytająco. Odchrząknąłem.

— Sporo ludzi interesuje się tą posiadłością — skłamałem — zresztą, jak mogli się państwo spodziewać. Lepiej załatwić formalności jak najszybciej, jeśli rzeczywiście dom państwu odpowiada.

— Chyba nie zamierza pan sprzedać go byle komu? — spytał pułkownik.

— Jasne, że nie! — wtrącił Hurty, próbując odzyskać dawną werwę, którą stracił podczas sceny z labiryntem i brandy.

— No cóż — rzekł pułkownik — załatwimy formalności szybko, gdy przyjdzie na to czas. Ale najpierw, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chcielibyśmy poznać klimat tego miejsca — czerpać przyjemność z jego nowości.

— Ależ oczywiście, jasne — odpowiedział Hurty, lekko zakłopotany.

— A zatem nie będzie panu przeszkadzało, jeśli pokręcimy się tutaj trochę, jak gdyby posiadłość należała już do nas?

— Chyba nie. To znaczy, z pewnością nie. Proszę bardzo.



I Peckhamowie udali się na zwiedzanie posiadłości, tymczasem ja czekałem, nudząc się w salonie, a Hurty zamknął się w gabinecie. Oswajali się z nowym miejscem przez całe popołudnie, karmiąc konie marchewkami, okopując rośliny w cieplarni, wygrzewając się na słońcu przy basenie.

Raz czy dwa próbowałem się do nich przyłączyć, by zwrócić ich uwagę na tę lub inną sprawę, oni jednak traktowali mnie, jak gdybym był impertynenckim lokajem, wycofałem się więc.

O czwartej poprosili służącą o herbatę i dostali ją — z małymi ciasteczkami. O piątej Hurty wyszedł z gabinetu. Wspaniale ukrył zdumienie na ich widok i przyrządził wszystkim koktajle.

Pułkownik powiedział, że zawsze każe swojemu służącemu nacierać wnętrza kieliszków do martini czosnkiem, po czym spytał, czy znajdzie się równy teren do gry w polo.

Pani Peckham poruszyła problemy parkowania podczas dużych przyjęć i spytała, czy miejscowy klimat nie ma szkodliwego wpływu na olejne obrazy.

O siódmej Hurty, ziewając ukradkiem, przeprosił i udał się na kolację, mówiąc Peckhamom, że jeśli chcą, mogą dalej oglądać sobie posiadłość. Peckhamowie zaglądali mu w talerz, kręcąc się to tu, to tam, po czym wreszcie o ósmej się pożegnali.

Poprosili mnie, żebym podrzucił ich do najlepszej restauracji w mieście.

— Rozumiem, że są państwo zainteresowani — powiedziałem.

— Chcielibyśmy jeszcze omówić z żoną tę sprawę — odrzekł. — W każdym razie cena nie stanowi tu przeszkody. Damy panu znać.

— Jak mogę się z panem skontaktować, panie pułkowniku?

— Przyjechałem tu odpocząć. Wolałbym nie podawać nikomu, gdzie się zatrzymałem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Zadzwoń do pana.

— Świetnie.

— Proszę mi powiedzieć — spytała pani Peckham — w jaki sposób pan Hurty zarabia swoje pieniądze?

— Ma największy w tym stanie punkt sprzedaży używanych samochodów.

— Aha! — wykrzyknął pułkownik. — Wiedziałem! Czuje się tutaj atmosferę nowych pieniędzy.

— Czy to znaczy, że w końcu nie zamierza pan kupić tego domu? — spytałem.

— Nie, niezupełnie. Po prostu musimy przyzwyczać się do tej myśli i zobaczyć, co da się zrobić, jeśli w ogóle się da.

— Czy może pan określić dokładnie, co się panu nie podoba?

— Jeśli pan sam tego nie widzi — powiedziała pani Peckham — nikt panu tego nie uświadomi.

— Och!

— Damy panu znać — rzekł pułkownik.

Minęły trzy dni. Jak zwykle miałem sporo telefonów od Delahanty'ego i pani Hellbrunner, natomiast pułkownik Peckham i jego żona nie dawali znaku życia.

Czwartego dnia po południu, gdy zamykałem biuro, zadzwonił Hurty.

— Kiedy, do diabła — powiedział — ci Peckhamowie zamierzają sfinalizować sprawę?

— Bóg jeden wie — odparłem. — Nie mam z nimi absolutnie żadnego kontaktu. Pułkownik obiecał zadzwonić do mnie.

— Może pan skontaktować się z nimi w każdej chwili.

— W jaki sposób?

— Po prostu proszę zadzwonić do mnie. Plączą się tutaj od trzech dni, czerpiąc klimat nowości z tego miejsca, a przy okazji goszcząc się u mnie. Czy koszty alkoholu, cygar i jedzenia zostaną pokryte z pańskiej prowizji?

— Jeśli dostanę prowizję.

— Chce pan powiedzieć, że ma pan jakiegokolwiek wątpliwości? Łazi tutaj, jak gdyby trzymał pieniądze w kieszeni i tylko czekał na właściwą chwilę, by mi je wręczyć.

— Skoro nie rozmawia ze mną, może pan sam trochę go przycisnąć. Proszę mu powiedzieć, że emerytowany właściciel browaru z Toledo zgodził się zapłacić za pański dom siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. To powinno podziałać.

— Dobrze. Będę musiał poczekać, aż przyjdą z basenu na koktajl.

— Niech pan do mnie zadzwoni, jaka była jego reakcja, a ja zjawię się natychmiast z gotowym formularzem umowy.

Zadzwonił w dziesięć minut później.

— Wie pan co, mądralo?

— Złapał haczyk?

— Zamierzam znaleźć sobie nowego agenta handlu nieruchomościami.

— Och?

— Tak, właśnie tak. Poszedłem za radą ostatniego i rozgrzany do czerwoności klient wraz z żoną opuścili mój dom z wyniosłymi minami.

— Niemożliwe! Czemu?

— Pułkownik Peckham oraz jego żona życzyli sobie, by przekazać panu, że nie mogłoby ich zainteresować nic, co podoba się emerytowanemu właścicielowi browaru z Toledo.



Posiadłość i tak była okropna, roześmiałem się więc radośnie i zająłem się czymś solidniejszym, takim jak rezydencja Hellbrunnerów. Zamieściłem bezwstydne ogłoszenie, zachwalające rozkosze życia w warownym zamku.

Nazajutrz, podniósłszy wzrok znad mojej pracy, zobaczyłem wspomniane ogłoszenie, wydarte z gazety, w długich czystych palcach pułkownika Peckhama.

— Czy to pańskie ogłoszenie?

— Dzień dobry, panie pułkowniku. Tak jest, moje.

— Wydaje nam się, że właśnie o coś takiego nam chodzi — usłyszałem głos pani Peckham.

Przeszliśmy przez pozorowany most zwodzony, pod zardzewiałą spuszczaną kratą, i znaleźliśmy się w ich wymarzonej posiadłości.

Pani Hellbrunner z miejsca ich polubiła. Bez wątpienia dlatego, że byli — jestem tego całkiem pewny — pierwszymi od pokoleń ludźmi, którzy zachwycali się jej domem. Co więcej, na każdym kroku dawali do zrozumienia, że zamierzają go kupić.

— Przywrócenie mu dawnej świetności kosztowałoby pół miliona — powiedziała pani Hellbrunner.

— Tak — rzekł pułkownik. — Teraz już nie buduje się takich domów.

— Och! — jęknęła pani Peckham.

Pułkownik podtrzymał ją, gdy osuwała się na ziemię.

— Prędko! Brandy! Cokolwiek! — zawołał pułkownik Peckham...

Gdy odwoziłem Peckhamów do śródmieścia, byli we wspaniałych nastrojach.

— Czemu, u licha, nie pokazał nam pan najpierw tej posiadłości? — spytał pułkownik.

— Otrzymałem propozycję sprzedaży dopiero wczoraj — wyjaśniłem — i spodziewam się, że przy takiej cenie nie będę długo czekał na oferty.

Pułkownik ścisnął dłoń małżonki.

— Tak też mi się wydaje, prawda, kochanie?

Pani Hellbrunner nadal dzwoniła do mnie co dzień, ale teraz jej ton był radosny i przypochlebny. Doniosła mi, że Peckhamowie przyjeżdżają do niej codziennie wczesnym popołudniem i wydają się coraz bardziej zakochani w jej domu.

— Traktuję ich po prostu, jak gdyby byli Hellbrunnerami — powiedziała przebiegle.

— To właśnie to.

— Kupiłam nawet dla niego cygara.

— Tylko tak dalej. Wszystko odlicza się od podatku — ucieszyłem się.

Piątego wieczoru zadzwoniła znów do mnie z wiadomością, że Peckhamowie przychodzą na kolację.

— Może wpadłby pan trochę później niby przypadkiem i przyniósł formularz umowy?

— Czy mówili o jakiejś kwocie?

— Tylko tyle, że jest absolutnie zdumiewające, co można kupić za sto tysięcy.

Tego samego wieczoru, po kolacji, odłożyłem moją aktówkę w pokoju muzycznym w rezydencji Hellbrunnerów i powiedziałem:

— Witam.

Pułkownik, siedzący na stołku przy fortepianie, zagrzechotał kostkami lodu w swoim drinku.

— Jak się pani miewa, pani Hellbrunner? — spytałem.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że nigdy w życiu nie czuła się gorzej.

— Świetnie — rzekła ochryplym głosem. — Usłyszałam właśnie bardzo interesującą wiadomość. Otóż Departament Stanu wysyła go do Bangkoku w celu jakiejś mediacji.

— Jeszcze raz pod sztandarami, tym razem jako cywil. — Pułkownik wzruszył ze smutkiem ramionami.

— Wyjeżdżamy jutro — poinformowała mnie pani Peckham — żeby zamknąć nasz dom w Filadelfii...

— I zakończyć sprawy w National Steel Foundry — dodał pułkownik.

— A potem lecą do Bangkoku — powiedziała drżącym głosem pani Hellbrunner.

— Mężczyźni muszą pracować, a kobiety muszą płakać — rzekła dzielnie pani Peckham.

— Taak — wycedziłem.

Nazajutrz rano, gdy otwierałem drzwi do mego biura, usłyszałem, że dzwoni telefon.

Była to pani Hellbrunner. Natarczywa. Nie przypominająca w niczym przedstawicielki starego rodu.

— Nie wierzę, że wyjeżdża do Bangkoku — wściekała się. — Chodziło o cenę. Był zbyt uprzejmy, by się targować.

— Obniża pani cenę? — Dotychczas była nieustępliwa, nie chciała nawet słyszeć o cenie niższej od stu tysięcy.

— Czy obniżam? — W jej głosie brzmiały błagalne tony. — Boże... wezmę i pięćdziesiąt tysięcy, żeby pozbyć się tego dziwoląga! — Zamilkła na chwilę. — Czterdzieści. Trzydzieści. Tylko proszę go sprzedać!

Wysłałem zatem telegram do pułkownika na adres National Steel Foundry w Filadelfii.

Nie otrzymałem odpowiedzi, spróbowałem więc zadzwonić.

— National Steel Foundry — odezwał się kobiecy głos. — Poproszę z pułkownikiem Peckhamem.

— Z kim?

— Z Peckhamem. Pułkownikiem Bradleyem Peckhamem.

— Mamy tylko B. C. Peckhama w kreślarni.

— Jest kierownikiem?

— Nie wiem, proszę pana. Niech pan sam go spyta.

— Usłyszałem cichy trzask — przełączyła mnie do kreślarni.

— Kreślarnia — odezwał się kobiecy głos.

— Ten pan chce rozmawiać z panem Peckhamem — włączyła się telefonistka.

— Z pułkownikiem Peckhamem — podkreśliłem.

— Panie Melrose — zawołała druga kobieta. — Czy Peckham już wrócił?

— Peckham! — krzyknął Melrose. — Rusz tyłek! Telefon!

Przez gwar głosów w pokoju usłyszałem, jak ktoś pyta:

— Dobrze się bawiłeś?

— Tak sobie — odpowiedział trochę znajomy daleki głos. — Następnym razem spróbujemy w Newport. Z autobusu wygląda zachęcająco.

— Jak, u diabła, udaje ci się zaliczyć takie eleganckie miejscowości przy twoich zarobkach?

— Wymaga to trochę zachodu. — Głos się przybliżył i stał się okropnie znajomy. — Peckham przy telefonie. Kreślarnia.

Rzuciłem słuchawkę na widełki.

Poczułem się nagle straszliwie zmęczony i zdałem sobie sprawę, że nie miałem wakacji od końca wojny. Muszę wyrwać się, zostawić to wszystko choć na trochę albo zwariuję. Ale Delahanty nie zapłacił mi do tej pory, byłem więc kompletnie spłukany.

I nagle zacząłem myśleć o tym, co pułkownik Bradley Peckham powiedział na temat Newport. Naprawdę było tam mnóstwo pięknych domów — wszystkie wspaniale wyposażone, urządzone, z widokiem na morze — i na sprzedaż.

Weźmy na przykład posiadłość Van Tuyla. Ma praktycznie wszystko — prywatną plażę, basen, teren do gry w polo, dwa trawiaste korty, stajnie, padok, francuskiego szefa kuchni, przynajmniej trzy niezwykle urodziwe irlandzkie pokojówki, angielskiego lokaja, piwnicę świetnie zaopatrzoną w wina...

Labirynt to również interesujący obiekt. Gubię się w nim prawie każdego dnia. Wtedy przychodzi agent handlu nieruchomościami, szukając mnie, i błądzi właśnie, gdy ja odnajduję drogę. Proszę mi wierzyć, rezydencja warta jest każdego centa ceny ofertowej. Nie zamierzam się targować nawet przez chwilę. Gdy nadejdzie pora, kupię ją lub wyjadę.

Muszę jednak poznać to miejsce lepiej — oswoić się z jego nowością — zanim powiadomię agenta o mojej decyzji. Na razie spędzam wspaniale czas. Szkoda, że was tu nie ma.

Pakiet

— I co na to powiesz? — spytał Earl Fenton. Zdjął z ramienia fotograficzny aparat stereoskopowy, potem zrzucił płaszcz i odłożył je na zestaw szafkowy mieszczący telewizor, radio i gramofon. — Wybieramy się w podróż dookoła świata, Maude, a w dwie minuty po naszym przyjeździe do nowego domu dzwoni telefon. To cywilizacja do ciebie.

— Do pana, panie Fenton — powiedziała pokojówka.

— Mówi Earl Fenton... Kto...? Czy na pewno o tego Fentona panu chodzi? Brudd Fenton, San Bonito Boulevard... Tak, zgadza się, chodziłem. Rocznik tysiąc dziewięćset dziesiąty... Zaczekaj! Nie! Jasne! Posłuchaj, Charley, powiedz w hotelu, żeby się wypchali. Jesteś moim gościem... Czy znajdzie się dla ciebie pokój?

Earl zasłonił dłonią słuchawkę i uśmiechnął się szeroko do swojej żony, Maude.

— Chce wiedzieć, czy będzie miał gdzie się u nas zatrzymać. — Po czym rzekł znów do telefonu: — Posłuchaj, Charley, mamy pokoje, jakich w życiu nie widziałem. Nie żartuję. Właśnie się wprowadziliśmy — pięć minut temu... Nie, wszystko jest załatwione. Dekoratorka urządziła przepięknie wnętrza zgodnie z naszymi życzeniami już kilka tygodni temu, a służący dopilnowali, żeby wszystko chodziło jak w zegarku, tak że jesteśmy gotowi. Weź taksówkę, słyszysz...? Nie, sprzedałem fabrykę w zeszłym roku. Dzieci są już dorosłe, odeszły na swoje — Earl junior jest lekarzem. Kupił duży dom w Santa Monica. Ted został właśnie adwokatem i zaczął pracować u swego wujka George'a... Taak, a Maude i ja postanowiliśmy skorzystać wreszcie z zasłużonej... Ale do licha, czemu rozmawiamy przez telefon? Przyjeżdżaj natychmiast. Rany! Mamy tyle do nadrobienia! — Odłożył słuchawkę i mlasnął kilka razy językiem.

Maude przyglądała się tablicy przełączników w holu.

— Nie mam pojęcia, czy to coś uruchamia klimatyzację, otwiera drzwi garażowe, okna, czy jeszcze coś innego — powiedziała.

— Ściągniemy tutaj Lou Converse'a, żeby pokazał nam, jak to wszystko działa — obiecał Earl. Converse był wykonawcą, który postawił dla nich zaprojektowany bez jednolitego planu, wielopoziomowy dom w rustykalnym stylu, podczas gdy oni bawili za granicą.

Earl popatrzył w zamyśleniu przez okno panoramiczne na wyłożony płytami taras i grill, tonące w kalifornijskim słońcu, na przesuwaną bramę, za którą znajdował się podjazd z tłucznią, na garaż z gniazdem jaskółki, wiatrowskazem i dwoma cadillacami.

— Mój Boże, Maude — powiedział — właśnie skończyłem rozmowę z duchem.

— Słucham? — spytała z roztargnieniem Maude. — Aha! Spójrz, okno panoramiczne idzie do góry, a zasłona w dół. Z duchem? Z jakim duchem, u licha?

— Z Freemanem, Charleyem Freemanem. Nazwisko z przeszłości, Maude. W pierwszej chwili trudno mi było uwierzyć. Charley był członkiem bractwa Phi Beta i najważniejszym facetem rocznika tysiąc dziewięćset dziesiątego. Gwiazdor bieżni, przewodniczący bractwa, wydawca gazety Phi Beta.

— Dobry Boże! Co się stało, że chce zaszczyścić swą obecnością nasze nędzne progi? — spytała żartobliwie Maude.

Earl nie odwzajemnił uśmiechu. Miał przed oczyma kłopotliwy obrazek z przeszłości, który tkwił głęboko w jego pamięci przez wiele lat: Earl, w stroju kelnera, nakrywa stół przed elegancko ubranym światowcem Charleyem Freemanem. Gdy zaprosił Charleya do swego domu, jego entuzjazm był w dużej mierze spontaniczny, odruch człowieka, który szczeni się, że pomimo wszystkich sukcesów pozostał otwartym, zwykłym, przyjaznym facetem. Teraz, przypominając sobie ich stosunki w college'u, Earl poczuł, że perspektywa przyjazdu Charleya wprawia go w zakłopotanie.

— Był cholernie bogaty — powiedział do żony. — Jeden z tych facetów — w głosie Earla zabrzmiała gorycz — którzy mają wszystko. Znasz takich, prawda?

— Cóż, kochanie — zauważyła Maude — nie byłeś ostatni w kolejce, gdy los przydzielał urodę i rozum.

— Nie, ale gdy im dawał pieniądze, mnie przypadł w udziale strój kelnera i ścierka. — Żona popatrzyła na niego ze współczuciem, co zachęciło go do dalszych wyuruzeń. — Do licha, Maude, człowiekowi wszystko wywraca się w środku, gdy musi obsługiwać facetów w tym samym wieku, sprzątać po nich, patrzeć, jak szastają forszą, noszą eleganckie ciuchy, wyjeżdżają w lecie do kurortów, podczas gdy on sam musi harować, żeby zarobić na chesne za następny rok. — Earl był zaskoczony emocjami, które ujawniły się w jego głosie. — I przez cały czas patrzę na ciebie z góry, jak gdyby ludzie, którym nie podano pieniędzy na srebrnej tacy, byli czymś gorszym.

— No wiesz, doprowadza mnie to do szału! — wykrzyknęła Maude, prostując z oburzeniem ramiona, jak gdyby zamierzała bronić Earla przed tymi, którzy poniżali go w college'u. — Jeśli ten wielki Charley Freeman zadzierał wobec ciebie nosa w dawnych latach, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy go teraz gościć w naszym domu.

— Och, do diabła, puśćmy to w niepamięć — rzekł ponuro Earl. — Już mnie to nie rusza. Najwyraźniej miał ochotę wpaść, a ja bez względu na wszystko próbowałem być dobrym kolegą.

— A co nadęty pan Freeman porabia teraz?

— Nie mam pojęcia. Pewnie jest jakąś szyszką. Studiował medycynę, a ja wróciłem tutaj i straciliśmy kontakt. — W ramach eksperymentu Earl nacisnął guzik w ścianie. Z piwnicy dobiegło ich stłumione pstryknięcie i warkot, gdy maszyny przejęły kontrolę nad temperaturą, wilgotnością i czystością otaczającego ich powietrza. — Ale nie spodziewam się, by powodziło mu się lepiej niż nam.

— A co konkretnie masz mu do zarzucenia? — naciskała oburzona nadal Maude.

Earl machnął lekceważąco dłonią. Nie było jakichś szczególnych incydentów, o których mógłby opowiedzieć Maude. Ludzie pokroju Charleya Freemana nie upokarzali go, gdy ich obsługiwał, ale jednocześnie był pewien, że patrzą na niego z góry, i gotów był przyjąć każdy zakład, że gdy jest za daleko, by słyszeć, co mówią, obgadują go...

Pokręcił głową, próbując otrząsnąć się z posępnego nastroju, i uśmiechnął się do żony.

— No, mamuśka, co powiesz na małego drinka i wycieczkę po całym domu? Skoro zamierzam pokazać go Charleyowi, powinienem zorientować się, jak działają te wszystkie efektowne sztuczki, w przeciwnym razie pomyśli, że pocziwy Earl czuje się w tym otoczeniu jak u siebie w domu w takim samym stopniu jak emerytowany stróż, kelner czy ktoś w tym rodzaju. Cholera, znowu telefon! Cywilizacja do ciebie.

— Pan Converse do pana, panie Fenton — powiedziała pokojówka.

— Cześć, Lou, stary złodziejaszku. Właśnie oglądamy z Maude twoje dzieło. Będziemy musieli oboje wrócić do college'u, by podjąć studia na wydziale elektrycznym, cha, cha, cha... Co? Kto...? Nie żartuj. Naprawdę chcą...? Cóż, chyba jest to jedna z rzeczy, przez które trzeba przejść. Jeśli się upierają, to trudno, zgoda. Objechaliśmy z Maude cały świat, a w dwie minuty po powrocie do domu mamy wrażenie, że znajdujemy się w samym centrum Grand Central Station.

Odłożył słuchawkę i podrapał się w głowę z udawanym zdumieniem i znużeniem. W rzeczywistości był ogromnie zadowolony z tego, że coś się dzieje, że dowodzi to dobitnie, iż dopiero zaczęło się jego nowe życie, zupełnie różne od zarządzania własną fabryką, wychowywania dzieci i podróży dookoła świata.

— Co znowu? — spytała Maude.

— Ach, Converse mówi, że jakieś idiotyczne miejscowe czasopismo chce napisać o naszym domu. Przyjadą dziś po południu zrobić trochę zdjęć.

— Niezła zabawa!

— Taak... chyba. Nie wiem. Nie chcę wyglądać na wszystkich zdjęciach jak jakiś zarozumiały głupiec. — Żeby pokazać, jak mało go to obchodzi, zainteresował się czymś innym. — Fakt, że zapłaciliśmy dekoratorce kupę pieniędzy, ale muszę przyznać, że naprawdę pomyślała o wszystkim, prawda? — Otworzył małą szafkę przy drzwiach wychodzących na taras i wyjął z niej fartuch, czepiec kucharza i azbestowe rękawice. — Do licha, całkiem niezłe. Widzisz ten nadruk na fartuchu, Maude?

— Dowcipny — odpowiedziała Maude i przeczytała na głos: — „Nie strzelaj do kucharza, stara się, jak może”. Wyglądasz teraz jak szef kuchni z hotelu „Waldorf”, Earl. Włóż jeszcze czepiec.

Earl uśmiechnął się powściągliwie, obracając czepiec w dłoniach.

— Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, jak się wkłada coś tak idiotycznego. Czuję się jak przybysz z Marsa.

— Dla mnie wyglądasz cudownie. Nie oddałabym cię za stu nadętych Charleyów Freemanów.

Ruszyli tarasem pod rękę w stronę grilla, kamiennej budowli, którą z daleka można by wziąć za filię urzędu pocztowego. Pocałowali się, jak to robili przed piramidą Cheopsa, Koloseum, Tadź Mahal.

— Wiesz co, Maude? — powiedział Earl, poddając się przepełniającym go uczuciom. — Kiedyś żałowałem, że mój staruszek nie był bogaty i nie mogliśmy mieć takiego domu, gdy skończyłem college i pobraliśmy się. Ale nie przeżylibyśmy wówczas takich chwil jak teraz, gdy spoglądamy za siebie i możemy z dumą stwierdzić, że doszliśmy do wszystkiego sami. I rozumiemy tych, którzy mają niewiele, ponieważ sami byliśmy w takiej sytuacji. Z pewnością nikt, kto urodził się w czepku, nie ma takiej świadomości. Mnóstwo ludzi podczas naszego rejsu wycieczkowego nie chciało oglądać tej straszliwej biedy w Azji, jak gdyby gryzło ich sumienie. Ale my, którzy przeszliśmy taką trudną drogę, patrząc na tych biedaków, potrafimy w pewnym sensie ich zrozumieć.

— Uhum — zgodziła się poważnie Maude.

Earl poruszył palcami w grubych rękawicach.

— A dzisiaj wieczorem mam zamiar upiec dla ciebie, Charleya i dla mnie befsztyk z polędwicy, gruby jak książka telefoniczna Manhattanu, i zasługuję na każdy jego gram.

— Nie rozpakowaliśmy się nawet.

— I co z tego? Nie jestem zmęczony. Mamy jeszcze wiele do przeżycia i im szybciej się do tego zabierzemy, tym więcej zrobimy.

Earl i Maude znajdowali się w salonie, Earl nadal w stroju kucharza, gdy pokojówka zaanonsowała Charleya Freemana.

— Do licha! — wykrzyknął radośnie Earl. — To Charley we własnej osobie!

Charley był nadal szczupły i trzymał się prosto, główną oznaką upływu czasu były siwe pasma w jego gęstych włosach. Na pokrytej zmarszczkami twarzy malowała się jak kiedyś pewność siebie i przemądrzałość oraz, zdaniem Earla, lekkie szyderstwo. Z dawnego Charleya pozostało tak wiele, że ich stosunki ze studenckich czasów, martwe od czterdziestu lat, ożyły nagle w pamięci Earla. Wbrew sobie, poczuł się obrzydliwie służalczy, prymitywny i tępy. Jego jedyną obroną była, tak jak niegdyś, skrywana uraza oraz nadzieja, że wszystko się wkrótce zmieni.

— Kawał czasu, prawda, Earl? — powiedział Charley wciąż męskim, głębokim głosem. — Wyglądasz świetnie.

— Sporo wody upłynęło przez czterdzieści lat — pokiwał głową Earl. Pogładził nerwowo dłonią obicie kanapy i w końcu przypomniał sobie o Maude, która stała za nim, sztywna, z zaciśniętymi wargami. — Och, przepraszam, Charley, to moja żona, Maude.

— To przyjemność, którą musiałem odłożyć na wiele lat — rzekł Charley. — Mam wrażenie, że panią znam. Earl tyle opowiadał o pani w college'u.

— Jak się pan miewa? — spytała obojętnie Maude.

— Znacznie lepiej, niżbym mógł się spodziewać pół roku temu — odpowiedział Charley. — Rany, co za piękny dom! — Oparł dłoń na szafkowym zestawie, mieszczącym telewizor, radio i gramofon. — Jak, u licha, się to nazywa?

— To? — zdziwił się Earl. — Odbiornik TV. A do czego jest podobne?

— TV? — spytał Charley, marszcząc brwi. — TV? Och, skrót od telewizji, tak?

— Żarty sobie stroisz ze mnie, Charley?

— Nie, mówię całkiem serio. Zapewne istnieje przeszło półtora miliarda osób, które nigdy nie widziały czegoś podobnego, a ja się do nich zaliczam. Czy zaboli mnie, jeśli dotknę szklanej części?

— Telewizora? — Earl roześmiał się z zakłopotaniem. — Do licha, nie. Spróbuj.

— Pan Freeman ma zapewne w domu telewizor pięć razy większy od naszego — powiedziała Maude z lodowatym uśmiechem — i stroi sobie z nas żarty, że nie wie, co to jest, ponieważ nasz telewizor jest taki mały.

— No cóż, Charley — rzekł Earl, przerywając niezręczną ciszę, która zapadła po uwadze Maude — czemu zawdzięczamy twoją wizytę?

— Przez pamięć na dawne czasy — odpowiedział Charley. — Znalazłem się przypadkiem w twoim mieście i przypom...

Charley nie zdołał dokończyć zdania, albowiem przerwało mu pojawienie się grupy złożonej z Lou Converse'a, fotografa z „Home Beautiful” i młodej, ładnej dziennikarki.

★ ★ ★

Fotograf, który przedstawił się po prostu jako Slotkin, przejął dowództwo nad całą grupą i — jak to miał czynić podczas całego swojego pobytu — szybko uciął wszelkie rozmowy i zajęcia nie związane z robieniem zdjęć do czasopisma.

— A więc — powiedział Slotkin — cały ten wic tutaj to pakejt, tak?

— Słucham? — nie zrozumiał Earl.

— Pakiet — podpowiedziała kobieta. — Widzi pan, punktem wyjścia całej historii jest fakt, że po powrocie z podróży dookoła świata otrzymujecie państwo gotowy pakiet — wszystko, czego człowiek mógłby chcieć, by cieszyć się pełnią życia.

— Och!

— Jest tu rzeczywiście wszystko — powiedział Lou Converse — dosłownie wszystko, łącznie z doskonale zaopatrzoną w wina piwnicą i spiżarnią pełną smakołyków. Nowiuteńkie samochody, nowiuteńkie wszystko.

— Aha! Wigrali gongurs.

— Earl sprzedał fabrykę i odszedł na emeryturę — wyjaśnił Converse.

— Doszliśmy z Maude do wniosku, że jesteśmy coś sobie winni — oznajmił Earl. — Odmawialiśmy sobie przez tyle lat, inwestowaliśmy pieniądze w nasz interes, a później, gdy dzieci dorosły i zaoferowano nam atrakcyjną cenę za fabrykę, nagle nam odbiło i powiedzieliśmy sobie: „Czemu nie?”. I po prostu zamówiliśmy wszystko, na co mieliśmy kiedykolwiek ochotę.

Earl zerknął na Charleya Freemana, który stał nieco na uboczu, uśmiechając się lekko, najwyraźniej zafascynowany całą sceną.

— Zaczynaliśmy z Maude w dwupokojowym mieszkaniu w pobliżu portu. Proszę to umieścić w artykule — rzekł do dziennikarki.

— Mieliśmy naszą miłość — powiedziała nieśmiało Maude.

— Tak — przyznał Earl. — I nie chcę, by ludzie myśleli, że jestem jeszcze jednym z rozumiałym głupcem, który urodził się z kupą pieniędzy i wszystko przyszło mu bez najmniejszego trudu. Nie, proszę państwa! To jest koniec długiej ciężkiej drogi. Proszę to napisać. Charley pamięta mnie z dawnych lat, gdy musiałem pracować, żeby zarobić na szkołę.

— To były trudne czasy dla Earla — przyznał uprzejmie Charley.

Teraz, gdy stał się ośrodkiem zainteresowania, Earl poczuł, że wraca mu pewność siebie, i zaczął widzieć powrót Charleya do swego życia w tej właśnie chwili jako szczęśliwe zrządzenie losu, wspaniałą okazję do wyrównania dawnych rachunków.

— To nie z powodu pracy przeżywałem trudne chwile — powiedział znacząco.

Charley wydawał się zdziwiony podnieceniem Earla.

— W porządku — rzekł przyjaźnie — skoro tak twierdzisz. To było tak dawno, że mogło mi się coś pomylić.

— Mam na myśli to, że trudno było mi znieść wyniosły stosunek niektórych kolegów do mnie, tylko dlatego że nie urodziłem się w czepku — wyjaśnił uszczypliwie Earl.

— Earl! — zawołał Charley, uśmiechając się z niedowierzaniem. — Mimo że mieliśmy tylu bałwanów w naszym bractwie, żaden z nich ani przez chwilę nie traktował wyniosle...

— Dekst to łatwa zprawa — przerwał mu niecierpliwie Slotkin. — Brzygotujcie się do zdjęć. Zacznijmy od grilla: chleb, załata i duży krwisty blaster miensa.

Służąca przyniosła z lodówki dwukilogramowy puc mięsa i Earl przytrzymał go w górze nad grillem.

— Proszę się pośpieszyć — ponaglił dobrodusznie fotografa — nie mogę trzymać tej krowy w wyciągniętych rękach przez cały dzień. — Jednakże za jego uśmiechem kryła się irytacja z powodu tak lekkiego stosunku Charleya do jego studenckich krzywd.

— Jeden moment! — powiedział Slotkin. Błysnął flesz. — Topra!

Następnie całe towarzystwo przeniosło się do środka. Tam Earl i Maude, a czasami służąca, pozowali w kolejnych pokojach, podlewając rośliny w solarium, czytając najnowszą książkę przy kominku w salonie, otwierając okna automatycznym przyciskiem, rozmawiając ze służącą przy supernowoczesnej pralce, planując menu, popijając drinki w pokoju do gier i zabaw, piłując deski w warsztacie, odkurzając kolekcję broni Earla w gabinecie.

Wszędzie towarzyszył im dyskretnie Charley Freeman, nie opuszczając niczego. Najwyraźniej dobrze się bawił, patrząc, jak Maude i Earl demonstrują swój pakiet życiowych wygód. Pod spojrzeniem Charleya Earl stawał się coraz bardziej niespokojny i skrępowany, aż wreszcie Slotkin zgał go za fałszywy uśmiech.

— Mój Boże, Maude — powiedział Earl, pocąc się w głównej sypialni — gdybym kiedyś musiał podjąć na nowo pracę — odpukać w nie malowane drewno — mógłbym zatrudnić się w telewizji jako transformista. Do licha, oby to już było ostatnie zdjęcie. Czuję się jak cholerny stojak do wietrzenia ubrań.

Musiał jednak przebrać się jeszcze raz na polecenie Slotkina, tym razem w smoking. Slotkin chciał koniecznie zrobić zdjęcie podczas kolacji przy świecach. Zasłony w jadalni miały być zaciągnięte, oczywiście automatycznie, dla ukrycia faktu, że naprawdę jest dopiero popołudnie.

— Charley chyba się napatrzył — zauważył Earl, krzywiąc się przy zapinaniu kołnierzyka. — Myślę, że mu cholernie zaimponowaliśmy — dodał bez przekonania. Popatrzył z nadzieją na Maude, oczekując jej potwierdzenia.

Maude siedziała przy toalecie, przyglądając się bezlitośnie swemu odbiciu w lustrze i przymierzając biżuterię.

— Hmm?

— Powiedziałem, że dom zrobił na Charleyu duże wrażenie.

— Ten cały Charley — odpowiedziała stanowczo — jeśli chcesz wiedzieć, jest zbyt ugrzeczniwy. Po tym jak zadzierał wobec ciebie nosa na studiach, teraz przyjeżdża cały w uśmiechach i prezentuje nienaganne maniery.

— Taak — westchnął Earl. — Psiakrew, sprawiał, że czułem się zawsze przy nim jak ktoś gorszy, i dalej tak jest. Patrzy na nas, jakbyśmy się popisywali, a nie po prostu próbowali pomóc ludziom z czasopisma. I słyszałaś jego odpowiedź, gdy wygarnąłem wprost, co nie podobało mi się w college'u?

— Zachowywał się tak, jak gdybyś sobie to wszystko wymyślił, jak gdyby to była sprawa twojej chorej wyobraźni. Och, to spryciarz, dobrze, ale ja nie dam się wyprowadzić z równowagi — rzekła dzielnie Maude. — To miał być najszczęśliwszy dzień w naszym życiu, tak się zaczął i tak się skończy. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

— Co takiego? — Dzięki wsparciu Maude Earl czuł, że nabiera znów wigoru. Nie był absolutnie pewny, że Charley śmieje się z nich w duchu, ale Maude najwidoczniej tak uważała i również ją to rozwścieczało.

— Te jego wyniosłe tony i mydlenie nam oczu, że nie widział w życiu telewizora — powiedziała, zniżając głos do szeptu. — Mimo to nie sądzę, żeby Charley Freeman był w tej chwili na topie. Przyjrzałeś się z bliska jego garniturowi?

— Nie, Slotkin tak nas popędzał, że nie miałem na to czasu.

— Ale możesz być pewny, że ja to zrobiłam, Earl — oznajmiła triumfującym tonem Maude. — Jest wytarty i wyświecony, a mankiety — strach patrzeć! Umarłabym ze wstydu, gdybyś włożył na siebie coś takiego.

Earl był zaskoczony. Przyjął od początku taką defensywną postawę, że nie przeszło mu nawet przez myśl, że Charleyowi mogłoby się powodzić gorzej niż w college'u.

— Może to jego ukochany garnitur, którego nie ma serca wyrzucić — powiedział wreszcie. — Bogaci ludzie bywają czasami ekscentryczni w takich sprawach.

— Ma również ukochaną starą koszulę i ukochane stare buty.

— Nie wierzę — mruknął cicho Earl.

Uchylił zasłonę, by zerknąć na baśniowy taras i grill, gdzie stał Charley Freeman, gawędząc ze Slotkinem, Converse'em i dziennikarką. Earl zauważył ze zdumieniem, że mankiety spodni Charleya są naprawdę wytarte, a obcasy butów ścięte. Earl nacisnął odpowiedni guzik i okno sypialni rozsunęło się.

— To sympatyczne miasto — mówił Charley. — Mógłbym się równie dobrze osiedlić tu, jak i gdzie indziej, ponieważ nie mam szczególnych powodów, by wybrać jakiś konkretny region kraju.

— Zbit drogo! — rzekł Slotkin.

— Tak — zgodził się Charley. — Pewnie mądrze zrobiłbym, przenosząc się w głąb kraju, gdzie moje pieniądze mają trochę większą wartość nabywczą. Boże mój, nie do wiary, ile wszystko dzisiaj kosztuje!

Maude położyła dłoń na ramieniu Earla.

— Nie wydaje to ci się trochę podejrzane? — spytała szeptem. — Nie miałeś z nim kontaktu przez czterdzieści lat, a tu nagle zjawia się, wyglądając jak kloszard, by nam złożyć przyjacielską wizytę. O co mu chodzi?

— Powiedział, że po prostu chciał się ze mną zobaczyć przez wzgląd na dawne czasy — odrzekł niepewnie Earl.

— Wierzysz w to...? — parsknęła Maude.

Jadalnia wyglądała jak otwarta skrzynia ze skarbami, płomienie świec odbijały się w tysiącu różnych powierzchni — srebra, porcelany, fasetach kryształów, rubinach Maude, które Earl kupił w Bombaju, w pełnych dumy oczach obojga małżonków. Służąca postawiła przed nimi na stole parującą zupę, przygotowaną specjalnie ze względu na zdjęcia.

— Toskonale! — ucieszył się Slotkin. — Topra! Teraz mówicz.

— O czym? — spytał Earl.

— O czymkolwiek — odpowiedziała dziennikarka. — Chodzi o to, żeby zdjęcie nie sprawiało wrażenia upozowanego. Rozmawiajcie o podróży. Jak wygląda sytuacja w Azji?

Było to pytanie, którego Earl nie miał ochoty zbywać lekką rozmową.

— Byłeś w Azji? — spytał Charley.

Earl uśmiechnął się skromnie.

— W Indiach, Birmie, Japonii, na Filipinach. W sumie spędziliśmy tam chyba dwa miesiące, przyglądając się sytuacji.

— Jeździliśmy z Earlem na wszelkie możliwe dodatkowe wycieczki — dodała Maude.

— Musiał po prostu zobaczyć wszystko na własne oczy.

— Kłopot z Departamentem Stanu polega na tym, że wszyscy oni patrzą na świat z wyżyn wieży z kości słoniowej — powiedział Earl.

Za błyszczącym obiektywem aparatu fotograficznego i reflektorem lampy błyskowej widział oczy Charleya Freemana. Fachowa rozmowa na temat istotnych problemów zawsze stanowiła jedną z wielu mocnych stron Charleya w college'u, a Earl mógł jedynie pokornie słuchać, przytakiwać i podziwiać. Obecnie przyszła kolej na Earla, to on rozprawiał swobodnie, ze swadą.

— Tak jest — podsumował — sytuacja wydawała się prawie beznadziejna wszystkim uczestnikom rejsu poza Maude i mną i dopiero po pewnym czasie zrozumieliśmy, dlaczego tak się dzieje. Zdaliśmy sobie sprawę, że właściwie tylko my doszliśmy do wszystkiego dzięki własnej pracy, że tylko my naprawdę rozumiemy, iż bez względu na to, w jakim dołku się człowiek znajduje, zawsze może się wywindować na sam szczyt. — Umilkł na chwilę. — W Azji nie dzieje się nic takiego, czemu nie zaradziłaby odrobina odwagi, zdrowego rozsądku i wiedzy.

— Cieszę się, że to takie proste — rzekł spokojnie Charley. — Już zaczynałem się obawiać, że sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana.

Earl, który słusznie uważał siebie za jednego z najłagodniejszych, najłatwiejszych w obejściu ludzi na całej kuli ziemskiej, znalazł się w nietypowej dla siebie sytuacji, a mianowicie był okropnie wściekły na drugiego człowieka. Charley Freeman, który wyraźnie stracił swą pozycję w świecie, tak jak Earl ją zyskał, otwarcie bagatelizował jedno z osiągnięć Earla, z których był najbardziej dumny, a mianowicie jego znajomość Azji.

— Widziałem to na własne oczy, Charley! — powiedział. — Nie zabieram głosu z pozycji jeszcze jednego cholernego stratega, głupca, który nie rusza tyłka ze swojego fotela, nie wytyka nosa poza własne miasto!

Slotkin błysnął fleszem.

— Ein mal.

— Oczywiście, Earl — rzekł przeproszającym tonem Charley. — To było niegrzeczne z mojej strony. To, co mówisz, jest w pewnym sensie prawdziwe, ale w znacznym uproszczeniu. Samo w sobie jest niebezpiecznym sposobem myślenia. Nie powinienem być ci przerywać. Po prostu jest to temat, który mnie głęboko interesuje.

Earl poczuł, że się czerwieni, gdy Charley, pozornie przeproszając, wystąpił jako większy znawca azjatyckich problemów od niego.

— Pomyśl, Charley, że być może mam prawo do wydawania pewnych opinii o Azji. Stykałem się tam z wieloma ludźmi, poznawałem ich sposób myślenia.

— Trzeba go było widzieć, jak rozmawiał z chińskimi gośćmi hotelowymi w Manili — wtrąciła Maude, mierząc wyzywającym wzrokiem Charleya.

— A teraz chcielibyśmy — powiedziała dziennikarka, sprawdzając listę — zrobić ostatnie zdjęcie — wchodźcie oboje przez drzwi frontowe z walizkami, jak gdybyście właśnie przyjechali, i macie ogromnie zaskoczone miny...

Znalazszy się znowu w głównej sypialni, Earl i Maude przebrali się posłusznie w ubrania, które mieli na sobie gdy przyjechali do domu. Earl przyglądał się swemu odbiciu w lustrze, ćwicząc miny wyrażające miłe zaskoczenie i próbując wmówić sobie, że obecność Charleya Freemana nie popsuje mu tego wspaniałego dnia.

— Czy on zostanie na kolację i na noc? — spytała Maude.

— Och, do licha, przecież starałem się być przez telefon dobrym kolegą. Bez zastanowienia zaprosiłem go, żeby zatrzymał się u nas zamiast w hotelu. Powinienem był przedtem odgryźć sobie język.

— Boże drogi, on może zostać nawet przez tydzień.

— Kto wie? Slotkin nie dał mi okazji, bym spytał Charleya o cokolwiek.

Maude pokiwała ponuro głową.

— Earl, to wszystko składa się na dziwny obraz.

— To znaczy?

— Jeśli połączysz elementy układanki — stare ubranie, jego bladość, uwagę, że ma się teraz lepiej, niż mógłby oczekiwać jeszcze pół roku temu, książki, telewizor... Czy słyszałeś, jak pytał Converse'a o książki?

— Tak, to mnie również uderzyło, ponieważ Charley zawsze był pożeraczem książek.

— Same bestsellery, a on nie słyszał o żadnym! I wcale nie żartował na temat telewizora. Naprawdę widział go po raz pierwszy. Z całą pewnością na pewien czas wypadł z obiegu.

— Może chorował — powiedział Earl.

— Albo siedział w więzieniu.

— Dobry Boże! Chyba nie podejrzewasz...

— Chyba źle się dzieje w państwie duńskim — odrzekła Maude — i nie mam ochoty znosić dłużej jego obecności, jeśli tylko uda nam się znaleźć jakiś sposób, by się go pozbyć. Próbuję wykombinować, co go tutaj sprowadza, i przychodzi mi na myśl tylko jeden prawdopodobny powód, a mianowicie, że zamierza cię oskubać z pieniędzy.

— Dobrze, dobrze — powiedział Earl, kiwając na żonę, by mówiła ciszej. — Zachowujmy się tak przyjaźnie, jak tylko damy radę, a potem pozbadźmy się go delikatnie.

— W jaki sposób? — spytała Maude.

I wspólnie obmyślili subtelny, ich zdaniem, plan pozbycia się Charleya jeszcze przed kolacją.



— Bar-zo, bar-zo — powiedział Slotkin. — Zienki. Mrugnął serdecznie do Earla i Maude, jak gdyby po raz pierwszy zobaczył w nich istoty ludzkie. — Zienki bar-zo. Ładny pakejt wy mieszkacie. — Zrobił ostatnie zdjęcie. Spakował swój sprzęt, skłonił się i wyszedł z Lou Converse'em i dziennikarką.

Odwlekając chwilę pogawędki z Charleyem, Earl włączył się do polowania służącej i Maude na żarówki błyskowe, które Slotkin porzrzucał po całym domu. Gdy znaleziono ostatnią, przygotował dwie porcje martini i usadowił się na kanapie stojącej naprzeciwko drugiej kanapy, na której siedział Charley.

— No, jestem już, Charley.

— Ty też przebyłeś długą drogę, co, Earl? — zauważył Charley, czyniąc gest mający podkreślić jego podziw dla wymarzonego domu. — Widzę na twoich półkach sporo fantastyki naukowej. Ten dom sam jest jak z bajki.

— Chyba — rzekł Earl. Zaczynały się pochlebstwa, które prawdopodobnie były wstępem do głównego natarcia. Earl postanowił nie dać się oczarować układności Charleya. — To łatwe do przewidzenia w Ameryce, zwłaszcza w przypadku kogoś, kto nie boi się pracy.

— Doprawdy?

Earl obrzucił gościa baczny spojrzeniem, zastanawiając się, czy Charley nie próbuje znów pomniejszyć jego zasług.

— Jeśli sprawiałem wrażenie, że się trochę przechwalam podczas wizyty pracowników tego głupiego czasopisma — powiedział — to myślę, że mam się czym chwalić. Ten dom to coś więcej niż dom. To historia mojego życia, Charley, coś w rodzaju mojej osobistej piramidy.

Charley podniósł kieliszek w toaście.

— Niech trwa równie długo jak piramida Cheopsa w Gizie.

— Dzięki — rzekł podejrzliwie Earl. Pomyślał, że nadszedł najwyższy czas, żeby zepchnąć Charleya na pozycję obronne. — Jesteś lekarzem, Charley?

— Tak. Zrobiłem dyplom w tysiąc dziewięćset szesnastym roku.

— Uhum. Gdzie praktykujesz?

— Jestem trochę za stary, żeby wrócić do praktykowania medycyny, Earl. W ciągu ostatnich lat tyle się w niej zmieniło tutaj w kraju, że niestety pozostałem w tyle.

— Rozumiem. — Earl rozważał w myślach listę spraw, które mogłyby spowodować, że lekarz popadł w konflikt z prawem. Spytał, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie:

— Jak wpadłeś na pomysł, żeby mnie odwiedzić?

— Mój statek zawinął tutaj do portu, a ja przypomniałem sobie, że to twoje rodzinne miasto. — Charley wzruszył ze skrzępowaniem ramionami. — Nie mam rodziny, toteż próbując zacząć znów życie po tej stronie świata, postanowiłem zobaczyć się z niektórymi dawnymi przyjaciółmi ze studenckich czasów. Ponieważ statek przybił właśnie tutaj, odwiedziłem cię pierwszego.

A więc taka będzie historyjka Charleya, pomyślał Earl, nie było go od bardzo dawna w kraju. Zaraz przejdzie do natarcia.

— Ja sam raczej nie zaprzątam sobie myśli studencką paczką — powiedział, nie mogąc powstrzymać się od lekkiego prztyczka. — Banda snobów. Cieszę się, że nie mam z nimi do czynienia, wolałem o nich zapomnieć.

— Niech ich Bóg ma w swojej opiece, jeśli nie wyrosli dotąd z hołdowania idiotycznej hierarchii towarzyskiej studenckich czasów — rzekł Charley.

Earl był zaskoczony ostrym tonem Charleya i, nie rozumiejąc go, śpiesznie zmienił temat.

— Byłeś za granicą, Charley? Gdzie konkretnie?

— Earl! — zawołała Maude z jadalni, zgodnie z planem. — Stało się coś strasznego.

— Co takiego?

Stanęła w drzwiach.

— Angela... Moja siostra, Angela — wyjaśniła Charleyowi — zadzwoniła właśnie z wiadomością, że przyjeżdża z Arturem i dziećmi tuż przed kolacją. Chcieliby u nas przenocować.

— O, psiakość, nie bardzo możemy ich przyjąć — powiedział Earl. — Jest ich pięćoro, a my mamy tylko dwa pokoje gościnne, jest Charley...

— Nie, nie — rzekł Charley, czerwieniąc się. — Oczywiście, proszę im powiedzieć, żeby przyjechali. I tak zamierzałem zatrzymać się w hotelu, poza tym mam kilka spraw do załatwienia, więc raczej nie mógłbym zostać.

— Dobrze, skoro tak mówisz — powiedział niechętnie Earl.

— Jak mus, to mus — rzekła filozoficznie Maude.

— Tak, mam dużo roboty. Przykro mi. — Charley ruszył w stronę drzwi, zostawiając nie dopitego drinka. — Dziękuję. Miło było spotkać się z wami. Zazdroszczę wam waszego „pakietu”.

— Wszystkiego dobrego — powiedział Earl, zamykając drzwi z dreszczem i z westchnieniem.

Gdy Earl wciąż jeszcze stał w holu, zastanawiając się, co też może stać się z człowiekiem przez czterdzieści lat, rozległ się głęboki, melodyjny dźwięk gongu przy drzwiach. Earl otworzył ostrożnie. Na progu stał Lou Converse. Po drugiej stronie ulicy Charley Freeman wsiadał do taksówki.

Lou pokiwał dłonią Charleyowi, po czym odwrócił się do Earla.

— Cześć! Nie wpraszam się na kolację. Wróciłem po kapelusz. Zostawiłem go chyba w solarium.

— Wchodź, wchodź — zaprosił go Earl, patrząc, jak taksówka odjeżdża z Charleyem w kierunku centrum miasta. — Właśnie mieliśmy uczcić coś z Maude. Może zostałbyś na kolacji i przy okazji pokazał nam, jak działają te wszystkie urządzenia?

— Dzięki, ale czekają na mnie w domu. Mogę zostać na chwilę i wytłumaczyć to, czego nie rozumiecie. Szkoda, że nie udało wam się zatrzymać na dłużej Freemana.

Maude puściła oko do Earla.

— Prosił się go, ale powiedział, że ma mnóstwo spraw do załatwienia.

— Taak, chyba bardzo się śpieszył. Wiesz — rzekł w zamyśleniu Converse — faceci pokroju Freemana są dziwni. Sprawiają, że czujesz się jednocześnie i dobrze, i źle.

— Wiesz coś na ten temat, Maude? — uśmiechnął się Earl. — Lou instynktownie odniósł podobne wrażenie co do Charleya! Czy możesz wyjaśnić, o co dokładnie ci chodzi?

— No cóż, czuję się dobrze, ponieważ cieszę się, że zdarzają się jeszcze tacy ludzie na świecie — odpowiedział Converse. — A źle... hm, kiedy się spotyka takiego faceta, człowiek nie może się oprzeć refleksji, czego, u diabła, dokonał sam w swoim życiu.

— Nie rozumiem — rzekł Earl.

Converse wzruszył ramionami.

— Och, Bóg świadkiem, że nie mogliśmy wszyscy poświęcić się tak jak on. Nie wszyscy mogą być bohaterami. Ale gdy myślę o Freemanie, czuję, że pewnie mógłbym zrobić coś więcej, niż zrobiłem.

Earl i Maude wymienili niepewne spojrzenia.

— A co Charley opowiedział ci o swoim życiu, Lou?

— Nie udało nam się ze Slotkinem wyciągnąć z niego wiele. Mieliśmy zaledwie kilka minut, gdy przebieraliście się z Maude. Myślałem, że kiedyś dowiem się o wszystkim od ciebie. Powiedział nam tylko, że przez ostatnie trzydzieści lat mieszkał w Chinach. Wtedy przypomniałem sobie, że w porannej gazecie był o nim obszerny artykuł, tylko jego nazwisko wypadło mi z pamięci. Właśnie stąd dowiedziałem się, że utopił wszystkie swoje pieniądze w tamtejszym szpitalu i prowadził go, dopóki komuniści go nie zamknęli i w końcu wyrzucili. Niesamowita historia.

— Uff — stęknął ponuro Earl po chwili przytłaczającej ciszy — rzeczywiście, niesamowita. — Otoczył ramieniem Maude, która wlepiła nieobecne spojrzenie w grill za oknem. Uścisnął ją lekko. — Powiedziałem, że to niesamowita historia, nie sądzisz, ma-
muśka?

— Naprawdę namawialiśmy go, żeby został — odpowiedziała z przygnębieniem.

— To niepodobne do nas, Maude, a jeśli tak, nie chcę, żeby tak nadal było. No, kochanie, stawmy temu czoło.

— Zadzwoń do niego do hotelu! — powiedziała Maude. — Tak właśnie powinniśmy postąpić. Powiemy mu, że z moją siostrą to nieporozumienie, że... — Świadomość, iż nie da się taktownie naprawić sytuacji, sprawiła, że głos jej się załamał. — Och, Earl, kochanie, czemu zjawił się akurat dzisiaj? Przez całe życie pracowaliśmy na ten dzień, a on musiał przyjść i wszystko popsuć.

— Starał się, jak mógł, żeby tego nie zrobić — westchnął Earl. — Ale znajdował się w beznadziejnej sytuacji.

Converse przyglądał im się ze współczuciem, nie rozumiejąc, w czym rzecz.

— Cóż, do licha, skoro miał sprawy do załatwienia, to trudno — pocieszył ich. — Nie przynosi to ujemny waszej gościnności. Dobry Boże, nikt w całym kraju nie ma lepszych warunków do przyjmowania gości od was. Wystarczy tylko pstryknąć przełącznikiem lub wcisnąć guzik i macie wszystko, czego dusza zapagnie.

Earl przeszedł przez puszysty dywan do tablicy wyłączników, znajdującej się obok półki z książkami. Nacisnął apatycznie jeden z nich, zapalając reflektory ukryte w krzewach wokół domu.

— To nie ten — powiedział cicho. Gdy nacisnął kolejny, otworzyły się z łoskotem drzwi garażu. — Nie. — Po naciśnięciu trzeciego w progu stanęła służąca.

— Dzwonił pan, panie Fenton?

— Przepraszam, to pomyłka — odparł Earl. — Szukałem czegoś innego.

Converse zmarszczył brwi.

— A czego szukasz, Earl?

— Chcieliśmy z Maude zacząć dzisiaj wszystko od początku — rzekł Earl z ironicznym uśmiechem. — Pokaż nam, Lou, który guzik mamy wcisnąć.

Beztalencie

Była jesień i liście na drzewach wokół Lincoln High School przybierały ten sam rdzawy kolor, jaki miały ceglane ściany sali, w której odbywał próby zespół. George M. Helmholtz, szef sekcji muzycznej i dyrygent zespołu, stał w kręgu składanych krzesel i futerałów instrumentów. Na wszystkich krzesłach siedzieli bardzo młodzi ludzie, każdy z nich przygotowywał się nerwowo do tego, by w coś zadać lub, w przypadku instrumentów perkusyjnych, w coś uderzyć, gdy tylko pan Helmholtz opuści białą pałeczkę.

Pan Helmholtz, mężczyzna koło czterdziestki, który uważał swój wielki brzuch za oznakę zdrowia, siły i godności, uśmiechał się anielsko, jak gdyby spodziewał się usłyszeć za chwilę najwspanialsze pod słońcem dźwięki. Opuścił pałeczkę.

— Pluuuuuum! — zagrzmiały suzafony.

— Bla! Bla! — zawtórowały waltornie i zespół zaczął grać rozwlekłego, piskliwego, płaczliwego walca.

Mina pana Helmholtza nie zmieniła się ani trochę, gdy blaszane instrumenty dęte kompletnie się pogubiły, drewniane zawiodła odwaga i raczej wolały grać prawie niedo-słyszalnie, niż żeby słyszano, jak fałszują, a sekcja perkusyjna wpadła w marszowy rytm, który znała lepiej i zdecydowanie bardziej jej leżał.

— A-a-a-ta-ta, a-a-a-a-a, ta-ta-ta-ta! — zaśpiewał głośno tenorem pan Helmholtz partię pierwszego kornetu, gdy pierwszy kornecista, zarumieniony i spocony, poddał się i siedział oklapnięty na krześle, trzymając swój instrument na kolanach.

— Saksofony, chcę was usłyszeć — zawołał pan Helmholtz. — Dobrze!

Był to zespół C i jak na jego możliwości, wykonanie było dobre. Nie mogło być bardziej dopracowane w piątej próbie w tym roku szkolnym. Większość chłopców dopiero zaczynała grać w zespole i mieli przed sobą całe lata, by dojść do wprawy i przeniesić się do zespołu B, który, według grafiku, spotykał się za godzinę. Wreszcie najlepsi z nich znajdą się w będącym chlubą miasta zespole Lincoln High „Dziesięć do Kwadratu”.

Drużyna futbolowa przegrała połowę meczów, a drużyna koszykówki dwie trzecie, ale szkolna orkiestra, podczas dziesięciu lat, kiedy kierował nią pan Helmholtz, nie

ustępowała żadnej innej aż do ubiegłego czerwca. Pierwsza w stanie była poprzedzana przez dziewczęta z chorągiewkami, pierwsza wykonywała zarówno utwory chóralne, jak i instrumentalne, pierwsza grała staccato na instrumentach dętych za pomocą języka, pierwsza maszerowała w zapierającym dech tempie, pierwsza podświetliła od środka swój bęben basowy. Lincoln High przyznała członkom zespołu A prawo noszenia na swetrach inicjałów szkoły, co było powodem do słusznej dumy. Zespół wygrywał we wszystkich konkursach licealnych zespołów muzycznych organizowanych w całym stanie przez ostatnie dziesięć lat — z wyjątkiem tego w czerwcu.

Gdy członkowie zespołu C, jeden po drugim, wypadali z walca, jak gdyby z kanałów wentylacyjnych wydobywał się gaz musztardowy, pan Helmholtz, wciąż uśmiechnięty, wymachiwał pałeczką, dyrygując tymi, którzy pozostali, i rozmyślając jednocześnie nad czerwcową porażką swego zespołu, kiedy to liceum z Johnstown zwyciężyło za pomocą tajnej broni, a mianowicie bębna basowego o przeszło dwumetrowej średnicy. Sędziowie, którzy nie byli muzykami, lecz politykami, interesowali się wyłącznie tym ósmym cudem świata i od tamtej pory pan Helmholtz zastanawiał się nad małymi innowacjami. Jednakże budżet szkolny był już przeciążony wydatkami na zespół. Gdy na jego rozpaczliwe błagania rada szkoły wyasygnowała mu ostatnią sumę na specjalny cel — ozdobienie piór u kapeluszy muzykantów żarówkami podłączonymi do baterii podczas nocnych występów — kazano mu przysiąc na Boga, jak nałogowemu pijakowi, że to już ostatni raz.

W chwili obecnej grało już tylko dwóch członków zespołu C, klawecista i dobosz — obaj głośno, dumnie, pewnie i straszliwie fałszując. Pan Helmholtz, budząc się ze swych tęsknych marzeń o bębnie basowym większym od tego, który go pokonał, wymierzył walcowi coup de grâce, uderzając pałeczką o pulpit do nut.

— Dobrze, dobrze — powiedział wesoło i skinął głową, gratulując dwóm zawziętym, którzy dotrwali do końca.

Walter Plummer, klawecista, skłonił się niczym solista biorący udział w koncercie, który dziękuje za owację kierowaną przez dyrygenta orkiestry symfonicznej. Był niewysoki, lecz miał szeroką klatkę piersiową, co było skutkiem częstego przebywania na basenie, i potrafił ciągnąć nutę dłużej od każdego członka zespołu A, ale była to jedyna jego umiejętność. Rozchylił zmęczone, zaczerwienione od wysiłku wargi, ukazując dwa duże przednie zęby, które nadawały mu wygląd wiewiórki, wyregulował stroik w instrumencie, wygiął palce i czekał na następne wyzwanie dla swej wirtuozerii.

To będzie już trzeci rok Plummera w zespole C, pomyślał pan Helmholtz z mieszaniną współczucia i obawy. Najwyraźniej nic nie jest w stanie ostudzić determinacji Plummera, by zdobyć prawo noszenia jednej z uświęconych liter zespołu A, tak straszliwie odległe.

Pan Helmholtz próbował uświadomić Plummerowi, że niewłaściwie ułożył swoje ambicje, zalecał inne dziedziny, w których mógłby wykorzystać swoje wspaniałe płuca i entuzjazm, gdzie nieważna jest wysokość tonu. Ale Plummer był ślepo zakochany nie w muzyce, lecz w inicjałach na swetrze, a ponieważ słoń nadepnął mu na ucho, nie znajdował w swej grze nic, co by go zniechęciło do dalszych prób.

— Pamiętajcie — powiedział pan Helmholtz do członków zespołu C — że piątek jest dniem próby, toteż dajcie z siebie wszystko. Krzeselka, na których siedzicie, zostały przydzielone przypadkowo. W dniu współzawodnictwa od was będzie zależało udowodnienie, na które z nich zasługujecie. — Unikał spojrzenia w przymrużone, pewne siebie oczy Plummera, który zajął krzeselko pierwszego klarncisty, nie sprawdzając planu rozmieszczenia, podanego w biuletynie rady. Dni współzawodnictwa miały miejsce co dwa tygodnie, a wtedy każdy muzykant mógł konkurować o pozycję z lepszym od siebie. Pan Helmholtz był w tych zmaganiach absolutnie bezstronnym sędzią.

Plummer podniósł rękę, pstrykając natarczywie palcami.

— Słucham, Plummer? — spytał pan Helmholtz z ponurym uśmiechem. Doszło do tego, że z powodu Plummera drżał z obawy przed dniem współzawodnictwa i zaczął myśleć o nim jako o dniu Plummera. Plummer nigdy nie rzucił wyzwania nikomu w zespole C albo nawet B, lecz przypuszczał szturm na sam szczyt, wyzywając do współzawodnictwa — co niestety było przywilejem wszystkich — jedynie członków zespołu A. Już samo marnowanie czasu zespołu A było wystarczająco kłopotliwe, jednakże dla pana Helmholtza nieskończenie bardziej przykry był widok pełnego niedowierzania osłupienia na twarzy Plummera, gdy wysłuchiwał jego wyroku, że nie grał lepiej od chłopców, z którymi rywalizował. I w taki to sposób pan Helmholtz przeżywał katusze nie tylko w dniach, gdy odbywało się współzawodnictwo, ale codziennie, tuż przed kolacją, gdy Plummer dostarczał wieczorne gazety. — Chcesz mi powiedzieć coś na temat dnia współzawodnictwa? — spytał z zakłopotaniem.

— Proszę pana — odrzekł spokojnie Plummer — chciałbym wziąć udział w sesji zespołu A.

— Dobrze... jeśli czujesz się na siłach. — Plummer zawsze czuł się na siłach i sprawiłby większą niespodziankę oświadczeniem, że nie zjawi się na sesji zespołu A.

— Chcę wyzwać do współzawodnictwa Flammera.

Ustał szelest nut i szcęk zamków przy futerałach instrumentów. Flammer był pierwszym klarncistą w zespole A, geniuszem, któremu nawet członkowie zespołu A nie mieliby śmiałości rzucić wyzwania.

— Podziwiam twoją odwagę, Plummer — rzekł, odchrząknąwszy, pan Helmholtz — ale czy to nie zbyt ambitne zadanie jak na pierwszy rok? Może powinienes zacząć, powiedzmy, od zmierzenia się z Edem Delaneyem. — Delaney zajmował ostatnie miejsce w zespole B.

— Niczego pan nie rozumie — odpowiedział cierpliwie Plummer. — Nie zauważył pan, że mam nowy klarnet.

— Hmmm? Och, rzeczywiście.

Plummer pogłodził czarny lśniący instrument, jak gdyby to był miecz króla Artura, dający magiczną siłę każdemu, w którym posiadaniu się znajdzie.

— Jest równie dobry jak klarnet Flammera — powiedział. — A nawet lepszy.

W jego głosie zabrzmiały ostrzegawcze nuty, mówiące panu Helmholtzowi, że skończyły się dni dyskryminacji i nikt o zdrowym umyśle nie ośmielił się zabronić gry człowiekowi, który posiada taki instrument.

— Hm — mruknął pan Helmholtz — cóż, zobaczymy, zobaczymy.

Po ćwiczeniach natknął się znów na Plummera w załączonym holu. Chłopiec z ponurą miną rozmawiał z wielkookim członkiem zespołu z pierwszej klasy.

— Wiesz, czemu zespół przegrał w czerwcu zeszłego roku z liceum z Johnstown? — spytał Plummer, na pozór nie zdając sobie sprawy z obecności pana Helmholtza. — Ponieważ — wyjaśnił z triumfem — przestali angażować do zespołu wyłącznie na zasadzie kwalifikacji. Poczekaj tylko do piątku, a zobaczysz.



George M. Helmholtz żył w świecie muzyki i nawet ból pulsował rytmicznie w jego głowie, niczym niskie dudnienie basowego bębna o przeszło dwumetrowej średnicy. Było późne popołudnie pierwszego dnia współzawodnictwa w nowym roku szkolnym. Siedział w salonie, zasłoniwszy dłonią oczy, i czekał na inny rodzaj łomotu a mianowicie spowodowanego przez uderzenie o oszalowane ściany domu wieczornej gazety rzuconej przez Waltera Plummera.

Pan Helmholtz myślał właśnie, że raczej wolałby, aby Plummer nie dostarczał mu gazety w dniu współzawodnictwa, gdy pakiet uderzył o ścianę z hukiem głośniejszym od wystrzału armatniego.

— Plummer! — zawołał z wściekłością, wzdrygnąwszy się.

— Słucham, proszę pana? — odrzyknął niespokojnie Plummer z chodnika.

Pan Helmholtz poczłapał do drzwi w swoich miękkich papuciach.

— Mój chłopcze, proszę — odezwał się żalonym tonem — czy nie możemy zostać przyjaciółmi?

— Jasne, czemu nie? — odrzekł Plummer, wruszając ramionami. — Puśćmy to w niepamięć. — Jego pełen goryczy śmieszek miał być namiastką przyjaznego. — Co się stało, to się nie odstanie. Minęły już dwie godziny od momentu, gdy wbito mi nóż w serce.

— Masz chwilę? — spytał z westchnieniem pan Helmholtz. — Czas, byśmy ze sobą porozmawiali, mój chłopcze.

Plummer ustawił kopnięciem rower na podpórce, schował w krzakach gazety i wszedł nachmurzony do domu. Pan Helmholtz wskazał mu najwygodniejsze krzesło w pokoju, to, na którym sam poprzednio siedział, ale Plummer wybrał najtwardsze i usiadł na jego brzegu, wyprostowany.

Pan Helmholtz, dobierając starannie słowa w myśli, zanim się odezwał, rozłożył gazetę i położył ją na niskim stoliku.

— Mój chłopcze — powiedział w końcu — Bóg stworzył ludzi różnego rodzaju: jedni potrafią szybko biegać, inni piszą wspaniałe historie, jeszcze inni malują obrazy, niektórzy mają żyłkę handlową, a niektórzy mają niezwykle zdolności muzyczne. Nie stworzył jednak nikogo, kto potrafiłby robić wszystko. Częścią procesu dorastania jest uświadomienie sobie, co potrafimy, a czego nie potrafimy robić dobrze. — Poklepał lekko Plummera po ramieniu. — Uświadomienie sobie, czego nie potrafimy robić, jest podczas dorastania najboleśniejsze, ale każdy musi stawić temu czoło, a następnie odnaleźć swoje prawdziwe „ja”.

Głowa opadała Plummerowi coraz niżej na piersi i pan Helmholtz postarał się śpiesznie udowodnić, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— Na przykład, Flammer nigdy nie umiałby prowadzić interesu, nie poradziłby sobie z robotą papierkową, aktami, zdobywaniem nowych klientów. To nie ten rodzaj umysłu, nie potrafiłby robić żadnej z tych rzeczy, nawet gdyby zależało od tego jego życie.

— Trafił pan w samo sedno — rzekł Plummer, podnosząc nieoczekiwanie rozjaśniony wzrok. — Facet musi być okropnie jednostronny, żeby być tak dobrym w jednej dziedzinie jak Flammer. Myślę, że warto raczej starać się być bardziej ogładzonym. Flammer wygrał ze mną dzisiaj sprawiedliwie i nie chcę, żeby pan myślał, że nie potrafię przejść nad tym do porządku dziennego. Nie jestem z tego powodu zdenerwowany.

— To bardzo dojrzałe z twojej strony — pochwalił go pan Helmholtz. — Ale ja próbowałem zwrócić twoją uwagę na fakt, że wszyscy mamy słabe strony i...

Plummer wyrozumiale machnął ręką.

— Nie musi się pan przede mną tłumaczyć, proszę pana. Ma pan tyle roboty, że zakrawałoby na cud, gdyby robił pan wszystko dobrze...

— Chwileczkę, Plummer! — przerwał mu pan Helmholtz.

— Ja tylko proszę, żeby spróbował pan wejść w moje położenie — rzekł Plummer. — Ledwie wróciłem z przesłuchań materiału zespołu A, gdzie wypruwałem z siebie flaki, by dać z siebie wszystko, a już pan napuścił na mnie dzieciaki z zespołu C. I pan, i ja wiemy, że stworzyliśmy im po prostu klimat rywalizacji i że byłem skonany. Ale czy pan im o tym powiedział? Do licha, nie, i teraz wszystkie te dzieciaki uważają, że potrafią grać lepiej ode mnie. Dlatego czuję taką urazę. Uważają, że to ma jakieś znaczenie — ja na ostatnim miejscu w zespole C.

— Plummer — odezwał się spokojnie pan Helmholtz — próbowałem powiedzieć ci coś najuprzejmiej, jak tylko potrafię, ale najwyraźniej jedynym sposobem, by do ciebie trafić, jest wyłożenie kawy na ławę.

— Proszę bardzo, niech pan odwoła krytykę — rzekł Plummer, wstając.

— Odwoła?

— Tak jest, odwoła — potwierdził stanowczo Plummer, kierując się do drzwi. — Prawdopodobnie zaprzepaszczam w tej chwili szansę dostania się do zespołu A, ale szczerze mówiąc, właśnie z powodu takich incydentów, jaki zdarzył mi się dzisiaj, zespół przegrał w ubiegłorocznym czerwcowym konkursie.

— Przyczyną był bęben basowy o średnicy dwóch metrów!

— Proszę zdobyć taki dla Lincoln High School i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

— Dałbym sobie za niego uciąć prawą rękę! — powiedział pan Helmholtz, zapominając, o co chodziło, i pamiętając jedynie o swym największym marzeniu.

Plummer zatrzymał się na progu.

— Za taki, jakiego używają Rycerze Kandaharu podczas swoich parad?

— Właśnie! — Pan Helmholtz wyobraził sobie ogromny bęben Rycerzy Kandaharu, wspaniałą atrakcję każdej miejscowej parady. Próbował wyobrazić go sobie z namalowaną na nim czarną panterą Lincoln High School. — Tak jest! — Gdy wrócił na ziemię, Plummer siedział już na rowerze.

Pan Helmholtz zaczął wołać do niego, chcąc go zawrócić i powiedzieć mu bez ogródek, że nie ma najmniejszej szansy, by wyjść kiedykolwiek poza zespół C, że nigdy nie potrafi zrozumieć, iż misją zespołu jest nie tylko produkowanie dźwięków, lecz produkcowanie szczególnego rodzaju dźwięków. Ale Plummera już nie było.

Czując chwilową ulgę aż do następnego dnia współzawodnictwa, pan Helmholtz usiadł, by nacieszyć się swoją gazetą i przeczytać, że skarbnik Rycerzy Kandaharu, szacowny obywatel, zniknął wraz z pieniędzmi organizacji, pozostawiając nie zapłacone rachunki za ostatnie półtora roku. „Jeśli będziemy do tego zmuszeni, sprzedamy cały nasz dobytek za pół ceny, z wyjątkiem Świętej Buławy” — przytoczono słowa Wielkiego Szambelana Kapituły.

Pan Helmholtz nie znał żadnej osoby związanej ze sprawą, ziewnął więc i przeszedł do czytania kącika humoru. Nagle złapał z trudem oddech, zajrzał z powrotem na pierwszą stronę gazety, znalazł numer telefonu i pośpiesznie go wykrcił.

— Bip-bip-bip-bip — usłyszał w słuchawce. Niestety, linia była zajęta. Rzucił ze złością słuchawkę na widelki. Z pewnością setki ludzi próbują skontaktować się w tej chwili z Wielkim Szambelanem. Spojrzał na łuszczący się sufit, modląc się bezgłośnie. Oby nikomu nie przyszło na myśl kupić ogromny basowy bęben!

Nakręcał cierpliwie numer, ale wciąż było zajęte, w końcu wyszedł na werandę, żeby nieco zmniejszyć narastające w nim napięcie. Będzie jedynym chętnym do zakupu

bębna, wmawiał sobie, i to on podyktuje cenę. Dobry Boże! Jeśli zaoferuje pięćdziesiąt dolarów, przypuszczalnie stanie się właścicielem bębna! Wyłoży własne pieniądze i nakłoni szkołę, by mu je zwróciła za trzy lata, gdy pióra z elektrycznymi żaróweczkami zostaną całkowicie spłacone.

Zapalił papierosa i roześmiał się jak Święty Mikołaj z domu towarowego, ciesząc się z tego niespodziewanego uśmiechu losu. Gdy wypuszczał radośnie powietrze, jego wzrok padł na trawnik, gdzie wśród krzaków leżały nie dostarczone przez Plummera gazety.

Wszedł do domu i jeszcze raz wykręcił numer Wielkiego Szambelana, z takim samym jak poprzednio skutkiem. Żeby wypełnić czymś czas oczekiwania i wyświadczyć chrześcijańską przysługę, zadzwonił do domu Plummera, aby powiadomić go, gdzie zapodział gazety. Ale telefon Plummera również był zajęty.

Przez piętnaście minut wykręcał na zmianę numer Plummera i Wielkiego Szambelana, zanim wreszcie się dodzwonił.

— Słucham? — odezwała się pani Plummer.

— Mówi George Helmholtz. Czy zastałem Waltera?

— Był jeszcze przed chwilą. Rozmawiał długo przez telefon, po czym wyleciał jak kamień z procy.

— Szukał gazet? Zostawił je pod moją tawułą.

— Doprawdy? Boże drogi, nie mam pojęcia, dokąd poszedł. Nic nie wspomniał o gazetach, ale słyszałam chyba, jak mówił coś o sprzedaży klarnetu. — Westchnęła, po czym roześmiała się nerwowo. — Posiadanie własnych pieniędzy sprawia, że stają się okropnie niezależni. Nigdy o niczym mi nie mówi.

— Cóż, proszę mu przekazać, że uważam sprzedaż klarnetu za bardzo słuszną decyzję. I że znalazłem jego gazety. Nowina o tym, że Plummer zrozumiał w końcu, iż nie ma czego szukać w branży muzycznej, była zaskakująca i dobra, toteż pan Helmholtz zadzwonił znów do domu Wielkiego Szambelana po jeszcze lepszą wiadomość. Tym razem się dodzwonił, przeżył jednak natychmiast wielkie rozczarowanie, dowiadując się, że Szambelan właśnie wyszedł załatwić jakiś interes.



Przez całe lata panu Helmholtzowi udawało się uśmiechać i traktować z przyzwyczajeniem oka ćwiczenia zespołu C. Ale nazajutrz, po dniu bezskutecznych prób dowiedzenia się czegokolwiek na temat bębna basowego Rycerzy Kandaharu, jego system obronny zawiódł i ohydna muzyka docierała w głąb jego duszy.

— Nie, nie, nie! — zawołał gniewnie i cisnął białą batutą o ścianę. Sprężysta pałeczka odbiła się od ceglanego muru i upadła na puste składane krzesło w tylnej części sekcji klarnetów — krzesło Plummera.

Gdy pan Helmholtz, czerwony jak burak i skruszony, podniósł pałeczkę, poczuł się nieoczekiwanie zdenerwowany widokiem owego pustego krzesła. Zdał sobie sprawę, że nikt inny, bez względu na to, jak bardzo jest niezdolny, nie zapełni nigdy ostatniego miejsca tak idealnie jak Plummer. Podniósłszy wzrok, zorientował się, że wielu członków zespołu również wpatruje się w to krzesło, jak gdyby czuli, że zniknęło coś wielkiego w niezwykle sposób i że z tego powodu życie będzie teraz znacznie nudniejsze.

Podczas dziesięciu minut przerwy między próbami zespołów C i B pan Helmholtz popędził do swego gabinetu i jeszcze raz spróbował skontaktować się z Wielkim Szambelanem Rycerzy Kandaharu. Niestety, znów powiedziano mu to samo, co już słyszał kilkakrotnie poprzedniego wieczoru i rano.

— Bóg jeden wie, gdzie może teraz być. Był tu przez chwilę, ale zaraz wyszedł. Podałem mu pańskie nazwisko, sądzę więc, że zadzwoni do pana, gdy tylko znajdzie wolną chwilę. To pan dzwonił w sprawie bębna, prawda?

— Tak, to ja.

W korytarzu rozległ się dźwięk dzwonka zapowiadający początek kolejnej lekcji. Pan Helmholtz wolałby zostać przy telefonie, dopóki nie złapie wreszcie Wielkiego Szambelana i nie ubije z nim interesu, ale czekał na niego zespół B, a po nim zespół A.

Nagle go olśniło. Zadzwonił do Western Union i wysłał telegram z ofertą pięćdziesięciu dolarów za bęben i prośbą o odpowiedź na koszt adresata.

Jednakże w czasie ćwiczeń z zespołem B nie nadeszła żadna odpowiedź. Nie nadeszła też do połowy zajęć z zespołem A. Członkowie zespołu, wrażliwi, uczuciowi chłopcy, z miejsca zorientowali się, że ich dyrygent jest czymś rozdrażniony, i próba szła kulawo. Pan Helmholtz był do tego stopnia zdenerwowany z powodu bębna, że przerwał marsz w połowie, słysząc lekki hałas dochodzący zza wielkich podwójnych drzwi w drugim końcu sali, gdzie ktoś najwyraźniej próbował otworzyć zamek.

— Dobrze, dobrze, zaczekajmy, dopóki hałas całkiem nie ucichnie, żebyśmy słyszeli się nawzajem — powiedział.

W tym momencie uczeń-posłaniec przyniósł mu telegram. Pan Helmholtz rozpromienił się, rozdarł niecierpliwie kopertę i przeczytał:

BĘBEN SPRZEDANY STOP MOŻE REFLEKTUJE PAN NA WYPCHANEGO WIELBŁĄDA NA KÓŁKACH STOP

Drewniane drzwi otworzyły się ze skrzypem zawiasów i ostry jesienny podmuch zasypał członków zespołu liśćmi. Na progu stał Plummer, zziębnięty i spocony, zaprzężony do bębna na kółkach, w którym zmieściłby się tuzin chłopców jego wzrostu.

— Wiem, że to nie dzień współzawodnictwa — wysapał — ale pomyślałem, że w moim przypadku mógłby pan zrobić wyjątek.

Wszedł do środka z majestatyczną godnością, ciągnąc za sobą wielki instrument.

Pan Helmholtz rzucił mu się na spotkanie i zmiażdżył w uścisku prawą dłoń Plummera.

— Plummer, chłopcze! Zdobyłeś go dla nas. Kochany chłopak! Nieważne, ile za niego zapłaciłeś, zwrócę ci co do grosza — wykrzyknął, po czym z radości dodał pochopnie:

— A nawet z małym procentem. Kochany chłopak!

Plummer zaśmiał się skromnie.

— Miałbym go sprzedać? Do licha, podaruję go panu, gdy skończę szkołę — rzekł wyniośle. — Chcę tylko grać na nim w zespole A, dopóki się uczę.

— Ależ, Plummer — powiedział z zakłopotaniem pan Helmholtz — przecież ty nie masz zielonego pojęcia o bębnach.

— Będę ćwiczył jak szalony — odrzekł uspokajająco Plummer. Zaczął przepychać swój instrument do tyłu przejściem pomiędzy trąbkami a puzonami — niczym kierowca wycofujący ciężarówkę z naczepą wąską uliczką — w kierunku sekcji perkusyjnej, gdzie zdumieni muzycy pośpiesznie robili dla niego miejsce.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę. — Pan Helmholtz zaśmiał się cicho, jak gdyby słowa chłopca były żartem, choć dobrze wiedział, że nim nie są. — Gra na bębnie to coś więcej niż tylko młócenie wań, gdy przyjdzie ci na to fantazja. Trzeba wielu lat, żeby opanować tę sztukę.

— No cóż — rzekł wesoło Plummer — im szybciej się do tego zabiorę, tym szybciej będę dobry.

— Chciałem powiedzieć, że niestety przez pewien czas nie będziesz gotów do gry w zespole A.

— Jak długo? — spytał podejrzliwie Plummer, zatrzymując się w przejściu.

— Och, może uda ci się to kiedyś, gdy będziesz w wyższej klasie. Tymczasem zespół mógłby korzystać z twojego bębna, dopóki nie nabierzesz wprawy.

Pan Helmholtz dostał gęziej skórki, gdy Plummer zmierzył go lodowatym, taksującym wzrokiem.

— To znaczy, na świętego nigdy? — spytał w końcu.

— Niestety, masz chyba rację — odparł pan Helmholtz z westchnieniem, kręcąc ze smutkiem głową. — Właśnie to usiłowałem ci wyjaśnić wczoraj po południu — nikt nie potrafi robić dobrze wszystkiego i musimy pogodzić się z naszymi ograniczeniami. Jesteś świetnym chłopakiem, Plummer, ale nigdy nie będziesz muzykiem — nawet za milion lat. Pozostaje ci tylko jedno, zresztą wszyscy od czasu do czasu jesteśmy zmuszeni tak postąpić: uśmiechnij się, wzrusz ramionami i powiedz: „Trudno, to jedna z tych rzeczy, które nie są dla mnie”.

Lży stanęły Plummerowi w oczach, nie rozplakał się jednak. Ruszył powoli z powrotem w stronę drzwi, ciągnąc za sobą bęben. Zatrzymał się na moment w progu, rzucając ostatnie tęskne spojrzenie na zespół A, w którym nigdy nie znajdzie się dla niego miejsce. Uśmiechnął się słabo i wzruszył ramionami.

— Niektórzy mają dwuipółmetrowe bębny — rzekł grzecznie — a inni ich nie mają, takie po prostu jest życie. Jest pan świetnym facetem, panie Helmholtz, ale nie dostanie pan tego bębna nawet za milion lat, ponieważ zamierzam go podarować mojej mamie, by jej służył jako stolik do kawy.

— Plummer! — krzyknął pan Helmholtz. Jego żaloszny głos utonął w dudnieniu i turkocie ogromnego bębna, który toczył się za swym małym właścicielem po betonowym podjeździe.

Pan Helmholtz pobiegł za chłopcem, kuśtykając i potykając się. Gdy Plummer zatrzymał się ze swym bębmem na skrzyżowaniu, czekając na zmianę świateł, pan Helmholtz wreszcie go dogonił i chwycił za ramię.

— Musimy mieć ten bęben — wysapał. — Ile chcesz za niego?

— Proszę się uśmiechnąć — powiedział Plummer. — Wzruszyć ramionami! Tak jak ja zrobiłem. — Plummer zrobił to jeszcze raz. — Rozumie pan? Ja nie mogę dostać się do zespołu A, zatem pan nie może dostać bębna. Kogo to obchodzi? Wszystko jest elementem dorastania.

— Tych sytuacji nie da się porównać! — zawołał z wściekłością pan Helmholtz. — Są absolutnie inne!

— Ma pan rację — zgodził się Plummer. — Ja dorastam, a pan nie.

Światło się zmieniło i Plummer odszedł, zostawiając na rogu osłupiałego pana Helmholtza.

Nauczyciel był zmuszony jeszcze raz za nim pobiec.

— Plummer — rzekł przyjaźnie — nigdy nie nauczysz się grać na nim dobrze.

— Proszę mi to w kółko wypominać! — powiedział z goryczą Plummer.

— Ale zachowałeś się wspaniale, zdobywając dla nas ten bęben, poza tym nie sądzę, żeby udało nam się znaleźć kogoś innego.

Plummer zatrzymał się, zawrócił, okręcając instrument na wąskim chodniku z niezwykłą szybkością oraz precyzją, i ruszył z powrotem do Lincoln High School, podskoczywszy raz, by zrównać krok z panem Helmholtzem.

Gdy zbliżali się do szkoły, którą obaj kochali, napotkali grupę chłopców z zespołu C, niosących instrumenty w nieskazitelnych futerałach i rozmawiających nieśmiało o muzyce.

— W tym roku przyszła do nas grupka całkiem fajnych dzieciaków — powiedział rozsądnie Plummer. — Potrzebują tylko lekkiego szlifu.

Biedne bogate miasteczko

Newell Cady był wytwornym, bogatym, wpływowym mężczyzną w średnim wieku, o urodzie wyidealizowanego Juliusza Cezara. Przede wszystkim jednak posiadał wiedzę, i to wiedzę tak ogromnie różnorodną, tak bezcenną, że wielkie koncerny produkcyjne zabiegały o jego usługi niczym bliscy śmierci sułtanowie oferujący połowę królestwa za uleczenie.

Cady potrafił przespacerować się po zakładzie, który przynosił straty od pokoleń, zerknąć do ksiąg rachunkowych, ziewnąć i powiedzieć kierownikowi, jak ma zaoszczędzić pół miliona rocznie na materiałach, zredukować personel o jedną trzecią, potroić produkcję i sprzedać to, co było wyrzucane jako odpady, za cenę wyższą od kosztów za instalowania klimatyzacji i muzyki w zakładzie. Klimatyzacja i muzyka miały zwiększyć indywidualną wydajność przynajmniej o dziesięć procent i zmniejszyć o jedną piątą pretensje związkowców.

Ostatnią firmą, która go zatrudniła, była Federal Apparatus Corporation, która nadała mu rangę wiceprezesa i wysłała do Ilium w stanie Nowy Jork, gdzie miał dopilnować, czy nowa centrala korporacji jest budowana prawidłowo od fundamentów. Gdy budowa biurowców zostanie zakończona, setki kierowników najwyższego szczebla przeprowadzą swoje biura z Nowego Jorku do Ilium, miasta, które niemal umarło, gdy fabryki włókiennicze przeniosły się na południe po drugiej wojnie światowej.

W Ilium nastąpiła wielka radość, gdy położono fundamenty pod nową centralę, ale największe uniesienie zapanowało w miejscowości Spruce Falls, piętnaście kilometrów od Ilium, ponieważ tam właśnie Newell Cady wynajął, z prawem do kupna, jedną z rezydencji, które znajdowały się przy wysadzanym drzewami głównej ulicy. Rezydencje te powstały u schyłku wieku, przed wprowadzeniem podatku dochodowego i przed odkryciem, że kąpiele w ciepłych mineralnych źródłach Spruce Falls nie tylko nie mają działania leczniczego, ale najwyraźniej powodują przykrą chorobę skóry, która została nazwana przez dermatologa, bez szacunku dla wartości nieruchomości, „trądzikiem Spruce Falls”.

Od czasu odkrycia podatku dochodowego i trądziku Spruce Falls przeznaczenie omijało miasteczko, pozostawiając je tutejszym mieszkańcom, którzy wiedli uczciwe życie dzięki sobie nawzajem oraz ziemi, zwyczajem przodków wystrzegali się źródeł,

kupowali za bezcen posiadłości opuszczone przez bogaczy i mieli przeciętnie po sypialni z kominkiem dla każdego członka rodziny oraz zwykle po jednym psie. Gdy jednak Newell Cady wprowadził się do rezydencji, którą ewentualnie zamierzał kupić, uczucie przeznaczenia wypełniło Spruce Falls.

— Jeśli uda nam się sprawić, że Newell Cady zasmakuje w rozkoszach wiejskiego życia — powiedział komendant straży pożarnej, Stanley Atkins, przemawiając na nadzwyczajnym zebraniu członków ochotniczej straży pożarnej w sobotę po południu — wykorzysta prawo kupna i Spruce Falls stanie się modną miejscowością, w której zechce zamieszkać kierownictwo Federal Apparatus Corporation. Bez dalszych wstępów — dodał wylewnie komendant Atkins — zachęcam, aby przyznać panu Newellowi Cady'emu pełne członkostwo w straży pożarnej i wybrać go głównym sędzią w dorocznym Konkursie Hobbystów.

— Audaces fortuna iuvat! — powiedział Upton Beaton, wysoki sześćdziesięcioletni, sprawiający wrażenie choleryka. Był ostatnim potomkiem pierwszej niegdyś rodziny w Spruce Falls. — Los odważnym sprzyja — przetłumaczył po chwili — to prawda. Ale, panowie... — zawiesił złowieszczo głos. Komendant Atkins wyglądał na zmartwionego, a inni członkowie straży pożarnej poruszyli się niespokojnie na składanych krzesłach. Podobnie jak jego przodkowie, Beaton posiadał ekskluzywne harwardzkie wykształcenie i podobnie jak oni mieszkał w Spruce Falls, ponieważ łatwo mu było tutaj błyszczeć i czuć się facetem, któremu dobrze się powodzi, nawet wówczas, gdy wiele lat temu rząd zabronił Beatonom butelkowania i sprzedawania źródlanej wody z powodu trądziku Spruce Falls, wskutek czego rodzinny majątek znacznie podupadł.

— Ale — powiedział Beaton, wstając — czy o taki los nam chodzi? Proszę nas, byśmy w przypadku pana Cady'ego odstąpili od wymogu trzyletniego zamieszkiwania w naszej miejscowości, co jest warunkiem członkostwa w straży pożarnej. Tym samym wartość członkostwa nas wszystkich ulega obniżeniu. Jeśli mogę tak powiedzieć, funkcja sędziego w Konkursie Hobbystów ma o wiele większe znaczenie, niż wydawałoby się osobom postronnym. W naszej małej mieścinie możemy uhonorować naszych prześwietnych jedynie w skromny sposób, ale od wielu pokoleń zadawaliśmy sobie trud, by zachować te drobne zaszczyty dla tych z nas, którzy okazali taką wielkość, jak to możliwe do osiągnięcia w oczach tej miejscowości. Śpieszę dodać, że te zaszczyty, które mnie spotkały, są świadectwem szacunku dla mojej rodziny i mojego wieku, nie dla mnie samego, i stanowią wyjątki, które prawdopodobnie zostaną ograniczone.

Westchnął głośno.

— Jeśli zaniechamy tej dumnej tradycji, najpierw jednego, potem drugiego, a wszystko dla pieniędzy, wkrótce odkryjemy, że nie zostało nam nic do wymachiwania poza białą flagą na znak bezwarunkowej kapitulacji we wszystkim, co uważamy za wartościowe! — Usiadł ze złożonymi ramionami i wlepił wzrok w podłogę.

Komendant Atkins robił się coraz bardziej czerwony w trakcie tej przemowy i unikał spojrzenia na Beatona.

— Agenci handlu nieruchomościami — wymamrotał — przysięgają, że ceny rezydencji w Spruce Falls wzrosną czterokrotnie, jeśli Cady zostanie.

— Jaka będzie korzyść dla miasteczka, jeśli nastanie dobra koniunktura na nieruchomości, ale straci ono swoją duszę? — spytał cicho Beaton.

Komendant Atkins odchrząknął.

— Oddaję wniosek pod głosowanie — rzekł ponuro. — Czy jest dla niego poparcie?

— Popieram — powiedział półgłosem ktoś, kto siedział ze spuszczoną głową.

— Wszyscy głosują za? — spytał Atkins.

Zaszurały krzesła i rozległy się stłumione głosy, jak gdyby dobiegały z oddalonego o kilometr boiska.

— Kto przeciw?

Beaton milczał. Dynastia Beatonów w Spruce Falls straciła swój autorytet. Jej ojcowskie przywództwo, nie napotykające sprzeciwu od czterech pokoleń, zostało właśnie przegłosowane.

— Wniosek przeszedł — powiedział Atkins. Zaczął coś mówić, potem nagle poprosił gestem o ciszę. — Cśśś! — Urząd pocztowy mieścił się w tym samym budynku co sala zebrań, tuż za cienkim przepierzeniem. Pan Newell Cady przyszedł właśnie po swoją korespondencję.

— To wszystko, pani Dickie? — spytał naczelniczkę poczty.

— Jest tego więcej, niż niektórzy dostają w ciągu całego roku — odpowiedziała pani Dickie. — Mam jeszcze trochę zwykłych listów do rozłożenia. Może są wśród nich jakieś dla pana.

— Mmm — mruknął Cady. — To w taki sposób rząd uczy ludzi sortowania?

— Oni mieliby mnie uczyć? — rzekła dumnie pani Dickie. — Chciałabym zobaczyć, jak ktoś uczy mnie czegokolwiek w tym biznesie. Jestem naczelniczką poczty od dwudziestu pięciu lat, od śmierci mojego męża.

— Hm, czy nie przeszkadzałoby pani, gdybym wszedł na zaplecze i wziął na chwilę te listy? — spytał Cady.

— Przykro mi, ale przepisy na to nie pozwalają — odparła pani Dickie.

Mimo to drzwi do pokoiku pani Dickie otworzyły się ze skrzypem.

— Dziękuję — powiedział Cady. — A teraz przypuśćmy, że zamiast trzymać te koperty w taki sposób jak w tej chwili, ułoży je pani tak... i, ach, proszę włożyć gumowy ochroniacz na kciuk zamiast na palec wskazujący...

— To moje podwórko! — wykrzyknęła pani Dickie. — A pan wtyka tu swój nos!

— Praca szłaby jeszcze sprawniej — nie ustępował Cady — gdyby nie ta sterta skrzynek pocztowych na podłodze. Czemu nie przesunąć ich tutaj, żeby znalazły się na wysokości wzroku? I co, u licha, robi z tyłu ten stół?

— To dla moich dzieci — odpowiedziała defensywnie pani Dickie.

— Pani dzieci bawią się tutaj?

— Nie prawdziwe dzieci — wyjaśniła tęsknie pani Dickie. — Tak nazywam kwiatki stojące na stole — mały mądry fiołek alpejski, figlarna maranta, pełna temperamentu sansewieria...

— Czy zdaje sobie pani sprawę — przerwał jej pan Cady — że traci pani codziennie dwadzieścia minut i Bóg wie ile energii na okrążanie tego stołu?

— Cóż — powiedziała pani Dickie — to ogromnie miło z pana strony, że okazuje mi pan takie zainteresowanie, ale czułabym się trochę zagubiona bez...

— Nie potrafię powstrzymać się od wtrącania w takie sprawy — rzekł Cady. — Odczuwam autentyczny fizyczny ból, widząc, że ktoś robi coś w niewłaściwy sposób, gdy tymczasem tak łatwo jest wszystko skorygować. Ach! Przesunęła pani kciuk z powrotem tam, gdzie nie powinna go pani trzymać! Przecież mówiłem pani.

— Komendancie Atkins — szepnął Upton Beaton w sali zebrań.

— Słucham?

— Proszę nie drapać się w głowę w taki sposób — pouczył go Beaton. — Proszę rozcapierzyć palce, o tak! Następnie może pan przystąpić do drapania. Dzięki temu załatwi pan dwa razy większą powierzchnię czaszki w dwukrotnie krótszym czasie.

— Z całym szacunkiem dla pana — rzekł Atkins — temu miasteczku dobrze zrobi odrobina postępu i ożywienia.

— Nigdy w życiu nie stanąłbym na drodze postępowi — powiedział Beaton.

— Cady przeszedł na drugą stronę ulicy, ogląda nasz wóz strażacki — poinformował zebranych Ed Newcomb, pracujący od dwudziestu lat jako sekretarz w straży pożarnej. Agent handlu nieruchomościami z Ilium, który omamił obietnicami wszystkich z wyjątkiem Beatona, zapewnił Newcomba, że cena pięćdziesięciu tysięcy dolarów za jego dwudziestosześciorokowy georgiański dom, po niewielkim remoncie, wydałaby się kierownictwu korporacji śmiesznie niska. — Zanieśmy mu dobrą nowinę!

Strażacy podeszli do swego najnowszego kolegi stojącego przy wozie strażackim i pogratulowali mu nowo uzyskanego członkostwa.

— Dziękuję — odpowiedział z roztargnieniem Cady, majstrując przy urządzeniu przymocowanym do boku wielkiego czerwonego samochodu. — Do licha, ależ tu wszystko błyszczący od chromu — zauważył.

— Proszę zaczekać, aż zobaczy pan nowy! — rzekł z dumą Ed Newcomb.

— Robią te cholerne samochody takie bajeranckie jak karuzele — powiedział z niesmakiem Cady. — Można by pomyśleć, że mamy do czynienia z zabawkami. Boże! O ile te wszystkie chromy i efekciarskie ozdóbki muszą podnosić koszt! Nowy, mówicie?

— Jasne — powiedział Newcomb. — Jeszcze nie przegłosowano zakupu, ale jestem pewien, że przejdzie. — Radość z tej perspektywy widniała na każdej twarzy.

- Siedem i pół tysiąca litrów na minutę! — rzekł z uniesieniem strażak.
- Dwa reflektory! — dodał inny.
- Oddzielna szoferka!
- Pięćipółmetrowe drabiny!
- Zbiornik dwutlenku węgla!
- I obrotowa dysza w wieżyczce! — przekrzyczał wszystkich Atkins.

W ciszy, która nastąpiła po hymnie pochwalnym na cześć nowego wozu bojowego, rozległ się głos Cady'ego:

— Niedorzeczne — powiedział. — Ten wóz jest w tych warunkach idealny, absolutnie wystarczający.

— Pan Cady ma całkowitą rację — poparł go Upton Beaton. — To praktyczny, mocny samochód, ma za sobą wiele lat niezawodnej służby. Pomysł zadłużenia całego okręgu na następne dwadzieścia lat po to, by kupić kosztowną zabawkę dla naszej jednostki, był idiotyzmem z naszej strony. Pan Cady trafił w samo sedno.

— To jedna z tych spraw, o jakie walczyłem przez pół życia w przemyśle — rzekł ze smutkiem Cady. — Ludzie kochają pozory, a nie pracę, która ma być wykonana. Jedynym celem straży pożarnej powinno być gaszenie pożarów, i to w możliwie ekonomiczny sposób.

Beaton poklepał komendanta Atkinsa po ramieniu.

— Uczymy się codziennie czegoś nowego, prawda, szefie?

— Atkins uśmiechnął się boleśnie, jak gdyby go właśnie postrzelono w brzuch.



Doroczny Konkurs Hobbystów w Spruce Falls odbył się w suterenie kościoła w trzy tygodnie po wyborze Newella Cady'ego na członka straży pożarnej. Podczas tych dwudziestu jeden dni Hal Brayton, właściciel sklepu spożywczego, przestał podliczać należności na papierowych torbach i kupił maszynę sumującą, poza tym ustawił swoje lady w taki sposób, żeby miejsce dla klientów przekształcić z kanionu pudeł w tor wyścigowy. Zasmucona pani Dickie, naczelniczka poczty, wyniosła ze swego boksu stół i swoje zielone dzieci, a najniższy stos skrzynek pocztowych sięgał wysokości oczu. Strażacy przegłosowali, że czerwone i niebieskie peleryny są niepotrzebne przy gaszeniu pożarów. Dziwne osoby pojawiły się na szkolnym zebraniu, udowadniając, że bez wątpienia utrzymanie szkoły podstawowej w Spruce Falls kosztuje rocznie siedem dolarów i dwadzieścia dziewięć centów na każdego ucznia więcej, niż kosztowałoby przewożenie dzieci do dużej, efektywnej, scentralizowanej szkoły w Ilium.

Cała społeczność miasteczka sprawiała wrażenie, jak gdyby otrzymała potężny bodziec. Ludzie chodzili i jeździli szybciej, oczy mieli większe i bardziej błyszczące

— a nawet trochę szalone. A w tym nowym odważnym świecie poruszali się dumnie dwaj mężczyźni, którzy go kształtowali, obecnie nierozłączni przyjaciele po godzinach pracy. Newell Cady i Upton Beaton. Zadaniem Beatona było informowanie Cady'ego o różnych zakulisowych faktach i liczbach dotyczących działalności miasteczka, a następnie gorące popieranie realistycznych propozycji reform Cady'ego, które następowały po faktach i liczbach jak noc po dniu.

Sędziami w Konkursie Hobbystów byli Newell Cady, Upton Beaton i komendant Stanley Atkins. Szli wolno wzdłuż stołów, na których wyłożone były prace konkursowe. Atkins, który wydawał się chudszy i bardziej apatyczny, od kiedy opinia publiczna zwróciła się przeciw zakupowi nowego wozu strażackiego z obrotową dyszą w wieżycie, trzymał w ręku pudełko po butach, w którym znajdowały się starannie ułożone niebieskie wstążeczki dla nagrodzonych.

— Z pewnością nie będziemy potrzebowali wszystkich tych wstążek — powiedział Cady.

— Nie starczyłoby, gdybyśmy chcieli nagrodzić każdego — odparł Atkins. — Pewnego roku tak zrobiliśmy i kosztowało to kupę forsy.

— Mamy tu wiele kategorii prac konkursowych — wyjaśnił Beaton. — W każdej przyznajemy pierwszą nagrodę. Wyciągnął dłoń do Atkinsa. — Poproszę wstążeczkę ze szpilką, komendancie. — Przypiął wstążkę do brudnej szarej kuli o półtorametrowej średnicy.

— Zaraz, zaraz — powiedział Cady — czy nie możemy tego przedyskutować? Uważam, że nie wolno nam wszystkim robić, co się nam żywnie podoba, i powinniśmy wymieniać poglądy, zanim gdzieś przypniemy wstążkę. Na miłość boską, przyznajecie pierwszą nagrodę tej ohydnej bryle, a ja nawet nie mam pojęcia, co to jest.

— Sznur — odpowiedział Atkins. — Sznur Teda Batsforda. Czy uwierzy pan, że pierwszy kawałek, od którego zaczął nawijanie, w samym środku kuli, pochodzi z czasów drugiej administracji Clevelanda?

— Hm — mruknął Cady — i zdecydował się przystąpić do konkursu w tym roku.

— Przystępował do wszystkich konkursów, odkąd sięgam pamięcią — zauważył Beaton. — Znam ten przedmiot od czasów, gdy nie był większy od kuli do kręgli.

— To znaczy, że powinniśmy go w końcu nagrodzić za tępą wytrwałość? — spytał ze znużeniem Cady.

— W końcu? — zdumiał się Beaton. — Zawsze zdobywał pierwszą nagrodę w nawijaniu sznurka.

Cady zamierzał uszczypliwie to skomentować, ale coś odwróciło jego uwagę.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — A co to są za śmieci, którym przyznajecie w tej chwili pierwszą nagrodę?

Atkins popatrzył na niego z zakłopotaniem.

— Jak to? Oczywiście, kompozycja kwiatowa pani Dickie.

— Ten galimatias nazywacie kompozycją kwiatową? — zdumiał się Cady. — Pora-
dziłbym sobie lepiej z zardzewiałym wiadrem i garścią muchomorów. A wy dajecie jej
pierwszą nagrodę! A jakie są prace konkurencji?

— Nikt nie startuje w kategorii kogoś innego — wyjaśnił cierpliwie Beaton, kładąc
wstążkę na podwyższonym pokładzie nie dokończonego modelu statku.

Nagle Cady zerwał wstążkę z modelu.

— Chwileczkę! Wszyscy dostają nagrody... mam rację?

— Och, tak, każdy w swojej kategorii — odrzekł Beaton.

— Jaki jest więc sens konkursu?

— Sens? — spytał Beaton. — Przecież to tylko konkurs. Czy trzeba się w nim doszu-
kiwać sensu?

— Do diabła z tym wszystkim — rozzłościł się Cady. — Uważam, że powinien speł-
niać pewną misję — rozwijać zainteresowanie sztuką i rękodziełem czy coś w tym ro-
dzaju. Albo doskonalić umiejętności — by człowiek stawał się lepszy w jakiejś dziedzi-
nie twórczości. — Machnął ręką w kierunku wystawionych prac. — To śmieci, same
śmieci, a ci pomyleńcy przez lata otrzymywali najwyższe nagrody, jak gdyby nie mu-
sieli się już niczego uczyć albo jak gdyby jedyną rzeczą godną uznania była cierpliwość
w zwijaniu sznurka od czasów drugiej administracji Clevelanda.

Atkins był wyraźnie wstrząśnięty i urażony.

— Cóż — powiedział Beaton — pan jest sędzią. Zróbmy zgodnie z pańską wolą.

— Proszę posłuchać, panie Cady — odezwał się Atkins. — Po prostu nie możemy
nie dać...

— Staje pan na drodze postępu — rzekł ostro Beaton.

— Według mnie — oświadczył Cady — w całej sali jest tylko jedna rzecz, w której
widać choćby lekki przeblysł inwencji twórczej i ambicji...



Niewiele świateł w Spruce Falls zgasło przed północą w dniu otwarcia Konkursu
Hobbystów, choć zwykle już o dziesiątej okna były ciemne. Kilka osób nie biorących
udziału w konkursie, które wpadły do kościoła, by obejrzyć prace konkursowe, a nie
słyszały o sędziowaniu, ze zdumieniem odkryło, że w suterenie znajduje się jedyny
obiekt, haftowana kopia okładki kobiecego czasopisma, z przypiętą do niej niebieską
wstążką — nagrodą dnia. Inni uczestnicy konkursu zabrali ze złością do domu odrzu-
cone eksponaty, a jedyna zwyciężczyni przysłała potajemnie późnym wieczorem, zakło-
potana, i również wyniosła swoją pracę, zostawiając na miejscu niebieską wstążkę.

Jedynie Newell Cady i Upton Beaton spali spokojnie tej nocy, zadowoleni z wyko-
nania solidnej, wartej zachodu pracy. Ale gdy nadszedł poniedziałek, w miasteczku pa-
nowała pełna determinacji radość, ponieważ w niedzielę, jak gdyby dla zrównoważenia

pogromu na Konkursie Hobbystów, zjawił się agent handlu nieruchomościami. Napisał do kierownictwa Federal Apparatus Corporation w Nowym Jorku, opowiadając o rezydencjach w Spruce Falls, które można kupić właściwie za bezcen od naiwnych mieszkańców i które znajdują się w bliskim sąsiedztwie przyszłego domu ich szacownego kolegi, pana Newella Cady'ego. W niedzielę ów agent pokazał kilka listów od członków kierownictwa, którzy mu uwierzyli.

Późnym popołudniem w poniedziałek powiedziano ostatecznie przykre słowa na temat Konkursu Hobbystów i rozmowa skoncentrowała się na wyliczeniu podatku od zysków kapitałowych, na bezwzględnym niszczeniu przez stanową i federalną administrację motywacji do osiągnięcia zysku, na oburzających kosztach budowy małych domów...

— Ale powiem ci — rzekł z ożywieniem komendant Atkins — w świetle tego nowego prawa nie musisz płacić żadnego podatku od zysku ze sprzedaży swego domu. Cały ten zysk jest tylko zyskiem na papierze, prostą, zwykłą inflacją, i nie opodatkują cię, ponieważ nie byłoby to fair. — On, Upton Beaton i Ed Newcomb rozmawiali w urzędzie pocztowym, podczas gdy pani Dickie sortowała popołudniową korespondencję.

— Przykro mi — powiedział Beaton — ale musisz kupić inny dom za tyle samo albo więcej, niż dostaniesz za stary, aby objęło cię to prawo.

— Czego miałbym chcieć z domem wartym pięćdziesiąt tysięcy dolarów? — rzekł z respektem Newcomb.

— Możesz za to kupić mój — odpowiedział Atkins. — W ten sposób uniknąłbyś w ogóle płacenia podatku.

— I miałbym dwa razy więcej termitów i cztery razy więcej stęchlizny niż w moim — burknął Newcomb.

Atkins nie uśmiechnął się. Zamknął kopniakiem uchylone drzwi poczty.

— Ty cholerny idioto! Przecież jakiś przypadkowy przechodzień mógłby usłyszeć, co mówisz o moim domu.

Beaton stanął pomiędzy nimi.

— Uspokójcie się! Na zewnątrz nie ma nikogo poza starym Mikiem Mansfieldem, a on jest głuchy jak pień od czasu wybuchu kotła. Boże, jeśli postęp w naszym miasteczku sprawia, że wszyscy są tacy zdenerwowani, co się stanie, gdy będziemy mieć takiego Cady'ego w każdym dużym domu?

— Pan Cady jest wytwornym dżentelmenem — rzekł ponuro Atkins.

Pani Dickie sapała i przeklinała pod nosem w swoim boksie.

— Schylałam się i podnosiłam paczki przez dwadzieścia pięć lat, sięgając do stojących na podłodze skrzynek pocztowych, i nie mogę się powstrzymać, by wciąż tego nie robić, choć ich tam już nie ma. Psiakość! — Korespondencja wypadła jej z rąk na podłogę. — Widzicie, co się dzieje, gdy trzymam kciuk w taki sposób, jak mi kazał?

— Nieważne — ostrzegł ją Beaton. — Trzymaj go tak, jak ci polecił, ponieważ za chwilę się tu zjawi.

Długi czarny samochód Cady'ego zatrzymał się przed budynkiem poczty.

— Ładny dzień, panie Cady — rzekł Atkins z ujmującym uśmiechem.

— Hmm? Och, chyba tak. Myślałem o czymś innym — podszedł do boksu pani Dickie po swoją korespondencję, nadal jednak rozmawiał przez ramię z mężczyznami, nie zaszczycając kobiety nawet jednym spojrzeniem. — Właśnie obliczyłem, że codziennie zbaczam z drogi o osiem dziesiątych kilometra, żeby odebrać moją pocztę.

— Dobry pretekst, żeby spędzić trochę czasu ze znajomymi — zauważył Newcomb.

— To daje w przybliżeniu dwieście czterdzieści dziewięć i sześćdziesiątych kilometra rocznie — mówił dalej poważnie Cady — co przy ośmiu centach na kilometr tworzy sumę dziewiętnastu dolarów i dziewięćdziesięciu siedmiu centów rocznie.

— Miło mi słyszeć, że uda się panu w dzisiejszych czasach kupić coś wartościowego za dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt siedem centów — powiedział uszczypliwie Beaton.

Cady odczuwał przyływ inwencji twórczej i najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z napięcia narastającego w małym pomieszczeniu.

— Przynajmniej sto innych osób przyjeżdża tutaj po swoją korespondencję, co oznacza w sumie roczny wydatek tysiąc dziewięćset dziewięćdziesięciu siedmiu dolarów, nie wspominając o stracie czasu. Przemyślcie to!

— Ha! — rzekł lodowatym tonem Beaton, gdy tymczasem Atkins i Newcomb szurali nogami, szykując się do wyjścia. — Aż strach pomyśleć, ile wydajemy na krem do golenia. — Ujął Cady'ego pod rękę. — Może wstąpi pan na chwilę do mnie do domu? Mam coś, co może pana...

Cady nie ruszał się z miejsca.

— Krem do golenia to coś zupełnie innego — powiedział. — Mężczyźni muszą się golić, a krem do golenia jest do tego celu najlepszy. I, oczywiście, musimy odbierać pocztę, ale odkryłem coś, o czym widocznie nikt tutaj nie wie.

— Chodźmy do mnie do domu — rzekł stanowczo Beaton. — Tam porozmawiamy o tym.

— To takie proste, że nie ma potrzeby tego roztrząsać — oznajmił Cady. — Przecież Spruce Falls może uzyskać bezpłatną dostawę korespondencji. Wystarczy tylko zgłosić zapotrzebowanie w urzędzie pocztowym w Ilium i umieścić skrzynki pocztowe przed każdym domem, tak jak we wszystkich sąsiednich miejscowościach. To system sprawdzony od lat! — Uśmiechnął się i spojrzał z roztargnieniem na dłonie pani Dickie. — Ach, ach, ach! — skarcił ją. — Wracamy do dawnych nawyków, pani Dickie, prawda?

Atkins i Newcomb przytrzymali drzwi, niczym para strażników przy wejściu do celi egzekucyjnej, tymczasem Upton Beaton wypchnął Cady'ego na zewnątrz.

— Bardzo korzystne jest, gdy się patrzy na pewne sprawy z boku, tak jak ja — mówił Cady, nieświadom faktu, że go wypychają za drzwi. — Ludzie zaangażowani w pewne

sytuacje są tacy ślepi z powodu przyzwyczajęń. Na przykład, wy wszyscy tutaj utrzymujecie urząd pocztowy, a możecie zapewnić sobie znacznie lepsze usługi znacznie niższym kosztem i zaoszczędzić kłopotu. — Zaśmiał się skromnie, gdy Atkins zamknął za nim drzwi urzędu. — Można by rzec, jednooki w krainie ślepców.

— Jednooki może być również ślepy — oznajmił Upton Beaton — jeśli nie przygląda się ludzkim twarzom i nie daje wiary uczuciom, jakie żywią.

— O czym pan, u diabła, mówi? — spytał Cady.

— Gdyby spojrział pan w twarz pani Dickie, zamiast patrzeć jej na ręce, zauważyłby pan, że płakała — powiedział Beaton. — Jej mąż zginął w płomieniach, ratując kilku tych ludzi, których nazywa pan ślepcami. Mówi pan wiele o marnotrawstwie czasu, panie Cady. Jeśli chce pan go stracić więcej, proszę przejść się pewnego dnia po naszym miasteczku i znaleźć kogoś, kto nie wie, że może mieć pocztę dostarczoną do domu, kiedy tylko zechce.



Drugie nadzwyczajne zebranie członków ochotniczej straży pożarnej, zwołane w ciągu miesiąca, właśnie się zakończyło. Wszyscy członkowie, z wyjątkiem jednego, który nie został zaproszony, sprawiali wrażenie odprężonych i zadowolonych po raz pierwszy od wielu tygodni. Cel zebrania został osiągnięty szybko, patriarcha Spruce Falls, Upton Beaton, stawiał wnioski pod głosowanie, a wszyscy popierali je chórem. Teraz czekali na jedyne go nieobecnego członka, Newella Cady'ego, który miał przyjechać po swoją sobotnią korespondencję do urzędu pocztowego znajdującego się po drugiej stronie cienkiej ściany.

— Oto i on — szepnął Ed Newcomb stojący przy oknie.

W chwilę później usłyszeli za ścianą niski głos.

— Dobry Boże, znowu pani ustawiła tutaj wszystkie swoje rośliny!

— Po prostu czułam się samotna — wyjaśniła pani Dickie.

— Ależ droga pani Dickie — powiedział Cady — proszę pomyśleć...

— A zatem wniosek przeszedł — rzekł tubalnym głosem komendant Atkins. — Pan Beaton, jako jednoosobowy komitet, ma poinformować pana Cady'ego, że niestety członkostwo w straży pożarnej zostało przyznane mu z naruszeniem lokalnych zarządzeń, zgodnie z którymi zainteresowany powinien mieszkać w Spruce Falls przez trzy lata, nim uzyska prawo wyboru do straży.

— Wyjaśnię mu — powiedział równie głośno Beaton — że nie może tu być mowy o osobistej zniewadze, że jest to wyłącznie sprawa podporządkowania się naszym lokalnym zarządzeniom, które obowiązują od lat.

— Upewnij się, że rozumie, iż wszyscy go lubimy — dodał Ed Newcomb. — I powiedz, że jesteśmy dumni z tego, że taki ważny człowiek chce tutaj zamieszkać.

— Zrobię to — zaręczył Beaton. — To niezwykle inteligentny człowiek i jestem pewien, że dostrzeże mądrość wymogu dłuższego zamieszkiwania w naszym miasteczku. To nie fabryka, po której można się przejść i zobaczyć, co się w niej robi, a następnie zajrzeć do ksiązek i stwierdzić, czy jest to dobre, czy złe działanie. My nie wytwarzamy ani nie sprzedajemy niczego. Próbujemy razem żyć. Każdy człowiek musi tu być ekspertem dla siebie, a to zajmuje lata.

Na tym zebranie się skończyło.



Agent handlu nieruchomościami z Ilium był zdenerwowany, ponieważ nie zastał w Spruce Falls nikogo, z kim chciał rozmawiać. Stał w sklepie spożywczym Hala Braytona, wyglądając na opustoszałą ulicę i bawiąc się wiecznym piórem.

— Wszyscy pojechali na próbną jazdę ze sprzedawcą wozu strażackiego? — spytał z niedowierzaniem.

— Zamierzają spłacać ten samochód przez następne dwadzieścia lat — powiedział Upton Beaton, który doglądał sklepu, podczas gdy Brayton wybrał się na przejażdżkę wozem strażackim.

— Ewentualni napaleni klienci zaczną tu przyjeżdżać za tydzień, a oni wybierają się na przejażdżkę — rzekł z niesmakiem agent. Otworzył napój chłodzący i pozwolił, by pokrywka opadła z powrotem. — Co jest, lodówka nie działa? Wszystko jest ciepłe.

— Nie, Brayton po prostu nie pofatygował się, by ją włączyć po przestawieniu na dawne miejsce.

— Mówił pan, że to on jest tym facetem, który nie chce sprzedać swojego domu?

— Jednym z wielu — odpowiedział Beaton.

— Kto jeszcze?

— Wszyscy.

— Żartuje pan!

— Nie, skądże — rzekł Beaton. — Postanowiliśmy poczekać i popatrzeć, jak pan Cady się tutaj zaadaptuje, zanim wystawimy na sprzedaż coś innego. Jest mu ciężko, ale ma chyba dobre serce, a my wszyscy go dopingujemy.

Pamiętka

Joe Bane, właściciel lombardu, gruby, leniwy, łysy mężczyzna, miał twarz lekko skrzywioną z jednej strony, ponieważ przez całe życie patrzył na świat przez jubilerską lupę. Był samotny, nieutalentowany i nie chciałby wieść życia, w którym nie mógłby codziennie — z wyjątkiem niedziel — prowadzić gry, w której był po prostu świetny, a mianowicie kupować przedmiotów za bezcen i sprzedawać ich po znacznie wyższej cenie. Ta gra pochłaniała go całkowicie, stanowiła okazję, którą stworzyło mu życie, żeby mógł być lepszy od kolegów. Chodziło przede wszystkim o grę, pieniądze były sprawą drugoplanową, sposobem na utrzymanie pewnego poziomu życia.

Gdy Joe Bane otworzył swój sklep w poniedziałek rano, nad doliną wisiał pułap ciemnych deszczowych chmur, zamykając miasto w masie nieruchomego wilgotnego powietrza. Ledwie Bane zdążył powiesić płaszcz i kapelusz, odstawić parasol, zdjąć kalosze i usadzić swą potężną postać na stołku za kontuarem, do sklepu wszedł młody mężczyzna w kombinezonie, nieśmiały i ciemnoskóry jak Indianin, bez wątplenia biedny i czujący się niepewnie w mieście, oferując mu fantastyczny zegarek kieszonkowy za pięćset dolarów.

— Nie, proszę pana — rzekł uprzejmie młody farmer. — Nie chcę pożyczyć pieniędzy pod zastaw. Chcę sprzedać ten zegarek, o ile dostanę za niego odpowiednią cenę. — Wyraźnie nie miał ochoty oddać zegarka Bane'owi, trzymał go przez chwilę czule w stulonej dłoni, po czym położył na prostokacie czarnego aksamitu. — Miałem nadzieję zachować go i podarować najstarszemu synowi, ale bardzo są nam w tej chwili potrzebne pieniądze.

— Pięćset dolarów to mnóstwo pieniędzy — powiedział ze znużeniem Bane, tonem człowieka, który zbyt często pada ofiarą swej uprzejmości. Oglądał kamienie, którymi był wysadzany zegarek, nie zdradzając swego zachwyty. Obracał go w palcach, podziwiając błyski, rzucane przez brylanciki zaznaczające godziny i otaczające pokrętko, oraz wzór na odwrocie zegarka — parę splecionych dłoni, jedną czerwoną z małych rubinów, drugą zieloną z małych szmaragdów. Same kamienie, pomyślał Bane, są warte przynajmniej dziesięciokrotnie więcej, niż żądał farmer.

— Nie mam wielkiego popytu na tego rodzaju przedmioty — powiedział Bane. — Jeśli utopię w nim pięćset dolarów, mogę czekać przez całe lata, zanim trafi się nań amator, jeśli w ogóle się trafi. — Obserwując ogorzałą twarz farmera, wyczytał z niej, że uda mu się kupić zegarek znacznie taniej.

— Takiego drugiego nie ma w całym hrabstwie — rzekł poważnie farmer, nieporadnie wypróbowując swe umiejętności przekonywania.

— Właśnie o to chodzi — odparł Bane. — Kto zechce kupić taki zegarek? — Prawdę mówiąc, Bane chciał go mieć dla siebie i przymierzał się do niego pod tym kątem. Wcisnął przycisk z boku koperty i wsłuchał się w ciche tykanie mechanizmu, wygrywającego z wybiciem najbliższej godziny delikatne kuranty.

— Kupuje pan czy nie? — spytał farmer.

— Zaraz, zaraz — odparł Bane — to nie jest rodzaj transakcji, którą zawiera się bez zastanowienia. Muszę wiedzieć coś więcej o tym zegarku, zanim się zdecyduję. Otworzywszy kopertę, znalazł wewnątrz wygrawerowany napis w obcym języku. — Wie pan, co tu jest napisane?

— Pokazywałem ten napis nauczycielce w naszych stronach — odrzekł młody człowiek — ale ona potrafiła mi tylko powiedzieć, że to chyba po niemiecku.

Bane położył na inskrypcji bibułkę i pocierał ją ołówkiem w tę i z powrotem, dopóki nie uzyskał czytelnej kopii. Dał kopię oraz dziesięć centów pucybutowi kręcącemu się w pobliżu lombardu i wysłał go przecznicę dalej, żeby poprosił niemieckiego restauratora o tłumaczenie.

Pierwsze krople deszczu zaczęły rozpryskiwać się na brudnych szybach, gdy Bane rzekł od niechcienia do farmera:

— Policjanci mają ścisły nadzór nad tym, co się tutaj dzieje.

Farmer zaczerwienił się.

— Zegarek jest moją własnością — oświadczył z powagą. — Zdobyłem go na wojnie.

— Uhum. I uiścił pan opłatę celną?

— Opłatę?

— Oczywiście. Nie wolno wwozić biżuterii do naszego kraju bez opłacenia podatku. To przemyt.

— Po prostu włożyłem go do plecaka i przywiozłem do domu, jak to robili wszyscy — powiedział farmer. Był zaskoczony i zmartwiony, tak jak przewidywał Bane.

— Kontrabanda — rzekł złowróźnie Bane. — To niemal to samo co kradzież. — Podniósł uspokajającym gestem obie ręce. — Nie chcę przez to powiedzieć, że go nie mogę kupić, po prostu chciałem zwrócić panu uwagę, że trudno mi będzie znaleźć nabywcę. Gdyby zechciał pan sprzedać mi go, powiedzmy, za sto dolarów, być może zaryzykowałbym i spróbował panu pomóc. Staram się, kiedy tylko mogę, dawać szansę weteranom.

— Sto dolarów! Tylko tyle?

— Tyle jest wart, a ja prawdopodobnie jestem frajerem, że chcę tak dużo zapłacić — odparł Bane. Uśmiechnął się ufnie. — Przecież, do diabła, ta stowa łatwo panu przyszła, nie? Skąd pan ma ten zegarek? Zabrał go pan jakiemuś niemieckiemu jeńcowi czy znalazł gdzieś wśród ruin?

— Nie, proszę pana — odrzekł farmer ponuro — to było trochę trudniejsze.

Bane, który był ogromnie wyczulony na takie rzeczy, zauważył, że gdy farmer zaczął opowiadać, w jaki sposób wszedł w posiadanie zegarka, stopniowo odzyskiwał nieustępliwą pewność siebie, która opuściła go, gdy zostawił swą farmę i udał się do miasta, by dokonać transakcji.



— Mój najlepszy kumpel Buzzer i ja — opowiadał farmer — byliśmy jeńcami wojennymi w górzystym regionie Niemiec — ktoś powiedział mi, że nosi on nazwę Sudety. Pewnego ranka Buzzer obudził mnie i oznajmił, że wojna się skończyła, strażnicy uciekli, bramy obozu są otwarte.

Z początku Joe Bane zirytował się, że musi słuchać tej opowieści, ale farmer snuł ją z taką swadą i dumą, że Bane, który z braku własnych przygód lubił poznawać przygody innych, ujrzał z zazdrością oczyma wyobraźni, jak pogodnego wiosennego poranka, ósmego maja 1945 roku, w dniu, gdy skończyła się druga wojna światowa, dwaj żołnierze wychodzą przez otwarte bramy obozu i ruszają przed siebie wiejską drogą przez wzgórze.

Młody farmer, który miał na imię Eddie, oraz jego najlepszy przyjaciel Buzzer wkroczyli w pokój i wolność chudzi, obdarci, brudni i głodni, ale bez wrogości wobec kogokolwiek. Poszli na wojnę z dumy, a nie z zawziętości. Teraz wojna się skończyła, zadanie zostało wykonane, chcieli jak najszybciej wrócić do domu.

Zamierzali zwiedzić najbliższą okolicę obozu, a następnie wrócić i zaczekać wraz z resztą jeńców na przybycie oficjalnych wyzwolicieli. Ale plan spalił na panewce, gdy dwaj jeńcy kanadyjscy zaprosili ich, by uczcić wspólnie zwycięstwo butelką brandy, którą znaleźli we wraku niemieckiej ciężarówki.

W ich skurczonych brzuchach rozlało się cudowne ciepło, w głowach im się kręciło. Przepełnieni wielką ufnością i miłością do całej ludzkości, Eddie i Buzzer znaleźli się nagle wśród rozpychającego się, żalostnego tłumu niemieckich uciekinierów, którzy tłoczyli się na głównej górskiej drodze, pierzchając w strachu przed rosyjskimi czołgami, warczącymi monotonna i nie napotykanymi oporu w dolinie za nimi i poniżej. Najędźzały, by zając ostatni nie broniony skrawek niemieckiej ziemi.

— Przed czym uciekamy? — spytał Buzzer. — Przecież wojna się skończyła, prawda?

— Wszyscy uciekają — odpowiedział Eddie — myślę więc, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy ich śladem.

— Nie wiem nawet, gdzie jesteśmy — rzekł Buzzer. — Kanadyjczycy mówili, że w Sudetach.

— Gdzie to jest?

— Tu gdzie jesteśmy — odrzekł Eddie. — Fajne chłopaki ci Kanadyjczycy.

— Chcę coś oznajmić całemu światu! Ludzie — zawołał Buzzer — kocham dzisiaj wszystkich. Fiuuu! Chciałbym zdobyć butelkę brandy, założyć na nią smoczek i pójść z nią do łóżka na cały tydzień.

Eddie dotknął łokcia wysokiego mężczyzny o czarnych przylizanych włosach i zmartwionej twarzy, który miał na sobie cywilne ubranie, za małe na niego.

— Dokąd uciekamy, proszę pana? Czy wojna się nie skończyła?

Mężczyzna spiorunował go wzrokiem, burknął coś pod nosem i przepchnął się dalej.

— Nie rozumie po angielsku — rzekł Eddie.

— Czemu, u diabła, chłopie — skarcił go Buzzer — czemu nie mówisz do tych ludzi w ich ojczystym języku? Nie chowaj świecy pod korcem. Poszprechaj trochę do tego faceta.

Przechodzili właśnie obok niskiego czarnego otwartego samochodu, który stał unieruchomiony na wzniesieniu drogi. Młody muskularny mężczyzna o kwadratowej twarzy majstrował przy niesprawnym silniku. Na przednim skórzanym fotelu samochodu siedział starszy mężczyzna. Twarz miał pokrytą kurzem i kilkudniowym ciemnym zarostem, kapelusz nasunięty na oczy.

Eddie i Buzzer przystanęli.

— Dobra — rzekł Eddie. — Tylko posłuchaj. Wie geht's? — zwrócił się do blondyna. Były to jedyne niemieckie słowa, jakie znał.

— Gut, gut — mruknął z roztargnieniem Niemiec. Po czym, zdając sobie sprawę z absurdalności swej automatycznej odpowiedzi na pozdrowienie, odpowiedział ze straszliwą goryczą oraz ironią: — Ja! Geht's gut!

— Mówi, że wszystko świetnie.

— Och, ależ ty biegle gadasz w tym języku — rzekł Buzzer.

— Owszem, wiele podróżowałem — uśmiechnął się Eddie.

Starszy mężczyzna nagle się ożywił i krzyknął coś ostro i groźnie do mężczyzny grzebiącego w silniku.

Blondyn wyraźnie się przestraszył i zajął się pracą nad silnikiem ze zdwojoną energią i desperacją.

Oczy starszego mężczyzny, przed chwilą niezbyt przytomne, teraz były szeroko otwarte i bystre. Niektórzy uciekinierzy, mijając ich, odwracali się i gapili na niego.

Starszy mężczyzna wodził wyzywającym wzrokiem od twarzy do twarzy, nabierając tchu w płuca, żeby coś do nich krzyknąć. Zrezygnował jednak z westchnieniem, opuściła go odwaga. Ukrył twarz w dłoniach.

— Co powiedział? — spytał Buzzer.

— Nie mówi w znanym mi dialekcie — odpowiedział Eddie.

— Mówi jak Niemiec z dołów społecznych, co? — rzekł Buzzer. — Cóż, nie zamierzam się stąd ruszyć, dopóki nie znajdziemy kogoś, kto nam powie, co się dzieje. Jesteśmy Amerykanami, chłopcze. To nasi wygrali, no nie? Co my tu robimy z tymi wszystkimi frycami?

— Wy... wy, Amerykanie — powiedział niespodziewanie blondyn po angielsku, nie podnosząc głowy znad silnika. — Teraz wy będziecie musieli z nimi walczyć.

— On mówi po angielsku! — uradował się Buzzer.

— W dodatku całkiem dobrze — zauważył Eddie.

— Nieźle, naprawdę nieźle — zgodził się Buzzer. — Z kim mamy walczyć?

— Z Rosjanami — wyjaśnił młody Niemiec, najwyraźniej rozkoszując się tą myślą. — Was też pozabijają, jeśli was złapią. Zabijają wszystkich, którzy wejdą im w drogę.

— Do diabła, człowieku — zachnął się Buzzer. — Jesteśmy po ich stronie.

— Jak długo jeszcze? Uciekajcie, chłopcy, uciekajcie. — Zaklął i cisnął kluczem francuskim w silnik. Odwrócił się do starszego mężczyzny i powiedział coś do niego bezradnie, wyraźnie trzęsąc przed nim portkami.

Tamten obrzucił go stekiem niemieckich wyzwisk, wzruszył ramionami, wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Obaj popatrzyli z obawą w kierunku, z którego miały nadjechać czołgi, po czym ruszyli pieszo drogą.

— Dokąd idziecie? — spytał Eddie.

— Do Pragi. Amerykanie są w Pradze.

Eddie i Buzzer poszli za nimi.

— Straszny mamy dzisiaj mętlik z geografią, co, Eddie? — powiedział Buzzer. Potknął się, Eddie go podtrzymał. — Och, och, Eddie, ta stara gorzała uderzyła mi do głowy.

— Tak — przyznał Eddie, czując sam coraz większy zawrót głowy. — Do diabła z Pragą. Jeśli nie pojedziemy, nie pójdziemy, i tyle.

— Jasne. Znajdziemy sobie jakiś cienisty kącik, usiądziemy i zaczekamy na Rosjan. Pokażemy im po prostu nasze znaczki identyfikacyjne — rzekł triumfalnie Buzzer — a gdy je zobaczą, mogę się założyć, że zaproszą nas na wielką fetę. — Włożył rękę za pazuchę i wyciągnął znaczki zawieszony na sznurku.

— Och, tak — powiedział z przekąsem blondyn, który najwyraźniej słuchał uważnie ich rozmowy — wydadzą wspaniały bankiet na waszą cześć.

Kolumna pieszych poruszała się coraz wolniej i wolniej, coraz bardziej stłoczona. Nagle zatrzymała się, słychać było tylko szuranie i stłumione rozmowy.

— Pewnie kobieta idąca z przodu próbuje odczytać mapę drogową — rzekł Buzzer.

Z oddali dobiegły krzyki przypominające szum fal rozbijających się o brzeg. Po kilku pełnych niepokoju chwilach wyjaśniła się ich przyczyna — kolumna napotkała inną, uciekającą w przerażeniu z przeciwnej strony. Rosjanie otoczyli teren. Obie kolumny połączyły się, tworząc bezładny wir w samym sercu małej wioski, wylewając się bocznymi uliczkami i wspinając zboczami z obu jej stron.

— Tak czy owak nie znam nikogo w Pradze — powiedział ochryplym głosem Buzzer, zboczył z drogi i usiadł ciężko obok bramy otoczonego murem gospodarskiego podwórza.

Eddie poszedł za jego przykładem.

— Mój Boże, Buzzer — jęknął — może powinniśmy zostać tutaj i otworzyć sklep z bronią. — Pokazał gestem dłoni strzelby i pistolety leżące na trawie, zapewne porzucone przez jakąś niewielką jednostkę niemiecką, która straciła w tej chwili całe zainteresowanie wojną. — Amunicja i wszystko.

— Europa to całkiem niezłe miejsce na otwarcie sklepu z bronią — zgodził się Buzzer. — Mają tutaj fioła na punkcie pukawek.

Nie zważając na coraz większą panikę wśród ludzi kręcących się wokół nich, Buzzer zapadł w pijacki sen. Eddiemu również oczy się kleiły.

— Aha! — dobiegł ich z drogi czyjś głos. — Oto i nasi amerykańscy przyjaciele.

Podniósłszy wzrok, Eddie zobaczył dwóch Niemców, muskularnego młodzieńca oraz starszego choleryka, którzy uśmiechali się do nich.

— Cześć — powiedział apatycznie Eddie. Mijało rozweselające działanie brandy, ustępując miejsca mdłościom.

Młody Niemiec otworzył bramę na podwórze.

— Wejdźmy tutaj, proszę — zwrócił się do Eddiego. Mamy wam coś ważnego do powiedzenia.

— Mówcie tutaj — odparł Eddie.

Blondyn skłonił głowę.

— Chcemy się wam poddać.

— Co takiego?

— Poddajemy się — powtórzył blondyn. — Jesteśmy waszymi jeńcami — jeńcami amerykańskiej armii.

Eddie wybuchnął śmiechem.

— Poważnie!

— Buzzer! — Eddie trącił przyjaciela czubkiem buta. — Hej, Buzzer, musisz to usłyszeć na własne uszy.

— Hmm?

— Właśnie wzięliśmy do niewoli dwóch facetów.

Buzzer otworzył oczy i spojrzał z ukosa na Niemców.

— Jestem pijany, a ty jeszcze bardziej, Eddie, skoro trujesz o pojmaniu jeńców, Eddie — powiedział wreszcie. — Ty cholerny idioto, wojna się skończyła. — Machnął wspólną ręką. — Puść ich wolno.

— Przeprowadźcie nas przez linie Rosjan do Pragi jako amerykańskich jeńców, a zostaniecie bohaterami — rzekł blondyn. Zniżył głos. — To znany niemiecki generał. Pomyślcie tylko — wy dwaj dostarczycie waszym takiego jeńca!

Buzzer przyjrzał się ciekawie starszemu mężczyźnie.

— To naprawdę generał? — spytał z niedowierzaniem. — Heil Hitler, papciu.

Stary podniósł dłoń w skróconym pozdrowieniu.

— Niewiele ikry w nim zostało — powiedział Buzzer.

— Z tego, co słyszałem — rzekł Eddie — Buzzer i ja zostaniemy bohaterami, jeśli uda nam się samym przedostać przez linie Rosjan. Nie zamierzamy taszczyć ze sobą na barana niemieckiego generała i jego totumfackiego.

Blondyn przetłumaczył te słowa starszemu mężczyźnie, który najwyraźniej był wściekły. Widocznie uważał, że propozycja jest nie do odrzucenia, że Buzzera i Eddiego spotyka wielki zaszczyt.

Warkot rosyjskich czołgów był coraz bliższy.

— Dobrze, dobrze — powiedział śpiesznie blondyn — wobec tego sprzedajcie nam swoje mundury. Zostaną wam przecież znaczki, poza tym możecie wziąć nasze ubrania.

— Wolę raczej być biedny niż martwy — odpowiedział Eddie. — A ty, Buzzer?

— Chwileczkę, Eddie — powstrzymał go Buzzer. — A co nam za to dacie?

Niemcy nabrali chyba nadziei, ale rzucali ukradkowe spojrzenia na tłumy kłębiące się wokół.

— Wejdźmy na podwórze — zaproponował muskularny młodzieniec. — Nie możemy pokazać wam tutaj, przy tych wszystkich ludziach.

— Słyszałem, że w okolicy można nawet spotkać nazistów — odparł Buzzer. — Dajcie nam rzucić okiem tutaj.

— I kto tu jest cholernym głupcem? — spytał Eddie.

— Chcę tylko móc opowiedzieć moim wnukom, jaką okazję przepuściłem — upierał się Buzzer.

Blondyn poszperał w kieszeniach i wyjął gruby zwitek niemieckich banknotów.

— Pieniądze sprzymierzeńców! — zauważył Buzzer. — A co masz jeszcze?

Blondyn zaproponował w następnej kolejności piękny pistolet maszynowy ze swastykami po obu stronach rękojeści z kości słoniowej, wysadzany drogimi kamieniami.

Buzzer dotknął na chwilę czubkami palców tego skarbu.

— Taak — westchnął cicho i cofnął z ociąganiem dłoń. — Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby dzisiaj było na tyle gorąco, by włóczyć się po okolicy z pistoletem.

— Poza tym swastyki wyszły chyba z mody, Buzzer — zauważył Eddie.

— Masz coś innego, papciu? — spytał Buzzer.

Starszy mężczyzna zaczął przetrząsać kieszenie. Nagle uśmiechnął się, gdy jego palce natrafiły na jakiś przedmiot. Wyjął go, ale trzymał zamknięty w dłoni, dopóki jego pięść nie znalazła się o kilka centymetrów od twarzy Buzzera.

— Zo! — powiedział, otwierając dłoń.

— O rany! — jęknął Buzzer.

Na dłoni starszego mężczyzny leżał duży złoty zegarek kieszonkowy z brylancikami oznaczającymi godziny i otaczającymi pokrętło.

Blondyn również był pod wrażeniem, widocznie nigdy przedtem nie widział tego zegarka.

Stary, uśmiechając się jak czarownik, nacisnął przycisk z boku koperty i kuranty wybiły najbliższą godzinę.

— Spójrz tylko, Eddie! — rzekł o napięciem Buzzer. Wyciągnął rękę, ale Niemiec cofnął dłoń, kręcąc głową. Pokazał na mundur Buzzera.

— Twój też — powiedział blondyn do Eddiego. — Chcemy mieć oba.

— I co, u diabła, na to powiesz, Eddie? — spytał Buzzer. Wstał, chwiejąc się na nogach. — Daj spokój, bracie, taka okazja nigdy nam się już nie trafi, wiesz dobrze. Pcha się do nas drzwiami i oknami. — Wyciągnął rękę do starego Niemca. — Daj nam ten zegarek.

— Jak dostaniemy mundury — powiedział blondyn. Pokazał na bramę.

Ziemia drżała od łoskotu czołgów.

— Chodźmy — rzekł Buzzer, wchodząc przez bramę na zatłoczone podwórze. Niemcy oraz Eddie postępowali tuż za nim.

Z trzech stron otaczały ich opuszczone zabudowania gospodarcze koloru błota oraz dom. Po czwartej stronie, za ich plecami, gruby mur oraz masywna brama tłumiliy dobiegające z zewnątrz odgłosy. W półmroku stajni majaczyły puste boksy. W małych oknach domu wiatr tylko poruszał lekko zasłonami. Samotna kura przefrunęła przez podwórko, strasząc grupę mężczyzn, zatrzymała się, by dziobnąć niepewnie Żelazny Krzyż, błyszczący na ziemi, po czym skryła się w sanktuarium stajni.

— Mamy wszystko dla siebie — powiedział blondyn. Odwrócił się, spoglądając na bramę, którą pchnął tak, że się prawie zamknęła.

Starszy Niemiec podniósł do góry zegarek, demonstrując go Eddiemu i Buzzerowi, i nacisnął znów przycisk.

Buzzer, który rozpinał właśnie koszulę, przekrzywił głowę, słuchając kurantu.

— Rany, chyba zrobili to dla jakiegoś króla — rzekł z zachwytem. — Eddie, staruszkę, kiedy po...

Jego głos utonął w ryku silników czołgów wjeżdżających do wioski, strzelaninie i dzikim, radosnym śpiewie przy głośnym akompaniamencie akordeonów.

I Buzzer padł na ziemię zabity strzałem w głowę przez blondyna, który teraz wycelował spokojnie w Eddiego i strzelił.

Kula drasnęła Eddiego w głowę, gdy zaś odwrócił się i rzucił do ucieczki, druga przebiła mu lewą rękę.

Pędził w stronę półmroku stajni, blondyn za nim. Eddie dał nura w słomę w ciemnym kącie. Niemiec stał w progu, z pistoletem gotowym do strzału, niczym myśliwy polujący z zimną krwią na zwierzynę.

W słomie, obok Eddiego, leżały widły. Sięgnął po nie. Jego dłoń znalazła się w smudze światła i Niemiec zauważył kątem oka ten ruch.

— Och? — powiedział łagodnie i postąpił kilka kroków w kierunku ciemnego kąta.

Eddie trzymał w zdrowej ręce długie stylisko wideł. Niemiec strzelił na chybił trafił w kierunku kąta i podszedł ostrożnie bliżej, aż znalazł się w odległości dwóch metrów od Eddiego.

Eddie podniósł nagle widły, wzbijając fontannę pyłu i słomy, którą w pierwszej chwili można było wziąć za skaczącego człowieka.

Niemiec wystrzelił dwukrotnie w kierunku zjawy. W tym samym momencie Eddie zerwał się i wbił widły w pierś mężczyzny.

Chwycił bogato zdobiony pistolet martwego blondyna i, chory z bólu i wściekłości, powłókł się do wrót stajni. Zobaczył swego przyjaciela leżącego nago na twardej gołej ziemi. Nad nim stał starszy Niemiec w wymiętym mundurze Buzzera i właśnie wkładał przez głowę jego żołnierski znaczek.

Mężczyzna trzymał w ręku zegarek i Eddie postanowił strzelić w chwili, gdy stary będzie wkładał go do kieszeni. Ale Niemiec zrobił coś dziwnego. Spojrzał na zegarek, uśmiechnął się cierpko i rzucił go na ziemię. Wyprostował się, założył kciuki za pas i krzyknął władczo na swego ochroniarza.

— Wie geht's? — spytał Eddie, a gdy stary odwrócił się do niego, by powiedzieć, że wszystko w porządku, zastrzelił go.



Oberwanie chmury nad lombardem Joëgo Bane'a straciło swą intensywność. Ogromna chmura, niczym mokry pies układający się do snu, strzepnęła kilka ostatnich grubych kropel i zawisła znów spokojnie nad miastem.

— Ubrałem z powrotem Buzzera w jego mundur — kończył swą opowieść Eddie — i zostawiłem generała leżącego tam, jak go Pan Bóg stworzył. Wyszedłszy na zewnątrz, napotkałem czterech australijskich jeńców wojennych, którzy obandażowali mi rękę, i zabraliśmy Buzzera do Pragi.

— A co z Rosjanami? — spytał Joe.

— Rosjanie byli tacy pijani i szczęśliwi z powodu zakończenia wojny, że nas przepuścili bez problemów — wyjaśnił Eddie. — Słyszałem, że później w nocy wprowadzili obostrzenia, ale pierwszego dnia odnosiłem wrażenie, że nawet samemu Adolfowi Hitlerowi udałoby się wydostać z Niemiec. W taki sam sposób jak Amerykanom. Pierwszego dnia Niemcy mogli sobie chodzić, gdzie im się żywnie podobało, niektórzy nawet poodjeżdżali amerykańskimi ciężarówkami.

Eddie wziął zegarek i wsunął go do kieszeni, zanim Bane zdołał go powstrzymać.

— W każdym razie dziękuję, że powiedział mi pan, ile jest wart — powiedział.

— Mógłbym podnieść cenę do dwustu dolarów — rzekł śpiesznie Bane.

— To miło z pańskiej strony — podziękował mu Eddie z autentyczną wdzięcznością — ale jako pamiątka po Buzzerze jest wart znacznie więcej. Nie wiem, co mnie naszło, że chciałem go sprzedać.

— Trzysta dolców — powiedział Bane. — Chyba oszalałem, niech pan bierze, zanim się rozmyślę.

Eddie zdawał się nie słyszeć oferty.

— Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu — rzekł uprzejmie.

— Pięćset! — wykrzyknął Bane.

Ale Eddie wtopił się w tłum ludzi wychodzących spod daszków i z domów na lśniąco po deszczu chodniki.

Bane wcisnął klawisz kasy rejestrującej, po czym zatrzaskał ze złością szufladę.

— Uparty jak kozioł, durny wieśniak! — parsknął.

Wszedł pucybut, niechlujny i przemoczony. Podniósł triumfalnie do góry kawałek bibułki, na której Bane skopiował inskrypcję wygrawerowaną wewnątrz zegarka.

— Już wiem, co to znaczy — powiedział.

Bane wyrwał mu szybko kartkę z ręki, nie było na niej jednak tłumaczenia.

— Spodziewałem się, że pan się tak zachowa, więc nauczyłem się tego na pamięć — rzekł chłopiec. — Proszę mi zapłacić trzydzieści centów.

— Już ci zapłaciłem! — wykrzyknął z oburzeniem Bane. — Co tam jest napisane?

— Nie zapłacił mi pan za łożenie po deszczu — powiedział chłopiec, zachowując bezpieczną odległość. — Nie włóczę się podczas ulewy za marnego dziesiątaka.

— Pewnie — rozżłościł się Bane. — Nie zapłacę ci ani grosza więcej. Ten kmiotek zatrzymał swój zegarek.

— Niech pan robi, co chce — wzruszył ramionami chłopiec i ruszył do wyjścia.

— Chodź tutaj! — rozkazał Bane. — Dam ci jeszcze jednego dziesiątaka i ani grosza więcej. Bierz albo się wynoś.

— Dwadzieścia.

— Dychę — nie ustępował Bane, oczy mu błyszczały.

— Dwadzieścia!

— Podzielmy resztę na połowę — rzekł Bane.

— Niech ci będzie piętnaście, krwio pijco — zgodził się z rezygnacją chłopiec.

— Masz, ty brudny, mały rekinie. — Bane nucił na ladę piętnaście centów. Był przygotowany, by w najgorszym wypadku ustąpić do dwudziestu. — A teraz gadaj, i to radzę, dokładnie.

Chłopiec wyprostował ramiona, jego oczy nabrały obojętnego wyrazu, gdy zaczął recytować:

— Generałowi Heinzowi Guderianowi, Szefowi Sztabu Generalnego, który nie spocznie, dopóki ostatni nieprzyjacielski żołnierz nie zostanie przepędzony ze świętej ziemi Trzeciej Rzeszy Niemieckiej — ADOLF HITLER.

Chłopiec ruszył do wyjścia, po czym obejrzał się na Bane'a.

— Nie wydałeś pieniędzy na marne, co, ojczulku?

Rejs „Wesołego Rogera”

Podczas Wielkiego Kryzysu Nathan Durant był bezdomny, dopóki nie znalazł domu w armii amerykańskiej. Spędził w tejże armii siedemnaście lat, myśląc o ziemi jako o terenie, o wzgórzach i dolinach jako o ogniu flankowym i ochronie przed ogniem flankowym, o horyzoncie jako o czymś, na czego tle człowiek nie powinien stawać, o domach, lasach i zaroślach jako o schronieniu. Było to dobre życie i kiedy czuł się zmęczony myślami o wojnie, brał sobie dziewczynę i butelkę, a nazajutrz rano był gotów poświęcić znów więcej uwagi wojnie.

Gdy miał trzydzieści sześć lat, nieprzyjacielski pocisk trafił w stanowisko dowodzenia wśród wzgórz w Korei, znajdujące się pod grubą zieloną osłoną maskującą. Podmuch wyrzucił majora Duranta, jego mapy i jego karierę wojskową przez ścianę namiotu.

Zawsze zakładał, że umrze młodo i walecznie. Nie umarł jednak. Nagle śmierć znalazła się daleko, bardzo daleko i Durant stanął przed perspektywą wielu nieznanym i przerażających spokojnych lat.

W szpitalu mężczyzna z sąsiedniego łóżka mówił bez przerwy o statku, który chce kupić, gdy już całkiem poskładają go do kupy. Z braku własnych podniecających marzeń na czas pokoju, z braku domu, rodziny i cywilnych przyjaciół, Durant przejął marzenie sąsiada.

Z głęboką blizną przecinającą policzek, bez prawego płatka ucha, ze sztywną nogą, pokuśtykał do stoczni jachtowej w New London, porcie znajdującym się najbliżej szpitala, i kupił używany turystyczny jacht motorowy. Nauczył się nim sterować w tymże porcie, nadał mu nazwę „Wesoły Roger”, którą podsunęły mu dzieciaki wałęsające się w stoczni, i wyruszył przypadkowo w stronę wyspy Martha's Vineyard.

Pozostał tam zaledwie jeden dzień, przygnębiony spokojem i monotonią, uczuciem głębokiego, sennego bezmiaru czasu, kobietami i mężczyznami tak wtopionymi w ciszę tego miejsca, że nie mieli nic do powiedzenia staremu żołnierzowi poza zdawkowymi uwagami na temat pogody.

Durant popłynął do Chatham, na półwysep Cape Cod, gdzie spotkał piękną kobietę u podnóża latarni morskiej. Miał na sobie swój stary mundur, wyglądał tak, jak chciałby

wyglądać w dawnych latach, tuż przed niebezpieczną misją, w którą mogliby się udać razem z ową kobietą. Kiedyś kobiety traktowały go jak małego chłopczyka, któremu pozwalały zlizać lukier z ciastka. Ale ona odwróciła wzrok, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania. Był nikim i niczym. Iskra zgasła.

★ ★ ★

Jego wcześniejszy zawadiacki nastrój powrócił na godzinę lub dwie, gdy walczył z porywistym wiatrem u wschodniego wydmowego wybrzeża Cape Cod. Nie było z nim jednak na pokładzie nikogo, kto mógłby podziwiać ten widok, toteż gdy dotarł do zacisznego portu w Provincetown i zszedł na brzeg, był znowu pustym w środku człowiekiem, który nie musiał nigdzie być w żadnym czasie i który miał całe życie za sobą.

— Proszę spojrzeć w górę — powiedział młody, krzykliwie ubrany mężczyzna z aparatem fotograficznym i dziewczyną uwieszoną na jego ramieniu.

Zaskoczony Durant wykonał polecenie, rozległo się pstryknięcie migawki.

— Dziękuję — rzekł pogodnie młodzieniec.

— Jest pan malarzem? — spytała dziewczyna.

— Malarzem? — zdziwił się Durant. — Nie, skądże, jestem emerytowanym oficerem armii amerykańskiej.

Para z trudem usiłowała ukryć swoje rozczarowanie.

— Przykro mi — powiedział Durant, czując irytację i przygnębienie.

— Och — roześmiała się wesoło dziewczyna — tam jest kilku prawdziwych malarzy.

Durant zerknął na artystów, trzech mężczyzn i jedną kobietę. Wszyscy dobiegali trzydziestki. Siedzieli na nabrzeżu, oparci plecami o posrebrzone, pełne drzazg pale, i szkicowali. Kobieta, ładna, opalona brunetka, patrzyła prosto na Duranta.

— Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym pana narysowała? — spytała go.

— Nie... nie, chyba nie — odpowiedział Durant, trochę gburowato. Zastygł w bezruchu, zastanawiając się, co też znalazła w nim na tyle interesującego, by to uwiecznić na papierze. Uświadomił sobie, że myśli o lunchu, o małym kambuzie na „Wesołym Rogrze”, o czterech pomarszczonych parówkach, dwudziestu dekagramach sera i nędznej resztki piwa, które tam na niego czekały.

— Proszę — powiedziała — widzi pan? — Podała mu rysunek.

Durant zobaczył potężnego, złaknionego mężczyznę z wielką blizną, zgarbionego i niepokieszonego jak zagubione dziecko.

— Czy naprawdę wyglądam tak okropnie? — spytał z wymuszonym uśmiechem.

— Naprawdę czuje się pan tak okropnie?

— Myślałem o lunchu. Lunch też może być czymś okropnym.

— Nie tam, gdzie go jadamy — powiedziała. — Może wybierze się pan z nami?

Major Durant poszedł z nimi, z Edem, Teddym i Lou, tańczącymi przez życie, które wydawało się pełne zabawnych tajemnic, oraz z Marion. Był przyzwyczajony do obcowania z dużymi grupami ludzi, rzadko chadzał sam i teraz szedł rażno, czując ulgę, że znowu jest wśród ludzi.

Podczas lunchu cała czwórka rozprawiała swobodnie na temat malarstwa, baletu i teatru, aż wreszcie Durant poczuł znużenie udawaniem zainteresowania, trzymał się jednak dzielnie.

— Czyż jedzenie nie jest tutaj świetne? — spytała uprzejmie i zdawkowo Marion.

— Uhum — potwierdził Durant. — Ale sos krewetkowy jest trochę nijaki. Brakuje...

— Poddał się. Cała czwórka pogrzyżyła się znów w wesołej paplaninie.

— Czy przyjechał pan samochodem? — spytał Teddy, widząc, że Durant patrzy na niego z dezaprobatą.

— Nie — odparł Durant. — Przypląnąłem moim statkiem.

— Statkiem! — wykrzyknęli chórem w podnieceniu i Durant poczuł, że stał się nagle ośrodkiem zainteresowania.

— Jakiego rodzaju? — spytała z ożywieniem Marion.

— Jacht motorowy — odrzekł dumnie Durant.

Miny im zrzędy.

— Och — powiedziała Marion — jedna z tych turystycznych pyrkawek, co to zapalasz silnik i telepiesz się powoli naprzód.

— No cóż — rzekł Durant, chcąc im opowiedzieć o wietrze, z którym musiał walczyć — z pewnością przestaje to być piknikiem, kiedy...

— Jak się nazywa pański jacht? — spytał Lou.

— „Wesoły Roger” — odpowiedział Durant.

Młodzi ludzie wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym wybuchnęli śmiechem, powtarzając nazwę jachtu, ku zdziwieniu i konsternacji Duranta.

— Gdyby miał pan psa — powiedziała Marion — założę się, że nazwałby go pan Azorem.

— To chyba całkiem odpowiednie imię dla psa — odrzekł Durant, czerwieniąc się.

Marion wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni.

— Aach, pocziwcze, niech pan nie zwraca na nas uwagi. — Była impulsywną, uczuciową kobietą i widocznie nie miała pojęcia, jak głęboko jej dotyk poruszył samotnego Duranta, mimo urazy, którą czuł. — Gadamy i gadamy, a panu nie dajemy dojść do słowa. Co pan robi w wojsku?

Durant był zaskoczony, nie wspominał bowiem, że jest wojskowym, a na jego spłowiłym mundurze nie było żadnych odznak.

— Byłem przez pewien czas w Korei — odpowiedział. — Zostałem ranny i zwolniono mnie z armii.

Jego słowa zrobiły na młodych ludziach duże wrażenie, popatrzyli na niego z szacunkiem.

— Czy sprawia panu przykrość mówienie o tym? — spytał delikatnie Ed.

Durant westchnął. Nie miał ochoty opowiadać o tym Edowi, Teddy'emu i Lou, ale bardzo chciał, żeby Marion usłyszała całą historię — chciał jej pokazać, że chociaż nie potrafi mówić jej językiem, potrafi mówić własnym, żywym.

— Nie — odpowiedział — są pewne sprawy, które należy pominąć milczeniem, ale w przeważającej części nie widzę powodu, żeby o nich nie mówić. — Durant usiadł wygodnie, zapalił papierosa i popatrzył przez zmrużone oczy w przeszłość, jak przez grubą zasłonę zarośli ze stanowiska obserwacyjnego.

— A więc — zaczął — byliśmy na wschodnim wybrzeżu... — Nigdy nie próbował opowiadać o swoim życiu i teraz, chcąc sprawić wrażenie grzecznego i wygadanego, zawarł w swej historii wiele rozmaitych szczegółów, w miarę jak mu się przypominały, aż wreszcie stała się ona bełkotliwym, niezbornym opisem wojny, tak jak naprawdę wyglądała; bezsensowny, zagmatwany chaos tej narracji był niezwykle realistyczny, lecz stanowił marną rozrywkę.

Mówił już od dwudziestu minut i jego słuchacze zdążyli wypić kawę, zjeść deser i wypalić po dwa papierosy. Kelnerka zaczęła się już niecierpliwic z powodu nie zapłaconego rachunku. Durant, zarumieniony i zły na siebie, próbował w tej chwili pozbiierać tysiące ludzi rozproszonych na sześćdziesięciu pięciu tysiącach kilometrów kwadratowych w Korei Południowej, a jego słuchacze z zaszklonymi oczami rozjaśniali się za każdym razem, gdy zanosilo się, że wreszcie mu się to uda i historia dobiegnie końca. Ale sygnały zawsze były fałszywe i wreszcie, gdy Marion po raz trzeci dyskretnie ziewnęła, Durant przeszedł nieoczekiwanie do momentu, kiedy pocisk trafił w stanowisko dowodzenia i podmuch wyrzucił go przez ścianę namiotu, po czym nagle umilkł.

— No cóż — powiedział Teddy — nam, którzy nie zetknęliśmy się z wojną, trudno to sobie wyobrazić.

— Słowa nie oddadzą wszystkiego — rzekła Marion, poklepując znów Duranta po dłoni. — Przeszedł pan tak wiele, a jest pan taki skromny.

— Doprawdy nie ma o czym mówić — wzruszył ramionami Durant.

Po chwili milczenia Marion wstała.

— Rozmowa była bez wątpienia przyjemna i interesująca, majorze — powiedziała. — Wszyscy życzymy panu szczęśliwej podróży na „Wesołym Rogerze”.

I tak to się skończyło.



Wróciwszy na „Wesołego Rogera”, Durant dopił zwietrzałe piwo i pomyślał, że jest skłonny się poddać — sprzedać jacht, wrócić do szpitala, włożyć szlafrok, grać w karty i przeglądać czasopisma aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Studiował ponuro mapy, by sprawdzić kurs powrotny do New London. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że dzieli go zaledwie kilka kilometrów od rodzinnego miasteczka przyjaciela, który zginął podczas drugiej wojny światowej. Przeszło mu przez myśl, że powinien w drodze powrotnej złożyć wizytę temu duchowi.

Przypłynął do miasteczka wczesnym rankiem w wiosennej mgle, na dzień przed Dniem Pamięci. Sam czuł się jak duch. Przybił fatalnie do przystani, aż zadrżały deski pomostu, po czym przycumował „Wesołego Rogera”, niezdarnie wiążąc węzeł.

Gdy znalazł się na głównej ulicy, była pusta i spokojna, lecz udekorowana flagami. Spotkał jedynie dwóch przechodniów, którzy obrzucili przelotnym spojrzeniem potężnego, ponurego nieznanego.

Wstąpił na pocztę i zaczął rozmawiać z energiczną starszą kobietą, która sortowała pocztę.

— Przepraszam — rzekł grzecznie Durant. — Szukam rodziny o nazwisku Pefko.

— Pefko? Pefko? — powtórzyła naczelniczka poczty. — Tutaj chyba nie mieszka nikt o takim nazwisku. Pefko? Może to letnicy?

— Nie... nie sędzę. Jestem pewien, że nie. Mogli się wyprowadzić jakiś czas temu.

— Hm, gdyby tu mieszkali, pewnie bym ich znała. Przychodziliby odbierać korespondencję. Mieszka nas tu tylko czterysta osób przez okrągły rok i nigdy nie słyszałam o żadnym Pefce.

Sekretarka z kancelarii adwokackiej, mieszczącej się po przeciwnej stronie ulicy, weszła do urzędu, uklękła obok Duranta i wybrała kombinację cyfrową szyfru swojej skrzynki pocztowej.

— Annie — spytała naczelniczka poczty — znasz kogoś w okolicy, kto nazywa się Pefko?

— Nie — odpowiedziała Annie — chyba że to ci, którzy mają ten letni domek za wydmami. Trudno dojść, do kogo należy. Właściciele zmieniają się co chwila.

Wstała, a Durant dostrzegł, że jest pociągająca w zdecydowanie praktyczny sposób, bez sztuczek i ozdóbek. Ale był obecnie tak przekonany o własnej nieatrakcyjności, że potraktował ją od niechcienia.

— Proszę posłuchać — powiedział — nazywam się Durant, major Nathan Durant. Pochodził stąd jeden z moich najlepszych przyjaciół z wojska. George Pefko — wiem, że był stąd. Tak mi powiedział i tak było zapisane w dokumentach. Jestem tego pewien.

— Aach, chwileczkę, chwileczkę! — wykrzyknęła Annie. — Ma pan rację... z pewnością. Teraz sobie przypominam.

— Znała go pani? — spytał z ożywieniem Durant.

— Słyszałam o nim — odrzekła Annie. — Wiem, o kim pan mówi — o tym, który zginął na wojnie.

— Walczyłem z nim — powiedział Durant.

— A ja nadal go sobie nie przypominam — zauważyła naczelniczka poczty.

— Nie pamiętasz jego, ale pewnie pamiętasz rodzinę. I faktycznie mieszkali za wydmami. Boże, to było tak dawno — dziesięć lub piętnaście lat temu. Przypominasz sobie tę dużą rodzinę, która namówiła Paula Eldredge'a, żeby pozwolił im mieszkać przez całą zimę w jednym z jego letnich domków? Mieli chyba sześcioro dzieciaków albo i więcej. Nazywali się Pefko. Cud, że nie zamrzli na śmierć, nie mając do ogrzewania domu niczego poza kominkiem. Staruszek przyjechał tutaj zbierać borówki i został przez całą zimę.

— Trudno to nawet nazwać jego rodzinnym miastem — powiedziała naczelniczka.

— George tak je nazywał — rzekł Durant.

— No cóż, myślę, że dla młodego George'a to rodzinne miasto było równie dobre jak każde inne — stwierdziła Annie. — To była rodzina wędrowców.

— George zaciągnął się do wojska z tego miasta — wyjaśnił Durant. — Przypuszczam, że tak postanowił. — Rozumując w podobny sposób, Durant wybrał Pittsburgh na swoje rodzinne miasto, choć mogłoby równie dobrze do tego pretendować tuzin innych miast.

— To jeden z tych facetów, dla których armia stała się domem — powiedziała naczelniczka poczty. — Kościsty, twardy chłopak. Teraz sobie przypominam. Jego rodzina nigdy nie dostała żadnego listu. Tak, nie pamiętałam ich, ponieważ nie chodzili do kościoła. Tułacze. Musiał być mniej więcej w wieku twojego brata, Annie.

— Wiem. Ale ja snułam się bez przerwy za moim bratem w tamtych latach, a Pefko nigdy nie miał nic wspólnego z jego paczką. Oni zawsze trzymali się na uboczu, ci Pefkowie.

— Musi być ktoś, kto go dobrze pamięta — rzekł Durant. — Ktoś, kto... — Przerwał, zawieszając głos, by pozostawić wrażenie nacisku. To nie do zniesienia, że po George'u zaginął wszelki ślad.

— Gdy tak sobie teraz myślę — powiedziała Annie — jestem prawie pewna, że mamy plac nazwany jego imieniem.

— Plac? — spytał Durant.

— No, nie całkiem — odrzekła Annie. — Tak go po prostu nazywają. Gdy mężczyzna z naszej okolicy ginie na wojnie, miasto nazywa jego imieniem jakiś niewielki obiekt, na przykład rondo czy coś w tym rodzaju. Umieszczają tam tablicę z jego nazwiskiem. Jestem niemal pewna, że imieniem pańskiego przyjaciela został nazwany trójkąt obok przystani.

— Trudno jest w dzisiejszych czasach śledzić ich wszystkich — powiedziała naczelniczka poczty.

— Czy chciałby pan zobaczyć to miejsce? — spytała Annie. — Z chęcią pana zaprowadzę.

— Tablicę? Mniejsza o to. — Otrzeptał dłonie. — Gdzie tu jest restauracja — taka z barem?

— Po piętnastym czerwca, dokąd tylko zwróci pan kroki — odpowiedziała naczelniczka. — Ale teraz wszystko jest zamknięte na cztery spusty. Może pan kupić kanapkę w drugstorze.

— Równie dobrze mogę stąd wyjechać — odparł Durant.

— Skoro już pan tu jest, może zostałby pan na paradzie? — zaproponowała Annie.

— Po siedemnastu latach w wojsku to byłaby prawdziwa przyjemność — powiedział Durant. — A jaka to parada?

— Z okazji Dnia Pamięci.

— Dzień Pamięci wypada chyba jutro — zauważył Durant.

— Dzieci maszerują dzisiaj. Jutro szkoła jest zamknięta — wyjaśniła Annie, po czym dodała z uśmiechem: — Obawiam się, że będzie pan musiał ścierpieć jeszcze jedną paradę, majorze, ponieważ dzieci są już tutaj.

Durant podążył za nią apatycznie i stanął na chodniku. Słyszał dźwięki marsza, ale uczestników parady nie było jeszcze widać. Kilkanaście osób czekało na przemarsz pochodu.

— Maszerują od placu do placu — powiedziała Annie. — Naprawdę powinniśmy zaczekać na nich przy placu George'a.

— Proszę bardzo — zgodził się Durant. — Będę bliżej jachtu.

Ruszyli w dół ku przystani, gdzie stał przycumowany „Wesoły Roger”.

— Miasto utrzymuje te placyki bardzo ładnie — rzekła Annie.

— Zawsze tak robią, zawsze tak robią.

— Śpieszy się pan, żeby dotrzeć gdzieś jeszcze dzisiaj?

— Ja? — spytał Durant z goryczą. — Ja? Nikt na mnie nigdzie nie czeka.

— Ach, tak — powiedziała Annie, zaskoczona. — Przepraszam.

— To nie pani wina.

— Nie rozumiem.

— Jestem żołnierskim włóczęgą. To mnie powinni byli zastrzelić i uhonorować tabliczką. Nie znaczą absolutnie nic dla nikogo.

— Oto i plac — powiedziała łagodnie Annie.

— Gdzie? Ach, tutaj. — Plac był trójkątem murawy o bokach długości trzech metrów każdy, wypadkową przecięcia się uliczek i ścieżki. Pośrodku znajdował się niski głaz z przytwierdzoną do niego metalową tabliczką, którą łatwo było przegapić. — Plac imienia George'a Pefki — przeczytał Durant. — O rany, ciekawe, co by George na to powiedział!

— Podobałoby mu się, prawda? — spytała Annie.

— Pewnie śmiałby się do rozpuku.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego.

— Nic, absolutnie nic — poza tym, że nie ma to z niczym nic wspólnego, prawda? Kogo obchodzi George? I czemu miałby kogoś obchodzić? Właśnie tego oczekuje się od ludzi — żeby wywieszać tabliczki.

Zza rogu wyszedł właśnie ośmioosobowy zespół muzyczny złożony z nastolatków. Szli nie w nogę, czyniąc dumny, optymistyczny, głośny i nieskładny hałas, który w zamierzeniu miał być muzyką.

Przed nimi jechał policjant, ciężki od władzy, błyszczącej skóry, pistoletu, nabojów, kajdanków, pałki i odznaki. Był wspaniale zaabsorbowany swym dymiącym, strzelającym motocyklem, jadąc zygzakiem przed maszerującymi.

Za małą orkiestrą, zza rogu wylała się rzeka żółci i fioletu, która zdawała się płynąć jakiś metr nad ziemią. Po obu stronach tej barwnej rzeki szli chodnikiem nauczyciele, wysocy i surowi jak kościoły w Nowej Anglii, wydając polecenia dzieciom z naręczami kwiatów.

— Bez i forsycja zakwitły wcześniej w tym roku — powiedziała Annie. — Czasami o tej porze jeszcze nie kwitną. To nigdy nie jest pewne.

— Doprawdy?

Nauczycielka wyjęła gwizdek i dała nim sygnał. Pochód zatrzymał się i kilkanaścioro dzieci ruszyło w stronę Duranta, niosąc kwiaty. Oczy im błyszczały, szły, podnosząc wysoko kolana.

Durant odsunął się na bok.

Trębacz odegrał fałszywie uroczysty capstrzyk.

Dzieci ułożyły starannie kwiaty przed tablicą głoszącą: „Plac imienia George’a Pefki”.

— Czy to nie urocze? — szepnęła Annie.

— Owszem — przyznał Durant. — Nawet posąg nie powstrzymałby się od łez. Ale co to znaczy?

— Tom — zawołała Annie do małego chłopca, który właśnie położył kwiaty — czemu to robisz?

Chłopiec rozejrzał się dookoła z miną winowajcy.

— Co robię?

— Kładziesz tutaj kwiaty — rzekła Annie.

— Powiedz im, że składasz hołd jednemu z naszych walecznych bohaterów, którzy bezinteresownie oddali życie — odpowiedziała nauczycielka.

Tom spojrział na nią obojętnie, po czym przeniósł wzrok na kwiaty.

— Nie wiesz? — spytała Annie.

— Jasne, że wiem — odpowiedział wreszcie. — Zginął, walcząc o to, żebyśmy my mogli żyć wolni i bezpieczni, a my dziękujemy mu, składając kwiaty, ponieważ był to piękny uczynek. — Popatrzył ze zdziwieniem na Annie, że w ogóle o to pyta. — Wszyscy to wiedzą.

Policjant niecierpliwie dodał gazu. Nauczycielka ustawiła reprezentację z powrotem w szeregu i pochód ruszył dalej.

— No i co — odezwała się Annie — czy żałuje pan, majorze, że musiał pan ścierpieć jeszcze jedną paradę?

— To wszystko prawda, czyż nie? — rzekł cicho Durant. — To takie cholernie proste i tak łatwo o tym zapomnieć. — Przyglądając się tyczkowatym nogom, podnoszącym się i opadającym w marszowym kroku, w powodzi kwiatów, nagle uświadomił sobie, że żyje, dostrzegł piękno i znaczenie miasteczka w czasie pokoju. — Może nigdy nie wiedziałem — nigdy nie miałem okazji, żeby się dowiedzieć. O to właśnie chodzi w wojnie. O to.

Wybuchnął nagle śmiechem.

— George, ty bezdomny, rogaty, stary, szalony pijaku — powiedział do tabliczki na kamieniu. — Niech mnie diabli, jeśli nie zostaniesz świętym!

Dawny żar powrócił. Major Durant, w domu, z dala od wojen, był kimś.

— Czy nie zjadłaby pani ze mną lunchu? — zaproponował. — Potem moglibyśmy wybrać się na małą wycieczkę moim jachtem.

Panna młoda na zamówienie

Jestem doradcą indywidualnych klientów w firmie konsultacyjnej do spraw inwestycji. Właśnie zaczynam zdobywać klientelę i widzieć jasno, w jaki sposób powinienem skromnie — zasięgać dobrej porady, którą sprzedaję. Mój strój — szary garnitur, filcowy kapelusz i granatowy płaszcz — jest zapłacony, a gdy dostanę jeszcze pół tuzina białych koszul, zamierzam kupić trochę akcji.

Zadajemy w firmie konsultacyjnej do spraw inwestycji standardowe pytanie, które brzmi: „Panie X, zanim dokonamy analiz i przedstawimy zalecenia, chcielibyśmy wiedzieć, czego oczekuje pan od swojego portfela — jest pan nastawiony na zysk czy rozwój?”. Portfel są to oszczędności w formie akcji i obligacji. Pytanie ma na celu ustalenie, czy klient chce umieścić swoje oszczędności tam, gdzie będą się pomnażały, ale początkowo będzie otrzymywał niskie dywidendy, czy też woli, aby oszczędności pozostały mniej więcej na tym samym poziomie, ale dywidendy od początku były wysokie.

Najczęściej klient odpowiada, że chce, by oszczędności się pomnażały i akcje od początku dawały wysokie dywidendy. Pragnie szybko się wzbogacić. Zdarzają się jednak również odpowiedzi nietypowe, zwłaszcza tych klientów, którzy z powodu pewnego rodzaju umysłowej blokady — nie potrafią traktować poważnie abstrakcyjnych pieniędzy. Wówczas na moje pytanie o zysk lub rozwój mówią o czymś, czego zakup ich korci — samochód, wycieczka, jacht, dom.

Gdy postawiłem takie pytanie klientowi, który nazywał się Otto Krummbein, odpowiedział, że chciałby uszczęśliwić dwie kobiety: Kitty i Falloleen.

Otto Krummbein jest geniuszem, projektantem krzesła Krummbeina, dwumodularnego łóżka Krummbeina, karoserii samochodu wyścigowego Marittima-Frascati oraz całej linii urządzeń kuchennych Mercury.

Jest do tego stopnia zafascynowany pięknem, iż jego rozwój umysłowy w sprawach finansowych zatrzymał się na poziomie tępego dziewięciolatka. Gdy pokazałem mu po raz pierwszy zaświadczenie o liczbie akcji, które zakupiłem do jego portfela, chciał je natychmiast sprzedać, ponieważ nie podobał mu się wzór na formularzu.

— Ależ, Otto, co za różnica, jak wygląda zaświadczenie? — spytałem skonsternowany. — Najważniejsze, że firma, która się za nim kryje, jest dobrze zarządzana, rozwija się i ma przyzwoitą rezerwę gotówkową.

— Każda firma — oświadczył Otto — która wybrałaby jako swój symbol to okropieństwo umieszczone w nagłówku swojego formularza, tę tłustą Meduzę siedzącą okrakiem na rurze kanalizacyjnej i oplątaną kablem, jest bez wątpienia bezlitosna, ordynarna i głupia.

Gdy Otto został moim klientem, nie miał środków na założenie portfela. Poznał mnie z Ottonem jego prawnik, a mój przyjaciel, Hal Murphy.

— Zobaczyłem go po raz pierwszy dwa dni temu — wyjaśnił Hal. — Przyszedł do mnie i powiedział od niechcenia, w mglisty sposób, że może być mu potrzebna niewielka pomoc. — Hal roześmiał się nieszczerze. — Mówiono mi, że ten Krummbein jest geniuszem, ale ja myślę, że pochodzi z dzielnicy nędzy. W ciągu ostatnich siedmiu lat zarobił ponad dwieście trzydzieści pięć tysięcy dolarów i...

— Wobec tego, super, jest geniuszem! — zawołałem.

— Przepuścił każdego centa z tych pieniędzy na przyjęcia, nocne lokale, dom i stroje dla żony — oznajmił Hal.

— Hurra! — wykrzyknąłem. — Zawsze chciałem udzielić takiej rady co do inwestowania pieniędzy, ale nikt by mi za nią nie zapłacił.

— No cóż, Krummbein jest absolutnie zadowolony ze swych inwestycji — powiedział Hal. — Pomyślał, że może potrzebować pomocy, ponieważ dostał wezwanie z urzędu skarbowego.

— Ohoho, założę się, że zapomniał wypełnić szacunkową deklarację podatkową na nadchodzący rok — domyśliłem się.

— Przegrałeś zakład — rzekł Hal. — Ten geniusz nigdy nie zapłacił nawet centa podatku dochodowego — nigdy! Powiedział, że wciąż czeka, żeby przysłali mu rachunek, a oni się nie kwapią. — Hal jęknął. — No cóż, bracie, w końcu się do niego dobrali. Wystawili mu niezły rachunek!

— Co mogę zrobić? — spytałem.

— Przez cały czas napływają do niego stosy pieniędzy, tantiemy — wyjaśnił Hal. — Zajmiesz się nimi, a ja tymczasem spróbuję wybronić go od więzienia. Wspomniałem mu o tobie, a on chce, żebyś wpadł do niego do domu jak najszybciej.

— Z usług którego banku korzysta? — spytałem.

— Żadnego — odpowiedział Hal. — Korzysta z wiklinowego kosza pod swoim stołem kreślarskim. Jedź tam i zdobądź ten kosz.



Dom Ottona, będący zarazem siedzibą jego firmy, znajduje się czterdzieści pięć kilometrów od miasta, na pustkowiach obok wodospadu. Przypomina z grubsza pudełko od zapalek spoczywające na szpulce. Piętro, pudełko od zapalek, jest oszklone ze wszystkich stron, a parter, szpulka, jest ceglany cylindrem bez okien.

Gdy przyjechałem tam po raz pierwszy, na parking dla gości znajdowały się cztery inne samochody. Właśnie odbywało się nieduże cocktail party. Gdy krążyłem wokół domu, zastanawiając się, jak się do niego dostać, usłyszałem pukanie w szybę na piętrze. Podniosłem wzrok i zobaczyłem najbardziej zaskakującą i w dziwny sposób najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widziałem.

Była wysoka i smukła, pod pasiastym trykotem rysowały się delikatne mięśnie. Ufarbowane na srebrny kolor włosy miały lekko niebieskawy odcień, w białym, idealnym owalu twarzy błyszczały zielone oczy pod łukami czarnych jak węgle, mocno umalowanych brwi. Jediną jej ozdobę stanowił kolczyk — złota barbarzyńska obręcz w lewym uchu. Kobieta wykonywała koliste ruchy dłonią i w końcu zrozumiałem, że mam wejść po spiralnej rampie otaczającej ceglany cylinder.

Rampa zaprowadziła mnie na wąski pomost ciągnący się wzdłuż szklanych ścian. Ogromny, energiczny mężczyzna tuż po trzydziestce odsunął szklaną płytę i zaprosił mnie do środka. Miał na sobie nylonowy lawendowy kombinezon i sandały. Był zdenerwowany, z jego głęboko osadzonych oczu wyzierało zmęczenie.

— Pan Krummbein? — spytałem.

— A któż by inny? — burknął Otto. — A pan jest zapewne czarodziejem od wielkich finansów. Przejdźmy do mojej pracowni, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał, a potem wypije pan z nami drinka.

Jego pracownia mieściła się wewnątrz ceglanych cylindra. Zaprowadził mnie do niej inną spiralną rampą. W pomieszczeniu nie było okien, tylko sztuczne oświetlenie.

— To chyba najnowocześniejszy dom, w jakim kiedykolwiek byłem — zauważyłem.

— Co też pan mówi — pokręcił głową Otto. — Jest już przestarzały o dwadzieścia lat, ale na tyle starczyło mi wyobraźni. Wszystko inne jest zacofane co najmniej o sto lat, stąd bierze się niepokój, bieganie do psychiatrów, rozbite rodziny, wojny. Nie nauczyliśmy się projektowania życia stosownie do czasów, w których żyjemy. Nasze życie koliduje z naszymi czasami. Proszę spojrzeć na pańskie ubranie! Żywce z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Nie jest pan ubrany stosownie do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku.

— Może i nie — odparłem pojednawczo — ale za to stosownie do pracy, którą wykonuję.

— Jest pan słamany przez tradycję — rzekł Otto. — Czemu nie powie pan: „Zbuduję sobie życie na miarę czasów, w których żyję, i uczynię je dziełem sztuki”? Pańskie życie nie jest dziełem sztuki — jest wiktoriańską etażerką z trzeciej ręki, na której stoi czyjaś kolekcja morskich muszli i ręcznie rzeźbionych słoni.

— Tak — powiedziałem, siadając na sześciometrowej kanapie — to moje życie, zgadza się.

— Proszę zaprojektować swoje życie tak, by przypominało tamtą fińską karafkę — rzekł Otto — czystą, harmonijną, ożywioną chłodnym, cierpkim umiłowaniem racjonalności w naszych czasach. Podobną do Falloleen.

— Spróbuję — obiecałem odważnie. — Jest to głównie kwestia poradzenia sobie z kłopotami finansowymi. Co to jest Falloleen, nowe cudowne włókno?

— Moja żona — odpowiedział Otto. — Bez wątpienia zauważył ją pan — to ta w trykocie.

— Rzeczywiście zauważyłem.

— Czy widział pan kiedykolwiek kobietę tak wspaniale wkomponowaną w tego rodzaju otoczenie — która sama uważa, że jest stworzona do współczesnego życia? — spytał Otto. — To niezwykle rzadkie, proszę mi wierzyć. Bywało tu wiele znanych piękności, ale Falloleen jest jedyną, która nie wygląda na tle tego domu jak przeładowany mebel z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

— Od jak dawna jest pan żonaty? — spytałem.

— Świętujemy na górze, ponieważ minął właśnie miesiąc naszego rozkosznego małżeństwa — odrzekł Otto. — To miodowy miesiąc, który się nigdy nie skończy.

— Jak miło — powiedziałem. — A teraz co do pańskich finansów...

Otto popatrzył na mnie z niepokojem.

— Proszę mi obiecać jedno — że nie będzie mnie pan frustrował. Nie mogę pracować, gdy jestem przygnębiony. Najdrobniejsza rzecz potrafi mnie wytrącić z równowagi, na przykład, ten pański krawat. Okropnie mnie razi. Nie potrafię jasno myśleć, gdy na niego patrzę. Czy mógłby pan zrobić mi tę uprzejmość i zdjąć go? Pańskim kolorem jest cytrynowożółty, a nie ten ohydny bordo.



W pół godziny później, bez krawata, czułem się jak człowiek grasujący na miejskim wysypisku śmieci otoczonym przez tłące się zwały opon, zardzewiałe sprężyny łóżek i sterty puszek, ponieważ tak właśnie wyglądał obraz finansów Ottona Krummbeina. Nie prowadził ksiąg, kupował wszystko, na co mu przyszła ochota, nie zważając na koszty, był posiadaczem rujnujących rachunków z całego miasta za ubrania dla Falloleen i nie miał nawet centa na rachunku oszczędnościowym, na rachunku ubezpieczeniowym ani w portfelu.

— Jestem przerażony — powiedział Otto — nie chcę iść do więzienia. Nie miałem zamiaru robić niczego złego. Dostałem nauczkę. — Wziął z półki Biblię i położył na niej dłoń. — Przysięgam, że zrobię wszystko, co mi pan każe, absolutnie wszystko! Tylko proszę, niech mnie pan nie przygnębia.

— Jeśli potrafi pan nie tracić dobrego nastroju z powodu tych kłopotów, to Bóg mi świadkiem, że i ja go nie stracę. Myślę, że musimy uratować pana przed samym sobą — pozwoli mi pan zarządzać swoimi dochodami, a pan będzie otrzymywał kieszonkowe.

— Doskonale — ucieszył się Otto. — Podziwiam odważne podejście do problemu. Dzięki temu będę miał spokojną głowę do zrealizowania pomysłu, na który wpadłem podczas miesiąca miodowego, pomysłu, który przyniesie miliony. Zetrę te wszystkie długi jednym śmiertelnym ciosem!

— Proszę tylko pamiętać — zauważyłem — że będzie pan musiał od tego również płacić podatki. Jest pan pierwszym facetem, któremu przyszedł do głowy zyskowny pomysł podczas miesiąca miodowego. Czy to tajemnica?

— Kosmetyki sterowane światłem księżyca — wyjaśnił Otto — zaprojektowane specjalnie w taki sposób, zgodnie z zasadami światła i koloru, żeby kobieta wyglądała najlepiej w blasku księżyca. Miliony, tryliony!

— Wspaniale — powiedziałem — tymczasem jednak chciałbym przejrzeć pańskie rachunki, żeby zorientować się dokładnie, jak poważna jest pańska sytuacja, i wyliczyć minimalne kieszonkowe.

— Mógłby wybrać się pan dziś z nami na kolację — zaproponował Otto — a potem wrócić tutaj i zająć się moimi sprawami. W pracowni nikt nie będzie panu przeszkadzał. Przykro mi, że musimy iść do restauracji, ale kucharz ma dzisiaj wychodne.

— To mi nawet odpowiada — odrzekłem. — W ten sposób będę miał pana pod ręką. Mam do pana mnóstwo pytań. Na przykład, ile jest w koszu?

Otto zbladł.

— Och, a więc wie pan o koszu? Niestety, nie możemy z niego skorzystać. Jest przeznaczony na specjalne cele.

— To znaczy? — spytałem.

— Potrzebuję go nie dla siebie, lecz dla Falloleen — wyjaśnił Otto. — Czy nie mógłbym zatrzymać tego, co tam jest, i przesyłać panu wszystkich tantiem, które będą wpływać od dnia dzisiejszego? To byłoby nie w porządku, gdyby Falloleen cierpiała z powodu moich błędów. Proszę mnie do tego nie zmuszać. Niech pan nie odziera mnie z szacunku do samego siebie jako do męża.

Miałem dość, wstałem zniecierpliwiony.

— Nie odzieram pana z niczego, panie Krummbein — powiedziałem. — Postanowiłem, że nie będę u pana pracował. Nie jestem zresztą zarządcą majątkowym. Obiecałem wyświadczyć przysługę Halowi Murphy'emu, ale nie miałem pojęcia, jak fatalne

są warunki pracy. Wyraził się pan, że próbuję pana z czegoś odrzeć, tymczasem prawda jest taka, że zanim się tutaj zjawilem, pańskie nagie kości leżały na pustyni pańskiego marnotrawstwa. Czy jest jakieś inne ukryte wyjście z tego silosu, czy mam wyjść stąd tą samą drogą, którą przyszedłem?

— Nie, nie, nie — rzekł Otto przepraszającym tonem. — Proszę usiąść. Musi mi pan pomóc. Po prostu przeżyłem wstrząs. Trudno mi przywyknąć do myśli, że sprawy mają się aż tak źle. Przypuszczałem, że każe mi pan rzucić papierosy czy coś w tym rodzaju. — Wzruszył ramionami. — Proszę wziąć kosz i wypłacić mi kieszonkowe. — Zasłonił oczy dłonią. — Utrzymywać Falloleen z kieszonkowego to tak jak „poić” mercedesa pepsi-colą.



W koszu znajdowało się ponad pięć tysięcy dolarów w czekach z tytułu tantiem od producentów i około dwustu dolarów gotówką. Gdy wypisywałem pokwitowanie dla Ottona, drzwi pracowni na górze otworzyły się i Falloleen, która na zawsze już będzie kojarzyć mi się z fińską karafką, zeszła z wdziękiem na dół, niosąc tacę z trzema kieliszkami martini.

— Pomyślałam, że pewnie zaschło wam w gardle — powiedziała.

— Głos jak kryształowy dźwięk kurantów — rzekł z zachwytem Otto.

— Mam wyjść czy mogę zostać? — spytała Falloleen. — To takie nudne przyjęcie bez ciebie, Ottonie, czuję się skępowana, nie wiem, o czym mam rozmawiać.

— Piękno nie potrzebuje języka — powiedział Otto.

Otrzeptałem dłonie.

— Myślę, że na razie ustaliliśmy pewne sprawy. Zabiorę się poważnie do pracy wieczorem.

— Jestem kompletnym tumanem w sprawach finansowych — przyznała Falloleen.

— Zostawiam je całkowicie Ottonowi — jest taki inteligentny, prawda?

— Tak — odrzekłem.

— Pomyślałam, że będzie świetna zabawa, jeśli przeniesiemy się z naszym całym towarzystwem do „Chez Armando” na kolację — rzekła Falloleen.

Otto popatrzył na mnie bezradnie.

— Właśnie rozmawialiśmy o miłości i o pieniądzach — wyjaśniłem Falloleen. — Powiedziałem, że jeśli kobieta kocha mężczyznę, nie jest dla niej ważne, ile pieniędzy na nią wydaje. Zgadza się pani?

Otto pochylił się z napięciem, czekając na jej odpowiedź.

— Gdzie się pan wychowywał? — spytała Falloleen. — Na kurzej fermie w Saskatchewan?

Otto odchylił się na oparcie kanapy i uśmiechnął się boleśnie, jak gdyby otrzymał cios w spłot słoneczny.

Falloleen spojrzała na niego z przestraczem.

— Wyraźnie dzieje się tu coś, o czym nie mam pojęcia — wyszeptała. — Żartowałam. Powiedziałam coś aż tak strasznego? Pytanie o miłość i pieniądze wydało mi się okropnie głupie. — Na jej twarzy odmalowało się nagłe zrozumienie. — Ottonie — spytała spokojnie — czy jesteś splukany?

— Kompletnie — odrzekł Otto.

Falloleen dzielnie wyprostowała śliczne ramiona.

— Wobec tego powiedz reszcie towarzystwa, żeby poszli sobie do „Chez Armando” bez nas, że dla odmiany chcemy spędzić spokojny wieczór w domu.

— Ty powinnaś być tam, gdzie jest dużo ludzi i dobra zabawa — powiedział Otto.

— Zmęczyło mnie to — rzekła Falloleen. — Zabierasz mnie każdego wieczora Bóg wie gdzie. Ludzie podejrzewają chyba, że boimy się zostać sam na sam.



Otto poszedł na górę odprawić gości, zostawiając mnie z Falloleen na długiej kanapie. Oszołomiony jej perfumami oraz urodą i mając wrażenie, że mówię do porcelanowej lalki, spytałem:

— Czy pracuje pani w branży rozrywkowej, pani Krummbein?

— Czasami tak się czuję — przyznała Falloleen. Popatrzyła z zakłopotaniem na swoje niebieskie paznokcie. — Z pewnością robię z siebie widowisko, dokądkolwiek pójdę, prawda?

— To wspaniały widok — zauważyłem.

— Pewnie — rzekła z westchnieniem. — Przecież zostałam stworzona przez największego projektanta na świecie, twórcę dwumodularnego łóżka Krummbeina.

— Pani mąż stworzył panią?

— Nie wiedział pan o tym? — zdziwiła się Falloleen. — Byłam szarą myszką, którą on przemienił w księżniczkę. Pana też zaprojektuje, jeśli tylko będzie miał okazję. Widzę, że już nakłonił pana do zdjęcia krawata. Założę się, że powiedział panu również, jaki jest pański kolor.

— Cytrynowożółty — potwierdziłem.

— Za każdym razem, gdy widzi człowieka — powiedziała Falloleen — czyni drobne sugestie mające poprawić jego wygląd. — Przesunęła beznamyślnie dłońmi po swej fantastycznej figurze. — Krok po kroku przechodzi się długą drogę.

— Pani nigdy nie była szarą myszką — zaprotestowałem.

Falloleen uśmiechnęła się nieznacznie.

— Rok temu byłam zwykłą zaniedbaną dziewczyną o ciemnych włosach, prosto po szkole sekretarek, zaczynając pracę u wielkiego Krummbeina.

— Miłość od pierwszego wejrzenia? — spytałem.

— Z mojej strony tak — odpowiedziała Falloleen. — Dla Ottona była to kwestia pewnej wizji na pierwszy rzut oka. Drażniło go we mnie wiele rzeczy i nie potrafił jasno myśleć w mojej obecności. Zmieniliśmy to po kolei i nikt nie wie, co się stało z Kitty Cahoun.

— Kitty Cahoun? — zdziwiłem się.

— Zwykłą zaniedbaną dziewczyną o ciemnych włosach, prosto po szkole sekretarek — wyjaśniła Falloleen.

— Falloleen nie jest pani prawdziwym imieniem?

— To wymysł Krummbeina. Kitty Cahoun nie pasowała do wystroju. — Zwiesiła głowę, przejawiając nagle przygnębienie. — Miłość... — powiedziała — proszę nie dawać mi więcej głupich pytań na temat miłości.



— Poszli do „Chez Armando” — rzekł Otto, wracając do pracowni. Podał mi żółtą jedwabną chustkę. — To dla pana. Proszę włożyć ją do butonierki. Ożywi ten ciemny garnitur tak jak żonkile las.

Posłuchałem go, po czym przejrzałem się w lustrze. Chustka rzeczywiście dodawała mi odrobiny fantazji, bez agresywności.

— Dziękuję bardzo — powiedziałem. — Spędziłem miło czas z pańską żoną, rozmawiając o tajemniczym zniknięciu Kitty Cahoun.

— A co się z nią stało? — spytał poważnie Otto. Gdy uświadomił sobie, co powiedział, zrobił straszliwie głupią minę i spróbował obrócić wszystko w żart. — Zadziwiający i zabawny dowód na to, jak działa ludzki mózg, prawda? — zaśmiał się głośno. — Przywykłem myśleć o tobie wyłącznie jako o Falloleen, kochanie. — Zmienił śpiesznie temat. — A teraz maestro zamierza przygotować dla nas wszystkich kolację. — Położył mi dłoń na ramieniu. — Usilnie nalegam, żeby pan został. Kurczak à la Krummbein, szparagi à la Krummbein, ziemniaki à la Krummbein...

— Myślę, że to ja powinnam coś upichcić — przerwała mu Falloleen. — Najwyższy czas, żeby młoda małżonka ugotowała swój pierwszy posiłek.

— Nie ma mowy — rzekł Otto. — Nie pozwolę, żebyś cierpiała z powodu mojego braku predyspozycji do prowadzenia spraw finansowych. Czuję się okropnie. Falloleen nie pasuje do kuchni.

— Już wiem — powiedziała Falloleen — przygotujemy kolację razem. Czy to nie będzie miłe, tylko my, we dwoje?

— Nie, nie, nie, nie — zaprotestował Otto. — Chcę, żeby wszystko było niespodzianką. Zostań tu z panem J. P. Morganem, dopóki cię nie zawołam. I proszę nie podglądać.



— Nie zamierzam się martwić o to wszystko — oznajmił Otto, gdy posprzątaaliśmy wszyscy razem po kolacji. — Nie potrafię pracować, gdy jestem przygnębiony, a jeśli nie będę mógł pracować, nie zdobędę pieniędzy, by wydostać się z finansowych tarapatów.

— Ważne, by ktoś się o to martwił — powiedziałem — i właśnie po to tu jestem. Zostawiam was, papużki nierozłączki, tutaj na górze w cieplarni, a sam zabieram się do pracy.

— Człowiek musi spędzać połowę swego czasu z Naturą — rzekł Otto — a połowę z sobą samym. W większości domów istnieje tylko błotnista, mroczna wypadkowa. Chwył mnie za rękaw. — Proszę się nie śpieszyć. Praca nie zajac, nie ucieknie. Może urządzimy sobie we trójkę miłe spotkanie towarzyskie, poznamy się lepiej, a jutro zabierze się pan do pracy?

— To miło z pańskiej strony — powiedziałem — ale im szybciej przystąpię do pracy, tym szybciej uporamy się z pańskimi kłopotami. Poza tym, nowożeńcy nie lubią, gdy się im przeszkadza podczas pierwszego wieczoru w domu.

— Na miłość boską! — rzekł serdecznie Otto. — Przecież nie jesteśmy już nowożeńcami.

— Owszem, jesteśmy — łagodnie poprawiła go Falloleen.

— Jasne, że tak — poparłem ją, otwierając moją aktówkę. — I z pewnością macie sobie mnóstwo do powiedzenia.

— Uhum — mruknął Otto.

Zapadło niezręczne milczenie. Otto i Falloleen wpatrywali się w mrok przez szklane ściany, unikając spojrzenia sobie w oczy.

— Czy przebierając się do kolacji, Falloleen nie założyła o jeden kolczyk za dużo? — spytał Otto.

— Miałam wrażenie, że z jednym wyglądam asymetrycznie — wyjaśniła.

— Pozwól, że ja to osądzę — rzekł Otto. — Nie rozumiesz sensu całej kompozycji — tutaj lekki brak równowagi, ale tam, pomyślcie, idealna przeciwwaga.

— Zatem nie grozi pani przewrócenie się do góry nogami — powiedziałem, otwierając drzwi do pracowni. — Bawcie się dobrze.

— Nie rozdrażniło cię to, Ottonie, prawda? — spytała ze zmieszaniem Falloleen. Zamknąłem za sobą drzwi.



Pracownia była dźwiękoszczelna i gdy siedziałem w niej pierwszego wieczoru w domu Krummbeinów, grzebiąc w szczytkach ich finansów, nie dochodziły do mnie żadne odgłosy.

Przeszkodziłem im tylko raz, z długą listą pytań. Na górze panowała prawie absolutna cisza, zakłócona jedynie łagodną muzyką z gramofonu i szelestem ciężkiego drogiego materiału. Ubrana we wspaniałą suknię wieczorową Falloleen wirowała w leniwym tańcu. Leżący na kanapie Otto przyglądał jej się spod zmrużonych powiek, puszczając kółka z dymu.

— Pokaz mody? — spytałem.

— Pomyślałam, że będę się dobrze bawiła, przymierzając wszystkie ubrania, które kupił mi Otto i których nie miałam okazji włożyć — powiedziała Falloleen. Mimo mocnego makijażu wyglądała mizernie. — Podoba się panu? — spytała.

— Bardzo — uśmiechnąłem się do niej, po czym wyrwałem Ottona z odrętwienia, by odpowiedział na moje pytania.

— Czy nie powinienem zejść na dół i popracować z panem? — zaofiarował się z ożywieniem.

— Dzięki, ale nie. Potrzebny mi absolutny spokój.

Otto był wyraźnie rozczarowany.

— Proszę nie mieć żadnych obiekcji i dać mi znać, gdyby pan czegoś potrzebował.



W godzinę później Falloleen i Otto zeszli do pracowni z filiżankami i dzbankiem kawy. Uśmiechali się, ale w ich oczach czaiła się nuda.

Falloleen miała na sobie niebieską aksamitną suknię bez ramiączek, oblamowaną gronostajami na dole i wokół dekoltu, z którego wyzierały białe ramiona, ale garbiła się i powłóczyła nogami. Sprawiała wrażenie osoby, która żałuje, że nie ma kieszeni, do których mogłaby schować ręce. Otto ledwie zaszczycał ją spojrzeniem.

— A-a-ach! — ucieszyłem się. — Kawa! O tym marzyłem! Pokaz mody trwa nadal?

— Skończyły mi się suknie — odpowiedziała Falloleen.

Nalała kawy do filiżanek, zrzuciła buty i położyła się w jednym końcu kanapy. Otto rozparł się w drugim końcu, chrząkając. Spokój tej sceny był zwodniczy. Ani Otto, ani Falloleen nie czuli się zrelaksowani. Falloleen zaciskała i rozluźniała pięści, Otto zaś szcząkał co kilka sekund zębami.

— Wygląda pani naprawdę uroczo, Falloleen — powiedziałem. — Czy przypadkiem kosmetyki, których pani użyła, nie są sterowane światłem księżycy?

— Tak — potwierdziła ze znużeniem Falloleen. — Otto przygotował trochę próbek, jestem chodzącym laboratorium. Fascynująca praca.

— Nie pada na panią blask księżyca, mimo to jednak uważam, że eksperyment odniósł fantastyczny sukces.

Otto usiadł, pokrzepiony pozytywną oceną jego pracy.

— Naprawdę pan tak uważa? Przez większość naszego miodowego miesiąca świecił księżyc i pomysł, praktycznie rzecz biorąc, sam mi się nasunął.

Falloleen również usiadła, zainteresowana sentymentalnie tematem miesiąca miodowego.

— Bardzo lubiłam wychodzić wieczorami do rozmaitych olśniewających miejsc — powiedziała — ale najmilej wspominam wieczór, gdy pływalismy łódką po jeziorze, tylko we dwoje, świecił księżyc.

— Przyglądałem się jej wargom w blasku księżyca — dodał Otto — i...

— Ja patrzyłam w twoje oczy — wtrąciła Falloleen.

Otto pstryknął palcami.

— I wtedy wpadłem na ten pomysł! Do licha, zwykłe kosmetyki wyglądały źle w świetle księżyca. Uwidaczniały się bardziej niewłaściwe kolory, zieleń i błękit. Falloleen wyglądała, jak gdyby wyciągnięto ją w lutym z kanału La Manche.

Falloleen spoliczkowała go z całej siły.

— Czemu to zrobiłaś? — wykrzyknął Otto z twarzą zaczerwienioną od uderzenia. — Wydaje ci się, że nie odczuwam bólu?

— A tobie się wydaje, że ja nie odczuwam? — spytała z rozpaczą Falloleen. — Według ciebie jestem zrobiona ze sklejki i plastiku?

Otto jęknął głośno.

— Mam dość bycia Falloleen i nieustannego pokazu elegancji. — Zniżyła głos do szeptu. — Ona jest głupia i płytką, przestraszona i zagubiona, nieszczęśliwa i niekochana.

Wyszarpnęła żółtą chusteczkę z mojej butonierki i wytarła nią gwałtownie twarz, zostawiając na niej czerwone, różowe, białe, niebieskie i czarne smugi.

— Zaprojektowałeś ją, zasłużyłeś na nią i oto ją masz! — Wcisnęła zaplamioną chustkę do bezwładnej dłoni Ottona i pobiegła na górę spiralną rampą. — Żegnaj!

— Falloleen! — krzyknął Otto.

Przystanęła na chwilę w progu.

— Nazywam się Kitty Cahoun Krummbein — oznajmiła. — Falloleen należy do ciebie.

Otto machnął na nią chusteczką.

— Jest w takim samym stopniu twoja, jak i moja. Chciałaś być Falloleen. Zrobiłaś wszystko, żeby nią być.

— Ponieważ cię kochałam — rzekła Kitty z oczami pełnymi łez. — Stworzyłeś ją, była cała dla ciebie.

Otto podniósł z pokorą ręce do góry.

— Krummbein nie jest nieomylny — powiedział. — Krew się polała obficie, gdy amerykańska gospodyni domowa przytknęła do piersi obrotowy otwieracz do konserw Krummbeina. — Wzruszył ze smutkiem ramionami. — Myślałem, że bycie Falloleen uczyni cię szczęśliwą, tymczasem ty jesteś nieszczęśliwa. Przykro mi. Nieważne, co z tego wyszło, robiłem wszystko z miłości.

— Kochasz Falloleen — rzekła Kitty tragicznym tonem.

— Podoba mi się z wyglądu — powiedział Otto, następnie dodał po chwili wahania: — Naprawdę jesteś znowu Kitty?

— Czy Falloleen pokazałaby twarz, gdyby tak wyglądała?

— Nigdy — odparł Otto. — Wobec tego powiem ci, Kitty, że Falloleen była potwornie nudna, gdy nie przybierała jakiejś pozy albo nie robiła teatralnego wejścia lub wyjścia. Żyłem w strachu, żeby nie zostać z nią sam na sam.

— Falloleen nie wiedziała, kim lub czym jest — zaszlochała Kitty. — Nie dałeś jej żadnego wnętrza.

Otto podszedł do niej i wziął w ramiona.

— Kochanie — powiedział — Kitty Cahoun miała zostać w środku, ale kompletnie zniknęła.

— Nic ci się w niej nie podobało — rzekła niepokieszona Kitty.

— Moja droga, uroczą żono, na kuli ziemskiej są tylko cztery rzeczy, które nie wymagają przeprojektowania, a jedną z nich jest dusza Kitty Cahoun. Myślałem, że jest bezpowrotnie stracona.

Przytuliła się do niego niepewnie.

— A trzy pozostałe? — spytała.

— Jajko — odpowiedział Otto. — Ford T i powierzchowność Falloleen.

Otto obrócił ją delikatnie w stronę drzwi.

— Może się odświeżysz, włożysz swój lawendowy negliz, wepniesz różę we włosy, a ja tymczasem uporządkuję tu pewne sprawy z tym biczem bożym z Wall Street?

— Och, kochanie — szepnęła — zaczynam czuć się znowu jak Falloleen.

— Nie bój się tego — uspokoił ją Otto. — Upewnij się tylko, że tym razem Kitty prześwieca przez nią w całym swoim blasku.

Wyszła, absolutnie szczęśliwa.

— Zaraz sobie pójdę — powiedziałem. — Teraz wiem, że chce pan zostać z nią sam.

— Szczerze mówiąc, tak.

— Jutro otworzę rachunek kontrolny i skrytkę w banku depozytów na pańskie nazwisko — obiecałem.

— Wygląda na to, że robi pan to, na czym się pan zna. Życzę dobrej zabawy — rzekł Otto.

Ambitny drugoklasista

George M. Helmholtz, szef sekcji muzycznej i dyrygent zespołu muzycznego liceum Lincoln High School, był poczciwym grubym facetem, który nie widział zła, nie słyszał o nim ani też nie mówił nic złego, ponieważ cokolwiek robił, jego duszę wypełniał prawdziwy czy wyimaginowany huk, łomot, grzmot zespołu muzycznego. Nie było w niej miejsca na nic innego, toteż zespół „Dziesięć do Kwadratu” Lincoln High School, który prowadził, był w konsekwencji równie dobry jak każdy inny na kuli ziemskiej.

Czasami, gdy słyszał przytłumione, tęskne pasaże, prawdziwe lub wyimaginowane, Helmholtz zastanawiał się, czy to nie nieprzyzwoitość z jego strony, że czuje się taki szczęśliwy w tych okropnych czasach. Ale wówczas blaszane instrumenty dęte oraz perkusja podchwytywały melodię i grzmiały ją radośnie, a pan Helmholtz widział, że owo szczęście i jego źródło mogą być dla wszystkich jedynie czymś dobrym, wspaniałym i pełnym nadziei.

Helmholtz często sprawiał wrażenie człowieka zatopionego w marzeniach, ale w pewnych sytuacjach przypominał nosorożca. Okazywał się niezwykle twardy, gdy chodziło o gromadzenie funduszy dla szkolnej orkiestry, bombardował bezlitośnie radę szkoły, komitet rodzicielski, Izbę Handlową, Kiwanis, Rotary & Lions, przekonując ich, że dobro, wspaniałość i nadzieja, które inspirują jego zespół, sporo kosztują. W swych przemowach mających na celu wydebienie pieniędzy przypominał swoim słuchaczom czarne dni drużyny futbolowej Lincoln High School, dni, kiedy to sektory szkoły były ciche, załamane i zawstyżone.

— Przerwa w meczu — mówił cicho, zwieszając głowę.

Nagle wyciągał gwizdek z kieszeni i dmuchał weń z całej siły.

— Orkiestra szkolna „Dziesięć do Kwadratu” Lincoln High! — krzyczał. — Naaprzód marsz! Bum! Ta-ta-ta taaaaaa!

Helmholtz, śpiewając, maszerując w miejscu, naśladował dziewczynę tamburmajora, doboszy, blaszane instrumenty dęte, drewniane instrumenty dęte, dzwonki i całą resztę. Zanim przemaszerował jako jednoosobowy zespół przez wyimaginowane boisko do futbolu, jego słuchacze byli rozradowani i mokrzy z wrażenia, skłonni kupić dla zespołu wszystko, czego tylko zapragnie.

Bez względu jednak na to, ile pieniędzy wpływało, zespół zawsze miał za mało funduszy. Helmholtz był rozrzutny, jeśli idzie o wszelakie wyposażenie orkiestry, i kapelmistrzowie konkurencyjnych zespołów nazywali go „Hazardzistą” i „Diamentowym Jimem”.

Jednym z wielu obowiązków Stewarta Haleya, wicedyrektora Lincoln High, było sprawowanie nadzoru nad finansami orkiestry szkolnej. Ilekroć Haley był zmuszony porozmawiać z Helmholtzem o sprawach finansowych, próbował go przyprzeć do muru tam, gdzie ten nie mógł maszerować, wymachując ramionami.

Helmholtz wiedział o tym i poczuł się schwytyany w pułapkę, gdy ujrzał w drzwiach swego małego gabinetu Haleya wywijającego rachunkiem opiewającym na dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Za wicedyrektorem stał posłaniec z zakładu krawieckiego z pudełkiem. Gdy Haley zamknął za sobą drzwi, Helmholtz zgarbił się nad deską kreślarską, udając głębokie skupienie.

— Helmholtz — powiedział Haley — mam tutaj całkowicie niespodziewany, całkowicie bezprawny rachunek za...

— Cśśś! — syknął Helmholtz. — Zaraz skończę i poświęcę panu więcej uwagi. — Przeciągnął kropkowaną linię przez wykres, który stanowił już w tej chwili gąszcz czarnych kresek. — Właśnie dokonuję ostatecznego szlifowania układu na Dzień Matki. Próbuję zaprojektować strzałę wbitą w serce, a następnie słowo „Mama”. To nie jest bynajmniej łatwe.

— Bardzo miło — powiedział Haley, szeleszcząc rachunkiem — i lubię matki nie mniej od pana, ale właśnie wbił pan dziewięćdziesięciopięciodolarową strzałę w państwową kasę.

Helmholtz nie podniósł wzroku.

— Zamierzałem powiedzieć panu o tym — rzekł, rysując następną kreskę — ponieważ jednak właśnie przygotowujemy się do stanowego festiwalu zespołów oraz do Dnia Matki, wydało mi się to nieważne. Wszystko w swoim czasie.

— Nieważne! — oburzył się Haley. — Uderza pan w czułe struny, namawiając naszą społeczność do zakupu stu nowych mundurków dla zespołu, a teraz...

— Teraz? — spytał łagodnie Helmholtz.

— Ten mężczyzna przynosi mi rachunek za sto pierwszy mundurek! — wybuchnął Haley. — Daj komuś palec...

Haley przerwał, ponieważ ktoś otworzył drzwi do gabinetu. W progu stanął Leroy Duggan, nieśmiały, zabawny drugoklasista o spadzistych ramionach. Leroy był do tego stopnia nieśmiały, że gdy ktoś zwracał na niego spojrzenie, wykonywał jakiś dziwny taniec, ukrywając się, najlepiej jak mógł, za teczką z nutami i futerałem pikuliny.

— Wejdz, Leroy — rzekł pogodnie Helmholtz.

— Zaczekaj chwilę na zewnątrz, Leroy — sprzeciwił się Haley. — To raczej pilna sprawa.

Leroy wycofał się, mrużąc pod nosem słowa przeprosin, a Haley zamknął znowu drzwi.

— Moje drzwi są zawsze otwarte dla członków zespołu — powiedział Helmholtz.

— Będą, gdy tylko wyjaśnimy tajemnicę sto pierwszego mundurka.

Helmholtz podniósł po raz pierwszy wzrok znad deski kreślarskiej.

— Jestem szczerze zdziwiony i urażony z powodu braku wiary zarządu w moją ocenę sytuacji — powiedział. — Prowadzenie szczególnej organizacji stu wysoce utalentowanych młodych ludzi nie jest tak proste, jak się wszystkim wydaje.

— Proste! — wykrzyknął Haley. — Kto uważa to za proste! To zdecydowanie najbardziej zagmatwany, tajemniczy, kosztowny bałagan w całym szkolnym systemie. Mówi pan o setce chłopców, ale ten posłaniec dostarczył właśnie sto pierwszy mundurek. Czyżby do zespołu „Dziesięć do Kwadratu” dołączył wolny strzelec?

— Nie — odparł Helmholtz. — Jest ich nadal stu, choć chciałbym mieć więcej, potrzebuję więcej. Na przykład, zastanawiałem się, jak wykonać Whistler’s Mother, mając do dyspozycji sto osób, i okazało się to po prostu niemożliwe. — Zmarszczył w zamyśleniu brwi. — Gdyby udało nam się zaprosić do udziału dziewczęta z klubu „Dziewczęca Radość”, może jakoś podołalibyśmy temu zadaniu. Jest pan inteligentny i ma pan dobry gust. Może podrzuciłby mi pan kilka pomysłów co do festiwalu zespołów i Dnia Matki?

Haley stracił panowanie nad sobą.

— Niech pan nie próbuje robić mi wody z mózgu, Helmholtz! Po co ten dodatkowy mundurek?

— Dla większej sławy Lincoln High! — rzekł Helmholtz z nieoczekiwanym zapalem. — Dla trzeciej rundy i posiadania na stałe trofeum stanowego festiwalu szkolnych zespołów muzycznych! — Zniżył głos do szeptu, zerkając ukradkiem na drzwi. — A w szczególności dla Leroya Duggana, prawdopodobnie najlepszego pikulinisty we wszechświecie. Rozmawiajmy cicho, ponieważ nie możemy poruszać sprawy mundurka, nie mówiąc o Leroyu.

Od tej chwili rozmowa toczyła się nerwowym szeptem.

— O co chodzi z Leroyem, przecież ma już swój mundurek? — spytał Haley.

— Leroy ma figurę w kształcie dzwonu — wyjaśnił Helmholtz. — Nie mamy mundurka, który by na niego pasował — albo go krępują, albo wiszą luźno.

— To szkoła publiczna, a nie broadwayowski musical! — rzekł ostro Haley. — Nasi uczniowie przypominają nie tylko dzwony, lecz również słupy telefoniczne, butelki, szympansy, greckich bogów. Rzecz jasna, nie obędzie się bez tego, by mundurki niektórych krępowwały, a na niektórych wisały luźno.

— Moim obowiązkiem — zawołał Helmholtz, wstając majestatycznie — jest wyzwolenie najlepszej gry u każdego, kto do mnie przychodzi. Jeśli wygląd zewnętrzny

chłopca przeszkadza mu w muzykowaniu, moim obowiązkiem jest takie skorygowanie jego figury, które sprawi, że będzie grał jak anioł. Właśnie to zrobiłem. — Usiadł z powrotem. — Jeśli zostanę zmuszony, bym tego żałował, nie będę właściwym człowiekiem na to stanowisko.

— Specjalny mundurek sprawi, że Leroy będzie grał lepiej? — spytał Haley.

— Na próbach, gdy otaczają go wyłącznie inni członkowie zespołu — odpowiedział Helmholtz — Leroy gra tak wspaniale i z takim uczuciem, że zalałyby się pan łzami. Ale gdy maszeruje pod spojrzeniami nieznajomych, zwłaszcza dziewcząt, myli krok, potyka się i nie potrafi zagrać nawet Row, Row, Row Your Boat. — Helmholtz uderzył pięścią w blat biurka. — A to nie może się stać podczas stanowego festiwalu szkolnych zespołów muzycznych!

Rachunek w dłoni Haleya był teraz mokry i zmięty.

— Wiadomość, z którą przyszedłem dzisiaj — powiedział spokojnie — pozostaje nie zmieniona: z piasku bicza nie ukręcisz. Cały majątek zespołu wynosi siedemdziesiąt pięć dolarów i nie ma sposobu — absolutnie żadnego sposobu — żeby szkoła pokryła pozostałe dwadzieścia.

Odwrócił się do posłańca.

— To smutna wiadomość również dla pana — stwierdził.

— Pan Kornblum powiedział, że i tak traci na tym — rzekł nerwowo posłaniec. — Że pan Helmholtz przyszedł i tak go zagadał, że zanim się zorientował...

— Nie martw się — powiedział spokojnie Helmholtz. Wyjął książeczkę czekową i wypisał z uśmiechem i z rozmachem czek na dwadzieścia dolarów.

Haley zbladł.

— Przykro mi, że sprawy przybrały taki obrót — rzekł cicho.

Helmholtz nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wziął paczkę od posłańca i zawołał na Leroya:

— Wejdz, proszę, chłopcze!

Leroy wszedł powoli, szurając nogami, wykonując swój zwykły taniec z futerałem pikuliny oraz teczką na nuty i przepaszając.

— Pomyślałem, Leroy, że może chciałbyś przymierzyć swój nowy mundurek na festiwal — powiedział Helmholtz.

— Chyba lepiej, żeby nie maszerował — odparł Leroy. — Pomyłę nogę i wszystko zepsuję.

Helmholtz otworzył pudło teatralnym gestem.

— Ten mundurek jest specjalny, Leroy.

— Za każdym razem, gdy widzę któryś z tych mundurków — powiedział Haley — potrafię myśleć wyłącznie o trupie objazdowej z „Czekoladowego Żołnierza”. Takie stroje noszą gwiazdy estrady, ale pan musiał kupić ich sto — przepraszam, sto jeden.

Helmholtz zdjął delikatnie Leroyowi marynarkę. Chłopiec stał pokornie w koszuli z krótkimi rękawami, uwolniony od futerału pikuliny i teczki z nutami, komiczny, nie widzący absolutnie nic zabawnego w swojej figurze w kształcie dzwonu.

Helmholtz włożył bluzę nowego mundurka na wąskie ramiona Leroya. Zapiął duże mosiężne guziki i poprawił złote frędzle przy epoletach.

— Proszę, Leroy.

— Bomba! — rzekł z zachwytem chłopiec. — Rany, wyglądam bombowo!

Leroy przenosił wzrok z jednego potężnego, sterczącego ramienia na drugie, a potem na zdumiewające zwężenie ku biodrom.

— Rocky Marciano! — powiedział Haley.

— Przejdź się w tę i z powrotem po korytarzu — polecił chłopcu radośnie Helmholtz. — Poczuj go.

Leroy wypadł za drzwi, zaczepiając epoletami o framugę.

— Bokiem — podpowiedział Helmholtz — będziesz musiał nauczyć się przechodzić przez drzwi bokiem.

— Zaledwie dziesięć procent tego, co znajduje się pod mundurkiem, jest Leroyem — rzekł Haley, gdy chłopiec nie mógł go usłyszeć.

— To cały Leroy — zaprotestował Helmholtz. — Niech pan tylko zaczeka do chwili, gdy będziemy maszerować przed stanowiskiem sędziowskim na festiwalu i Leroy покаże, co potrafi.

Leroy wrócił do gabinetu marszowym krokiem, podnosząc wysoko kolana. Stał i stuknął obcasami. Brodę trzymał uniesioną, oddychał płytko.

— Możesz zdjąć mundurek, Leroy — powiedział Helmholtz. — Jeśli nie czujesz się na siłach maszerować podczas festiwalu, to trudno. — Sięgnął przez biurko i rozpiął pierwszy mosiężny guzik mundurka chłopca.

Leroy podniósł szybko dłoń, osłaniając resztę guzików.

— Proszę — powiedział — chyba jednak potrafię maszerować.

— To uda się załatwić — rzekł Helmholtz. — Mam coś do powiedzenia w sprawach zespołu.

Leroy zapiął z powrotem guzik.

— Rany — powiedział — gdy przechodziłem obok gabinetu sportowego, trener Jorgenson wyleciał stamtąd jak wystrzelony z procy.

— I co miał do powiedzenia ten małomówny Szwed? — spytał Helmholtz.

— Powiedział, że tylko w tej szkole, zwariowanej na punkcie zespołu, mogli zrobić pikulinistę z faceta o posturze lokomotywy — odpowiedział Leroy. — Jego sekretarka też wyszła.

— Czy panie Bearden podobał się mundurek? — zainteresował się Helmholtz.

— Nie wiem. Nie powiedziała nic, tylko stała i patrzyła, patrzyła...

Później, tego samego popołudnia, George M. Helmholtz zjawił się w gabinecie Harolda Crane'a, kierownika sekcji języka angielskiego, trzymając w ręku ciężką ozdobną złoconą ramę do obrazu. Był lekko zakłopotany.

— Nie bardzo wiem, od czego zacząć — powiedział. Ja... pomyślałem sobie, że może sprzedałbym panu ramę do obrazu. — Obracał ją we wszystkie strony. — To ładna rama, prawda?

— Owszem, bardzo ładna — odrzekł Crane. — Często podziwiałem ją w pańskim gabinecie. To w niej znajdował się portret Johna Philipa Sousy, prawda?

Helmholtz pokiwał smętnie głową.

— Pomyślałem, że może chciałby pan oprawić w nią portret jakiegoś odpowiednika Johna Philipa Sousy w pańskiej dziedzinie — Shakespeare'a czy Edgara Rice'a Burroughsa.

— To mogłoby być miłe — rzekł Crane — ale szczerze mówiąc, nie odczuwam na razie zbyt silnej potrzeby.

— Ta rama kosztowała trzydzieści dziewięć dolarów — powiedział Helmholtz. — Oddam ją panu za dwadzieścia.

— Proszę posłuchać, jeśli ma pan jakieś kłopoty, chętnie panu...

— Nie, nie, nie — wykrzyknął Helmholtz, podnosząc dłoń. Na jego twarzy odmalował się przestach. — Gdybym zaczął pożyczać pieniądze, Bóg wie, czym by się to skończyło.

Crane pokręcił głową.

— To naprawdę ładna rama i świetna okazja, ale nie jestem przygotowany na to, by wyłożyć dwadzieścia dolarów na coś w tym rodzaju. Muszę kupić po południu nową oponę za dwadzieścia trzy dolary i...

— Jaki rozmiar?

— Rozmiar? — powtórzył Crane. — Sześć siedemdziesiąt, piętnaście. A czemu pan pyta?

— Sprzedam ją panu za dwadzieścia dolarów — rzekł Helmholtz. — Kompletnie nie używana.

— Skąd pan ją ma?

— Łut szczęścia. Mam jedną więcej.

— Chyba nie mówi pan o kole zapasowym? — spytał Crane.

— Owszem — odpowiedział Helmholtz — ale nie jest mi potrzebne. Będę ostrożnie wybierał drogi do jazdy. Proszę, musi pan ją kupić. Te pieniądze są nie dla mnie, lecz na cele zespołu.

— A na co innego mogłyby być? — westchnął bezradnie Crane. Wyjął z kieszeni portfel.



Helmholtz wkładał właśnie z powrotem Johna Philipa Souzę do ramy, gdy do jego gabinetu wszedł, pogwizdując, Leroy. Miał wciąż na sobie bluzę od mundurka.

— Jeszcze tutaj jesteś, Leroy? — zdziwił się Helmholtz. — Myślałem, że już dawno poszedłeś do domu.

— Nie mogłem zdjąć mundurka — wyjaśnił Leroy. — Przeprowadziłem rodzaj eksperymentu.

— Tak?

— Maszerując korytarzem i gwizdząc partię pikuliny w Stars and Stripes Forever, minąłem gromadkę dziewcząt — oznajmił Leroy.

— I? — spytał Helmholtz.

— Nie pomyliłem kroku i nie sfalszowałem — odrzekł dumnie Leroy.



Główna ulica miasta była udekorowana flagami na cześć śmietanki stanowej młodzieży, szkolnych zespołów muzycznych, ruch zamknięto na odcinku kilku przecznicy. Na jednym końcu trasy marszu znajdował się duży plac i stanowisko sędziowskie. Na drugim końcu szkolne orkiestry stały ukryte w bocznych uliczkach, czekając na rozkaz wymarszu.

Zespół, który najbardziej spodoba się sędziom, otrzyma wspaniałe trofeum ufundowane przez Izbę Handlową. Trofeum liczyło dwa lata i nosiło nazwę dwukrotnego zwycięzcy, Lincoln High School.

W bocznych uliczkach dwudziestu pięciu kapelmistrzów szykowało sekretną broń, za której pomocą mieli nadzieję zapobiec trzeciemu zwycięstwu Lincoln High — efekty specjalne z magnezją, płonącymi pałeczkami dyrygenckimi, ślicznymi kowbojkami i co najmniej jednym działem kaliber siedemdziesiąt pięć. Wszędzie jednak unosił się smog porażki, z wyjątkiem barwnych szeregów Lincoln High.

Obok tych zadowolonych z siebie szeregów stał Stewart Haley, zastępca dyrektora, oraz dyrygent George M. Helmholtz ubrany w strój, który Haley nazywał po cichu mundurem bułgarskiego kontradmirała.

Orkiestra szkolna Lincoln High stała w jednej uliczce z trzema innymi zespołami, białe ściany domów po obu stronach odbijały echo pisków i pomruków zespołów strojonych instrumenty.

Helmholtz zapalał hubki zapalniczką Haleya, dmuchał na nie i podawał je co czwartemu muzykantowi, z których każdy miał pod szarfą prosty, cylindryczny fajerwerk.

— Najpierw podam komendę: „Gotów do odpalenia!” — powiedział. — W dziesięć sekund później: „Odpal!”. Gdy uderzycie lewą nogą o ziemię, dotknijcie hubką do końcówki zapalnika. Gdy dotrzecie przed stanowiska sędziowskie, chcę, żeby reszta z was przerwała nagle grę, jak gdybyście dostali postrzał między oczy, a Leroy...

Helmholtz wykręcił szyję, wypatrując Leroya. W tej samej chwili uświadomił sobie, że kapelmistrz konkurencyjnego zespołu, wyświechtany i szary w porównaniu z rajskimi ptakami Lincoln High, słucha jego każdego słowa.

— Czym mogę służyć? — zwrócił się do niego.

— Czy to zjazd portierów? — spytał kapelmistrz.

Helmholtz nie uśmiechnął się.

— Proszę lepiej wrócić do swojej orkiestry — odpowiedział rzeczowym tonem.

— Wyraźnie potrzebujecie więcej praktyki, no i powinniście się trochę wystroić, a czas ucieka.

Kapelmistrz odszedł, chichocząc i kręcąc beczelnie pałeczką.

— Gdzie tym razem podział się Leroy? — denerwował się Helmholtz. — Mam z nim problemy dyscyplinarne za każdym razem, gdy wkłada ten mundur. Nowy człowiek.

— Ma pan na myśli Pleciugę Duggana? — spytał Haley. Wskazał na szerokie plecy Leroya w samym środku innej orkiestry. Chłopiec mówił coś z ożywieniem do ich pikulinisty, który okazał się bardzo ładną dziewczyną o złocistych włosach wymykających się spod czapeczki. — Ma pan na myśli Casanovę Duggana? — poprawił się Haley.

— Wszystko opiera się na Leroyu — powiedział nerwowo Helmholtz. — Jeżeli coś mu źle pójdzie, będziemy mieli szczęście, jeśli uplasujemy się na ostatnim... Leroy!

Leroy nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Był zbyt zaabsorbowany, by słyszeć swego nauczyciela. Był też zbyt zaabsorbowany, by zauważyć, że beczelny kapelmistrz, który przed chwilą nazwał orkiestrę Helmholtza zjazdem portierów, przyglądał się teraz z ciekawością szerokim plecocom chłopca.

Kapelmistrz dźgnął gumowym końcem pałeczki jedną z poduszek na ramionach Leroya. Chłopiec nawet nie drgnął. Kapelmistrz położył mu dłoń na ramieniu i powoli zagłębił palce w materiale na kilka centymetrów. Leroy rozmawiał dalej.

Zbierało się coraz więcej gapiów. Kapelmistrz wykonał serię prób pałeczką. Zaczął od zewnętrznej strony ramienia Leroya i posuwał się ku środkowi, usiłując zlokalizować punkt, w którym kończy się wywatowanie, a zaczyna Leroy.

W końcu batuta natrafiła na żywe ciało i Leroy odwrócił się, zaskoczony.

— O co chodzi? — spytał.

— Upewniam się, że cały „farsz” znajduje się na miejscu, generale — odpowiedział jowialnie kapelmistrz. — Przy najdrobniejszym uszkodzeniu materiału znajdziemy się wszyscy po kolana w trocinach.

Leroy spłonął rumieńcem.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Poproś swego chłopaka, niech zdejmie bluzę, żebyśmy wszyscy mogli zobaczyć jego wspaniałe mięśnie — powiedział kapelmistrz do nowej dziewczyny Leroya. — Dalej — podjudzał — ściągaj bluzę!

— No, zmusz mnie do tego — odparł Leroy.

— Dobrze, dobrze — rzekł pojednawczo Helmholtz, stając między nimi.

— Myślisz, że nie mogę? — spytał kapelmistrz.

Leroy przełknął ślinę i myślał przez długą chwilę.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział wreszcie.

Kapelmistrz odepchnął na bok Helmholtza i chwycił bluzę Leroya za ramiona. Najpierw odpadły epolety, potem ozdobny sznur, w końcu szarfa. Odskoczyły guziki i ukażał się podkoszulek Leroya.

— A teraz po prostu — rzekł kapelmistrz — po prostu zdejmujemy bluzę i...

Nagle Leroy eksplodował. Walnął kapelmistrza w nos, zerwał mu medale, guziki i galon, rąbnął go w brzuch i wyrwał mu pałeczkę z wyraźnym zamiarem zatłuczenia go na śmierć.

— Leroy! Przestań! — wykrzyknął z udręką Helmholtz, wrywając mu pałeczkę. — Spójrz tylko na siebie! Popatrz na swój nowy mundurek — cały w strzępach! — Dotykał z żalną miną dziur, nitek pozostałych po guzikach, zniszczonej wyściółki. Podniósł ręce w geście rezygnacji. — To koniec! Poddajemy się — Lincoln High się poddaje!

— Nic mnie to nie obchodzi! — wrzasnął gniewnie Leroy, nie przejawiając najmniejszej skruchy. — Cieszę się!

Helmholtz przywołał innego członka zespołu i dał mu kluczyki do swego samochodu.

— Mam tam zapasowy mundurek — rzekł bezsilnie — przynieś go Leroyowi.



Orkiestra szkolna Lincoln High „Dziesięć do Kwadratu” sunęła żwawo ulicą w kierunku kolorowych transparentów stanowiska sędziowskiego. George M. Helmholtz uśmiechał się dzielnie, maszerując chodnikiem obok swego zespołu, ale w głębi duszy był niespokojny, wściekły i pełen najgorszych obaw. Jednym okrutnym ciosem przeznaczenie przeobraziło jego plan zdobycia trofeum w najbardziej absurdalne rozczarowanie w historii zespołu.

Nie mógł zmusić się, by spojrzeć na młodzieńca, na którego postawił wszystko. Po trafił wyobrazić sobie Leroya z przerażającą jasnością — włókł się zgarbiony, w źle dopasowanym mundurku, galimatias nerwicy i kosztownego materiału. Leroy miał zagrać solo, gdy zespół będzie mijał stanowisko sędziowskie. Helmholtz pomyślał z przynębieniem, że Leroy nie będzie w tej chwili pamiętał nawet własnego nazwiska.

Zbliżali się do znaków, które Helmholtz uczynił wcześniej kredą na krawężniku, znaków, które informowały dokładnie o odległości od stanowiska sędziowskiego.

Helmholtz zasygnalizował gwizdkiem, że właśnie minęli znak i orkiestra zagrała Stars and Stripes Forever, z zaangażowaniem, wibrująco, przejmująco. Widzowie, z zarumienionymi policzkami, wspięli się na palce. Sędziowie wychylili się ze swego stanowiska w radosnym oczekiwaniu na mające nastąpić wspaniałe atrakcje.

Helmholtz minął kolejny znak.

— Gotów do odpalenia! — zawołał. I w chwilę później: — Odpal!

Helmholtz uśmiechnął się smętnie. Za pięć sekund jego orkiestra znajdzie się przed stanowiskiem sędziów, muzyka umilknie, fajerwerki wystrzelą amerykańskie flagi zawieszane na spadochronach. A następnie Leroy odegra swoje solo patetycznie, komicznie, o ile w ogóle uda mu się wydobyć głos ze swej pikuliny.

Muzyka umilkła. Fajerwerki wystrzeliły amerykańskie flagi na spadochronach. Zespół szkolny Lincoln High „Dziesięć do Kwadratu” przeszedł przed stanowiskiem sędziów, w równych szeregach, z wysoko uniesionymi pióropuszcami, błyszcząc mosiężnymi guzikami.

Helmholtz omal nie wybuchnął płaczem, gdy amerykańskie flagi zawisły w powietrzu, a wśród nich rozprysnęły się dźwięki srebrzystego porywającego solowego pikola Leroya.



Szkolne orkiestry zgrupowano przed stanowiskiem sędziowskim. George M. Helmholtz stał przed swoim zespołem, pomiędzy ogromnym transparentem z czarną panterą Lincoln High na szkarłatnym polu a sztandarem narodowym USA.

Gdy wezwano go, by odebrał trofeum, przemaszerował przez szeroki plac przy akompaniamencie bębna i pikuliny. Gdy wracał, zataczając się lekko pod ciężarem piętnastu kilogramów brązu i orzecha włoskiego, orkiestra grała jego kompozycję Przeciwnicy Lincoln High zapłaczą dziś wieczorem.

Gdy uroczystość się skończyła, Haley śpiesznie wynurzył się z tłumu, by uścisnąć dłoń Helmholtza.

— Niech pan pogratuluje Leroyowi — rzekł Helmholtz. — To on jest bohaterem dnia. — Rozpromieniony, poszukał chłopca wzrokiem i zobaczył go znów z ładną, jasnowłosą pikulinistką, bardziej ożywionego niż kiedykolwiek. Reakcja dziewczyny była nadzwyczaj ciepła.

— Wyraźnie nie przeszkadzają jej mniej wydatne ramiona — powiedział Helmholtz.

— To dlatego, że i on się tym nie przejmuje — zauważył Haley. — Teraz jest mężczyzną i kształt jego figury nie ma dla niego znaczenia.

— Z pewnością dał z siebie wszystko dla Lincoln High — rzekł Helmholtz. — Podziwiam w nim to oddanie dla szkoły.

— To nie było oddanie dla szkoły — roześmiał się Haley — lecz pieśń miłosna prawdziwego amerykańskiego samca. Czy nie wie pan nic o miłości?

Helmholtz rozmyślał o miłości, gdy wracał do samochodu, uginając się pod ciężarem ogromnego trofeum. Jeśli miłość jest ślepa, obsesyjna, wymagająca, pozbawiona rozsądku i tak szalona, jak mówią ludzie, to nigdy jej nie poznał. Westchnął, podejrzewając, że coś stracił, nie zaznawszy namiętności ani romantycznych uniesień.

Gdy dotarł do swego samochodu, okazało się, że siadła mu jedna opona. Przypomniał sobie, że nie ma koła zapasowego. Nie czuł jednak nic poza lekkim dyskomfortem. Wsiadł do tramwaju, znalazł wolne miejsce, usadowił się z trofeum na kolanach i uśmiechnął się. Znowu słyszał muzykę.

Tabakiera z Bagombo

— To nowy lokal, prawda? — spytał Eddie Laird.

Siedział w barze w centrum miasta. Był jedynym klientem i rozmawiał z barmanem.

— Nie pamiętam tego baru, a znałem każdy lokal w mieście — powiedział.

Laird był potężnym trzydziestotrzyletnim mężczyzną o sympatycznie zuchwałej, okrągłej jak księżyc twarzy. Miał na sobie granatowy flanelowy garnitur, najwyraźniej nowiuteńki. Przyglądał się swemu odbiciu w niebieskawym lustrze. Od czasu do czasu odstawiał szklaneczkę, by przyglądzić gładką klapę marynarki.

— Nie taki znów nowy — rzekł barman, ospały gruby mężczyzna po pięćdziesiątce.

— Kiedy ostatni raz był pan w mieście?

— Podczas wojny — odpowiedział Laird.

— Której wojny?

— Której? — powtórzył Laird. — Pewnie musi pan pytać o to dzisiaj ludzi, gdy mówią o wojnie. Podczas drugiej wojny światowej. Stacjonowałem w Cunnigham Field. Wpadałem tu, gdy tylko mogłem.

Wspomniał z łagodnym smutkiem swoje odbicie w innych barowych lustrach w tamtych dniach; błysk okuć na wstążce odznaczeń i srebrnych skrzydełek.

— Ten lokal otwarto w czterdziestym szóstym i od tamtego czasu był dwukrotnie remontowany — powiedział barman.

— Dwukrotnie remontowany — rzekł z zadumą Laird. — W naszych czasach wszystko zużywa się bardzo szybko, prawda? Czy nadal można zjeść świeży stek za dwa dolary „U Charleya”?

— Przypalony — odrzekł barman. — Obecnie restauracja nazywa się „U J. C. Penneya”.

— Gdzie więc spędzają teraz czas lotnicy? — zaciekał się Laird.

— Nie ma ich tu. Zlikwidowano Cunnigham Field — odpowiedział barman.

Laird wziął swojego drinka i podszedł do okna, by obserwować przechodniów.

— Spodziewałem się, że tutejsze kobiety nadal będą nosiły krótkie spódniczki — powiedział. — Gdzie się podziały te wszystkie śliczne różowe kolanka? — Zabębnił palcami po szybie. Przechodząca kobieta spojrzała na niego i przyspieszyła kroku.

— Mam tu gdzieś żonę — oznajmił Laird. — Jak pan myśli, co mogło się z nią stać przez jedenaście lat?

— Żonę?

— Byłą żonę. To jedna z tych rzeczy, które zdarzają się podczas wojny. Ja miałem dwadzieścia dwa lata, ona osiemnaście. Małżeństwo trwało sześć miesięcy.

— Co się popsło?

— Popsło? — powtórzył Laird. — Po prostu nie chciałem być niczyją własnością, i koniec. Dla mnie było ważne, żebym mógł włożyć szczoteczkę do zębów do kieszeni spodni i wybrać się, dokądkolwiek mnie ciągnęło. Ale jej się to nie podobało. A więc... — Uśmiechnął się szeroko. — Adieu. Żadnych łez, żadnych pretensji.

Podszedł do szafy grającej.

— Jaka jest w tej chwili najpopularniejsza piosenka?

— Niech pan włączy siedemnastkę — odpowiedział barman. — Chyba dam radę wysłuchać jej jeszcze raz.

Laird puścił siedemnastkę, łzawą balladę o utraconej miłości. Słuchał jej skoncentrowany. Pod koniec tupnął nogą i mrugnął, tak jak wiele lat temu.

— Jeszcze jeden drink — powiedział — i, na Boga, zadzwonię do mojej byłej żony. Wszystko w porządku, prawda? — spytał barmana. — Czy nie mogę zadzwonić do niej, skoro mam ochotę? — Roześmiał się. — „Droga Emily Post — mam mały problem związany z dobrymi manierami”... Nie widziałem mojej byłej żony ani nie zamieniłem z nią słowa przez jedenaście lat. Teraz znalazłem się w tym samym mieście co ona...

— Skąd pan wie, że wciąż tu mieszka? — spytał barman.

— Zadzwoniłem rano po przyjeździe do starego kumpla. Powiedział mi, że jest ustawiona — dostała to, czego chciała: zarabiającego męża niewolnika, domek obrosnięty bluszczem, z poddaszem, które można rozbudować, dwoje dzieci i ćwierć akra trawnika tak zielonego jak na cmentarzu Arlington.

Podszedł do telefonu i po raz czwarty tego dnia sprawdził numer byłej żony pod nazwiskiem jej drugiego męża, trzymając dziesiątkę tuż nad otworem na monetę. Tym razem pozwolił, by wpadła do środka.

— Nie wiem, po co to robię — powiedział Laird i wykręcił numer.

Telefon odebrała kobieta. W oddali było słychać płacz dziecka i grające radio.

— Amy? — spytał Laird.

— Słucham? — Amy była wyraźnie skonsternowana.

Na twarzy Lairda rozlał się idiotyczny uśmiech.

— Hej, zgadnij, kto mówi. Eddie Laird.

— Kto?

— Eddie Laird... Eddie! — Zachichotał.

— Proszę chwileczkę poczekać, dobrze? — powiedziała Amy. — Dziecko okropnie hałasuje, radio gra, ja mam ciasteczka w piekarniku, właśnie szykuję się do wyjścia. Może pan poczekać?

— Jasne.

— Teraz słucham — powiedziała bez tchu. — Kto mówi?

— Eddie Laird.

— Naprawdę? — wykrztusiła.

— Naprawdę — odrzekł wesoło Laird. — Właśnie wpadłem z Cejlonu, przez Bagdad, Rzym i Nowy Jork.

— Dobry Boże — powiedziała Amy. — Co za wstrząs. Nie wiedziałam nawet, czy żyjesz, czy nie.

— Nie mogą mnie zabić, choć Bóg świadkiem, że usilnie próbowali — roześmiał się serdecznie Laird.

— Co porabiałeś przez ten czas?

— Ooch, zajmowałem się wszystkim po trochu. Właśnie rzuciłem pracę. Latałem do Cejlonu po sprzęt do połowu pereł. Teraz zakładam własną firmę. Będziemy prowadzić poszukiwania złóż uranu w okolicy Klondike. Przed Cejlonem poszukiwałem diamentów w amazońskich lasach deszczowych, a jeszcze wcześniej latałem u szejka w Iraku.

— Niemal jak w Baśniach z tysiąca i jednej nocy — powiedziała Amy. — Może się zakręcić w głowie.

— No cóż, nie miej żadnych olśniewających złudzeń rzekł Laird. Sprawiał wrażenie, jak gdyby się postarzał w ciągu kilku sekund. — To w większości ciężka, brudna i niebezpieczna praca. — Westchnął. — A ty, jak się miewasz, Amy?

— Ja? Tak jak każda gospodyni domowa. Znękana.

Dziecko zaczęło znowu płakać.

— Amy — spytał Laird chrapliwym głosem — czy wszystko jest w porządku — między nami?

— Czas leczy wszystkie rany — odpowiedziała cicho. — Na początku bolało, Eddie, bardzo bolało. Zrozumiałam jednak, że tak będzie lepiej. Nic na to nie poradzisz, że jesteś niespokojnym duchem. Taki się urodziłeś. Przypominałeś orła uwięzionego w klatce, miotającego się, tracącego pióra.

— A ty, Amy, jesteś szczęśliwa?

— Bardzo — odpowiedziała Amy z całego serca. — Czasami dostaję kręčka z dziećkami, ale kiedy mam chwilę dla siebie, widzę, że wszystko jest kochane i dobre. Tego zawsze pragnęłam. Zatem w końcu oboje mamy to, czego chcieliśmy, prawda? Orzeł i kura domowa.

— Amy — poprosił Laird — może mógłbym wpaść i zobaczyć się z tobą? Przez pamięć na dawne czasy?

— Och, Eddie, w domu panuje straszny bałagan, a ja wyglądam jak czarownica. Nie zniosłabym, gdybyś zobaczył mnie w takim stanie — po podróży z Cejlonu przez Bagdad, Rzym i Nowy Jork. Co za przykry kontrast. Stevie miał w zeszłym tygodniu odrę, a maleństwo nie dało spać Harry'emu i mnie przez całą noc...

— No, no — przerwał jej Laird łagodnie. — I tak przez to wszystko przeświecasz prawdziwa ty. Wpadnę o piątej, przywitam się i zaraz wyjadę z powrotem, dobrze?



Jadąc taksówką do domu Amy, Laird starał się wzbudzić w sobie sentymentalne uczucia z powodu spotkania po latach. Próbował odtworzyć w pamięci swoje najlepsze dni z Amy, ale wywołał jedynie obraz nimf przypominających gwiazdki filmowe, o czerwonych wargach i nieobecny spojrzeń, tańczących wokół niego. Ten niedostatek wyobraźni, podobnie jak wszystko inne tego dnia, był przejawem cofnięcia się do szczenięcych lat w lotnictwie. Wszystkie ładne kobiety wydawały mu się ulepione z tej samej gliny.

Laird kazał taksówkarzowi, żeby na niego zaczekał.

— Wizyta będzie krótka i przyjemna — powiedział.

Gdy podszedł do małego, zwyczajnego domku Amy, udało mu się przywołać na usta uśmiech smutnej dojrzałości, uśmiech człowieka, który krzywdził i był krzywdzony, który widział wszystko, wiele się nauczył i który całkiem przypadkowo zarobił po drodze mnóstwo pieniędzy.

Zapukał i czekając na otwarcie drzwi, skubał łuszczącą się farbę na framudze.

Mąż Amy, Harry, niski, zwałisty mężczyzna o miłej twarzy, zaprosił go do środka.

— Przewijam dziecko — zawołała z głębi domu Amy. — Zaraz do was przyjdę.

Harry był wyraźnie onieśmielony okazałą posturą Lairda, który popatrzył na niego przyjaźnie z góry i poklepał po koleżeńsku po ramieniu.

— Zapewne wiele osób uznałoby, że to dziwna sytuacja — powiedział. — Ale to, co zaszło między mną a Amy, to daleka przeszłość. Byliśmy wtedy parą szalonych dzieciaków, teraz wszyscy jesteśmy starsi i mądrzejsi. Mam nadzieję, że możemy zostać przyjaciółmi.

Harry skinął głową.

— Jasne, czemu nie? — odpowiedział. — Napijesz się czegoś? Niestety, nie mamy wielkiego wyboru. Żytniówka czy piwo?

— Nic nie szkodzi, Harry — machnął ręką Laird. — Piłem kawę z Maorysami, szkocką z Anglikami, szampana z Francuzami, kakao z Tupi. Napiję się z tobą żytniówki albo piwa. Gdy byłem w Rzymie... — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej tabakierę inkrustowaną półszlachetnymi kamieniami. — Przywiozłem drobiazg dla ciebie i Amy. — Wcisnął pudełeczko Harry'emu do ręki. — Kupiłem to za bezcen w Bagombo.

— Bagombo? — spytał oszołomiony Harry.

— Cejlon — wyjaśnił swobodnie Laird. — Latałem tam po sprzęt do połowu pereł. Kasę robiłem fantastyczną, średnia temperatura wynosiła dwadzieścia trzy stopnie, ale

nie znośłem monsunów. Nie mogłem wytrzymać czekania w jednym pokoju, aż deszcz przestanie padać. Mężczyzna musi być aktywny albo schodzi na psy — staje się rozlaźły i niemęski.

— Uhum — mruknął Harry.

Mały dom, kuchenne zapachy i rodzinny bałagan zaczynały już przytłaczać Lairda, sprawiając, że chciał jak najprędzej dać stąd drapak.

— Macie miły dom — powiedział.

— Trochę mały — odrzekł Harry. — Ale...

— Przytulny — dokończył Laird. — Zbyt duża przestrzeń może doprowadzić człowieka do szału, znam dobrze to uczucie. W Bagombo miałem dwadzieścia sześć pokoi i dwanaścioro służby do utrzymywania w nich porządku, ale nie czułem się tam szczęśliwy. Prawdę mówiąc, drażniło to mnie. — Wzruszył ramionami. — Ale wynajmowałem ten dom za siedem dolarów miesięcznie i nie mogłem przepuścić takiej okazji, prawda?

Harry szedł już do kuchni, ale zatrzymał się w progu, jak rażony piorunem.

— Siedem dolarów miesięcznie za dwadzieścia sześć pokoi? — rzekł z niedowierzaniem.

— Okazało się, że zostałem oszukany. Poprzedni najemca płacił trzy dolary.

— Trzy — powtórzył cicho Harry. — Powiedz mi — spytał z wahaniem — czy na Amerykanów czeka w takich okolicach wiele miejsc pracy? Można się gdzieś załapać?

— Przecież nie zostawiłbyś rodziny, prawda?

Harry poczuł wyrzuty sumienia.

— Och, nie! Myślałem, że mógłbym ich zabrać.

— Nie, nie — zaprzeczył Laird. — Angażują tylko kawalerów. Zresztą, jesteś tu miło urządzony. Poza tym, żeby ubiegać się o duże pieniądze, musiałbyś mieć jakiś odpowiedni fach. Powinieneś umieć latać, sterować łodzią, znać języki. Zwykle werbują do pracy w barach w Singapurze, Algierii lub w podobnych miejscach. Ale ja teraz zamierzam poszukiwać na własną rękę złóż uranu w Klondike i potrzebuję dwóch dobrych techników znających się na liczniku Geigera. Potrafisz naprawić licznik Geigera, Harry?

— Nie — odparł ponuro Harry.

— Cóż, i tak chcą zatrudnić kawalerów — powiedział Laird. — To piękne okolice, obfitujące w łosie i łosiosa, ale warunki trudne. Nie ma tam miejsca dla kobiet i dzieci. A czym ty się zajmujesz?

— Och — rzekł smętnie Harry — jestem kierownikiem działu kredytów w domu towarowym.

— Harry — zawołała Amy — czy możesz podgrzać kaszkę dla dziecka i sprawdzić, czy fasola jest gotowa?

— Dobrze, kochanie — odpowiedział napiętym głosem Harry.

— Co powiedziałaś, skarbie?

— Powiedziałem: tak! — ryknął Harry.

W domu zapanowała pełna zdumienia cisza.



Potem weszła Amy i Laird natychmiast ją sobie przypomniał. Wstał. Amy, śliczna kobieta o czarnych włosach i ciemnych, mądrych, czułych oczach, wyglądała wciąż młodo, lecz na jej twarzy widniało zmęczenie. Była ładnie ubrana, starannie umalowana i bardzo skrepowana.

— Eddie, jak miło — powiedziała z pełną rezerwy wesołością. — Świetnie wyglądasz!

— Ty również — odwzajemnił się Laird.

— Doprawdy? Czuję się taka wiekowa.

— Nie powinnaś. Życie wyraźnie ci służy.

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi — rzekła Amy.

— Wyglądasz tak pięknie jak paryska modelka, jak gwiazda filmowa w Rzymie.

— Nie mówisz serio — powiedziała mile polectana Amy.

— Właśnie że tak. Widzę cię w chanelowskim kostiumie, jak idziesz po Champs Elysées, stukając wysokimi obcasami, łagodny wiosenny wiatr rozwiewa twoje czarne włosy, a wszyscy gapią się na ciebie — nawet żandarmi salutują!

— Och, Eddie! — wykrzyknęła Amy.

— Byłaś w Paryżu? — spytał Laird.

— Nie — odrzekła tęsknie Amy.

— Nieważne. W Nowym Jorku można przeżyć znacznie bardziej egzotyczne emocje. Potrafię sobie wyobrazić ciebie wśród tłumu, w teatrze, wszyscy mężczyźni milkną i odwracają się, by pożerać cię wzrokiem. Kiedy byłaś ostatnio w Nowym Jorku?

— Hmm? — spytała Amy, spoglądając nieobecny wzrokiem w dal.

— Kiedy byłaś ostatnio w Nowym Jorku? — powtórzył Laird.

— Och, nigdy tam nie byłam. Harry był tam służbowo.

— Czemu nie zabrał cię ze sobą? — spytał szarmancko Laird. — Nie możesz pozwolić, żeby młodość ci uciekła bez odwiedzenia Nowego Jorku. To miasto młodych ludzi.

— Kochanie — zawołał Harry z kuchni — jak mam sprawdzić, czy fasola już doszła?

— Wetknij w nią cholerny widelec! — wrzasnęła Amy.

Harry stanął w progu z drinkami, ze zdumieniem i urazą mrugając oczami.

— Czy musisz na mnie krzyczeć? — spytał.

Amy przetarła dłonią oczy.

— Przepraszam — powiedziała. — Jestem zmęczona. Oboje jesteśmy zmęczeni.

— Prawie nie spaliśmy — dodał Harry. Poklepał żonę po ramieniu. — Jesteśmy oboje trochę zdenerwowani.

Amy wzięła męża za rękę i ścisnęła ją lekko. Na dom spłynął znów łagodny spokój. Harry podał drinki, a Laird wznosił toast.

— Jedzmy, pijmy i weselmy się — powiedział — albowiem jutro umrzemy.

Harry i Amy skrzywili się, po czym wypili chciwie swoje drinki.

— Eddie przywiózł nam tabakierę z Bagombo, skarbie — poinformował żonę Harry.

— Czy wymówiłem to prawidłowo?

— Z lekkim amerykańskim akcentem — rzekł pobłaźliwie Laird. — Ale mniej więcej dobrze. — Zasznurował wargi. — Bagombo.

— Bardzo ładna — powiedziała Amy. — Postawię ją na toaletce i nie pozwolę dzieciakom się do niej zbliżać. Bagombo.

— Właśnie! — ucieszył się Laird. — Amy wymówiła to prawidłowo. Zabawne. Niektórzy ludzie mają smykałkę do języków. Usłyszą coś raz i natychmiast wychwytyją wszystkie subtelnosci. A niektórym słoń nadepnał na ucho i nigdy nie złapią właściwej melodii. Amy, posłuchaj, a potem powtórz to, co powiem: Toli! Pakka sahn nebul rokka ta. Si notte loni gin ta tonic.

Amy powtórzyła ostrożnie zdanie.

— Doskonale! Wiesz, co właśnie powiedziałaś w Buhna-Simca? „Młoda kobieto, przykryj dziecko i przynieś mi dżin z tonikiem na południowy taras”. Teraz, Harry, twoja kolej, Powtórz: Pilla! Sibba tu bang-bang. Libbin hru donna steek!

Harry, marszcząc brwi, powtórzył zdanie.

Laird rozsiadł się wygodnie, uśmiechając się współczująco do Amy.

— No, nie wiem, Harry. To mogłoby nawet znaleźć zrozumienie, tyle że tubylcy śmialiby się za twoimi plecami.

— A co takiego powiedziałem? — spytał urażony Harry.

— „Chłopcze! — przetłumaczył Laird. — Daj mi strzelbę. Tam, przed nami, w kępie drzew, czai się tygrys”.

— Pilla! — rzekł władcym tonem Harry. — Sibba tu bang-bang. Libbin hru donna steek! — Gdy wyciągnął rękę po strzelbę, drżała jak ryba trzepocąca się na piasku.

— Lepiej, znacznie lepiej! — pochwalił go Laird.

— To było naprawdę dobre — dodała Amy.

Harry pominął milczeniem ich pochlebstwa. Był posępny, praktyczny.

— Powiedz mi, czy tygrysy są problemem w okolicach Bagombo?

— Czasami, gdy zabraknie zwierzyny w dżungli, tygrysy pojawiają się na peryferiach miast — wyjaśnił Laird. — Wtedy trzeba wybrać się na polowanie.

— Masz służbę w Bagombo, prawda? — spytała Amy.

— Jasne, i płacę po sześć centów dziennie mężczyznom i po cztery centy dziennie kobietom — odrzekł Laird.

Ktoś oparł ze stukotem roweru o zewnętrzną ścianę budynku.

— Stevie wrócił do domu — powiedział Harry.

— Chcę jechać do Bagombo — oznajmiła Amy.

— To nie jest odpowiednie miejsce do wychowywania dzieci — odparł Laird. — To jego wielki minus.

Drzwi frontowe otworzyły się i do domu wpadł ładny muskularny dziewięcioletni chłopiec, zgrzany i spocony. Rzucił czapkę na haczyk w ściennej szafie i ruszył biegiem po schodach na górę.

— Powieś porządnie czapkę, Stevie! — powiedziała ostro Amy. — Nie jestem służącą, która będzie chodzić i zbierać wszystko po tobie.

— I podnoś nogi! — dodał Harry.

Stevie zszedł po schodach skradającym się krokiem, zaszokowany i zdumiony.

— Co w was nagle wstąpiło?

— Nie bądź bezczelny — skarcił go Harry. — Chodź tutaj i przywitaj się z panem Lairdem.

— Majorem Lairdem — poprawił go grzecznie Eddie.

— Cześć — powiedział Stevie. — Czemu nie nosisz munduru, skoro jesteś majorem?

— Ponieważ jestem oficerem rezerwy — odrzekł Laird. Poczuł, że szczere, lekceważące i trzeźwe spojrzenie chłopięcych oczu wprawia go w zakłopotanie, zaczyna czuć się naprawdę nieswojo. Uśmiechnął się sztucznie. — Macie miłego synka.

— Ach, tego rodzaju major — wycedził Stevie. Zauważył tabakierę i wziął ją do ręki.

— Stevie — powiedziała Amy — odłóż to. To jeden ze skarbów mamusi, nie chcę, żebyś go upuścił i popsuł. Natychmiast to odłóż.

— Dobrze, dobrze — rzekł pojednawczo Stevie. Odstawił pudełko z wystudiowaną ostrożnością. — Nie miałem pojęcia, że to takie cenne.

— Major Laird przywiózł ją z Bagombo — wyjaśniła Amy.

— Bagombo w Japonii? — spytał Stevie.

— Na Cejlonie, Stevie — powiedział Harry. — Bagombo znajduje się na Cejlonie.

— Wobec tego skąd się wziął napis na spodzie „Made in Japan”?

Laird zbladł.

— Eksportują swoje wyroby do Japonii, a Japończycy sprzedają je dla nich — odpowiedział.

— Widzisz, Stevie, nauczyłeś się czegoś dzisiaj — zauważyła Amy.

— Wobec tego, czemu nie piszą, że to wyprodukowano na Cejlonie? — pytał uparcie Stevie.

— Umysły ludzi Wschodu błędzą krętymi ścieżkami — rzekł Harry.

— Właśnie — potwierdził desperacko Laird. — Zawarłeś w tym jednym zdaniu całą psychikę ludzi Wschodu.

— Wożą te wszystkie rzeczy z Afryki do Japonii? — spytał Stevie.

Lairda ogarnęły straszliwe wątpliwości. Mapa świata wirowała mu w oczach, kontynty trzepotały i zmieniały kształty, wyspa Cejlon uciekała przez siedem mórz. Tylko dwa punkty zajmowały niewzruszoną pozycję, a były to niebieskie oczy Stewiego o lekceważącym spojrzeniu.

— Zawsze myślałam, że Cejlon leży obok Indii — powiedziała Amy.

— Zabawne, ile rzeczy wylatuje człowiekowi z głowy, jeśli zaczyna o nich zbyt intensywnie myśleć — zauważył Harry. — Teraz Cejlon pomieszał mi się z Madagaskarem.

— I z Sumatrą, i z Borneo — dodała Amy. — Tak to jest, gdy nigdy nie ruszamy się z domu.

Teraz już cztery wyspy zęglowały po skołatanej głowie Lairda.

— A więc jaka jest odpowiedź na to pytanie, Eddie? — drażyła Amy. — Gdzie leży Cejlon?

— Obok Afryki — odpowiedział pewnym tonem Stevie. — Uczyliśmy się tego.

Laird rozejrzał się po pokoju. Na wszystkich twarzach malował się brak pewności, z wyjątkiem Stewiego. Odchrząknął.

— Chłopiec ma rację — wychrypiął.

— Zaraz przyniosę atlas i pokażę wam — rzekł dumnie Stevie i pobiegł na górę.

Laird wstał. Czuł, że ma miękkie kolana.

— Muszę pędzić.

— Tak szybko? — powiedział Harry. — Mam nadzieję, że znajdziesz mnóstwo uranu. Dałbym sobie rękę uciąć za to, by móc pojechać z tobą — dodał, unikając wzroku żony.

— Kiedyś, gdy dzieci dorosną — rzekła z melancholią Amy — może będziemy jeszcze dość młodzi, żeby nacieszyć się urokami Paryża i Nowego Jorku oraz innych miejsc i być może osiąść na emeryturze w Bagombo.

— Mam nadzieję — powiedział odważnie Laird. Wyszedł szybko za drzwi i ruszył chodnikiem, który zdawał się nie mieć końca, do taksówki.

— Jedziemy — polecił kierowcy.

— Krzyczą coś do pana — rzekł kierowca. Opuścił szybę, żeby Laird mógł słyszeć.

— Hej, majorze! — wołał Stevie. — To mamusia ma rację, a my się myliliśmy. Cejlon leży obok Indii.

Rodzina, którą Laird tak niedawno rozproszył na wietrze w różne strony, znów była razem, zjednoczona w uciechę na progu domu.

— Pilla — krzyczał radośnie Harry. — Sibba tu bang-bang. Libbin hru donna steek!

— Toli! — wtórowała mu Amy. — Pakka sahn nebul rokka ta. Si notte loni gin ta tonic.

Taksówka odjechała.



Tego samego wieczoru, w pokoju hotelowym, Laird odbył międzymiastową rozmowę ze swą drugą żoną, Selmą, znajdującą się w tej chwili daleko, daleko stąd, w małym domku w Levittown, na Long Island w stanie Nowy Jork.

— Czy Arthur robi postępy w czytaniu, Selmo? — spytał.

— Nauczyciel twierdzi, że nie jest tępy, ale leniwy, i że jeśli tylko zechce, bardzo szybko nadrobi zaległości — odpowiedziała Selma.

— Porozmawiam z nim, gdy wrócę do domu — obiecał Laird. — A bliźniaki? Pozwalają ci choć na chwilę zasnąć?

— No cóż, nazwijmy to w ten sposób, że staram się usunąć je z drogi jednym ciosem. — Selma ziewnęła rozdzierająco. — Jak podróż?

— Pamiętasz, jak mówili, że nie da się sprzedać chipsów ziemniaczanych w Dubuque?

— Pamiętam.

— A mnie się to udało — rzekł triumfująco Laird. — Zamierzam stworzyć historię na tym terenie. Zawojuję to miasto.

— Czy... — Selma zawahała się. — Czy zadzwonisz do niej, Eddie?

— Nieee — odparł Laird. — Po co rozgrzebywać popieliska?

— Nie jesteś nawet ciekawy, co się z nią dzieje?

— Nieee. Prawie się nie znaliśmy. Ludzie się zmieniają, ludzie się zmieniają. — Pstryknął palcami. — Och, byłbym zapomniał. Co powiedział dentysta o zębach Dawn?

— Musi nosić aparat — oznajmiła z westchnieniem Selma.

— Kup koniecznie — rzekł stanowczo Laird. — Zaskoczyłem, Selmo. Zaczynamy wreszcie żyć. Kupiłem sobie nowy garnitur.

— Najwyższy czas — powiedziała Selma. — Od dawna był ci potrzebny. Do twarzy ci w nim?

— Chyba tak. Kocham, cię, Selmo.

— Kocham cię, Eddie. Dobranoc.

— Tęsknię za tobą. Dobranoc — pożegnał się Laird.

Niebieskoszary smok

Szczupły młodzieniec o dużych brudnych dłoniach przeszedł na drugą stronę ulicy, po miękkim od słońca asfalcie, z salonu sprzedaży samochodów, w którym pracował, na pocztę. Miasteczko było niegdyś portem wielorybniczym, obecnie jego mieszkańcy obsługiwali właścicieli oraz najemców letnich rezydencji położonych wzdłuż plaży.

Młodzieniec wysłał kilka listów i kupił znaczki dla swego szefa. Następnie wstąpił do drogerii, żeby załatwić swoją prywatną sprawę. W drzwiach minął opaloną parę w jego wieku. Byli to letnicy. Zmierzył ich ponurym spojrzeniem, jak gdyby ich zdrowie, zamożność i gnuśna pewność siebie były wymierzone przeciwko niemu, szydziły z niego.

Poprosił właściciela drogerii, który go dobrze znał, żeby zrealizował czek na pięć dolarów, wystawiony na jego konto w banku w sąsiednim mieście. W ich rodzinnej miejscowości nie było banku. Miał na imię Kiah.

Kiah przeniósł swoje pieniądze, całkiem sporą sumę, z rachunku oszczędnościowego na czekowy. Czek, który podał drogerzyście, był pierwszym, jaki w ogóle wypisał. Nosił numer jeden. Kiah nie potrzebował tych pięciu dolarów. Pracował na czarno u samochodowego dealera i dostawał zapłatę w gotówce. Chciał się po prostu upewnić, że może spieniężyć swój czek, że to naprawdę działa.

— Na górze napisane jest moje nazwisko — powiedział.

— Widzę — rzekł drogerzysta. — Z pewnością wchodzisz w świat.

— Proszę się nie martwić — uspokoił go Kiah — czek ma pokrycie. — I to jeszcze jakie! Kiah pomyślał, że drogerzysta chyba zemdlałby, gdyby wiedział, jak solidne jest to pokrycie.

— Czemu miałbym się martwić czekiem od najuczciwszego, najciężej pracującego chłopaka w mieście? Dzięki rachunkowi czekowemu stałeś się teraz ważnym facetem, tak jak J. P. Morgan.

— Jakim samochodem jeździ? — spytał Kiah.

— Kto?

— J. P. Morgan.

— On nie żyje. Oceniasz ludzi na podstawie samochodów, którymi jeżdżą? — Drogerzysta miał siedemdziesiąt lat, był bardzo zmęczony i poszukiwał kogoś, kto zechciałby kupić jego sklep. — W takim razie musisz mieć o mnie bardzo kiepską opinię, ponieważ jeżdżę używanym chevroletem. Podał Kiahowi pięć jednodolarowych banknotów.

— Malibu. — Kiah bez chwili wahania podał model samochodu.

— Czasami myślę, że przez tę pracę u Daggetta odbiło ci na punkcie samochodów. — Daggett był właścicielem salonu samochodowego znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy. Sprzedawał zagraniczne samochody sportowe i miał drugi salon sprzedaży w Nowym Jorku. — W ilu miejscach poza Daggettem pracujesz?

— W weekendy jestem kelnerem w „Quarterdeck”, a w nocy pracuję na stacji benzynowej u Eda. — Kiah był sierotą, mieszkał w pensjonacie. Jego ojciec pracował u projektanta terenów zielonych, matka była pokojówką w „Howard Johnson’s” przy autostradzie. Oboje zginęli w katastrofie samochodowej tuż przed „Howard Johnson’s”, gdy Kiah miał szesnaście lat. Policja twierdziła, że wypadek nastąpił z ich winy. Rodzice nie mieli pieniędzy, a ich używany plymouth Fury uległ całkowitemu zniszczeniu, toteż nie zostawili Kiahowi nawet samochodu.

— Martwię się o ciebie, Kiah — rzekł drogerzysta. — Wciąż tylko praca i praca, żadnej rozrywki. Nie zaoszczędziłeś jeszcze dość, by kupić samochód? — Było ogólnie wiadomo, że Kiah zapracowuje się po to, by kupić sobie samochód. Nie miał dziewczyny.

— Słyszał pan kiedyś o Marittima-Frascati?

— Nie. I nie sądzę, żeby ktokolwiek inny o nim słyszał.

Kiah popatrzył na niego ze współczuciem.

— Wygrał szosowy wyścig w Awinionie dwa lata temu z jaguarami, mercedesami i wszystkimi innymi. Wyciąga ponad dwieście kilometrów na godzinę na prostej drodze. Najpiękniejszy samochód na świecie. Daggett ma taki jeden w swoim sklepie w Nowym Jorku. — Zarumienił się z podniecenia. — Nikt tutaj nigdy nie widział tego cacka. Nikt.

— Czemu nie mówisz o fordach, chevroletach lub czymś w tym rodzaju? Marittima-Frascati!

— Nie mają klasy. Dlatego o nich nie wspominam.

— Klasy! Patrzcie no, kto tu mówi przez cały czas o klasie. Myje podłogi, pucuje samochody, pracuje jako kelner, obsługuje dystrybutory z benzyną, ale musi mieć klasę albo nic!

— Pan ma swoje marzenia, a ja swoje — powiedział Kiah.

— Mam swoje marzenie — rzekł z podnieceniem drogerzysta. — Marzę, żeby być takim młodym jak ty w miejscowości tak ładnej i miłej jak ta. Możesz sobie wziąć klasę i...



Daggett, korpulentny nowojorczyk, który otwierał filię swego salonu samochodowego w miasteczku tylko na lato, sprzedawał właśnie samochód wytwornemu dżentelmenowi w tweedowym garniturze, gdy wszedł Kiah.

— Wróciłem, panie Daggett — powiedział.

Daggett nie zwrócił na niego uwagi. Kiah usiadł na krześle i marzył na jawie. Czuł, że serce bije mu bardzo szybko.

— To nie dla mnie, proszę zrozumieć — mówił klient. Przyglądał się ze zdumieniem niskiemu przysadzistemu MG. — To dla mojego syna. Mówił o jednym z tego rodzaju samochodów.

— Ten jest naprawdę świetny dla młodego mężczyzny — rzekł Daggett. — I ma rozsądną cenę jak na sportowy samochód.

— Mój chłopak marzy teraz o jakimś innym samochodzie, Mara-coś tam.

— Marittima-Frascati — powiedział Kiah.

Daggett oraz klient wydawali się zdziwieni tym, że oprócz nich ktoś jeszcze jest w salonie.

— Mhm, tak, właśnie tak się nazywa — potwierdził klient.

— Nie mam go tutaj w tej chwili, ale sprowadzam właśnie jedną sztukę z Nowego Jorku. Powinna nadejść na początku przyszłego tygodnia.

— Jaka cena?

— Pięć tysięcy sześćset pięćdziesiąt jeden dolarów — powiedział Kiah.

Daggett roześmiał się bezbarwnie, niesympatycznie.

— Masz dobrą pamięć, Kiah.

— Pięć sześćset! — jęknął klient. — Kocham mojego syna, ale i miłość ma pewne granice. Biorę ten — oznajmił, wyjmując z kieszeni książeczkę czekową.

Długi cień Kiaha padł na czek, który brał od klienta Daggett.

— Kiah, proszę, zasłaniasz światło.

Kiah nie ruszył się z miejsca.

— Czego chcesz, chłopcze? Zajmij się zmiataniem albo czymś innym.

— Chciałem tylko powiedzieć — rzekł Kiah, oddychając szybko — że gdy skończy pan załatwiać transakcję z tym dżentelmenem, chciałbym zamówić Marittima-Frascati.

— Co takiego? — spytał ze złością Daggett.

Kiah wyjął książeczkę czekową.

— Wynos się! — warknął Daggett.

Klient roześmiał się cicho.

— Robi pan ze mną interes czy nie? — nalegał z uporem Kiah.

— Zajmę się tym, chłopcze, ale na razie usiądź i zaczekaj.

Kiah, wściekły na klienta, że potraktował ten incydent jako komedię, usiadł i czekał, aż wyjdzie.

Daggett podszedł do niego z zaciśniętymi pięściami.

— A teraz, młodzieńcze, chciałem ci powiedzieć, że przez twój wygłup omal nie straciłem klienta.

— Daję panu dwie minuty, panie Daggett, na telefon do banku i sprawdzenie, czy dysponuję taką sumą pieniędzy, albo kupię samochód u kogoś innego.

Daggett spojrział na niego niepewnie, potem zerknął na zegarek. Zadzwoił do banku.

— George, tu Bill Daggett. — Roześmiał się wyniośle. Posłuchaj, George, Kiah Higgins chce wypisać mi czek na pięć tysięcy sześćset dolarów... Tak, właśnie to mówiłem. Przysięgam, że on... Dobrze, zaczekam. — Bębnił palcami po blacie biurka, unikając spojrzenia na Kiah.

— Świetnie, George. Dzięki. — Odłożył słuchawkę.

— I co? — spytał Kiah.

— Zadzwoiłem, żeby zaspokoić ciekawość — wyjaśnił Daggett. — Moje gratulacje. Jestem pod wrażeniem. Wracaj do pracy.

— To moje pieniądze. Uczciwie je zarobiłem — powiedział Kiah. — Pracowałem i oszczędzałem przez cztery lata — cztery koszmarnie, długie lata. Teraz chcę mieć samochód.

— Chyba żartujesz!

— Potrafię myśleć tylko o tym samochodzie, a teraz będzie mój, najwspanialsze auto, jakie kiedykolwiek tu widziano.

Daggett był kompletnie wyprowadzony z równowagi.

— Kiah! Samochód, którego tak pragniesz — na Boga, chłopcze! — jest zabawką maharadzów i teksańskich magnatów naftowych. Pięć tysięcy sześćset dolarów, chłopcze! Ile ci zostanie oszczędności?

— Wystarczy na ubezpieczenie i kilka tankowań. Jeśli nie chce pan zrobić ze mną interesu...

— Naprawdę ci odbiło — powiedział bezradnie Daggett.

— Zrozumiałby pan, gdyby się pan wychował tutaj, panie Daggett, a pańscy rodzice byliby kompletnie spłukani.

— Bzdura! Nie mów mi o spłukaniu, dopóki nie zostaniesz bez grosza w dużym mieście. Tak czy owak, na co ci ten samochód?

— Dzięki niemu będę się cholernie dobrze bawił. Zamierzam trochę nacieszyć się życiem, panie Daggett.

— Ty szalony dzieciaku, prowadzenie samochodu trudno nazwać życiem.

— Początek przyszłego tygodnia, panie Daggett?



Popołudniową ciszę miasteczka zakłócił warkot startera i rasowy pomruk wspaniałego silnika.

Kiah, rozparty na cytrynowożółtych skórzanych poduszkach niebieskoszarego Marittima-Frascati, słuchał rozkosznego grzmotu, który następował po każdym delikatnym wciśnięciu pedału gazu. Był wyszorowany do czysta i miał świeżo ostrzyżone włosy.

— Nie szarżuj z szybkością przez półtora tysiąca kilometrów, słyszysz? — powiedział Daggett. Był w świątecznym nastroju, pogodzony z dziwnym cudem, którego dokonał Kiah. — Pod maską masz wspaniały klejnot i lepiej traktuj go właściwie. Nie przekraczaj sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę przez pierwsze tysiąc pięćset kilometrów, a osiemdziesięciu do pięciu tysięcy. — Roześmiał się. — I nie próbuj, co to cacko naprawdę potrafi, dopóki nie będziesz miał na liczniku ośmiu tysięcy. — Poklepał Kiaha po ramieniu. — Bądź cierpliwy, chłopcze. Nie martw się — nie zawiedzie cię!

Kiah włączył ponownie silnik, pozornie obojętny na gapiów, którzy zebrali się wokół samochodu.

— Jak pan sądzi, ile takich maszyn jest w kraju? — spytał Daggetta.

— Dziesięć, może dwanaście. — Daggett mrugnął do niego. — Nie martw się. Wszystkie pozostałe są w Dallas i Hollywood.

Kiah skinął głową rozsądnie, bez triumfu. Chciał jedynie sprawić wrażenie człowieka, który dokonał sensownego, rutynowego zakupu i teraz, zadowolony z nabytku, zamierza zabrać go do domu.

Zarzucił długie ramię na oparcie siedzenia i rozejrzał się dookoła, gotów do wycofania samochodu w świat.

— Przepraszam — mówił uprzejmie do stojących mu na drodze ludzi. Nie poganiał ich klaksonem, lecz dodawał lekko gazu na luzie. — Dziękuję.



Gdy Kiah znalazł się na sześciopasmowej autostradzie, przestał czuć się jak intruz we wszechświecie. Był jego częścią, równie nieodłączną jak chmury, słońce i sól. Z udawaną skromnością boga podróżującego incognito, pozwolił wyprzedzić się cadillacowi. Siedząca w kabrioletcie ładna dziewczyna o złotych włosach uśmiechnęła się do niego z góry.

Kiah dodał lekko gazu i przemknął obok niej. Roześmiał się, widząc, jak staje się małą plamką we wstecznym lusterku. Wskaźnik temperatury skoczył gwałtownie i Kiah zwolnił, wybacząc sobie ten jeden raz swoją słabość. To się nie powtórzy — ale warto było. To jest życie!

Dziewczyna w cadillacu znów go wyprzedziła. Uśmiechnęła się i pokazała lekceważącym gestem dłoni na potężną maskę przed sobą. Kochała jego samochód. Nienawidziła swojego.

Przy skręceniu w kolistej podjazd do hotelu dziewczyna dała mu znak, kiwnąwszy zapraszająco dłonią. Jak gdyby znajdując drogę do domu, Marittima-Frascati skręcił za nią i wjechał z cichym warkotem przez bramę na parking. Mężczyzna w liberii uśmiechnął się z zachwytem i skierował Kiaha na wolne miejsce obok cadillaca. Kiah zobaczył, że dziewczyna wchodzi do koktajlbaru, jej każdy krok był zaproszeniem, by za nią podążył.

Gdy ruszył w tamtą stronę po białym żwirze, chmura przesłoniła słońce i Kiah zwolnił kroku, przejęty nagłym chłodem. Nagle poczuł, że znalazł się w obcym, wrogim świecie. Zatrzymał się na stopniach do baru i obejrzał się przez ramię na samochód. A ten czekał na swego pana, niski, smukły, żądny kilometrów — samochód Kiaha Higginsa.

Pokrzepiony, Kiah wszedł do chłodnej salki. Dziewczyna siedziała sama przy narożnym stoliku, oczy miała spuszczone. Bawiła się drewnianą pałeczką do mieszania koktajli, łamiąc ją na kawałki. Jediną osobą w barze poza nią był barman, czytający gazetę w słabym pomarańczowym świetle okrętowej latarni.

— Szukasz kogoś, synu?

Synu? Kiah poczuł, że chętnie wjechałby swoim Marittima-Frascati do baru. Miał nadzieję, że dziewczyna nie słyszała.

— Poproszę o dzin z tonikiem — powiedział zimno. — I proszę nie zapomnieć o limonce.

Podniosła wzrok. Kiah uśmiechnął się w poczuciu koleżeństwa wynikającego z uprzywilejowania, mocy koni mechanicznych i szerokiej drogi.

— Proszę, synu. — Barman postawił przed nim drinka. Zaszeleścił gazetą i wrócił do jej lektury.

Kiah wypił, odchrząknął i powiedział do dziewczyny:

— Ładna pogoda.

Nie zareagowała. Kiah odwrócił się do barmana, jak gdyby to do niego były skierowane jego poprzednie słowa.

— Lubi pan prowadzić? — spytał.

— Czasami — odpowiedział barman.

— W taką pogodę człowiek ma ochotę popuścić cugli swojej maszynie. — Barman bez komentarza odwrócił stronę gazety. — Ale właśnie ją docieram i nie mogę przekraczać sześćdziesiątki.

— Jasne.

— Strasznie mnie korci, ponieważ prędkość maksymalna podana przez producenta wynosi ponad dwieście kilometrów.

Barman odłożył z irytacją gazetę.

— Jaka prędkość?

— Mojego nowego samochodu, Marittima-Frascati.

Dziewczyna podniosła z zaciekawieniem wzrok.

— Twojego czego? — spytał barman.

— Marittima-Frascati. To włoski samochód.

— Z pewnością nazwa nie brzmi po amerykańsku. U kogo jeździsz?

— U kogo jeżdżę?

— Tak. Kto jest właścicielem?

— Jak to kto jest właścicielem? Oczywiście, że ja.

Barman wziął z powrotem gazetę.

— On jest właścicielem. Jasne, on jest właścicielem, a samochód wyciąga ponad dwieście na godzinę. Szczęściarz.

Kiah w odpowiedzi odwrócił się do niego tyłem.

— Cześć — powiedział do dziewczyny z większą pewnością siebie, niż się spodziewał. — Jak cię traktuje Cad?

— Mój samochód, mój narzeczony czy mój ojciec? — spytała, śmiejąc się.

— Twój samochód — odrzekł Kiah, zły na siebie, że nie przyszła mu na myśl jakaś dowcipna riposta.

— Cadillaci zawsze traktują mnie dobrze. Teraz sobie ciebie przypominam. Jechałaś tą błękitną ślicznotką z żółtymi siedzeniami. Jakoś nie skojarzyłam cię z samochodem. Wyglądasz inaczej. Jaką nazwę wymieniłeś?

— Marittima-Frascati.

— Mmm. Nigdy nie nauczyłam się wymawiać tej nazwy.

— To bardzo znana marka w Europie — powiedział Kiah. Wszystko szło jak z płatka. — Wygrał wyścig szosowy w Awinionie dwa lata temu.

Uśmiechnęła się czarująco.

— Nie! Nie miałam o tym pojęcia.

— Wyciąga ponad dwieście kilometrów na godzinę.

— O rany! Nie przypuszczałam, że samochód może jechać tak szybko.

— Jest ich tylko około dwunastu w całej Ameryce.

— To rzeczywiście niedużo, prawda? Przepraszam za niedyskretne pytanie, ale ile kosztuje takie cudenko?

Kiah oparł się plecami o bar.

— Proszę bardzo, chętnie ci odpowiem. Chyba gdzieś tak między pięć a sześć tysięcy.

— Och, między? Niezła suma jak na „między”.

— Och, ta maszyna jest warta każdego centa, którego za nią zapłaciłem. Z pewnością nie mam uczucia, że wyrzuciłem pieniądze w błoto.

— To bardzo ważne.

Kiah pokiwał radośnie głową i zatopił spojrzenie w przepięknych oczach, w których malował się bezbrzeżny podziw. Otworzył usta, chcąc wtrącić jakąś błyskotliwą uwagę, by ta rozkoszna gra nadal trwała, nagle jednak zdał sobie sprawę, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

— Ładna pogoda — powtórzył jeszcze raz.

— Aha. — Oczy dziewczyny zasnuły się nudą. — Ma pan zegarek? — spytała barmana.

— Tak, proszę pani. Jest siedem po czwartej.

— Co pan powiedział? — rzekł Kiah, tylko po to, by usłyszeć swój głos.

— Czwarta, synu.

Przejażdżka, pomyślał Kiah, może chciałaby przejechać się ze mną moim samochodem.

Drzwi otworzyły się szeroko i do baru wszedł przystojny młodzieniec w spodenkach do tenisa, szeroko uśmiechnięty, pewny siebie, arogancki i ożywiony.

— Marion! — wykrzyknął. — Dzięki Bogu, jeszcze cię tu zastałem. Jesteś aniołem, że zaczekałaś!

Na twarzy dziewczyny malowało się cięłe uwielbienie.

— Nie spóźniłeś się bardzo, Paul. Wybaczam ci.

— Jak idiota dałem się wciągnąć w debla i gra ciągnęła się niemiłosiernie. Wreszcie przerwałem mecz. Bałem się, że cię stracę na zawsze. Co porabiałaś, czekając na mnie?

— Niech pomyślę. Połamałam pałeczkę do mieszania koktajli i... ooch! Spotkałam niezwykle interesującego dżentelmena, który ma samochód, osiągający dwieście kilometrów na godzinę.

— No to trafiłaś na oszusta, kochanie, ponieważ ten facet skłamał na temat swojego samochodu.

— To bardzo mocne słowa — powiedziała Marion.

Paul wyglądał na zadowolonego.

— Doprawdy?

— Zwłaszcza że mężczyzna, którego nazwałeś kłamcą, znajduje się w tym pomieszczeniu.

— Coś takiego! — Paul rozejrzał się dookoła z udawanym przestraszonym. Obrzucił przelotnym spojrzeniem Kiaha i barmana. — Jest nas tu tylko czworo.

Dziewczyna wskazała na Kiaha.

— To ten chłopak. Czy mógłbyś opowiedzieć Paulowi o swoim Vanilla Frappe?

— Marittima-Frascati — odpowiedział ledwie dosłyszalnie Kiah, po czym powtórzył głośniej: — Marittima-Frascati.

— Hm — wycedził Paul — muszę przyznać, że brzmi to tak, jak gdyby wyciągał dwieście na sekundę. Masz go tutaj?

— Na zewnątrz — odrzekł Kiah.

— O to mi chodziło — powiedział Paul. — Muszę się nauczyć wyrażać jaśniej. — Wyrzwał na parking. — Ohoho, widzę. Ta mała niebieska zabawka. Bardzo ładna. Prześliczna. I jest twoja?

— Przecież mówiłem.

— W doskonałym stanie — rzekł w zamyśleniu Paul. To może być drugi co do szybkości samochód w tej okolicy. Prawdopodobnie jest.

— Czyżby? — spytał sarkastycznie Kiah. — Chciałbym zobaczyć ten pierwszy.

— Tak? Proszę bardzo. Też stoi na parkingu. Tamten zielony.

Był to angielski hampton, długi i przysadzisty. Kiah znał dobrze ten samochód. To na niego zaczął zbierać pieniądze, zanim Daggett pokazał mu zdjęcie Marittima-Frascati.

— Da mu radę — powiedział Kiah.

— Doprawdy? — roześmiał się Paul. — Nie ma mowy, przyjmuję każdy zakład.

— Posłuchaj — rzekł ostrym tonem Kiah. — Postawiłbym na mój samochód wszystko, gdyby był dotarty.

— Szkoda — powiedział Paul. — Wobec tego innym razem. Jest niedotarty — wyjaśnił Marion. — Idziemy, kochanie?

— Jestem gotowa, Paul — odrzekła dziewczyna — tylko powiem parkingowemu, że wrócę po cadillaca, w przeciwnym razie pomyśli, że zostałam porwana.

— I będzie miał rację — uśmiechnął się Paul. — Do zobaczenia, Ralph. — Najwyraźniej dobrze się znali.

— Zawsze miło cię widzieć, Paul — odpowiedział Ralph.

Tak więc Kiah znał imiona całej trójki, ale oni nie mieli pojęcia, jak on się nazywa. Nikt go o to nie zapytał. Nikogo to nie obchodziło. Jakie znaczenie miało jego imię?

Kiah patrzył przez okno, jak Marion rozmawia z parkingowym, a następnie wsuwa się na siedzenie obok kierowcy nisko zawieszony hampton.

Ralph zadał bezimiennemu kilka pytań:

— Jesteś mechanikiem? Ktoś zostawił u ciebie samochód, żebyś przeprowadził test szosowy? Lepiej zamknij dach, bo zanoszą się na deszcz.

Spod tylnych kół niebieskoszarego smoka z cytrynowożółtą skórzaną tapicerką tryśnięły fontanny żwiru, obsypując nogi parkingowego. Odźwierny przy bramie wjazdowej dał sygnał kierowcy, żeby zwolnił, po czym samochód wyrwał jak szalony do przodu.

— Dalej, dziecinko — szeptał Kiah cicho słowa dopingu. — No, dalej, mała, Kocham cię.

Trzymał kierownicę i manipulował zsynchronizowanymi biegami, tak by samochód płynnie nabierał szybkości, ale czuł, że to wszystko jest naprawdę niepotrzebne, że jego Marittima-Frascati wie lepiej od niego, dokąd jechać i jak robić to, do czego jest stworzony.

★ ★ ★

Jedyny Marittima-Frascati w promieniu tysięcy kilometrów przemykał obok samochodów osobowych i ciężarówek, jak gdyby stały w miejscu. Wskaźnik temperatury na obitej skórą tablicy rozdzielczej zbliżał się niebezpiecznie do końca czerwonego pola.

— Dobra dziewczynka — powiedział Kiah. Przemawiał czasami do samochodu, jak gdyby był kobietą, czasami zaś mówił jak do mężczyzny.

Wyprzedził zielonego hamptona, który przekraczał jedynie o włos limit prędkości. Musiał znacznie zwolnić, żeby jechać z nim maska w maskę. Podniósł do góry palec, zapraszając Paula i Marion, by się z nim ścigali.

Paul pokręcił przecząco głową i machnął ręką, po czym wcisnął hamulec i został daleko z tyłu. Wyścigu nie będzie.

— Ten facet jest bez ikry, dziecino — zawołał Kiah. Pokażmy światu, jak się daje czadu! — Wcisnął pedał gazu do oporu. Trzymał go tak długo, aż krajobraz zaczął mu się rozmazywać przed oczami.

Silnik wył teraz przeraźliwie w agonii i Kiah powiedział rzeczowym tonem:

— Eksploduj, eksploduj.

Ale silnik nie wybuchnął ani się nie zapalił. Po prostu jego cenne wnętrza stopiły się i silnik przestał być silnikiem. Tak jak sprzęgło przestało być sprzęgłem. Kiah pozwolił, by samochód stoczył się resztkami siły rozpędu na awaryjny pas autostrady.

Wypatrywał hamptona z Paulem za kierownicą oraz z Marion, ale nie przejechali obok niego. Musieli skręcić dużo wcześniej w jakieś odgałęzienie autostrady, pomyślał Kiah.

★ ★ ★

Kiah zostawił samochód na miejscu jego zagłady. Wrócił do miasteczka autostopem, nie opowiadając o niczym kierowcy, który go podwiózł. Wrócił do salonu prze-

daży Daggetta i zachowywał się tak, jak gdyby przyszedł normalnie do pracy. MG nadal znajdowało się w sprzedaży. Mężczyzna, który zamierzał kupić je swojemu synowi, rozmyślił się.

— Dałem ci wolne na cały dzień — powiedział Daggett.

— Wiem — odparł Kiah.

— A gdzie samochód?

— Zabiłem go.

— Co zrobiłeś?

— Wydusiłem z niego dwieście czterdzieści na godzinę.

— Nie wygłupiaj się!

— Sam pan zobaczy — powiedział Kiah. — To kompletnie martwy sportowy samochód. Musi pan wysłać po niego pomoc drogową i wziąć go na hol.

— Mój Boże, chłopcze, czemuś to zrobił?

— Proszę mówić do mnie Kiah.

— Kiah — powtórzył Daggett, przekonany, że ma do czynienia z szaleńcem.

— Kto wie, czemu ludzie robią różne rzeczy? — rzekł Kiah. — Nie mam pojęcia, czemu go zabiłem. Wiem tylko, iż się cieszę z tego, że nie żyje.

**Prezent dla Wielkiego
Świętego Nicka**

O Wielkim Nicku mówiło się, że jest ostatnim spadkobiercą władzy Al Capone'a. Od-
mawiał potwierdzenia lub zaprzeczenia tego faktu, podając jako powód, że mógłby ob-
ciążyć samego siebie.

Kupował wszystko, na co mu tylko przyszła fantazja, dwudziestotrzypokojowy dom
pod Chicago, siedemnastopokojowy dom w Miami, konie wyścigowe, dwudziestosied-
miometrowy jacht, sto piętnaście garniturów oraz, między innymi, pakiet kontrolny
walk boksera o nazwisku Bernie O'Hare, pseudo Dynamit z Shenandoah.

Gdy O'Hare, prawie u szczytu kariery, stracił wzrok w jednym oku, Wielki Nick do-
łączył go do grupy swych ochroniarzy.

Wielki Nick wydawał co roku, na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodze-
nia, przyjęcie dla dzieci swych pracowników i w dniu przyjęcia Bernie O'Hare, Dyna-
mit z Shenandoah, wybrał się na zakupy w centrum Chicago ze swą bystrą, ładną żoną
Wandą i czteroletnim synem Willym.

Cała trójka była w sklepie jubilerskim, gdy mały Willy zaczął narzekać i uchwycił się
kurczowo spodni ojca niczym pijany dzwonnik sznura.

Bernie, młody, pokryty bliznami, posłuszny rzezimieszek, odłożył wyścieloną aksa-
mitem tackę z zegarkami i przytrzymał spodnie w pasie.

— Puść moje spodnie, Willy! No, puszczaj! — Odwrócił się do Wandy. — Jak mam
wybrać gwiazdkowy prezent dla Wielkiego Nicka, skoro Willy ściąga mi portki? Zabierz
go, Wan. Co dolega temu dzieciakowi?

— Gdzieś tu musi być Święty Mikołaj — powiedziała Wanda.

— U jubilera nie ma Świętych Mikołajów — rzekł Bernie. — Nie macie tu Świętych
Mikołajów, prawda? — spytał ekspedienta.

— Nie, proszę pana — odpowiedział mężczyzna. Twarz rozpromieniła mu się
w uśmiechu, przechylił się przez ladę do Willy'ego. — Ale jeśli chłopczyk chciałby po-
rozmawiać z poczciwym Świętym Mikołajkiem, myślę, że znajdzie starego wesołego elfa
tuż obok...

— Zamknij się! — warknął Bernie.

Ekspedient zbladł.

— Chciałem tylko powiedzieć, proszę pana, że w domu towarowym tuż obok mają Świętego Mikołaja i mały...

— Nie widzisz, że tylko pogarszasz sprawę? — spytał ze złością Bernie. Ukłękł obok Willy'ego. — Willy, synku, nie ma tu żadnego Mikołaja w promieniu kilometrów. Ten facet gada bzdury. W pobliżu nie ma Świętego Mikołaja.

— Tam, tatusiu, tam — zawołał Willy, wskazując palcem malutką czerwoną figurkę stojącą obok zegara za ladą.

— Rany! — rzekł ze znużeniem Bernie, klepiąc się po kolanie. — Ten malec ma sokoli wzrok, jeśli idzie o Mikołajów. — Roześmiał się nieszczerze. — No, synku, zadziwiasz mnie. To przecież tylko mały plastikowy Mikołaj. Nie zrobi ci krzywdy.

— Nienawidzę go! — krzyknął Willy.

— Ile pan chce za to byle co? — spytał Ernie sprzedawcę.

— Za tego plastikowego Mikołaja, proszę pana? — spytał skonsternowany ekspedient. — To tylko dekoracja. Przypuszczam, że dostanie pan coś takiego w każdym tanim sklepie.

— Ja chcę tego — powiedział Bernie. — Natychmiast.

Sprzedawca podał mu plastikową figurkę. Ręka mu drżała.

Bernie rzucił Mikołaja na kamienną posadzkę.

— Popatrz, co tatuś zrobi ze starym wąsaczem, Willy — powiedział. Opuścił z całej siły piętę. — Trrrraach!

Willy uśmiechnął się nieśmiało, po czym wybuchnął śmiechem, gdy obcas ojca miażdżył bezlitośnie figurkę.

— Teraz twoja kolej, Willy — zachęcił chłopca Bernie. — Kto się go boi, co?

— Rozwalę mu ten stary łeb! — wykrzyknął radośnie Willy. — Roztrzaskam go na drobne kawałki! — Deptał czerwone plastikowe szczątki, warcząc jak pies.

— To było naprawdę bardzo mądre — zauważyła Wanda. — Najpierw każesz mi przez cały rok robić wszystko, żeby polubił Świętego Mikołaja, a potem wyprawiasz takie głupstwa.

— Musiałem coś zrobić, żeby się przymknął, no nie? — westchnął Bernie. — Dobra, dobra. Może moglibyśmy teraz mieć chwilę spokoju, żeby obejrzyć zegarki. Ile kosztuje ten z brylantowymi cyferkami?

— Trzysta dolarów, łącznie z podatkiem, proszę pana — odpowiedział ekspedient pi-skliwym ze zdenerwowania głosem.

— Czy świeci w ciemności? — spytał Bernie ostrym tonem. — Powinien świecić w ciemności.

— Tak, proszę pana, ma podświetlany cyferblat.

— Biorę go — zdecydował Bernie.

— Trzysta dolarów! — jęknęła Wanda. — Rany koguta, Bernie!

— Co to znaczy, „rany koguta”? — oburzył się Bernie. — Wstyd mi, że daję mu taki śmieć. Co znaczy dla Wielkiego Nicka zegarek za trzysta dolarów? — Poczzerwieniał ze złości. — Teraz się krzywisz, ale nie słyszałem, żebyś miała coś przeciwko temu, że stan oszczędności na naszym koncie stale się powiększa. Wielki Nick jest Świętym Mikołajem, czy ci się to podoba, czy nie.

— Nie podoba mi się — powiedziała Wanda. — Ani Willy’emu. Spójrz na to biedne dziecko — całą Gwiazdkę ma popsutą.

— Aach, daj spokój, nie jest tak źle — mitygował ją Bernie. — To naprawdę zacnie ze strony Wielkiego Nicka, że wydaje przyjęcie dla dzieciaków. To znaczy, nieważne, jak to wygląda w praniu, pomysł był dobry.

Wanda skrzywiła się pogardliwie.

— Zacnie! — syknęła. — Dobry pomysł! Ubiera się w strój Świętego Mikołaja, żeby dzieciaki go wielbiły. A już szczytem jest, że zmusza je, by donosiły na rodziców.

Bernie pokiwał ze strapieniem głową, spoglądając na swe potężne dłonie.

— Co można zrobić?

— Rzuć pracę u niego — powiedziała Wanda. — Zaczynj pracować u kogoś innego. Bernie wzruszył ramionami.

— A co innego potrafię robić, Wan? Zawsze byłem bokserem, a gdzie indziej uda mi się zarobić tyle co u Wielkiego Nicka? Gdzie?

Do sąsiedniej lady podszedł wysoki elegancki dżentelmen z niedużym wąsikiem, w towarzystwie żony w futrze z norek oraz synka w wieku Willy’ego. Chłopiec sapał przez nos i zerkał bojaźliwie przez ramię na drzwi. Wysoki dżentelmen był wytwornie ubrany i zachowywał się tak, jak gdyby podejrzewał, że gdzieś w pobliżu pękła rura kanalizacyjna.

Z nie ukrywaną ulgą ekspedient uwolnił się od Berniego, Wandy oraz Willy’ego i pośpieszył obsłużyć nowo przybyłych.

— Spójrz — rzekł Bernie — to państwo Pullmanowie. Na pewno pamiętasz ich z pierwszego przyjęcia gwiazdkowego, Wan.

— Księgowy Wielkiego Nicka? — spytała Wanda.

— Nie, jego prawnik. — Bernie pomachał Pullmanowi ręką. — Witam, panie Pullman.

— Och, dzień dobry — odpowiedział bez entuzjazmu Pullman. — To ochroniarz Wielkiego Nicka — wyjaśnił żonie. — Na pewno pamiętasz go z ostatniego przyjęcia gwiazdkowego.

— Widzę, że robi pan zakupy świąteczne równie późno jak wszyscy inni — zauważył Bernie.

— Tak — przyznał Pullman. Spojrzał z góry na swego synka, Richarda. — Czy mógłbyś przestać siąkać nosem? — spytał ze złością. — Sapiesz i sapiesz.

— To psychosomatyczne — powiedziała pani Pullman. — Zaczyna sapać za każdym razem, gdy zobaczy Świętego Mikołaja, a przecież nie da się pójść z dzieckiem do śródmieścia w porze Bożego Narodzenia, żeby nie spotkać gdzieś Mikołaja. Tamten wypadł z baru i przyczepił się do nas, zanim się zorientowaliśmy.

— Mój syn nie będzie sapał! — warknął Pullman. — Richardzie, zachowuj się jak mężczyzna! Święty Mikołaj jest twoim przyjacielem, moim przyjacielem, przyjacielem każdego.

— Wolałbym, żeby został na biegunie północnym — powiedział Richard.

— I odmroził sobie nos — dodał Willy.

Obaj chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zjednoczeni wspólną nienawiścią, a nad nimi ich matki popatrzyły na siebie z ostrożną sympatią.

— I został zjadły przez niedźwiedzia polarnego — zawołał Richard.

— Zjedzony — poprawiła pani Pullman.

— Czy zachęcasz chłopca, żeby nienawidził Świętego Mikołaja? — spytał pan Pullman.

— Po co udawać? — powiedziała pani Pullman. — Nasz Święty Mikołaj jest wstrętnym, wulgarnym, brudnym, wścibskim, cuchnącym oszustem o niewyparzonej gębie.

Sprzedawcy oczy omal nie wyszły z orbit.

— Czasami, moja droga — rzekł strofująco Pullman — zastanawiam się, czy pamiętasz, jak wyglądało nasze życie, zanim spotkaliśmy Świętego Mikołaja. Nie rozbudowany strych, żadnych perspektyw.

— Daj mi wszystko albo mnie zabij — powiedziała pani Pullman.

— To pakiet propozycji — rzekł Pullman. — Bierzesz całość, a oni dorzucają ci śmierć z głodu, nawet jeśli o to nie prosisz. Pamiętasz?

— A teraz — powiedział Pullman do sprzedawcy, otrzepując dłonie — proszę mi znaleźć coś o straszliwie wygórowanej cenie, w fatalnym guście i, jeśli to tylko możliwe, żeby świeciło w ciemności i miało barometr. Czy wyczuwa pan, o co mi chodzi?

Sprzedawca zmarszczył z niesmakiem nos.

— Mamy chromowany model „Mayflower” z czerwonymi światełkami w iluminatorach — zaproponował. — Ale w nim jest zamontowany zegar, a nie barometr. Dysponujemy również srebrną statuetką wojownika z rubinowymi oczami, w którą wbudowany jest barometr.

— Ciekawa jestem — powiedziała w zamyśleniu pani Pullman — czy nie można by przyspawać wojownika do rufy „Mayflower”?

— Zmierzasz we właściwym kierunku — rzekł Pullman. — Zaskakujesz mnie. Nie sądziłem, że kiedykolwiek zrozumiesz osobowość Wielkiego Nicka. — Przetarł oczy, nagle straszliwie zmęczony. — O, Boże, co może mu się przydać, czego może potrzebować? Masz jakieś pomysły, Bernie?

— Nie — odparł Bernie. — Opływa we wszystko. Ale utrzymuje, że wciąż lubi dostawać prezenty, po to, by przypominały mu o wszystkich przyjaciółach, których ma.

— Uważa, że jest to sposób na policzenie ich, prawda? — powiedział Pullman.

— Przyjaciele są ważni dla Wielkiego Nicka — rzekł Bernie. — Trzeba mu powtarzać po sto razy dziennie, że wszyscy go kochają, w przeciwnym razie zaczyna rozważać meble i pracowników.

Pullman pokiwał głową.

— Richardzie — spytał surowo — czy pamiętasz, co masz powiedzieć Świętemu Miłkołajowi, gdy zapyta, co mamusia i tatuś sądzą o Wielkim Nicku?

— Mamusia i tatuś kochają Wielkiego Nicka — odpowiedział Richard — i uważają go za prawdziwego dżentelmena.

— Co powiesz, Willy? — spytał ze znużeniem Bernie.

— Mamusia i tatuś mówią, że zawdzięczają bardzo dużo Wielkiemu Nickowi. Wielki Nick jest życzliwym, hojnym człowiekiem.

— Wszyscy kochają Wielkiego Nicka — podpowiedziała zgryźliwie Wanda.

— Albo wylądują w jeziorze Michigan z kamieniem u szyi — dodał Pullman. Uśmiechnął się do ekspedienta, który właśnie przyniósł mu „Mayflower” i wojownika. — Są dobrzy, dopóki mu pasują. Ale czy świecą w ciemności?



Bernie O'Hare, niegdysiejszy Dynamit z Shenandoah, patrzył przez nieduży wizer w grubych frontowych drzwiach Wielkiego Nicka, jak państwo Pullmanowie z synem Richardem idą oświetlonym reflektorami chodnikiem do rezydencji, potykając się o ukryte alarmy. Odryglował zamek i zdjął łańcuch.

— Ho, ho, ho — powiedział cicho.

— Ho, ho, ho — odrzekł Pullman, wręczając Berniemu swój filcowy kapelusz i płaszcz.

— No, Richard — powiedział Bernie do młodego Pullmana — widzę, że się uspokoiłeś.

— Tatuś dał mi tabletkę nasenną — wyjaśnił Richard.

— Czy pan domu jest po dużej libacji? — spytała pani Pullman.

— Słucham? — rzekł Bernie.

— Czy jest pijany?

Bernie rozejrzał się ukradkiem.

— A czy ryby pływają? — spytał.

— Czy słońce wschodzi? — dodał pan Pullman.

Zabrzączał mały interkom na ścianie. Bernie podniósł ostrożnie słuchawkę.

— Słucham, Nick?

— Czy wszyscy już są? — spytał przepity zadziorny głos.

— Tak, Nick. Pullmanowie właśnie przyjechali. Są już ostatni. Pozostali czekają w salonie.

— Rób, co do ciebie należy. — Nick odwiesił słuchawkę.

Bernie westchnął, wyjął z szafy sznur dzwonek do sań, wyłączył system alarmowy i wyszedł na dwór, kryjąc się w krzakach.

Potrząsnął dzwoneczkami i krzyknął:

— Hej, to Święty Mikołaj! I wszystkie renifery! O rany! Lądują na dachu! A teraz Mikołaj wchodzi przez okno sypialni na piętrze!

Wrócił do domu, schował dzwonki, zarygłował drzwi i zamknął je na łańcuch, włączył z powrotem system alarmowy, po czym wszedł pokornie do salonu, gdzie dwanaścioro dzieci i osiem par rodziców siedziało w milczeniu, patrząc z posępnym lękiem na schody.

Wszyscy mężczyźni pracowali dla Nicka. Jedynie Bernie wyglądał jak bandzior. Pozostali mieli wygląd zwykłych szacownych biznesmenów. Pracowali głównie w centrali, gdzie brutalność była bardzo odległa. Prowadzili mu księgowość, doradzali w interesach i kwestiach prawnych, wdrażali najnowocześniejsze metody zarządzania w jego rozmaitych przedsiębiorstwach. Stanowili niewielką część jego pracowników, tych, którzy mieli dzieci na tyle małe, by wciąż wierzyły w Świętego Mikołaja.

— Wesołych Świąt! O-ho-ho-ho-ho! — powiedział Święty Mikołaj ochrypłym głosem, tupiąc ciężko wielkimi czarnymi buciorami po schodach.

Willy wyrwał się matce i pobiegł pędem do Berniego, szukając bezpieczniejszego schronienia. Bernie zbudował dla Willy'ego fort ze swych potężnych ramion. Czuł się podle, nie potrafił spojrzeć Wandzie w oczy.

Święty Mikołaj oparł się o słupek poręczy schodów, cygaro zwisało mu z wacianej brody, małe oczka wędrowały złośliwie od twarzy do twarzy. Był gruby, przysadzisty, miał bladą nalaną twarz. Rozsiewał wokół siebie opary alkoholu.

— Właśnie zląłem z mojego warsztatu na biegunie północnym — rzekł wyzywająco. — Czy nikt nie zamierza powitać starego Świętego Mikołaja?

Rodzice szturchnęli swoje pociechy i w salonie rozległ się cichutki chór pozdrowień.

— No, gadajcie coś! — powiedział Mikołaj. — To nie kostnica. — Wycelował bezceremonialnie palec, na którym błyszczał wielki brylant, w Richarda Pullmana. — Byłeś grzecznym chłopcem?

Pan Pullman ścisnął swego syna jak kobzę.

— Tak — pisnął Richard.

— Jesteś pewny? — spytał podejrzliwie Święty Mikołaj. — Nie zachowywałeś się bezczelnie wobec dorosłych?

— Nie — odparł Richard.

— W porządku — powiedział Mikołaj. — Może mam dla ciebie elektryczną kolejkę, a może nie. — Zaczął szperać w stercie paczek pod choinką. — Gdzie ja wetknąłem tę cholerną kolejkę? — Znalazł paczkę z imieniem Richarda i podał ją prowokacyjnym gestem. — Chcesz ją?

— Tak — odrzekł apatycznie Richard.

— Wobec tego zachowuj się, jakby ci się podobała — powiedział Mikołaj.

Mały Richard przełknął z trudem ślinę.

— Wiesz, ile to kosztuje? — spytał Święty Mikołaj. — Sto dwadzieścia cztery pięćdziesiąt. — Zrobił dramatyczną pauzę. — W hurcie. — Pochylił się ku Richardowi. — Chciałbym usłyszeć słowa podziękowania.

Pan Pullman ścisnął Richarda.

— Dziękuję — wykrztusił Richard.

— „Dziękuję”. No, myślę — rzekł Mikołaj z gryzącą ironią. — Nigdy nie dostaniesz kolejki za sto dwadzieścia cztery dolary pięćdziesiąt centów od swojego staruszka, to ci mogę powiedzieć. Powiem ci też, chłopcze, że gdyby nie ja, twój ojciec nadal byłby nikim, marnym urzędniczyną. I niech nikt o tym nie zapomina.

Pan Pullman powiedział coś cicho do syna.

— O co chodzi? Co ci szepcze twój staruszek na ucho? — spytał Mikołaj.

— Powiedział, że kije i kamienie mogą połamać mu kości, ale słowa nigdy go nie zranią — powtórzył słowa ojca Richard. Wydawał się zażenowany z jego powodu, podobnie jak pani Pullman, która z trudem chwyciła powietrze.

— Ha! — rzekł Święty Mikołaj. — Mocne słowa. Założę się, że powtarza je sto razy dziennie. Co mówi w domu o Wielkim Nicku? No, Richard, rozmawiasz ze Świętym Mikołajem, a ja prowadzę na biegunie północnym spis dzieci, które nie mówią prawdy. Co naprawdę myśli o Wielkim Nicku?

Pullman odwrócił wzrok, jak gdyby odpowiedź Richarda w ogóle go nie dotyczyła, ale jego dłoń zacisnęła się kurczowo na ramieniu chłopca.

— Mamusia i tatuś mówią, że Wielki Nick jest prawdziwym dżentelmenem — wyrecytował Richard. — Mamusia i tatuś kochają Wielkiego Nicka.

— Dobrze, dziecko — rzekł serdecznie Mikołaj — oto twoja kolejka. Jesteś grzecznym chłopcem.

— Dziękuję — powiedział Richard.

— Teraz mam dużą lalkę dla małej Gwen Zerbe. — Mikołaj wyjął kolejną paczkę spod choinki. — Ale najpierw podejdź tu, Gwen, żebyśmy mogli porozmawiać sobie tak, by nikt nas nie słyszał.

Gwen, popchnięta przez ojca, głównego księgowego Wielkiego Nicka, podreptała do Mikołaja. Jej ojciec, niski, korpulentny mężczyzna, uśmiechnął się blade, wytyczył słuch

i pozieleniał na twarzy. Pod koniec przesłuchania Zerbe odetchnął z ulgą, odzyskując naturalny kolor twarzy, ponieważ Święty Mikołaj uśmiechał się. Gwen dostała swoją lalkę.

— Willy O'Hare! — zagrział Święty Mikołaj. — Powiedz Mikołajowi prawdę, a dostaniesz ode mnie piękny okręt. Co twoi starszycy mówią o Wielkim Nicku?

— Że wiele mu zawdzięczają — odpowiedział posłusznie Willy.

Święty Mikołaj roześmiał się głośno.

— No chyba, chłopcze! Wiesz, Willy, gdzie byłby twój starszy, gdyby nie Wielki Nick? Kręciłby się w kółko, gadał do siebie i nic nie pozostałoby z jego sławy. Masz tu, dziecko, swój okręt i wesołych świąt.

— Wesołych świąt — rzekł uprzejmie Willy. — Czy mógłbym dostać jeszcze ścierkę?

— Ścierkę? — zdziwił się Mikołaj.

— Proszę — powiedział Willy. — Chciałbym umyć okręt.

— Willy! — krzyknęli ostrzegawczo Bernie i Wanda.

— Chwileczkę, chwileczkę — powstrzymał ich Mikołaj. — Pozwólcie dziecku mówić. Czemu chcesz go umyć, Willy?

— Chcę zetrzeć z niego krew i brud — rzekł po prostu Willy.

— Krew! — powtórzył Święty Mikołaj. — Brud!

— Willy! — zawołał Bernie z udruką.

— Mama mówi, że na wszystkim, co dostajemy od Mikołaja, jest krew — powiedział Willy. Pokazał palcem panią Pullman. — A ta pani mówi, że jest brudny.

— Nic takiego nie mówiłam, nie mówiłam — zaprzeczyła pani Pullman.

— A właśnie, że tak — potwierdził słowa Willy'ego Richard. — Sam słyszałem.

— Mój tata — powiedziała Gwen Zerbe, przerywając przeraźliwą ciszę — mówi, że całowanie Świętego Mikołaja nie jest gorsze od całowania psa.

— Gwen! — krzyknął jej ojciec.

— Zawsze całuję psa — dokończyła z determinacją swoją myśl Gwen — i nigdy nie robi mi się niedobrze, Willy.

— Chyba uda nam się zmyć krew i brud, gdy już wrócimy do domu — rzekł Willy.

— Ach, ty bezczelny mały chuliganie! — ryknął Święty Mikołaj, podnosząc rękę, by uderzyć Willy'ego.

Bernie poderwał się błyskawicznie i chwycił Mikołaja za rękę.

— Proszę — powiedział — dziecko nie miało nic złego na myśli.

— Zabierz ode mnie swoje brudne łapy! — wrzasnął Mikołaj. — Chcesz popełnić samobójstwo?

Bernie rozejrzał się bezradnie po pokoju pod pełnymi wyrzutem, przerażonymi spojrzzeniami ojców, pełnymi podziwu spojrzzeniami matek, zachwyconymi spojrzzeniami dzieci.

— Liczę do pięciu, mistrzu — warknął Mikołaj. — Jeśli mnie nie puścisz, jesteś martwy. Raz, dwa, trzy, cztery...

Bernie z rezygnacją puścił jego ręce.

Na twarzach ojców odmalowała się ulga, matki odwróciły wzrok, dzieci popatrzyły na niego z niesmakiem. Willy skulił się.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? — rzekł z pogardą Mikołaj. — Chyba należą mi się małe przeprosiny.

— Bardzo przepraszam, Święty Mikołaju — powiedział pokornie Bernie. Jego potężna pięść zmiażdżyła cygaro Mikołaja, rozsmarowując mu je po całej twarzy. Mikołaj zatoczył się na choinkę i padając, ściągnął z niej ozdoby.

Dziecięce okrzyki radości wypełniły salon. Bernie uśmiechnął się szeroko i gestem mistrza uniósł ponad głowę zaplecione dłonie.

— Ucisz te bachory! — wybełkotał Święty Mikołaj, plując resztkami cygara. — Ucisz je albo wszyscy jesteście martwi!

Zapanował straszliwy harmider. Rodzice szarpali się z dziećmi, próbując je uspokoić, one zaś wrywały się, wyjąc, szydząc z Mikołaja i wygwizdując go.

— Każ mu zjeść wąsy, Bernie!

— Nakarm nim renifery!

— Jesteście wszyscy skończeni! Już nie żyjecie! — wrzeszczał święty Mikołaj, leżąc wciąż na plecach. — Mogę sprzątnąć takich jak wy za dwadzieścia pięć dolców. Wynocha!

Dzieci były szaleńczo szczęśliwe! Tańczyły wokół domu bez płaszczyków, krzycząc: „Dzwonią dzwony, ty stary durniu” i „Napchaj się lamety, Mikołaju”. Były zbyt niewinne, by zdawać sobie sprawę, że nic się nie zmieniło w strukturze ekonomicznej, w której tkwili nadal ich rodzice. W wielu filmach, które widziały, jeden cios pięścią w twarz złego faceta, wymierzony przez dobrego, zamieniał piekło w raj na ziemi.

Święty Mikołaj, wymachując rękami, wyganiał za nimi rodziców.

— Znajdę was wszędzie, bez względu na to, dokąd pójdziecie! — wrzeszczał z furją Mikołaj, stojąc w progu. — Byłem dla was dobry i takie otrzymałem za to podziękowanie. No cóż, i wy dostaniecie ode mnie podziękowanie, najlepsze, na jakie mnie będzie stać. Zostaniecie wszyscy starci na proch, darmozjady!

— Mój tata kopnął Świętego Mikołaja w tyłek! — piał z zachwytu Willy.

— Jestem już martwy — powiedział Bernie O'Hare do swej żony.

— Ja też jestem martwa — rzekła Wanda — ale mimo wszystko warto było. Spójrz, jakie dzieci są szczęśliwe.

Mogli się spodziewać, że zostaną zabici przez płatnego mordercę, chyba że uciekną do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi kraju, gdzie nie sięgają wpływy mafii. W takiej samej sytuacji znajdowali się Pullmanowie.

Święty Mikołaj zniknął na chwilę w domu, po czym ukazał się w drzwiach z naręczem prezentów opakowanych w świąteczny papier. Jego biała waciana broda była poplamiona krwią. Rozerwał niecierpliwie papier na pierwszej paczce i wyjął z niej triumfalnie zapalniczkę w kształcie rycerza w zbroi. Przeczytał na głos załączoną kartkę: „Wielkiemu Nickowi, jedynemu i najwspanialszemu. Kocham cię do szaleństwa”. Na kartce widniał podpis znanej hollywoodzkiej gwiazdy.

Święty Mikołaj podniósł do góry kolejną paczkę z prezentem.

— Ta przysłała do mnie od przyjaciela z Włoch. — Wielki Nick ma przyjaciół w takich stronach świata, o których nigdy nawet nie słyszeliście! — Rozerwał czerwoną wstążkę i szarpnął mocno opakowanie.

Nastąpił oślepiający błysk i huk, spadł deszcz tynku i szkła, po czym zapadła kompletna cisza. Wybuch nie tylko zdmuchnął zakrwawioną brodę i oblamowany futrem czerwony kapelusz Mikołaja, lecz pozbawił go dołu twarzy oraz nosa. Co za paskudztwo! Co za okropny widok dla dzieci, można by pomyśleć, one jednak nie chciałyby za żadne skarby, żeby je ominął.



Gdy policja wreszcie odjechała, a zwłoki, ubrane od szyi w dół w strój Świętego Mikołaja, zostały zabrane do kostnicy, żona Berniego O'Hare, Wanda, powiedziała:

— Nie sądzę, żeby dzieci prędko zapomniały tę Gwiazdkę. Jestem pewna, że będą ją pamiętały bardzo długo.

Ich syn, Willy, miał pamiątkę, która nie pozwoli mu zapomnieć o tej szczególnej Gwiazdce. Znalazł kartkę z życzeniami, załączoną do „bombowego” prezentu. Leżała w krzakach. Dedykacja głosiła: „Wszystkiego najlepszego z okazji świąt Bożego Narodzenia dla najwspanialszego faceta na świecie”. Podpis: „Rodzina”.

Oczywiście, przebudzenie nie będzie należało do przyjemnych. Ojcowie będą musieli poszukać nowej pracy, ho, ho, ho.

Bezpłatny konsultant

Większość zamężnych kobiet nie spotyka się z dawnymi adoratorami na drinku, nie wysyła im kart świątecznych, nawet nie patrzy im prosto w oczy. Jeśli jednak zdarzy się, że taka kobieta potrzebuje czegoś, co dawny adorator sprzedaje — począwszy od żaluzji, a kończąc na usunięciu wyrostka robaczkowego — wdziera się w jego życie, różowa i cała w uśmiechach, żeby to dostać po cenie hurtowej albo niższej.

Gdyby Don Juan zajął się sprzedażą sprzętu gospodarstwa domowego, uwiedzione przez niego wcześniej kobiety zrujnowałyby go w ciągu roku.

Ja zajmuję się doradztwem w zakresie akcji i obligacji. Pośredniczę między klientem a firmą doradczą do spraw inwestycji i kobiety, które utraciłem, nawet walkowerem, nigdy nie wahają się przyjść do mnie ze swymi problemami w sferze inwestycji.

Jestem kawalerem i w zamian za moje usługi, które zresztą nic mnie nie kosztują, ofiarowują mi czasami bezcenny klejnot — domowy posiłek.

Największym portfelem, jaki kiedykolwiek badałem, w zamian za nostalgię i kurczęta po wiejsku, był portfel Celeste Divine. Straciłem Celeste w liceum i nie zamieniliśmy słowa przez siedemnaście lat, dopóki nie zadzwoniła pewnego dnia do mojego biura, by mi powiedzieć:

— Kopę lat.

Celeste Divine jest piosenkarką. Ma czarne kędzierzawe włosy, duże brązowe oczy, pełne wilgotne wargi. Umalowana, ozdobiona błyskotkami, w opiętej sukni ze złotej lamy, Celeste przez jedną godzinę w tygodniu stoi przed kamerami telewizyjnymi, Kochając się z całym światem. Za tę służbę publiczną dostaje pięć tysięcy dolarów tygodniowo.

— Miałam na myśli, że dawno się nie widzieliśmy. Co byś powiedział na domowego kurczaka, ziemniaki pieczone w folii i kruchy placek z truskawkami?

— Mmmm — odpowiedziałem.

— A po kolacji — dodała Celeste — usiedlibyście sobie z Harrym przed ogniem trzaskającym w kominku i pogadalibyście jak starzy przyjaciele o dawnych czasach.

— Wspaniale — powiedziałem. Oczywiście wyobraźni widziałem odbłask płonącego w kominku ognia na kolumnach cyfr, na „The Wall Street Journal”, na wykresach i ma-

teriałach informacyjnych o organizacji i finansowych podstawach spółek akcyjnych. Słyszałem, jak Celeste i jej mąż Harry rozmawiają cicho o zapachu świeżo skoszonego siana, preferencjach American Brake Shoe, księżycowych nocach w Wabash, trzyprocentowych obligacjach Consolidated Edison, kukurydzianym chlebie, wspólnych cechach Chicago, Milwaukee, St. Paul i Pacific.

— Nie było nas w kraju zaledwie dwa lata — mówiła Celeste — ale mnie się wydaje, że całe życie — tak wiele się zdarzyło. Miło będzie spotkać się z dawnym przyjacielem.

— Naprawdę zrobiłaś błyskawiczną karierę, Celeste — rzekłem z podziwem.

— Czuję się jak Kopciuszek — przyznała Celeste. — Jednego dnia borykaliśmy się z trudnościami, utrzymując się wyłącznie z pensji Harry'ego w Joe's Greasing Palace, a następnego wszystko, czego dotknęłam, zamieniało się w złoto.

Dopiero gdy odłożyłem słuchawkę, zacząłem się zastanawiać, jak w tym wszystkim czuje się Harry.

Harry był facetem, który zabrał mi Celeste. Zapamiętałem go jako niewysokiego, przystojnego, sennego chłopaka, który nie chciał od życia niczego poza najładniejszą żoną w mieście i dobrą pracą w charakterze mechanika samochodowego. Zdobył jedno i drugie w tydzień po ukończeniu szkoły.



Gdy przyszedłem do nich na kolację, otworzyła mi sama Celeste, o ciele bogini miłości i twarzy lalki Barbie.

Gniazdko, które kupiła dla siebie i swego towarzysza życia, było starą posiadłością nad rzeką, równie dużą i brzydką jak dworzec kolejowy Schenectady.

Podawała mi dłoń do pocałowania, a ja posłusznie ją pocałowałem, oszołomiony urodą i perfumami Celeste.

— Harry? Harry! — zawołała. — Zgadnij, kto przyszedł!

Spodziewałem się zobaczyć zwłoki lub jołopa, to, co pozostało z dawnego Harry'ego.

Ale Harry się nie pojawił.

— Jest w swojej pracowni — wyjaśniła Celeste. — Jak ten facet potrafi się koncentrować! Gdy coś mu wpadnie do głowy, to tak jak gdyby znalazł się w innym świecie. — Otworzyła ostrożnie drzwi do pracowni. — Widzisz?

Na tygryziej skórze leżał na wznak Harry. Patrzył w sufit. Obok niego stał oszroniony dzban martini. Harry trzymał w palcach pusty kieliszek i obracał w nim w kółko oliwkę.

— Kochanie — powiedziała do niego Celeste — nie znoszę ci przeszkadzać, ale...

— Słucham? Co się stało? — spytał przestraszony Harry. Usiadł. — Och, przepraszam. Nie słyszałem, że przyszedłeś. — Wstał i uściśnął mi serdecznie dłoń. Minione lata nie pozostawiły na nim śladu.

Wydawał się czymś bardzo podniecony, ale pod tym podnieceniem kryło się senne zadowolenie, które pamiętałem z liceum.

— Nie mam prawa odpoczywać — powiedział. — Wszyscy w tym cholernym przemyśle odpoczywają. Jeśli ja będę odpoczywał, wszystko się zawali. Dziesięć tysięcy ludzi pozostanie bez pracy. — Ścisnął mnie za ramię. — Dolicz do tego ich rodziny, a będziesz miał miasto wielkości Terre Haute, wiszące na włosku.

— Nie rozumiem — powiedziałem. — Czemu wiszą na włosku?

— Przemysł! — rzekł z ożywieniem Harry.

— Jaki przemysł?

— Keczupowy — odrzekła Celeste.

Harry popatrzył na mnie wyzywająco.

— Jak ty to nazywasz? Keczup? Keczap? Ketchup?

— Różnie w różnych czasach — odparłem.

Harry uderzył dłonią o blat niskiego stolika.

— Oto historia tego przemysłu w skrócie! Nie potrafią nawet ustalić, jak powinno się wymawiać nazwę produktu. Jeśli nie stać nas nawet na to — rzekł ponuro — nie dojdziemy do wspólnych wniosków w żadnej sprawie. Czy jeden producent samochodów nazywa je „autochodami” drugi „samokołami” jeszcze inny „samobilami”?

— Nie — odpowiedziałem.

— Jasne, że nie — potwierdził Harry. Napełnił sobie kieliszek, wskazał nam gestem fotele, po czym znów położył się na tygryziej skórze.

— Harry odnalazł siebie — rzekła Celeste. — Czy to nie wspaniałe? Tak długo nie miał zajęcia. Okropnie się kłóciliśmy, gdyśmy się tu wprowadzili, prawda, kochanie?

— Brakowało mi dojrzałości — powiedział Harry. — Przyznaję.

— A potem — dodała Celeste — właśnie gdy sprawy wyglądały najgorzej, Harry rozkwitł! Mam całkiem nowego męża!

Harry skubał kłaki sierści z dywanu, związał je w małe kulki i wrzucał do kominka.

— Cierpię na kompleks niższości — wyjaśnił. — Myślałem, że mogę zostać tylko mechanikiem. — Odprawił machnięciem ręki ciche protesty moje i Celeste. — Potem odkryłem, że zdrowy chłopski rozum jest najrzadszą cechą w świecie biznesu. Przy większości facetów w keczupowym przemyśle przypominam Einsteina.

— Skoro już mówimy o rozkwicie — wtrąciłem — to Celeste z minuty na minuty staje się coraz bardziej olśniewająca.

— Hmm? — mruknął z roztargnieniem Harry.

— Powiedziałem, że Celeste naprawdę zrobiła karierę — jest jedną z najpiękniejszych i najslawniejszych kobiet w kraju. Szczęściarz z ciebie.

— Tak, tak... z pewnością — potwierdził Harry, błędząc myślami całkiem gdzie indziej.

— Wiedziałaś, czego chcesz, i dostałaś to, prawda? — zwróciłem się do Celeste.

— Ja... — zaczęła Celeste.

— Powiedz mi, Celeste, jak wygląda teraz twoje życie? — spytałem. — Założę się, że jest cudownie burzliwe. Napięty program, występy w nocnym klubie, reklama i tak dalej.

— To jest... — powiedziała Celeste — to najbardziej...

— Bardzo przypomina przemysł — przerwał jej Harry. — Przedstawienie musi się toczyć, keczup musi być produkowany. Miliony ludzi przyjmują telewizję za rzecz naturalną, miliony przyjmują keczup za rzecz naturalną. Jedzą go, gdy mają ochotę. Musi być — i musi być dobry. Nie obchodzi ich, skąd się tu wziął. Kompletnie ich to nie interesuje. — Wbił palce w uda. — Ale nie mieliby telewizji i nie mieliby keczupu, gdyby nie było ludzi, którzy wypruwają z siebie flaki, żeby to dla nich zdobyć.

— Bardzo mi się podobała twoja płyta *Samotność*, Celeste — powiedziałem. — Ten ostatni chórek, gdzie ty...

Harry klasnął głośno w dłonie.

— Jasne, że jest dobra. Do diabła, powiedziałem, że będziemy ją sponsorować, jeśli przemysł kiedykolwiek będzie miał wspólne zdanie na temat czegokolwiek. — Przekręcił się i popatrzył na Celeste. — Co tam z żarciem, mamuśka? — spytał.



Przy kolacji przerzucaliśmy się z tematu na temat, zawsze jednak wracała jak bumerang sprawa przemysłu keczupowego.

Celeste próbowała poruszyć kwestię swoich inwestycji, ale za każdym razem ten temat, zwykle elektryzujący, wygasł i tonął w morzu keczupu.

— Zarabiam obecnie pięć tysięcy tygodniowo — powiedziała Celeste — i jest co najmniej milion ludzi gotowych poradzić mi, co mam zrobić z tymi pieniędzmi. Ale ja wolę spytać przyjaciela — starego przyjaciela.

— Wszystko zależy od tego, czego oczekujesz od swoich inwestycji. Czy chodzi ci o pomnażanie kapitału? A może stabilność? Czy zależy ci na szybkim zysku w postaci dywidend?

— Nie inwestuj w przemysł keczupowy — rzekł Harry. — Jeśli się obudzą, jeśli uda mi się ich obudzić, wtedy tak, powiem, inwestuj w keczup i zostań przy tym. Ale przy obecnym stanie rzeczy równie dobrze możesz utopić pieniądze w grobowcu Granta.

— Hm — powiedziałem. — No, cóż, Celeste, w twojej sytuacji podatkowej nie sądzę, żeby zależało ci na dywidendach tak bardzo jak na pomnażaniu kapitału.

— Te podatki to czyste szaleństwo — przyznała Celeste. — Harry obliczył, że bardziej by mu się opłacało pracować za darmo.

— Dla idei — dodał Harry.

— Z którą firmą współpracujesz, Harry? — spytałem.

— Jestem konsultantem dla całego przemysłu — odrzekł Harry.

Zadzwonił telefon i służąca przysłała powiedzieć Celeste, że chce z nią rozmawiać jej agent.

Gdy zostałem sam z Harrym, przekonałem się, że niezwykle trudno powiedzieć coś, co nie byłoby banalne w obliczu zagrażającego upadku przemysłu keczupowego.

Rozejrzałem się po pokoju, nucąc coś nerwowo pod nosem. Gdy mój wzrok padł na ścianę za mną, zobaczyłem, że cała jest pokryta jakimiś zapewne ważnymi dokumentami. Były poplamione lakiem, ozdobione wstążkami, widniały na nich duże, czarne, zakręcone podpisy. Pochodziły od najrozmaitszych osób, a wszystkie głośiły coś miłego o Celeste. Była latarnią morską dla młodzieży, inspiratorką tygodnia straży pożarnej, sympatią pułku, odkryciem telewizyjnym roku.

— Co za dziewczyna! — powiedziałem z podziwem.

— Widzisz, ile się tego nazbierało? — spytał Harry. — Naprawdę, wygląda to imponująco, prawda?

— Jak pakty o nieagresji — dodałem.

— Kiedy ktoś dostaje takie wyróżnienie, wydaje mu się, że ono naprawdę wiele znaczy — nawet jeśli są to tylko bzdury i w dodatku w fatalnym angielskim — rzekł Harry. — Poprawia mu to samopoczucie. Sprawia, że czuje się ważny.

— Chyba tak — zgodziłem się — ale z pewnością te pochwały są dowodem miłości i szacunku.

— Tak właśnie powinna wyglądać nagroda za propozycję — rzekł Harry. — To jedna ze spraw, które staram się przeprowadzić. Kiedy facet pracujący w przemyśle keczupowym wynajduje lepszy sposób przeprowadzenia czegoś, powinien dostać coś w rodzaju certyfikatu, pochwałę, którą mógłby oprawić w ramki i pokazywać wszystkim.

Wróciła Celeste, wyraźnie czymś podniecona.

— Kochanie... — odezwała się do Harry'ego.

— Właśnie mówię mu o nagrodach za propozycje — rzekł cierpliwie Harry. — Czy to może chwilę poczekać? — Odwrócił się z powrotem do mnie. — Zanim zrozumiesz, o co mi chodzi z tą propozycją — kontynuował — musisz zrozumieć, w jaki sposób produkuje się keczup. Zaczniemy od pomidorów na plantacji...

— Kochanie — przerwała mu Celeste — przykro mi, że wam przeszkodziłam, ale dostałam właśnie propozycję zagrania Dolly Madison w filmie.

— Przyjmij ją, jeśli chcesz — wzruszył ramionami Harry. — Jeśli ci nie leży, odrzuć ją. Zaraz, na czym to stanąłem?

— Na keczupie — powiedziałem.



Gdy wyszedłem z domu Divine'ów, ogarnęło mnie przeczucie, że zawisło nad nami jakieś fatum. Udzieliły mi się obawy Harry'ego związane z przemysłem keczupowym. Wieczór z Harrym przypominał roczny pobyt w izolatce kadzi z keczupem. Żaden człowiek nie może odejść stamtąd bez wyrobionej, zdecydowanej opinii na temat keczupu.

— Może umówilibyśmy się na lunch, Harry — zaproponowałem, wychodząc. — Jaki jest twój numer do pracy?

— Jest zastrzeżony — odrzekł Harry. Podał mi numer bardzo niechętnie. — Będę wdzięczny, jeśli zachowasz go dla siebie.

— Gdyby ludzie znali jego numer, bez przerwy dzwoniłoby do niego, by podbierać mu pomysły — wyjaśniła Celeste.

— Dobranoc, Celeste — powiedziałem. — Cieszę się z twoich sukcesów. Nie mogło ci się nie udać z taką twarzą, takim głosem, w dodatku jeszcze nazywasz się Celeste Divine. Nie musiałaś kompletnie niczego zmieniać, prawda?

— Całkiem odwrotnie jest z keczupem — wtrącił Harry. — Pierwotny keczup nie przypominał w niczym tego, co nazywamy dziś keczupem, keczapem czy ketchupem. Początkowo produkowało się go z grzybów, orzechów włoskich i mnóstwa innych składników. Wszystko zaczęło się na Malajach. W ich języku oznacza „smak”. Niewiele osób o tym wie.

— Ja z pewnością nie wiedziałem. No cóż, dobranoc — powiedziałem.



Nie potrafiłem zebrać się, by zadzwonić do Harry'ego. Zrobiłem to dopiero w kilka tygodni później, gdy przyszedł klient, pan Arthur J. Bunting, wpadł do mojego biura tuż po południu. Pan Bunting był imponującym starszym dżentelmenem, korpulentnym, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Miał siwe wąsy i surowe spojrzenie starego indiańskiego wojownika.

Pan Bunting sprzedał swoją fabrykę, która należała do rodziny od trzech pokoleń, i chciał prosić mnie o radę, jak zainwestować pieniądze, które za nią otrzymał. Była to fabryka produkująca keczup.

— Często się zastanawiałem — rzekłem od niechcienia — jakim cudem pierwotny keczup trafił do naszego kraju zważywszy na sposób, w jaki przyrządzają go na Malajach.

Jeszcze przed chwilą pan Bunting był zgryźliwym staruszkiem, ponuro porządkującym swoje życie. Teraz dosłownie promieniał.

— Zna pan keczup? — spytał.

— Tylko jako amator — odrzekłem.

— Czy pańska rodzina jest związana z przemysłem keczupowym? — spytał.

— Przyjaciel.

Twarz pana Buntinga zasnuł smutek.

— Ja i mój ojciec — rzekł ochrypłym głosem — i ojciec mojego ojca produkowaliśmy najlepszy keczup na świecie. Nigdy nie szliśmy na łatwiznę, jeśli idzie o jakość. — Westchnął z udręką. — Żałuję, że sprzedałem fabrykę! To temat dla jakiegoś pisarza: człowiek sprzedaje coś bezcennego za cenę, której nie potrafi się oprzeć.

— Chyba zdarza się mnóstwo takich sytuacji — zauważyłem.

— Wiele osób śmieszy keczupowy interes — powiedział pan Bunting. — Ale, do licha, gdyby wszyscy wykonywali swoją pracę tak solidnie jak mój dziadek, mój ojciec i ja, świat byłby doskonały! Proszę mi wierzyć!

Skinąłem głową i wykręciłem zastrzeżony numer Harry'ego.

— Mam przyjaciela, z którym bardzo chciałbym pana poznać, panie Bunting — powiedziałem. — Mam nadzieję, że będzie mógł zjeść z nami lunch.

— Dobrze, doskonale — odrzekł z roztargnieniem pan Bunting. — A teraz dorobek trzech pokoleń — w całości — jest w obcych rękach.

Telefon odebrał mężczyzna o bardzo wysokim głosie.

— Słucham?

— Poproszę z panem Harrym Divine'em — powiedziałem.

— Wyszedł na lunch. Wróci o pierwszej — poinformował mnie mężczyzna.

— Psiakość, to bardzo niedobrze, panie Bunting — powiedziałem, odkładając słuchawkę. — Wspaniale byłoby zetknąć panów.

— Kim jest ten człowiek?

— Kim jest? — powtórzyłem, śmiejąc się. — Harry Divine to pan Keczup we własnej osobie!

Pan Bunting sprawiał wrażenie człowieka, który zainkasował cios w splot słoneczny.

— Pan Keczup? — spytał głuchym tonem. — Tak właśnie mnie nazywali. Dla kogo pracuje?

— Jest konsultantem dla całego przemysłu — odrzekłem.

Kąciki ust pana Buntinga opadły.

— Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział. — Mój Boże, wszystko dzieje się tak szybko w dzisiejszych czasach!

Gdy zasiedliśmy wreszcie do lunchu, pan Bunting nadal był bardzo przygnębiony.

— Proszę pana — rzekłem przeproszającym tonem — użyłem określenia „pan Keczup” bardzo luźno. Jestem pewien, że Harry nie rości sobie praw do tego tytułu. Po prostu chciałem powiedzieć, że keczup znaczy bardzo dużo również w jego życiu.

Pan Bunting dokończył drinka z ponurą miną.

— Nowe nazwiska, nowe twarze — powiedział. — Ci sprytni młodzi ludzie, szybko robiący karierę, niedoświadczeni, znający wszystkie odpowiedzi, panoszący się — czy oni wiedzą, że otrzymali spuściznę, którą powinni szanować i chronić?

W restauracji nastąpiło poruszenie. W drzwiach stała Celeste, rajski ptak, wzbudzając ogólną sensację.

Obok niej dreptał Harry, mówiąc coś z ożywieniem, domagając się, by całą uwagę skupiała na nim.

Pomachałem do nich i oboje przeszli przez salę, by usiąść przy naszym stoliku. Eskortował ich kierownik sali, emablując Celeste. Wszystkie twarze, pełne uwielbienia, obracały się ku niej.

Harry, najwyraźniej ślepy na to wszystko, krzychał coś do Celeste o przemyśle keczupowym.

— Wiesz, co im powiedziałem? — spytał Harry, gdy znaleźli się przy naszym stoliku.

— Nie, kochanie — odpowiedziała Celeste.

— Że pozostało im tylko jedno — spalić na popiół cały ten cholerny przemysł keczupowy. A gdy go będziemy budować na nowo, myślimy, na miłość boską!

Pan Bunting wstał, blady jak ściana, nerwy miał napięte jak struny.

Przedstawiłem ich sobie.

— Miło mi państwa poznać — rzekł sztywno pan Bunting. Celeste uśmiechnęła się miło, lecz jej uśmiech zgasł, gdy zobaczyła, że pan Bunting patrzy na Harry'ego z jawną nienawiścią.

Harry był zbyt nakręcony, żeby to zauważyć.

— Przeprowadzam obecnie analizę historyczną przemysłu keczupowego — oznajmił — żeby określić, czy nigdy nie opuścił epoki średniowiecza, czy też ją opuścił, a następnie stoczył się tam z powrotem.

Zachichotałem idiotycznie.

— Panie Bunting — powiedziałem — bez wątpienia widział pan Celeste w telewizji. Jest...

— System komunikacji — mówił dalej Harry — osiągnął taki poziom, że mogę wysłać zdjęcie mojej żony przez fale eteru do czterdziestu milionów domów. A przemysł keczupowy nadal grzęźnie, próbując zwalczyć tiksotropię.

— Może ludzie nie chcą, żeby tiksotropia została zwalczona! — wybuchnął pan Bunting. — Może woleliby raczej mieć dobry keczup, a tiksotropia guzik ich obchodzi! Ważny jest dla nich aromat! Jakość! Walczcie z tiksotropią, a będziecie mieli jakąś nową obrzydliwą ciecz sprzedawaną pod dumną starą nazwą! — Drżał na całym ciele.

Harry był wyraźnie wstrząśnięty.

— Wie pan, co to jest tiksotropia? — spytał cicho.

— Oczywiście, że wiem! — odpowiedział Bunting, purpurowy z wściekłości.
— I wiem, czym jest dobry keczup. Wiem także, kim pan jest — aroganckim, agresywnym, samolubnym zerem! — Odwrócił się do mnie. — Towarzystwo, jakie człowiek sobie dobiera, świadczy o nim. Do widzenia! — Wymaszerował majestatycznym krokiem z restauracji.

— Miał łzy w oczach — zauważyła skonsternowana Celeste.

— Jego dziadek, jego ojciec i on sam poświęcili życie keczupowi — wyjaśniłem.
— Byłem pewny, że Harry wie o tym. Myślałem, że nie ma w tym przemyśle człowieka, który nie wiedziałby, kim jest Arthur J. Bunting.

Harry patrzył na mnie z nieszczęśliwą miną.

— Naprawdę go uraziłem — jęknął. — Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałem.

Celeste położyła mu rękę na ramieniu.

— Przypominasz Ludwika Pasteura, kochanie — powiedziała. — On też musiał zranić uczucia wielu starych ludzi.

— Tak — rzekł ponuro Harry. — Jestem zupełnie jak Pasteur...

— Odwieczny konflikt między młodością a starością — stwierdziłem.

— To był poważny klient, prawda? — spytał Harry.

— Niestety, tak — przyznałem.

— Bardzo mi przykro — sumitował się Harry. — Nie masz pojęcia, jak bardzo. Zadzwoń do niego i spróbuj wszystko naprawić.

— Nie chcę, żebyś mówił cokolwiek, co byłoby w sprzeczności z twoimi zasadami, Harry — powiedziałem. — Nie ze względu na mnie.



Pan Bunting zadzwonił nazajutrz, żeby powiadomić mnie, iż przyjął przeprosiny Harry'ego.

— Wyznał mi, w jaki sposób wdał się w cały ten keczupowy interes, i obiecał, że się wycofa. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta.

Zadzwoń natychmiast do Harry'ego.

— Harry, przyjacielu, posłuchaj! — powiedziałem. — Transakcja z panem Buntingiem nie jest dla mnie aż tak ważna. Jeśli ty masz rację w sprawie keczupu, a Bunting się myli, obstawaj przy swoim, walcz!

— Wszystko jest w porządku — odparł Harry. — Niedobrze mi się robiło od tego keczupu. I tak zamierzałem zrezygnować. — Odłożył słuchawkę.

Zadzwoń do niego, ale powiedziano mi, że wyszedł na lunch.

— Czy wie pan, gdzie zwykle jada?

— Tak, po drugiej stronie ulicy. Widziałem, jak tam idzie.

Dostałem adres restauracji i przywołałem taksówkę.

Restauracja była tania, brudną jadłodajnią naprzeciwko garażu. Rozglądałem się przez chwilę, szukając Harry'ego, zanim zdałem sobie sprawę, że siedzi na stołku przy kontuarze, obserwując mnie w lustrze automatu z papierosami.

Miał na sobie kombinezon. Odwrócił się na swoim stołku i wyciągnął do mnie dłoń. Wokół paznokci widniały czarne obwódki.

— Harry, ty pracujesz jako mechanik — powiedziałem.

— Nie dalej jak pół godziny temu — rzekł Harry — facet z zepsutą pompą paliwową dziękował Bogu, że mnie spotkał. Usiądź, proszę.

— A co z intereseem keczupowym? — spytałem.

— Uratował moje małżeństwo i moje życie — odrzekł Harry. — Jestem wdzięczny pionierom w rodzaju Buntingów, którzy go stworzyli.

— A teraz po prostu go rzuciłeś, ot tak? — pstryknąłem palcami.

— Nigdy w nim nie byłem — odpowiedział Harry. — Bunting obiecał zatrzymać to dla siebie i będę ci wdzięczny, jeśli zrobisz to samo.

— Ale wiesz tak dużo o keczupie!

— Przez osiemnaście miesięcy po tym, jak Celeste zrobiła majątek — rzekł Harry — chodziłem po ulicach, szukając pracy odpowiedniej dla męża znanej i pięknej Celeste.

Wspominając tamte czarne dni, przetarł oczy i sięgnął po keczup.

— Pewnego razu, gdy się zmęczyłem, zmarzłem i przemokłem, wstąpiłem do biblioteki publicznej i zacząłem studiować różne sposoby zarabiania na życie. Produkcja keczupu była jednym z nich.

Potrząsnął gwałtownie butelką z keczupem nad swoim hamburgerem. Choć była całkiem pełna, nic z niej nie wyleciało.

— Widzisz? — powiedział. — Kiedy wstrząsasz keczup w taki sposób, zachowuje się jak ciało stałe. Jeśli zrobisz to inaczej — jak płynne. — Potrząsnął delikatnie butelką i keczup wylał się bez problemu. — Wiesz, jak to się nazywa?

— Nie — odparłem.

— Tiksotropia — wyjaśnił Harry. Poklepał mnie żartobliwie po ramieniu. — Widzisz — nauczyłeś się dzisiaj czegoś nowego.

Der Arme Dolmetscher

Pewnego dnia w 1944 roku, w samym środku frontowego piekła, dowiedziałem się ze zdumieniem, że zostałem mianowany tłumaczem, jeśli wolicie, Dolmetscher, dla całego batalionu i mam być zakwaterowany w domu belgijskiego burmistrza, położonym w zasięgu artylerii Linii Zygfryda.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że posiadam odpowiednie kwalifikacje na tłumacza. Zlecono mi tę funkcję, gdy czekałem na przeniesienie z Francji na linię frontu. Będąc studentem, nauczyłem się na pamięć pierwszej zwrotki Die Lorelei od kolegi, z którym dzieliłem pokój, i gdy przypadkowo zawzięcie ją recytowałem, usłyszał mnie dowódca batalionu. Pułkownik (detektyw hotelowy z Mobile) spytał swego zastępcę (sprzedawcę wyrobów pasmanteryjnych z Knoxville), w jakim języku jest ten tekst. Zastępca wstrzymał się z opinią, dopóki nie wydekłamałem nieudolnie Der Gipfel des Berges founkkelt im Abendsonnenschein.

— To chyba szwabski, pułkownik — powiedział w końcu.

Te jedyne słowa, jakie znałem po niemiecku, oznaczały: „Nie wiem, czemu jestem taki smutny. Nie mogę wyrzucić z myśli dawnej legendy. Powietrze jest chłodne i zapada zmrok, powoli płyną wody Renu. Szczyt góry skrzy się w zachodzącym słońcu”.

Pułkownik uważał, że jego rola polega na obowiązkach wydawania szybkich, stanowczych decyzji. Podjął kilka pierwszorzędnych, zanim spuszczone lanie Wehrmachtowi, ale moją ulubioną była właśnie ta, którą podjął tamtego dnia.

— Skoro to szwabski, to co ten człowiek tutaj robi? — spytał.

W dwie godziny później pisarz kompanijny kazał mi odłożyć wiadra, ponieważ od tej pory jestem tłumaczem batalionu.

Wkrótce potem nadszedł rozkaz wymarszu. Moi zwierzchnicy byli zbyt udręczeni, by dotarły do nich moje oświadczenia o braku kompetencji.

— Na nasze potrzeby całkiem wystarczy — powiedział zastępca dowódcy. — Nie będziemy mieli czasu na rozmowy z Niemiaszkami. — Poklepał czule mój karabin. — To będzie najlepiej za ciebie tłumaczyło — dodał. Zastępca, który uczył się wszystkiego od pułkownika, wyobrażał sobie, że armia amerykańska właśnie pobiła Belgów i że miałem być zakwaterowany w domu burmistrza po to, by się upewnić, że nie spróbuje nas oszukać. — Poza tym — zakończyli moi przełożeni — nikt inny tutaj nie szprecha.

Pojechałem na farmę burmistrza jedną ciężarówką z trzema rozczarowanymi Niemcami z Pensylwanii, którzy kilka miesięcy wcześniej starali się o pracę tłumacza. Gdy wyjaśniłem im, że nie stanowią dla nich żadnej konkurencji i mam nadzieję, że zostaną zwolniony w ciągu dwudziestu czterech godzin, rozkrochmalili się na tyle, by dostarczyć interesującą informację, że jestem Dolmetscher. Na moją prośbę rozszyfrowali również Die Lorelei. Dzięki temu opanowałem około czterdziestu słów (na poziomie dwulatka), za żadne skarby jednak nie potrafiłem sklecić jakiegokolwiek ich kombinacji.

Każdy obrót kół ciężarówki przynosił nowe pytanie:

— Jak jest po niemiecku „wojsko”...? Jak mam zapytać o łazienkę...? Jak jest „chory”...? „dobrze”...? „potrawa”...? „brat”...? „but”?

Moi flegmatyczni nauczyciele zmęczeni się w końcu i jeden z nich dał mi broszurkę, która podobno miała ułatwić naukę niemieckiego każdemu żołnierzowi w okopie.

— Niektórych stron brakuje — wyjaśnił ofiarodawca, gdy zeskoczyłem z ciężarówki przed kamiennym wiejskim domem burmistrza. — Używaliśmy ich do skrętów.

Było jeszcze ciemno, gdy zapukałem do drzwi burmistrza. Stałem na progu niczym grający ogony aktor za kulisami, a w głowie, poza tym pustej, kołatała mi się jedna linijka, którą miałem wyrecytować. Drzwi się otworzyły.

— Dolmetscher — powiedziałem.

Sam burmistrz, szczupły starszy pan w nocnej koszuli, zaprowadził mnie do sypialni na parterze, którą miałem zająć. Wymamrotał słowa powitania, odgrywając jednocześnie małą pantomimę, na co odpowiedziałem stosownym na tę okazję danke schön. Byłem przygotowany na zdławienie dalszej rozmowy stwierdzeniem: Ich weiss nicht, was soll es bedeuten, dass ich so traurig bin. To powinno skłonić go do położenia się spać z przekonaniem, że jego Dolmetscher płynnie mówi po niemiecku, choć cierpi na Weltschmerz. Ale fortel nie był konieczny. Zostawił mnie samego, bym mógł skonsolidować moje zasoby.

Najważniejsza wśród tych zasobów była okaleczona broszura. Studiowałem kolejno każdą z jej cennych stron, zachwycony łatwością przetransponowania angielskiego na niemiecki. Mając ją, musiałem tylko sunąć palcem wzdłuż kolumny po lewej stronie, dopóki nie znalazłem angielskiego zwrotu, o który mi chodziło, a następnie trajkotałem nonsensowne sylaby wydrukowane naprzeciwko w prawej kolumnie. Na przykład, „Ile macie granatów?” brzmiało po niemiecku: „Wi fil grenada werfer haben zi?”. Nienagannym niemieckim odpowiednikiem zdania „Gdzie są wasze kolumny czołgów?” było właściwie niekłopotliwe: „Wo zind ire panzer szpicen?”. Deklamowałem z patosem: „Gdzie są wasze haubice? Ile macie karabinów maszynowych? Poddajcie się! Nie strzelać! Gdzie ukryłeś swój motocykl? Ręce do góry! Z której jesteś jednostki?”

Broszura nagle się skończyła, a ja z podniecenia popadłem w depresję. Niemiec z Pensylwanii zużył na skręty wszystkie uprzejmości stosowane na tyłach, zawarte w pierwszej połowie broszury, a mnie pozostały jedynie cięte odpowiedzi w walce wręcz.

Gdy leżałem w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka, w mojej wyobraźni rozwijała się jedyna sztuka, w której mógłbym zagrać...

★ ★ ★

DOLMETSCHER (do CÓRKI BURMISTRZA): Nie wiem, co się ze mną dzieje, jestem taki smutny. (Obejmuje ją).

CÓRKA BURMISTRZA (z uległą nieśmiałością): Powietrze jest chłodne, zapada zmrok, wody Renu płyną tak spokojnie.

(DOLMETSCHER porywa CÓRKĘ BURMISTRZA, niesie ją do swego pokoju).

DOLMETSCHER (cicho): Poddaj się.

BURMISTRZ (wymachując lugerem): Ręce do góry!

DOLMETSCHER i CÓRKA BURMISTRZA: Nie strzelaj!

(Z kieszeni na piersi BURMISTRZA wypada duża mapa pokazująca rozmieszczenie wojsk amerykańskich).

DOLMETSCHER (na stronie, po angielsku): Skąd się wzięła u podobno proaliantkiego burmistrza mapa z rozmieszczeniem wojsk amerykańskich? (Wyciąga spod poduszki automatyczny pistolet kalibru 45 i celuje z niego w BURMISTRZA).

BURMISTRZ i CÓRKA BURMISTRZA: Nie strzelaj! (BURMISTRZ rzuca broń, kuli się, uśmiecha się szyderczo).

DOLMETSCHER: Z której jesteś jednostki? (BURMISTRZ nie odpowiada, z posępną miną. CÓRKA BURMISTRZA przypada do jego boku, płacząc cicho. DOLMETSCHER staje przed CÓRKĄ BURMISTRZA). Gdzie ukryłaś swój motocykl? (Odwraca się znów do BURMISTRZA). Gdzie są wasze haubice, co? Gdzie są kolumny czołgów? Ile raketnic macie?

BURMISTRZ (załamując się pod straszliwym ogniem pytań): Ja...

(Wchodzi straż złożona z Niemców z Pensylwanii, dla dokonania rutynowej kontroli, w samą porę, by usłyszeć, jak BURMISTRZ i CÓRKA BURMISTRZA wyznają, że są agentami nazistowskimi, którzy wylądowali na spadochronach za linią frontu, po stronie zajętej przez wojska amerykańskie).

★ ★ ★

Johann Christoph Friedrich von Schiller nie wykorzystałby lepiej tych samych słów, a były to jedyne słowa, jakie znałem. Nie miałem szansy, by jakoś sobie poradzić, nie odczuwałem najmniejszej przyjemności z powodu bycia tłumaczem dla całego batalionu w grudniu, nie mogąc powiedzieć nawet: „Wesołych Świąt”.

Pościeliłem łóżko, zaciągnąłem sznurki w moim worku, rozsunąłem zaciemniające zasłony i wymknąłem się w noc.

Czujni wartownicy skierowali mnie do kwatery głównej batalionu, gdzie odnalazłem większość naszych oficerów studiujących mapy lub ładujących broń. Panowała świąteczna atmosfera, zastępca dowódcy ostrzył osiemnastocalowy nóż myśliwski, nucąc pod nosem: Are you from Dixie?

— Niech mnie kule biją — powiedział, zauważywszy mnie w drzwiach — jeśli to nie nasz stary „szprechen zi dojcz”. Co się stało, chłopcze? Czy nie powinienes być teraz w domu burmistrza?

— To niemożliwe — odparłem. — Oni wszyscy mówią językiem potocznym, a ja literackim.

Najwyraźniej zrobiło to na zastępcy duże wrażenie.

— Jesteś dla nich za dobry, co? — Powiodł palcem po ostrzu swego morderczego noża. — Sądzę, że całkiem niedługo natkniemy się na tych, którzy znają ekskluzywny niemiecki — powiedział, po czym dodał: — Jesteśmy okrążeni.

— Spuścimy im lanie, tak jak im spuściliśmy w Karolinie Północnej i Tennessee — odezwał się pułkownik, który nigdy nie tracił kontenansu. — Zostaniesz tutaj, synu. Będziesz tłumaczył dla moich podwładnych.

Dwadzieścia minut później znalazłem się znów w wirze tłumaczenia. Cztery tygrysy podjechały pod drzwi kwatery głównej i zeskoczyło z nich ponad dwudziestu niemieckich żołnierzy piechoty. Otoczyli nas, trzymając w dłoniach pistolety maszynowe.

— Powiedz coś — rozkazał pułkownik, nie przejawiając odrobiny strachu.

Przebiegłem wzrokiem lewą kolumnę w mojej broszurze, aż wreszcie znalazłem zwrot, który najwłaściwiej odzwierciedlał nasze uczucia.

— Nie strzelać — powiedziałem.

Niemiecki czołgista z pewną siebie miną zerknął na coś, co trzymał w ręku. Była to broszura, nieco mniejsza od mojej.

— Gdzie są wasze haubice? — spytał.

Chłopak, który nienawidził dziewcząt

George M. Helmholtz, szef sekcji muzycznej i dyrygent szkolnej orkiestry Lincoln High School, umiał naśladować dźwięki wszystkich instrumentów. Potrafił udawać klarnet, puzon, trąbkę, nadymał swój potężny brzuch i ryczał jak suzafon, zaciskał wargi, zamykał oczy i gwizdał delikatnie jak pikulina.

W pewien środowy wieczór, o ósmej, maszerował wokół szkolnej sali, w której odbywały się próby, piszcząc, mruczając, wrzeszcząc, rycząc i gwizdząc Semper Fidelis.

Nie miał z tym najmniejszego kłopotu. Przez niemal połowę swych czterdziestu lat tworzył orkiestry szkolne z rzeki chłopców, która przepłynęła przez liceum. Śpiewał z nimi wszystkimi. Śpiewał tak długo i tak gorąco życzył swoim zespołom zwycięstwa, że jego życie było nierozzerwalnie z nimi związane.

Obok krzepkiego różowiutkiego kapelmistrza maszerował niezgrabny szesnastolatek, Bert Higgens. Miał duży nos i podkrążone oczy. Bert maszerował, machając niezdarne rękami, jak samica flaminga, która udaje raną, by odciągnąć aligatory od gniazda z piskletami.

— Bum-bum, ratatata, bum-bum ratatata — śpiewał Helmholtz. — Lewa, prawa, lewa, Bert! Łokcie do boków, Bert! Nie patrz na stopy, Bert! Równaj krok, Bert! Nie odwracaj głowy, Bert! Lewa, prawa, lewa, Bert! Stój — raz, dwa!

Helmholtz uśmiechnął się niewyraźnie do Berta.

— Myślę, że chyba idzie ci trochę lepiej.

Bert pokiwał głową.

— Z pewnością bardzo mi pan pomaga, ćwicząc ze mną.

— Dopóki chcesz nad tym pracować, jestem do twojej dyspozycji — powiedział Helmholtz. Był zdezorientowany, nie rozumiał zmiany, która zaszła w chłopcu w ubiegłym tygodniu. Można by sądzić, że cofnął się o dwa lata w rozwoju, stał się taki jak w pierwszej klasie liceum — niezgrabny, bojaźliwy, samotny, nudny.

— Bert — spytał Helmholtz — jesteś pewny, że nie chorowałeś ostatnio, nie odniosłeś żadnego urazu? — Znał Berta bardzo dobrze, przez dwa lata dawał mu lekcje gry na trąbce. Obserwował, jak wyrasta na dumnego, uczciwego młodzieńca. Nie mógł wprost uwierzyć w jego nagły upadek ducha, brak koordynacji ruchów.

Bert wydał dziecinnie policzki, myśląc intensywnie. Była to maniera, którą Helmholtz wypenił z niego bardzo dawno. Teraz chłopiec wrócił do dawnego nawyku. Wypuścił ze świstem powietrze.

— Nie — odpowiedział.

— Nauczyłem tysiące chłopców maszerować — rzekł Helmholtz — a ty jesteś pierwszym i jedynym, który zapomniał, jak to się robi. — Przed oczami Helmholtza przesunęły się kolorowe szeregi ciągnące się w nieskończoność, proste jak promienie słońca. — Może powinniśmy porozmawiać o tym ze szkolną pielęgniarką — powiedział z troską, gdy nagle przyszła mu do głowy radosna myśl. — Chyba że chodzi tu o kłopot z dziewczyną.

Bert podniósł jedną nogę, potem drugą.

— Nie — zaprzeczył. — Nie chodzi o żaden kłopot tego rodzaju.

— Całkiem niebrzydka mała — rzekł Helmholtz.

— Kto? — spytał Bert.

— Ta delikatna różowa stokrotka, którą odprowadzasz do domu — odpowiedział Helmholtz.

Bert skrzywił się lekceważąco.

— A-a-ach... ona — wycedził. — Charlotte.

— Charlotte nie jest dość dobra? — zdziwił się Helmholtz.

— Nie wiem. Chyba jest w porządku. Myślę, że jest fajna. Nie mam nic przeciwko niej. Nie wiem.

Helmholtz potrząsnął lekko Bertem, jak gdyby miał nadzieję nastawić poluzowane części.

— Czy choć trochę to pamiętasz — uczucie, jakie miałeś, gdy maszerowałeś tak dobrze, przed upadkiem?

— Myślę, że to rodzaj powrotu — odpowiedział Bert.

— Nauczyłeś się świetnie maszerować w zespole C, a potem B — rzekł Helmholtz. Były to zespoły szkoleniowe, z których wywodziła się setka członków orkiestry szkolnej „Dziesięć do Kwadratu” Lincoln High.

— Nie wiem, na czym polega problem — powiedział Bert — może po prostu jestem podniecony, że dostałem się do szkolnej orkiestry. — Znowu wydał policzki. — A może dzieje się tak dlatego, że przerwałem lekcje z panem.

Gdy trzy miesiące temu Bert zakwalifikował się do zespołu „Dziesięć do Kwadratu”, Helmholtz skierował go do najlepszego nauczyciela gry na trąbce w mieście, Larry’ego Finka, który miał dokonać ostatecznego retuszu wdzięku i barwy.

— Fink daje ci niezłe popalić, prawda? — spytał Helmholtz.

— Nie — odrzekł Bert. — Jest bardzo miłym człowiekiem. — Wywrócił oczy. — Proszę pana, gdybyśmy mogli przećwiczyć maszerowanie jeszcze kilka razy, myślę, że wszystko będzie dobrze.

— Do licha, Bert — powiedział Helmholtz — nie wiem, czy uda mi się gdzieś ciebie wcisnąć. Kiedy przeszedłeś do Finka, wziąłem innego chłopca. Dzisiaj miałem trochę czasu, ponieważ się rozchorował. Ale w przyszłym tygodniu...

— Kto to jest? — zainteresował się Bert.

— Norton Shakely — odrzekł Helmholtz. — Nieduży, o bladej cerze. Przypomina cię, gdy zaczynałeś grać w zespole. Brakuje mu wiary w siebie. Wątpi, czy kiedykolwiek zakwalifikuje się do „Dziesięć do Kwadratu”, ale mogę za to ręczyć.

— Zakwalifikuje się — zgodził się Bert. — Z całą pewnością.

Helmholtz poklepał chłopca po ramieniu, by dodać mu otuchy.

— Broda do góry! — zaśpiewał. — Ramiona wyprostowane! Idź po płaszcz, odwiozę cię do domu.

Gdy Bert wkładał płaszcz, Helmholtz pomyślał o oknach domu chłopca — pustych jak oczy martwego człowieka. Ojciec Berta wyjechał wiele lat temu, a matka bywała tam rzadkim gościem. Helmholtz zastanawiał się, czy nie w tym właśnie tkwi problem.

Zrobiło mu się przykro.

— Może wpadniemy po drodze na szklankę soku, a potem pogramy w ping-ponga w mojej suterenie? — zaproponował. Gdy dawał Bertowi lekcje gry na trąbce, było to ich zwyczajem. — Chyba że wolisz spotkać się z Charlotte czy coś w tym rodzaju.

— Żartuje pan? — parsknął Bert. — Czasami nienawidzę tego, co mówi.



Nazajutrz rano Helmholtz odbył rozmowę z panną Peach, szkolną pielęgniarką. Było to sympozjum dwojga pulchnych serdecznych ludzi, schludnych i pełnych zdrowego rozsądku. Z tyłu stał rozebrany do pasa Bert, rachityczny i zmieszany.

— Czy przez słowo „fajtną” rozumiesz, że Bert zemdłał? — spytała panna Peach.

— Nie widziałas go podczas meczu z Whitestone w ubiegły piątek?

— Nie byłam na tym meczu — odpowiedziała panna Peach.

— To stało się tuż po ustawieniu się w szyku w kształcie drukowanej litery L, gdy maszerowaliśmy po boisku, by uformować wiatraczek, z którego z kolei powstała pantera Lincoln High i orzeł Whitestone — wyjaśnił Helmholtz. Orzeł wydawał z siebie krzyk, a pantera go pożerała.

— I co zrobił Bert? — zacięła się panna Peach.

— Maszerował razem z zespołem, wszystko szło świetnie — powiedział Helmholtz. — A potem nagle się wyłamał. I zakończył sam.

— Co wtedy czułeś, Bert? — spytała panna Peach.

— Najpierw to było jak sen — odrzekł Bert. — Naprawdę piękny. A potem się obudziłem i byłem sam. — Uśmiechnął się słabo. — I wszyscy śmiali się ze mnie.

— Jak z twoim apetytem, Bert? — naciskała dalej panna Peach.

— Wczoraj wieczorem spałaszował hamburgera i wypił sok — powiedział Helmholtz.

— A jak u ciebie z koordynacją ruchów w różnych grach sportowych?

— Nie uprawiam sportu — rzekł Bert. — Cały czas poświęcam trąbce.

— Nie grywasz nigdy w piłkę ze swoim ojcem? — zdziwiła się panna Peach.

— Nie mam ojca — odparł Bert.

— Spuścił mi wczoraj wieczorem niezłe lanie w ping-ponga — powiedział Helmholtz.

— Czyli trochę sobie pohulaliście? — spytała panna Peach.

— Spędzamy w taki sposób każdy środowy wieczór — odrzekł Bert.

— Zawsze to robię z wszystkimi chłopcami, których uczę — wyjaśnił Helmholtz.

Panna Peach przechyliła głowę.

— Z Bertem też?

— Obecnie biorę lekcje u pana Finka — powiedział Bert.

— Gdy chłopiec zostaje członkiem orkiestry szkolnej „Dziesięć do Kwadratu” — rzekł Helmholtz — przestaję dawać mu indywidualne lekcje. Nie traktuję go już dłużej jak chłopca, lecz jak mężczyznę. I jest artystą. Od tej pory tylko taki artysta jak Fink może go czegokolwiek nauczyć.

— „Dziesięć do Kwadratu” — powtórzyła panna Peach. — Dziesięć rzędów po dziesięciu muzyków w każdym? Wszyscy tak samo ubrani, wszyscy poruszają się zgodnie, jak trybiki jednej maszyny?

— Są jednakowi jak znaczki pocztowe z jednego bloczka — rzekł dumnie Helmholtz.

— Oho-ho — powiedziała panna Peach. — I wszyscy pobierają lekcje u ciebie?

— Na miłość boską, nie — zachnął się Helmholtz. — Starcza mi jedynie czasu na indywidualne lekcje dla pięciu chłopców.

— Szczęśliwa piątka — uśmiechnęła się panna Peach. Przez krótką chwilę.

Drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł Stewart Haley, zastępca dyrektora. Zaczynał swą karierę jako błyskotliwy młody człowiek, ale teraz, po dziesięciu latach borykania się z wygórowanymi ambicjami, przy niskich zarobkach, jego błyskotliwość zbladła, nabrała mdłego zabarwienia stopu cyny z ołowiem. Większość tego połysku stracił w słownych potyczkach z Helmholtzem na temat wydatków na zespół.

Trzymał w ręku rachunek.

— Cóż, Helmholtz — powiedział — gdybym wiedział, że tu jesteś, przyniosłbym jeszcze jeden interesujący rachunek. Pięć szpul z przewodami elektrycznymi z wojennych nadwyżek oddziałów łączności. Czy coś ci to mówi?

— Owszem — potwierdził Helmholtz, bynajmniej nie zbity z tropu. — I czy wolno mi zauważyć...

— Później — przerwał mu Haley. — Teraz mam sprawę do panny Peach... przy niej twoja malwersacja to małe piwo. — Zaszleścił rachunkiem w stronę kobiety. — Panno Peach, czy zamawiała pani ostatnio duże ilości bandaży?

Panna Peach zbladła.

— Ja... ja zamówiłam trzydzieści metrów sterylnej gazy — odpowiedziała. — Nadeszła dzisiaj rano. Trzydzieści metrów.

Haley usiadł na białym stołku.

— Zgodnie z tym rachunkiem — powiedział — ktoś z tej wspaniałej instytucji zamówił i odebrał dwieście metrów srebrnej nylonowej wstążki o szerokości ośmiu centymetrów — zaimpregnowanej w taki sposób, by świeciła w ciemności.

Mówiąc to, patrzył obojętnie na Helmholtza. Nie spuszczał z niego wzroku, czerwieniąc coraz bardziej.

— Jeszcze raz dzień dobry, Helmholtz.

— Cześć.

— Nęka cię głód narkotykowy? Nie zażyłeś jeszcze dziennej dawki kokainy? — spytał Haley.

— Kokainy? — zdumiał się Helmholtz.

— Jak inaczej człowiek mógłby marzyć o wykupieniu światowej produkcji nylonowej wstążki, zaimpregnowanej tak, by świeciła w ciemności?

— Taka impregnacja kosztuje znacznie mniej, niż mogłoby się wydawać — powiedział Helmholtz.

— A więc to twoja sprawka! — wybuchnął Haley, wstając.

Helmholtz położył dłoń na ramieniu Haleya i spojrzał mu prosto w oczy.

— Stewart, pytanie, które ciśnie się na usta wszystkim, brzmi: „Jak »Dziesięć do Kwadratu« może uatrakcyjnić swój występ na meczu z Westfield?»

— Najważniejsze pytanie brzmi całkiem inaczej — rzekł Haley. — „Jak szkołę średnią o skromnym budżecie, takim jak nasz, może być stać na taką megalomańską maszynę Cecila B. DeMille’a do robienia muzyki?”. A odpowiedź jest prosta — ryknął Haley. — Nie stać nas! — Kręcił w zapamiętaniu głową. — Mundurki po dziewięćdziesiąt pięć dolarów! Największy bęben w całym stanie! Podświetlone pałeczki i kapelusze! Wszystko specjalnie impregnowane, żeby świeciło w ciemności! Do licha! — zawołał rozwścieczony. — Największa szafa grająca na świetle!

To wyliczenie wyraźnie uradowało Helmholtza.

— Kochasz to — rzekł dumnie. — Wszyscy to kochają, Zaczekaj, aż usłyszysz, co zamierzamy zrobić z tymi szpulami i wstążkami!

— Czekam — powiedział Haley. — Czekam.

— Do tej pory — wyjaśnił Helmholtz — każda orkiestra potrafi uformować drukowane litery. To najstarsza sztuczka. O ile wiem, w tej chwili jedynie nasz zespół posiada odpowiednie wyposażenie do formowania pisma ręcznego.

W pełnej konsternacji ciszy, która nastąpiła po jego słowach, rozległ się nagle głos zapomnianego Berta. Włożył z powrotem koszulę.

— Czy skończyliście ze mną? — spytał.

— Możesz iść, Bert — odezwała się panna Peach. — Nie znalazłam nic niepokojącego w twoim stanie zdrowia.

— Do widzenia — powiedział Bert, biorąc za klamkę. — Do zobaczenia, proszę pana.

— Do zobaczenia — odrzekł Helmholtz. — No i co o tym sądzisz? — zwrócił się do Haleya. — Pismo ręczne!

Już za drzwiami Bert wpadł na Charlotte, różową stokrotkę, z którą często wracał do domu.

— Bert — zagadnęła go Charlotte — słyszałam, że jesteś u pielęgniarki. Myślałam, że miałeś jakiś wypadek. Dobrze się czujesz?

Bert minął ją bez słowa, pochylony, jak gdyby walczył z zimnym wilgotnym wiatrem.



— Co sądzę o wstążce? — spytał Haley Helmholtza. Sądzę, że na tym powinno zakończyć się marnotrawstwo pieniędzy na „Dziesięć do Kwadratu”!

— Nie tylko z tym należałoby skończyć — rzekła ponuro panna Peach.

— Co masz na myśli? — spytał Helmholtz.

— Tylko tyle — odpowiedziała panna Peach — że jest to igranie z uczuciami dzieciaków. — Zmarszczyła brwi. — George, obserwuję cię od lat — przyglądam się, jak stosujesz wszelkie emocjonalne książkowe sztuczki, by twoi chłopcy maszerowali i grali.

— Staram się z nimi zaprzyjaźnić — rzekł Helmholtz z niezmaconym spokojem.

— Starasz się robić znacznie więcej — powiedziała panna Peach. — Jesteś zawsze wszystkim, czego potrzebuje jakiś dzieciak. Ojcem, matką, siostrą, bratem, Bogiem, niewolnikiem albo psem. Dziwne, że to, co przydarzyło się Bertowi, nie zdarzyło się tysiąc razy.

— Co gryzie Berta? — spytał Helmholtz.

— Zawojowałeś go — odrzekła panna Peach. — O to tutaj chodzi. Kompletnie go zawojowałeś — jest cały twój.

— Z pewnością mnie lubi — przyznał Helmholtz. — W każdym razie mam taką nadzieję.

— Darzy cię takim uczuciem jak syn ojca — powiedziała panna Peach. — Dla ciebie jest to niezobowiązujące.

Helmholtz nie potrafił pojąć, o co chodzi w tej sprzeczce. Wszystko, o czym mówiła panna Peach, było takie oczywiste.

— To przecież całkiem naturalne, prawda? — zachnął się. — Bert nie ma ojca, szuka więc ojca zastępczego. Przejdzie mu to, oczywiście, gdy znajdzie jakąś dziewczynę, która zawróci mu w głowie i...

— Przejrzyj wreszcie na oczy i zobacz, co zrobiłeś z życiem Berta — powiedziała panna Peach. — Popatrz tylko, jak się starał, żeby zwrócić twoją uwagę, gdy umieściłeś go w zespole „Dziesięć do Kwadratu”, a następnie skierowałeś go do pana Finka i całkiem o nim zapomniałeś. Wolał zostać pośmiewiskiem wszystkich, żebyś tylko znowu skupił na nim swoją uwagę.

— Nikt nie twierdzi, że dojrzewanie ma być bezbolesne — rzekł Helmholtz. — Niemowlę to jedno, dziecko drugie, a mężczyzna jeszcze co innego. Przechodzenie z jednej fazy do drugiej powoduje znany zamęt. — Otworzył szeroko oczy. — Jeśli my o tym nie wiemy, to kto ma wiedzieć.

— Dorastanie nie powinno być piekłem! — powiedziała panna Peach.

Helmholtz popatrzył na nią zaszokowany.

— Co chcesz, żebym zrobił?

— To nie moja sprawa — odparła panna Peach — lecz twoja osobista. To ty spowodowałeś tę sytuację. Tak pracujesz. Uważam, że mógłbyś przynajmniej zrozumieć, jaka jest różnica między zaplątaniem się w chłopca a zaplątaniem się we wstążki. Wstążkę możesz przeciąć. Nie możesz zrobić tego z chłopcem.

— Co do wstążki... — zaczął Haley.

— Spakujemy ją i odeślemy — przerwał mu Helmholtz. Przestało go to interesować. Wyszedł z gabinetu, uszy go paliły.

Helmholtz zachowywał się, jak gdyby nie zrobił nic złego, ale w głębi duszy miał duże poczucie winy. W swoim malutkim gabinecie obok sali, w której odbywały się próby zespołu, zdjął stertę nut z umywalki w rogu i ochlapał twarz zimną wodą, w nadziei, że wyrzuty sumienia nie będą gryzły go przynajmniej przez następną godzinę. Była to godzina próby orkiestry szkolnej „Dziesięć do Kwadratu”.

Helmholtz zatelefonował do swego dobrego przyjaciela, Larry’ego Finka, nauczyciela gry na trąbce.

— Jaki problem masz tym razem, George? — spytał Fink.

— Szkolna pielęgniarka naskoczyła na mnie przed chwilą, że jestem zbyt miły dla moich chłopców. Twierdzi, że za bardzo się angażuję i że jest to nader niebezpieczne.

— Och?

— Psychologia to wspaniała dziedzina wiedzy — rzekł Helmholtz. — Bez niej każdy popełniałby wciąż te same okropne błędy — byłby miły dla innych.

— Kto wywołał ten temat? — spytał Fink.

— Bert — odpowiedział Helmholtz.

— Zwolniłem go wreszcie w zeszłym tygodniu — oznajmił Fink. — Nie ćwiczył, przychodził na lekcje nie przygotowany. Szczerze mówiąc, George, wiem, że miałeś o nim wysokie mniemanie, ale chłopak nie jest szczególnie utalentowany. O ile się orientuję, nie bardzo nawet lubi muzykę.

Helmholtz zaprotestował z całego serca.

— Ten chłopak przebył drogę od zespołu C do „Dziesięć do Kwadratu” w ciągu dwóch lat! Palił się do muzyki i szło mu jak po maśle.

— Jeśli chcesz znać moją opinię, to raczej jak po grudzie — rzekł Fink. — Ten chłopiec flaki sobie dla ciebie wypruwał, George. A ty zламаłeś mu serce, gdy oddałeś go mnie. Szkolna pielęgniarka ma rację. Musisz bardziej uważać na to, dla kogo jesteś miły.

— Wyszedł nawet z wprawy w maszerowaniu. Pomylił krok i zepsuł cały szyk, zapomniał, dokąd miał iść w przerwie meczu.

— Mówił mi o tym — powiedział Fink.

— Czy się jakoś wytłumaczył?

— Był zdziwiony, że nie wpadliście na to z pielęgniarką. A może pielęgniarka się zorientowała, tylko nie chciała, żeby ktoś inny się o tym dowiedział.

— Nadal nie rozumiem — rzekł Helmholtz.

— On był pijany, George. Wyznał, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy, i obiecał, że to się nigdy nie powtórzy. Niestety, nie wierzę, że można na to liczyć.

— Ale on nadal nie potrafi maszerować — powiedział wstrząśnięty Helmholtz. — Gdy ćwiczymy tylko we dwójkę i nikt nie patrzy, nie udaje mu się iść w nogę ze mną. Czy to znaczy, że jest pijany przez cały czas?

— George, ty i twoja niewinność zmieniły człowieka, który nigdy nie powinien był zostać muzykiem, w aktora — rzekł Fink.



Z sali prób sąsiadującej z gabinetem Helmholtza zaczął dobiegać skrzyp i trzask krzesel ustawianych dla zespołu „Dziesięć do Kwadratu”. Robili to członkowie zespołu w czasie przerwy w zajęciach. Zwykle ta nadchodząca godzina była doskonała dla kapelmistrza, znajdował się niemal w stanie nieważkości, nucąc partię to jednego, to drugiego instrumentu, podczas gdy jego muzycy grali. Ale teraz bał się tego.

Będzie musiał znowu stanąć twarzą w twarz z Bertem, tym razem mając świadomość, jak bardzo mógł zranić chłopca. Może innych również.

Czy będzie ponosił winę, jeśli Bert wpadnie w alkoholizm? Pomyślał o przeszło tysiącu chłopcach, wobec których zachowywał się jak ojciec, niezależnie od tego, czy mieli rodzzonego ojca, czy też nie. O ile wiedział, kilku z nich stało się później pijakami.

Dwóch zostało aresztowanych za narkotyki, jeden za włamanie. Z większością nie miał już potem żadnego kontaktu. Paru chłopców odwiedziło go po ukończeniu szkoły. Było to coś innego, o czym należało teraz pomyśleć.

Weszli pozostali członkowie zespołu, wśród nich również Bert. Helmholtz podszedł do niego i powiedział najciszej, jak mógł:

— Wpadnij na chwilę do mojego gabinetu po lekcjach.

W tej chwili nie miał jeszcze pojęcia, co powie chłopcu.

Podszedł do pulpitu dyrygenckiego i postukał weń pałeczką. Natychmiast zapadła cisza.

— Zaczniemy od Przeciwnicy Lincoln High zapłaczą dziś wieczorem.

Autorem słów i muzyki był sam Helmholtz. Napisał je w pierwszym roku kierowania zespołem, kiedy to orkiestra szkolna, występując podczas imprez sportowych i parad, liczyła zaledwie pięćdziesiąt osób. Mundurki pasowały na niektórych jej członków tylko przez przypadek i wyglądali w nich, jak to określił kiedyś sam Helmholtz, na „dezerterów z Valley Forge”. Było to dwadzieścia lat temu.

— Wszyscy gotowi? — spytał. — Świetnie! Fortissimo. Con brio! A-jeden, a-dwa, a-trzy, a-cztery! — Tym razem Helmholtz stał obiema nogami na ziemi. Ważył tonę.



Gdy Bert wstąpił po lekcjach do gabinetu Helmholtza, kapelmistrz miał już gotowy plan. Chciał, żeby samotny chłopiec przekonał się do Charlotte. Wydawała się bardzo ciepłą osobką, która mogłaby wprowadzić Berta w życie towarzyskie, poza zespołem i Helmholtzem. Uważał również, że ważną sprawą jest przedyskutowanie niebezpieczeństw związanych z nadużywaniem alkoholu.

Jednakże rozmowa potoczyła się nie tak, jak sobie zaplanował. Wyczuł, że tak będzie, już w chwili, gdy Bert usiadł. Chłopiec przejawiał poczucie własnej godności w stopniu, jakiego Helmholtz nigdy do tej pory u niego nie widział. Coś musiało się stać, pomyślał Helmholtz. Bert patrzył mu prosto w oczy, wyzywająco, jak gdyby byli równi, dorosli obaj.

— Bert — zaczął Helmholtz — nie będę owijał w bawełnę. Wiem, że byłeś pijany podczas meczu futbolu.

— Pan Fink panu powiedział?

— Tak i bardzo mnie to zmartwiło.

— Czemu nie zorientował się pan od razu? — spytał Bert. — Wszyscy inni to widzieli. Śmiali się z pana, ponieważ myślał pan, że jestem chory.

— Tyle spraw zaprzęta mi głowę — rzekł Helmholtz.

— Muzyka — powiedział Bert z obrzydzeniem, jak gdyby to było nieprzyzwoite słowo.

— Naturalnie, że muzyka — potwierdził zaskoczony Helmholtz. — Mój Boże!

— Wyłącznie muzyka — rzekł Bert, przesywając go spojrzeniem ostrym jak promienie lasera.

— Często tak bywa, czemu nie? — Jeszcze raz dodał z niedowierzaniem: — Mój Boże!

— Charlotte miała rację.

— Myślałem, że jej nienawidzisz.

— Bardzo ją lubię, poza tym, co mówiła o panu. Teraz widzę, że naprawdę się nie myliła, i nie tylko ją lubię, lecz ją kocham.

Helmholtz, nieprzywykły do takich sytuacji, był wyraźnie przerażony. Scena była dla niego niepomiarowo przykra.

— Cokolwiek o mnie mówiła, nie sądzę, by mnie to obchodziło.

— Nie powiem panu, ponieważ usłyszałby pan wyłącznie muzykę. — Bert położył trąbkę w futerale na biurku kapelmistrza. Była własnością szkoły. — Proszę dać ją komuś innemu, kto pokocha ją bardziej ode mnie — powiedział. — Kochałem ją wyłącznie dlatego, że pan był dla mnie taki dobry i namówił mnie do tego. — Wstał. — Do widzenia.

Bert był już przy drzwiach, gdy Helmholtz kazał mu zatrzymać się, popatrzeć mu znów prosto w oczy i powtórzyć słowa Charlotte.

Bert zrobił to z satysfakcją. Był zły, jak gdyby Helmholtz w jakiś sposób go oszukał.

— Powiedziała, że jest pan kompletnie oderwany od rzeczywistości i tylko udaje pan, że obchodzą go ludzie. Twierdziła, że interesuje pana jedynie muzyka i nawet jeśli ludzie nie grają, słyszy ją pan ciągle w głowie. Mówi, że jest pan stuknięty.

— Stuknięty? — powtórzył ze zdumieniem Helmholtz.

— Kazałem jej przestać wygadywać takie rzeczy, ale wtedy sam pan udowodnił, że ma pan niezłego świra.

— Proszę, powiedz mi dlaczego, muszę wiedzieć — rzekł Helmholtz. Ale orkiestra w jego głowie grała właśnie Uwerturę 1812 Czajkowskiego, łącznie z hukiem dział. Jedynie, co mógł zrobić, to powstrzymać się od śpiewania.

— Kiedy ćwiczył pan ze mną maszerowanie — wyjaśnił Bert — a ja udawałem pijanego, nawet nie zauważył pan, jakie to było szalone. Nie było tam pana!

Po crescendo muzyki w głowie kapelmistrza nastąpiła krótka cisza. Musiał zadać to pytanie:

— A skąd Charlotte może wiedzieć cokolwiek o mnie?

— Umawia się z wieloma innymi członkami orkiestry szkolnej — wyjaśnił Bert.

— Wyciąga od nich naprawdę zabawne historie na pana temat.

★ ★ ★

Przed wyjściem do domu o zachodzie słońca tego samego dnia Helmholtz złożył wizytę szkolnej pielęgniarce. Powiedział, że koniecznie musi o czymś z nią porozmawiać.

— Czy chodzi znowu o Berta Higgensa? — spytała.

— Niestety, szukaj znacznie bliżej — odrzekł. — Tym razem chodzi o mnie. O mnie.

Ten mój syn

Fabryka produkowała najlepsze pompy odśrodkowe na świecie, a Merle Waggoner był jej właścicielem. Założył ją. General Forge and Foundry Company zaproponowała mu właśnie za nią dwa miliony dolarów. Nie miał żadnych akcjonariuszy i nie był nikomu winien ani centa. Pięćdziesięcioletni, wdowiec, miał jedynego spadkobiercę syna o imieniu Franklin. Chłopcu nadano imię na cześć Benjamina Franklina.

Pewnego piątkowego popołudnia ojciec i syn udali się z gabinetu Merle'a na teren fabryki. Przeszli korytarzem do tokarki Rudy'ego Linberga.

— Rudy — powiedział Merle — chłopak przyjechał z college'u do domu na trzy dni i pomyślałem sobie, że moglibyśmy jutro pojechać we czwórkę — ty, mój syn, twój syn i ja — na farmę, żeby postrzelać trochę do rzutków.

Rudy podniósł spojrzenie swych błękitnych jak niebo oczu na Merle'a i młodego Franklina. Był w wieku Merle'a, cechowała go głęboka, skromna godność człowieka, który wcześniej poznał swoje ograniczenia — i nigdy nie próbował ich przekroczyć. Te ograniczenia dotyczyły jego narzędzi, jego fletu i jego dubeltówki.

— Możemy spróbować do wron — powiedział.

Rudy stał na baczność tak jak dobry żołnierz, którym był. I tak jak stary żołnierz, czynił to bez pokory, dając do zrozumienia, że jest przecież w życiu wielkim zwycięzcą. Był pierwszym pracownikiem Merle'a. Kiedyś mógł zostać jego współnikiem — za dwa tysiące dolarów. I Rudy miał gotówkę. Ale interes wydawał mu się ryzykowny. Teraz nie wydawał się żałować swojej decyzji.

— Możemy wykorzystać moją sowę — powiedział Rudy. Miał wypchaną sowę do wabienia wron. Spreparował ją razem ze swym synem, Karlem.

— Do polowania na wrony potrzebna nam strzelba — rzekł Merle. — Znają doskonale tę waszą sowę. Nie zbliżymy się do nich nawet na kilometr.

— To mogłaby być niezła zabawa, gdybyśmy spróbowali załatwić je z tej odległości — rzekł cicho Franklin. Był wysoki i szczupły. Miał na sobie kaszmirowy sweter i szare flanelowe spodnie. Był lekko skołowany z nieśmiałości i poczucia winy. Właśnie powiedział ojcu, że chce zostać aktorem, nie zamierza pracować w fabryce. Był tak wstrząśnięty własnymi słowami, że natychmiast dodał, mimo woli, okropnie pusty zwrot: — Mimo wszystko dziękuję.

Ojciec nie zareagował — na razie. Rozmowa zesłała na faunę, strzelanie, na Rudy'ego i Karla, nowe kombi Karla, a teraz na wrony.

— Spytajmy mojego chłopaka, co zaplanował na jutro — powiedział Rudy. Była to czysta formalność. Karl zawsze postępował zgodnie z życzeniem ojca, a robił to z głębokiej miłości.

Rudy, Merle i Franklin podeszli korytarzem do tokarki, znajdującej się mniej więcej dziesięć metrów od tokarki Rudy'ego. Merle miał brodę zadartą do góry, Rudy patrzył prosto przed siebie, Franklin szedł ze wzrokiem wlepionym w ziemię.

Karl był wierną kopią ojca, tak wierną, że stawy zdawały się dokuczać mu trochę z powodu wieku. Sprawiał wrażenie ustatkowanego pięćdziesięciolatka, choć miał zaledwie dwadzieścia lat. Chyba instynktownie był ostrożny wobec niebezpieczeństw czyhających w pracy, które zostały wyeliminowane w fabryce, zanim jeszcze nauczył się chodzić. Karl stał na baczność bez pokory, podobnie jak jego ojciec.

— Chciałbyś wybrać się jutro na farmę trochę postrzelać? — spytał Rudy.

— Do czego?

— Do wron. Do rzutków — odpowiedział Rudy. — Może do świstaków.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł Karl. Skinął krótko głową Merle'owi i Franklinowi. — Będzie mi miło.

— Weźmiemy kilka befsztyków i zjemy kolację na miejscu — powiedział Merle. — Przygotujesz sos do befsztyków, Rudy?

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekł Rudy. Był znany ze swych umiejętności i przekazał swój sekret synowi. — Będzie mi miło.

— Mam flaszkę dwudziestoletniego bourbona, którą zachowałem na specjalną okazję — powiedział Merle. Myślę, że świetnie się nada na jutro. — Zapalił cygaro i Franklin zobaczył, że ręka ojca drży. — Urządzimy sobie bal.

Merle dał synowi niezgrabnego męskiego kuksańca w nerki, chcąc go sprowokować do śmiechu, i natychmiast tego pożałował. Roześmiał się głośno, żeby pokazać, iż nie ma to znaczenia, wypuszczając kłęby dymu, które podrażniły mu oczy. Zachłysnął się dymem. Przyjemność umknęła. Nie mógł przestać się śmiać.

— Spójrz na niego, Rudy — powiedział Merle, opanowując wreszcie wesołość. — Trzydzieści centymetrów wyższy od swego staruszka i prezes czego w Cornell?

— Naczelnej rady bractw studenckich — prawie wyszeptał zakłopotany Franklin. Unikali z Karlem spojrzenia sobie w oczy. Ojcowie zabierali ich na wspólne polowanie może ze sto razy, ale chłopcy niemal się do siebie nie odzywali, kiwali jedynie lub kręcili głowami bez uśmiechu przy trafionych i chybionych.

— A ile jest bractw w Cornell? — spytał Merle.

— Sześćdziesiąt dwa — odpowiedział Franklin jeszcze ciszej niż przedtem.

— A ilu członków liczą bractwa? — nie ustępował Merle.

— Przeciętnie czterdziestu — odrzekł Franklin, podnosząc z podłogi ostry spiralny stalowy wiór. — Jakie to ładne — zauważył. Wiedział, jaka będzie reakcja ojca. Słyszał pierwsze ostrzegawcze nuty w jego głosie.

— Powiedzmy, sześćdziesiąt bractw po czterdziestu członków każde... — rzekł dumnie Merle. — Z czego jasno wynika, że mojemu chłopcu podlega dwa tysiące czterystu chłopaków, Rudy! Gdy byłem w jego wieku, miałem pod sobą zaledwie sześciu ludzi.

— Oni mi nie podlegają, ojcie — wyjaśnił Franklin. — Prowadzę tylko zebrania rady i...

Spodziewany wybuch nastąpił.

— To ty masz władzę! — ryknął Merle. — Możesz nazywać to tak grzecznie, jak ci się podoba, ale to ty masz władzę!

Nikt nie odezwał się ani słowem.

Merle próbował się uśmiechnąć, ale uśmiech przechodził w grymas, jak gdyby mężczyzna miał się rozpłakać. Ujął w palce pasek kombinezonu Rudy'ego i potarł wyblakły drelich, patrząc w jego błękitne jak niebo oczy.

— Chłopak chce zostać aktorem, Rudy — oznajmił, po czym ryknął znowu: — Tak właśnie mi powiedział! — Odwrócił się i pobiegł z powrotem do swego gabinetu.

Zanim Franklin zmusił się do jakiegokolwiek ruchu, Rudy spytał go jak gdyby nigdy nic:

— Macie dość nabojów?

— Słucham?

— Czy macie dosyć nabojów? Może chcecie, żebyśmy trochę przywieźli?

— Nie — odparł Franklin. — Mamy mnóstwo nabojów. Gdy ostatnio patrzyłem, było pół skrzynki.

Rudy skinął głową. Sprawdził efekty pracy Karla na tokarce i postukał się palcami w skroń. Był to gest, który Franklin widział niejednokrotnie podczas polowań. Oznaczał, że Karl spisał się na medal.

Rudy dotknął lekko łokcia Karla. Sygnalizował mu w ten sposób, że ma wrócić do pracy. Rudy i Karl podnieśli zagięte palce w geście pozdrowienia. Franklin również wiedział, co to oznacza: „Do widzenia, Kocham cię”.

Franklin popatrzył na nich przez chwilę, po czym ruszył na poszukiwanie swojego ojca.



Gdy Franklin wszedł do gabinetu, Merle ze spuszczoną głową siedział przy biurku. W lewej dłoni trzymał metalową płytkę o powierzchni szesnastu centymetrów kwadratowych. Pośrodku znajdował się otwór wielkości czterech centymetrów kwadratowych. W prawej dłoni Merle miał stalową kostkę, która pasowała idealnie do otworu.

Na biurku leżały dwa czarne aksamitne woreczki, używane przez jubilerów, jeden na płytkę, drugi na kostkę. Co dziesięć sekund Merle przesuwiał kostkę przez otwór w płytce.

Franklin usiadł ostrożnie na twardym krześle pod ścianą. Gabinet niewiele się zmienił przez lata. Była to jeszcze jedna hala fabryczna, z nagimi rurami nad głową — te z zimną wodą były zroszone, z gorącą — suche. Przewody ciągnęły się od jednego metalowego pudełka do następnego. Zielone ściany i kremowe wykończenie były gdzieś szorstkie jak skóra słonia, tyle pokrywało je naprzemiennych warstw farby i brudu.

Nigdy nie było czasu, by zeskrobać poprzednie warstwy, ledwie go starczało, by ochlapać przez noc ściany nową farbą. Nie było nawet mowy, żeby wykończyć surowe półki stojące pod ścianami.

Franklin wciąż widział to miejsce oczyma dziecka. Dla niego był to pokój zabaw. Pamiętał, jak ojciec szperał po półkach, szukając zabawek dla swego synka. Owe zabawki nadal tam leżały: modele pomp w przekroju, próbki od komiwojażerów, magnesy, para popękanych okularów ze szkła nierozpryskowego, które kiedyś chroniły błękitne oczy Rudy'ego Linberga.

Zabawką, którą Franklin zapamiętał najlepiej — najlepiej, ponieważ ojciec pokazywał mu ją, ale nigdy nie pozwolił dotknąć — były przedmioty, którymi Merle bawił się w tej chwili.

Merle przesunął jeszcze raz kostkę przez kwadratowy otwór.

— Wiesz, co to jest? — spytał.

— Tak, ojcie — odpowiedział Franklin. — Zrobił je Rudy Linberg, gdy odbywał praktykę w Szwecji.

Kostkę można było przesunąć przez otwór na dwadzieścia cztery różne sposoby, w każdej z tych pozycji pasowały do siebie idealnie.

— Niewiarygodny kunszt — rzekł z szacunkiem Franklin. — Teraz nie ma już takich rzemieślników. — Tak naprawdę nie czuł wielkiego szacunku, lecz po prostu mówił to, co chciał usłyszeć ojciec. Kostka i otwór wydawały mu się karygodnym marnotrawstwem czasu i wielkim nudziarstwem. — Niewiarygodny — powtórzył.

— Rzeczywiście uznasz to za niewiarygodne, kiedy powiem ci, że to nie Rudy je zrobił — rzekł Merle — kiedy dowiesz się, z jakiego pokolenia pochodzi człowiek, który je wykonał.

— Ach, tak? A kto to taki?

— Syn Rudy'ego — powiedział Merle. — Chłopak z twojego pokolenia. — Rozkrużył cygaro. — Dał mi je w prezencie na moje ostatnie urodziny. Leżały na moim biurku obok tamtych, które dostałem od Rudy'ego wiele lat temu.

Franklin wysłał ojcu telegram na urodziny. Przypuszczalnie również leżał na biurku. Cała jego treść zawierała się w słowach: „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, ojcie”.

— Omal się nie rozpląkałem, chłopcze, gdy zobaczyłem te dwie płytki i dwie kostki obok siebie — powiedział Merle. — Potrafisz to zrozumieć? — spytał. — Potrafisz zrozumieć, dlaczego zebrało mi się na płacz?

— Tak, ojcie — odrzekł Franklin.

— I chyba nawet zapłakałem — dodał Merle, otwierając szeroko oczy — uroniłem kilka łez. A wiesz dlaczego, synu?

— Nie — odparł Franklin.

— Ponieważ odkryłem, że kostka, wykonana przez Karla, pasuje do otworu w płytce Rudy'ego! — oznajmił Merle. — Były wymienne!

— Rany! — powiedział Franklin. — Niech mnie licho! Naprawdę?

Teraz on poczuł, że za chwilę się rozpląca, ponieważ nic go to nie obchodziło, nie potrafił się do tego zmusić — a dałby sobie uciąć prawą rękę, żeby go to pasjonowało. Fabryka waliła, huczała, skrzeczała w potwornej absurdalności wszystko, absolutnie wszystko należy do Franklina, jeśli tylko powie słowo.

— Co z tym zrobisz — kupisz teatr w Nowym Jorku? — spytał nagle Merle.

— Z czym, ojcie? — zdziwił się Franklin.

— Z pieniędzmi, które dostanę za fabrykę, jeśli ją sprzedam — z pieniędzmi, które dostaniesz po mojej śmierci — odparł Merle, akcentując ostro słowo „śmierci”. — Na co zostanie zamieniona Fabryka Pomp Waggonera? Na Teatr Waggonera? Szkołę Teatralną Waggonera? Dom Opieki Waggonera dla Załamanych Aktorów?

— Ja... nie myślałem o tym — odpowiedział Franklin. Nigdy nie przyszedł mu do głowy pomysł zamiany Fabryki Pomp Waggonera na coś równie skomplikowanego i w tej chwili przeraziło go to. Żądano od niego, by jego entuzjizm do czegokolwiek dorównał entuzjizmowi ojca dla fabryki. A Franklin nie pasjonował się niczym — nawet teatrem.

Nie miał nic poza gorzko-słodkimi, właściwie bezkształtnymi pragnieniami młodości. Mówienie, że chce zostać aktorem, nadawało tym pragnieniom pozory większej rangi, niż było to w rzeczywistości.

— Nic na to nie poradzę, że mnie to trochę interesuje — rzekł Merle. — Masz coś przeciwko temu?

— Nie, ojcie — odpowiedział Franklin.

— Kiedy Fabryka Pomp Waggonera stanie się jednym z wielu wydziałów General Forge and Foundry i przyślą tutaj watahę młodych bystrych ludzi, żeby ją przejęli i uporządkowali wszystko po swojemu, chcę mieć o czym myśleć — cokolwiek zamierzasz robić.

Franklin poczuł, że go swędzi całe ciało.

— Tak, ojcie — powiedział. Spojrzał na zegarek i wstał. — Jeśli wybieramy się jutro, żeby postrzelać, chyba pójdę zobaczyć się dziś po południu z ciocią Margaret. — Margaret była siostrą Merle'a.

— Idź — zgodził się Merle — a ja zadzwonię do General Forge and Foundry i powiem, że przyjmujemy ich ofertę. Sunął palcem po swym notatniku, dopóki nie znalazł nazwiska i numeru telefonu. — Jeśli zdecydujemy się na sprzedaż, mam zadzwonić do niejakiego Guya Fergusona pod numerem wewnętrznym pięćset dziewięć w firmie, która nazywa się General Forge and Foundry Company i mieści się gdzieś w Ilium, w stanie Nowy Jork. — Oblizął wargi. Zadzwonię do niego i niech on oraz jego przyjaciele biorą sobie Fabrykę Pomp Waggonera.

— Nie sprzedawaj jej z uwagi na mnie — rzekł Franklin.

— A z uwagi na kogo powinienem ją zatrzymać? — spytał Merle.

— Musisz sprzedać ją dzisiaj? — W głosie Franklina brzmiało przerażenie.

— Zawsze mawiam — kuj żelazo, póki gorące — odrzekł Merle. — Dzisiaj postanowiłeś zostać aktorem i tak szczęśliwie się złożyło, że otrzymaliśmy doskonałą ofertę za dorobek mego życia.

— Nie możemy zaczekać?

— Na co? — spytał Merle. Teraz on dobrze się bawił.

— Ojcze! — wykrzyknął Franklin. — Na miłość boską, ojcze, proszę! — Zwiesił głowę i pokręcił nią desperacko. Nie wiem, co będę robił. Na razie sam nie mam jeszcze sprecyzowanych planów. Po prostu bawię się pomysłami, próbując odnaleźć siebie. Ojcze, proszę, nie sprzedawaj dorobku swego życia, nie wyrzucaj go tylko dlatego, że ja nie jestem pewien, czy chcę, żeby fabryka stała się treścią mojego życia! Błagam! — Franklin podniósł głowę. — Nie jestem Karlem Linbergiem — powiedział. — Nic na to nie poradzę. Przykro mi, ale nie jestem Karlem Linbergiem.

Smutek położył się cieniem na twarzy Merle'a, po czym zniknął.

— Ja... nie czyniłem żadnych obraźliwych porównań — rzekł Merle. Mówił to już wiele razy przedtem. Franklin zmuszał go do tego, podobnie jak w tej chwili, przepraszając, że nie jest Karlem Linbergiem. — Wcale nie chciałbym, żebyś był Karlem Linbergiem. Cieszę się, że jesteś, jaki jesteś. Cieszę się, że masz własne wielkie marzenia. — Uśmiechnął się. — Pokaż im wszystkim, chłopcze — i bądź sobą! Zawsze ci to powtarzałem, prawda?

— Tak, ojcze — przyznał Franklin. Stracił ostatni okrucuch nadziei na realizację własnych marzeń. Nie ma co marzyć o czymkolwiek wartym dwa miliony dolarów, nie ma co marzyć o czymkolwiek wartym unicestwienia marzeń ojca. Aktor, dziennikarz, pracownik opieki społecznej, kapitan statku — Franklin nie da nikomu bobu.

— Lepiej pójść do ciotki Margaret — powiedział.

— Dobrze. A ja się wstrzymam do poniedziałku z poinformowaniem Fergusona, czy jak mu tam, o naszej decyzji. — Merle wydawał się całkiem spokojny.



Idąc przez parking do swego samochodu, Franklin minął nowe kombi Rudy'ego i Karla. Ojciec zachwycał się nim i teraz Franklin miał okazję dokładnie mu się przyjrzeć tak jak przyglądał się dokładnie wszystkim rzeczom, które ojciec kochał.

Kombi było niemieckiej produkcji, jasnoniebieskie, z białymi po bokach oponami i silnikiem z tyłu. Przypominało z wyglądu mały autobus — nie miało z przodu maski, wysoki płaski dach, przesuwane drzwi, po obu stronach rzędy kwadratowych okien.

Wnętrze stanowiło świadectwo zamiłowania do porządku Rudy'ego i Karla oraz ich mistrzostwa w zagospodarowaniu schowka na bagaże, wnęk, półek. Było tam miejsce na wszystko i wszystko znajdowało się na miejscu — strzelby, sprzęt wędkarski, przybory kuchenne, kuchenka turystyczna, lodówka turystyczna, koce, śpiwory, latarnie, apteczka. Były nawet dwie wnęki, w których wisiały przypięte futerały z klarnetem Karla i fletem Rudy'ego.

Gdy tak zaglądał z podziwem do środka, nasunęło mu się dziwne skojarzenie. Kombi Linbergów przywiodło mu na myśl wielki okręt, który został odkopany w Egipcie po tysiącach lat. Okręt wyposażony we wszystkie artykuły pierwszej potrzeby w podróży do Raju — wszystkie z wyjątkiem środków potrzebnych, by się tam dostać.

— Panie Waggoner, proszę bardzo! — usłyszał czyjś głos i warkot silnika.

Franklin odwrócił się i zobaczył parkingowego, który, widząc go, przyprowadził mu samochód. Zaoszczędziło mu to konieczności przejścia ostatnich dwóch metrów.

Parkingowy wysiadł z samochodu i zasalutował żartobliwie.

— Czy to cacko naprawdę wyciąga dwieście kilometrów na godzinę, tak jak ma na prędkościomierzu? — spytał.

— Nigdy nie próbowałem — odpowiedział Franklin, wsuwając się za kierownicę. Był to dwuosobowy sportowy samochód, przewiewny i niespokojny. Franklin kupił go z drugiej ręki, wbrew życzeniu ojca, który nigdy do niego nie wsiadł. Był wyposażony na podróż do Raju w trzy zaplamione szminką serwetki, otwieracz do puszek z piwem, pełną popielniczkę i mapę samochodową stanu Illinois.

Zażenowany Franklin zobaczył, że parkingowy wyciera własną chusteczką przednią szybę.

— Dobrze, dobrze — powiedział. — Daj spokój. — Wydawało mu się, że pamięta imię młodego człowieka, ale nie był pewien. Postanowił zaryzykować. — Dziękuję za wszystko, Harry.

— George, proszę pana! — poprawił go parkingowy. — George Miramar Jackson, proszę pana!

— Oczywiście — rzekł Franklin. — Przepraszam, George. Wybacz.

George Miramar Jackson uśmiechnął się promiennie. — Nie szkodzi, panie Waggoner! Proszę tylko zapamiętać na przyszłość — George Miramar Jackson! — W oczach George'a płonęło marzenie przyszłych czasów, kiedy to Franklin zostanie szefem i otworzą się wielkie możliwości nowej pracy. W tym marzeniu Franklin powie do swej sekretarki: „Panno Taka-a-taka, proszę posłać po...”. I tu padnie magiczne, wspaniałe, niezapomniane nazwisko.

Franklin wyjechał z parkingu, nie mając marzeń, które dorównywałyby nawet marzeniom George'a Miramara Jacksona.



Przy kolacji, przytępiony dwoma mocnymi koktajlami i oszołomiony żywiołowym matkowaniem ciotki Margaret, Franklin powiedział ojcu, że w odpowiednim czasie pragnie przejąć fabrykę. Zostanie Waggonerem w Fabryce Pomp Waggonera, kiedy ojciec będzie gotowy do wycofania się.

Bezboleśnie, Franklin wzruszył ojca tak głęboko, jak Karl Linberg stalową płytką, stalową kostką i Bóg wie iloma latami cierpliwego skrobania pilnikiem.

— Jesteś jedynym... wiesz? — zachłysnął się Merle. — Jedynym... przysięgam!

— Jedynym kim, ojcze? — spytał Franklin.

— Jedynym synem, który jest wierny temu, co zbudował jego ojciec albo dziadek, a czasami nawet pradziadek. — Merle pokręcił ze smutkiem głową. — Nie ma Hudsona w Fabryce Pił Hudsona. Nie ma Flemminga w Fabryce Narzędzi i Matryc Flemminga. Nie ma Warnera na Warner Street. Nie ma Hawksa, Hinkleya ani Bowmana w Hawks, Hinkley i Bowman.

Merle machnął dłonią w kierunku zachodnim.

— Zastanawiasz się, kim są ci wszyscy ludzie, którzy mieszkają w tych dużych domach po zachodniej stronie? Mają takie domy, a my nigdy ich nie spotykamy, nie spotykamy nawet nikogo, kto ich zna. To są ci, którzy prowadzą interesy zamiast swoich synów. Miasto jest na sprzedaż i oni je kupują. Teraz to ich miasto — ludzi o nazwisku Ferguson z Ilium. Co się dzieje z ich synami? — spytał Merle. — To twoi koledzy, chłopcze. Dorastałeś z nimi. Znasz ich lepiej niż ich ojcowie. Skąd to się bierze? Wszystkie te awantury? Picie?

— Nie mam pojęcia, ojcze — odparł Franklin, wybierając najłatwiejsze wyjście. Złożył serwetkę ze staranną stanowczością. Wstał. — Chyba pójdę do klubu trochę potać się.

— Idź, idź, chłopcze — rzekł Merle.

Ale Franklin wcale tam nie poszedł. Wjechał na parking podmiejskiego klubu, jednak nie wysiadł z samochodu.

Nagle stracił ochotę na spotkanie z kolegami — zabójcami marzeń ojców. Ich młode twarze były twarzami starsuszków wiszących do góry nogami, o groteskowym, nieodgadnionym wyrazie. Zawieszeni do góry nogami, krążyli od baru do sali balowej, do gry w kości, a następnie z powrotem do baru. Nikt ich nie żałował w tej wielkiej ludzkiej dzwonnicy, ponieważ mieli być bogaci, jeśli już nie byli. Nie musieli marzyć, nie musieli nawet kiwnąć palcem.

Franklin poszedł sam do kina. Niestety nie znalazł w filmie recepty na ulepszenie swego życia. Film podpowiadał, że powinien być życzliwy, kochający i skromny, a jaki był Franklin, jeśli nie życzliwy, kochający i skromny.



Nazajutrz farma przybrała barwy słomy i szronu. Ziemia należąca do Merle'a była płaska jak stół do bilarda. Kurtki i czapki Merle'a, Franklina, Rudy'ego i Karla stanowiły jedyny akcent żywych kolorów na polu.

Franklin ukląkł na ściernisku, ustawiając wyrzutnię, która wysyłała rzutki w powietrze.

— Gotów — powiedział.

Merle przyłożył strzelbę do ramienia, przymrużył oko, celując, skrzywił się i obniżył jeszcze bardziej lufę.

— Pal! — wydał komendę.

Franklin szarpnął sznur spustowy wyrzutni. Rzutek poszybował w górę.

Merle wystrzelił raz, po czym gdy rzutek znalazł się poza polem zasięgu, błazeńsko wypalił do drugiego. Chybił. Nie udało mu się trafić przez całe popołudnie, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie tym zmartwionego. Mimo to był przecież szefem.

— Zresztą — powiedział — za bardzo się starałem. — Złamał strzelbę, wysypując na ziemię łuski. — Kto następny? — spytał. — Karl?

Franklin załadował następne rzutki. Pierwszy był trafiony. Następny również. Karl nie spudłował ani razu przez całe popołudnie, podobnie jak Rudy.

O dziwo, nie spudłował również Franklin. Nie przejmując się, pogodził się z wszechświatem. Odkrył, że przy takiej głupkowatej harmonii po prostu nie może nie trafić.

Gdyby nie to, że strzały Merle'a były beżładne, jedyne słowa, jakie wypowiadali mężczyźni, wyznaczyłyby stały rytm: „Gotów... Pal... Gotów... Pal”. Nie było mowy o uśmierceniu skromnego marzenia Franklina — marzenia o zostaniu aktorem. Merle nie oznajmił triumfalnie, że młodzieniec definitywnie zdecydował się przejąć pewnego dnia fabrykę.

W swoim małym świecie, zgarbiony nad wyrzutnią, Franklin miał w pewnej chwili koszarne uczucie, że strzelają do rzutków od lat, że jest to jedyna rzecz, jaką robią w życiu, i tylko śmierć może położyć temu kres.

Stopy miał zimne jak lód.

— Gotów — rzekł Franklin.

— Pal — powiedział Karl.

Rzutek znalazł się w powietrzu. Padł strzał i rzutek rozprysnął się w drobny mak.

Rudy postukał się w skroń, po czym uniósł w górę zagięty palec. Karl odwzajemnił gest. I tak było przez całe popołudnie — bez śladu uśmiechu. Karl cofnął się, Rudy zajął jego miejsce, następny ząb w kole zębatym maszyny do strącania rzutków.

Teraz przysła kolej Karla przy obsłudze wyrzutni. Gdy zamieniali się na miejsca, Franklin klepnął Karla w ramię z cynicznym uśmiechem. Zawarł w tym klepięciu i w tym uśmiechu wszystko — ojców i synów, marzenia młodych i marzenia starych, szefów i podwładnych, zziębnięte stopy, nudę i proch strzelniczy.

Było to szalone ze strony Franklina. Nigdy dotąd nie pozwolił sobie na tak intymny gest wobec Karla. Gest rozpaczliwy. Musiał wiedzieć, czy Karl jest istotą ludzką, a jeśli tak, to jaką.

Karl zdradził tylko odrobinę swego wnętrza. Okazało się, że potrafi się rumienić. I przez ułamek sekundy dał do zrozumienia, że jest coś, co chciałby wyjaśnić Franklinowi.

Wszystko jednak trwało bardzo krótko. Nie odwzajemnił uśmiechu.

— Gotów — powiedział.

— Pal — zawołał Rudy.

Rzutek znalazł się w powietrzu. Padł strzał i rzutek rozprysnął się w drobny mak.

— Musimy znaleźć coś trudniejszego dla was i łatwiejszego dla mnie — rzekł Merle.

— Nie mogę skarżyć się na strzelbę, ponieważ ta cholerna zabawka kosztowała mnie sześćset dolarów. Potrzebna mi pukawka za sześć dolców, na którą będę mógł zwalić całą winę.

— Słońce jest coraz niżej. Mamy coraz gorsze światło — zauważył Rudy.

— Chyba powinniśmy na tym zakończyć — zaproponował Merle. — Nie ma wątpliwości, że Rudy jest mistrzem w kategorii starsuszków. Ale chłopcy idą łeb w łeb. Może urządzimy im coś w rodzaju dogrywki?

— Mogą poprobować z karabinem — rzekł Rudy. Karabin z celownikiem optycznym stał oparty o płot, gotów do polowania na wrony. Był własnością Merle'a.

Merle wyjął z kieszeni pustą paczkę po papierosach i zerwał z niej folię. Podał ją Karlowi.

— Przyczepcie to, chłopcy, jakieś dwieście metrów stąd.

Franklin i Karl powlekli się wzdłuż linii płotu, odliczając dwieście metrów. Przywykli do tego, że wysyłano ich obu po to, by wykonali razem jakąś czynność, którą z powodzeniem mógł wykonać jeden z nich — przywykli do uroczystego reprezentowania własnego pokolenia w przeciwstawieniu do pokolenia ich ojców.

Żaden z nich się nie odezwał, dopóki nie przymocowali folii do słupka płotu. Gdy odchodzili od celu, Karl powiedział coś tak nieśmiało, że Franklin nie dosłyszał.

— Mówiłeś coś? — spytał.

— Ja... cieszę się, że nie zamierzasz przejąć fabryki — rzekł Karl. — To dobrze, to świetnie. Może gdy przyjedziesz kiedyś do miasta z jakimś przedstawieniem, przyjdę za kulisy zobaczyć cię. Pozwolisz? Będziesz mnie pamiętał?

— Czy będę cię pamiętał? — zdumiał się Franklin. Rany gościa, Karl! — Przez moment czuł się jak aktor, którym chciał być przez krótką chwilę.

— Wyrwij się spod kurateli ojca — powiedział Karl — koniecznie powinieneś to zrobić. Chciałem ci tylko o tym powiedzieć — na wypadek, gdyby ci przyszło do głowy, że uważam inaczej.

— Dzięki, Karl — odrzekł Franklin, kręcąc głową. — Ale ja nie zostanę aktorem. Zamierzam przejąć fabrykę, gdy ojciec przejdzie na emeryturę. Powiedziałem mu o tym wczoraj wieczorem.

— Ale dlaczego? — spytał Karl. — Dlaczego? — Był zły.

— Uszczęśliwiłem tym staruszka, a brakuje mi lepszych pomysłów.

— Możesz to zrobić — powiedział Karl. — Możesz odejść. Możesz zostać, kimkolwiek zechcesz!

Franklin złożył ręce, po czym rozpostarł je w geście fatalizmu.

— Tak jak każdy.

Karl otworzył szeroko oczy.

— Ja nie mogę — jęknął. — Nie mogę! Twój ojciec ma nie tylko ciebie. Ma swój wielki sukces. — Odwrócił się, tak że Franklin nie widział jego twarzy. — A ja jestem wszystkim, co ma mój staruszek.

— Och, posłuchaj — rzekł Franklin. — Hej, posłuchaj!

Karl spojrział na niego.

— Jestem tym, co wybrał zamiast połowy Fabryki Pomp Waggonera, którą mógł mieć za dwa tysiące dolarów! — rzekł porywczo. — Nie było dnia, żeby mi o tym nie przypominał. Nie było dnia!

— Do licha, Karl, między tobą a twoim ojcem istnieje piękna więź — wybuchnął Franklin.

— Moim ojcem? — spytał z niedowierzaniem Karl. — Twoim... twoim. To jego podziw i miłość mam zdobyć. To on powinien gryźć się, że nie ma takiego syna jak ja. Tu leży pies pogrzebany. — Machnął ręką. — Kombi, duet, strzelby, które nigdy nie chybiają, cholernie durny syn, który daje znaki dłonią — tego wszystkiego ma pragnąć twój ojciec.

Franklin patrzył na niego z autentycznym zdumieniem.

— Karl, to wszystko istnieje wyłącznie w twojej głowie. Bez wątplenia twój ojciec woli ciebie od połowy Fabryki Pomp Waggonera czy czegokolwiek!

— Też tak myślałem — powiedział Karl.

— Płytki i kostki, które zrobiłeś — rzekł Franklin — i które podarowałeś mojemu ojcu, naprawdę były prezentem dla twojego. I cóż za wspaniały prezent od syna dla ojca! Ja nigdy nie dałem mojemu ojcu niczego takiego — niczego, w co włożyłbym serce i duszę. Nie mogłem!

Karl zaczerwienił się i znów się odwrócił.

— Ja ich nie zrobiłem — przyznał. Przeszył go dreszcz. — Próbowałem. Boże, jak próbowałem.

— Nie rozumiem.

— To mój ojciec musiał je zrobić! — powiedział z goryczą Karl. — A ja zrozumiałem, że dla niego nie ma znaczenia, kto je zrobił, dopóki twój ojciec jest przekonany, że to ja.

Franklin wydał smutny, niski gwizd.

— Kiedy mój staruszek to zrobił, wypomnił mi w ten sposób, jakie to dla niego ważne. — Karl wytarł nos rękawem kurtki.

— Ale, Karl... — zaczął Franklin.

— Och, do diabła — przerwał mu Karl, wyraźnie zmęczony. — Nie obwiniam go. Przepraszam, że w ogóle cokolwiek powiedziałem. Wszystko w porządku, czuję się dobrze. Przeżyję. — Pstryknął palcami w foliowy cel. — Spudłuję i do diabła z nimi.

Nie powiedział nic więcej. Obaj poczępali z powrotem do swych ojców. Franklin miał wrażenie, że zostawili za sobą wszystko, co powiedzieli, że zrywający się wiatr rozproszył ich ponure myśli. Gdy dotarli do linii strzału, Franklin myślał już tylko o whiskey, befsztyku i gorącym piecu.

Gdy strzelali z Karlem do folii, Franklin trafił w róg, a Karl w sam środek. Rudy postukał się w skroń, a następnie podniósł do góry zagięty palec w geście pozdrowienia. Karl odwzajemnił gest.

Po kolacji duet Rudy i Karl dał koncert gry na flecie oraz klarncie. Grali bez nut, pięknie i wyrafinowanie. Franklin i Merle mogli im jedynie towarzyszyć, wybijając rytm palcami o blat stołu i mając nadzieję, że przypomina to dźwięk bębnów.

Franklin spojrział na ojca. Gdy ich oczy się spotkały, uznali, że bębnienie tylko przeszkadza. Natychmiast obaj przestali.

Mając chwilę czasu na przemyślenie pewnych spraw, na przyjemne łamanie sobie głowy, Franklin doszedł do wniosku, że muzyka mówi chyba więcej nie tylko o Rudym i Karlu, lecz o wszystkich ojcach i synach. Mówiła to, co mówili oni sami, z wahaniem, niekiedy z bólem, niekiedy z gniewem i okrucieństwem, a niekiedy z miłością: że ojcowie i synowie stanowią jedność.

Mówiła też, że zbliża się czas duchowego rozdzielenia bez względu na to, jak blisko ludzie są związani, bez względu na to, jak bardzo się ktoś stara.

Noc dla miłości

Blask księżycy jest odpowiedni dla młodych kochanków i kobiety chyba nigdy nie mają go dość. Ale gdy mężczyzna się starzeje, zwykle uważa, że księżycowa poświata jest zbyt zimna i blada. Turley Whitman właśnie tak myślał, stojąc w oknie sypialni i czekając na powrót do domu swojej córki Nancy.

Był potężnym, życzliwym, przystojnym mężczyzną. Wyglądał jak miłośniwy król, ale był tylko gliniarzem odpowiadającym za parking Fabryki Materiałów Ściernych Reinbecka. Jego pałka, pistolet, naboje i kajdanki znajdowały się na krześle przy łóżku. Turley był skonsternowany i zdenerwowany.

Jego żona, Milly, leżała w łóżku. Chyba po raz pierwszy od ich trzydniowego miesiąca miodowego w 1936 roku Milly nie zakręciła na wałki włosów, które rozsypały się na poduszce. Sprawilo to, że wyglądała młodo, subtelnie i tajemniczo. Nikt od lat nie wyglądał tajemniczo w tej sypialni. Milly wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w księżyc.

Jej zachowanie wytrąciło Turleya z równowagi. Milly w ogóle nie przejęła się tym, co mogło przydarzyć się gdzieś Nancy tak późno tej księżycowej nocy. Milly zapadła w sen, nawet o tym nie wiedząc, potem obudziła się i wpatrzyła w księżyc, oddając się rozmyśleniom. Nie zdradziła jednak Turleyowi, o czym myśli, a następnie znowu zasnęła.

— Obudziłaś się? — spytał Turley.

— Słucham?

— Postanowiłaś się obudzić?

— Ja wcale nie śpię — odrzekła sennie Milly. Jej głos brzmiał jak głos dziewczynki.

— Wydaje ci się, że nie spałaś? — spytał Turley.

— Musiałam bezwiednie się zdrzemnąć — odpowiedziała.

— Chrapałaś jak najęta przez godzinę — rzekł Turley. Zrobił to specjalnie, żeby poczuła się nieatrakcyjna we własnych oczach, ponieważ chciał ją całkiem rozbudzić. Chciał rozbudzić ją na tyle, żeby z nim porozmawiała, zamiast gapić się w księżyc. Wcale nie chrapała podczas snu. Wyglądała bardzo pięknie i spokojnie.

Milly była niegdyś miejscową pięknością. Obecnie była nią jej córka.

— Muszę ci powiedzieć, że okropnie się denerwuję — powiedział Turley.

— Och, kochanie — uspokoiła go Milly — nic im się nie stało. Są rozsądni. To nie zwariowane dzieciaki.

— Dasz mi gwarancję, że nie wylądowali rozbici w jakimś rowie? — spytał Turley.

To obudziło Milly. Usiadła, marszcząc brwi i mrugając powiekami, by odpędzić senność.

— Naprawdę myślisz...

— Naprawdę myślę! — wybuchnął Turley. — Obiecał mi solennie, że odprowadzi ją do domu za dwie godziny.

Milly wysunęła się z pościeli, stawiając bose stopy na podłodze.

— Dobrze — powiedziała. — Przepraszam. Już się całkiem obudziłam. Martwię się.

— Najwyższy czas — burknął Turley. Odwrócił się do niej tyłem i udratyzował swą odpowiedzialną straż przy oknie, stawiając dużą stopę na kaloryferze.

— Czy... czy po prostu martwimy się i czekamy? — spytała Milly.

— A co proponujesz? Jeśli masz na myśli, że powinienem dzwonić na policję i spytać, czy nie wydarzył się jakiś wypadek, to już się tym zająłem, podczas gdy ty smacznie chrapałaś.

— Nie było żadnego wypadku? — szepnęła Milly.

— Przynajmniej o żadnym nie wiedzą — odrzekł Turley.

— No, cóż... to... to trochę pocieszające.

— Może dla ciebie — powiedział Turley. — Ale nie dla mnie. — Odwróciwszy się do niej przodem, zobaczył, że jest już wystarczająco rozbudzona, by wysłuchać tego, co mu leży na wątrobie od pewnego czasu. — Wybacz, że to mówię, ale traktujesz całą tę sytuację jak jakieś święto. Zachowujesz się, jak gdyby to, że Nancy wypuściła się z tym młodym, bogatym, beczelnym elegancikiem w jego samochodzie z silnikiem o mocy trzyestu koni, było najwspanialszą rzeczą, jaka się kiedykolwiek wydarzyła.

Milly wstała, wstrząśnięta i urażona.

— Święto? — wyszeptała. — Ja?

— Rozpuściłaś włosy, prawda? Zrobiłaś to w tym celu, żeby wyglądać ładnie, gdyby przypadkiem spojrzął na ciebie, kiedy wreszcie przywiezie ją do domu?

Milly przygryzła wargi.

— Pomyślałam sobie tylko, że gdyby wywiązała się awantura, nie chcę pogarszać sytuacji przez to, że mam wałki we włosach.

— Chyba nie myślisz serio, że mogłoby dojść do awantury? — spytał Turley.

— Ty jesteś głową rodziny. To ty... ty robisz to, co uważasz za stosowne. — Milly podeszła do niego, muskając go palcami. — Kochanie — powiedziała — ja nie uważam tego za dobre. Mówię szczerze — nie uważam. Próbuje tylko ze wszelkich sił wymyślić coś, co powinniśmy zrobić.

— Na przykład? — spytał Turley.

— Czemu nie zadzwonisz do jego ojca? Może on wie, gdzie są albo jakie mają plany.

Jej propozycja wywarła dziwny skutek. Turley nadal górował wzrostem nad Milly, ale nie panował już nad domem, pokojem czy nawet nad swą drobną bosonogą żoną.

— Och, wspaniały pomysł! — odpowiedział głośno, lecz jego głos brzmiał głucho jak bęben basowy.

— Czemu nie? — spytała Milly.

Turley nie potrafił patrzeć jej dłużej w oczy. Podjął znów wartę przy oknie.

— To byłoby po prostu super — powiedział do miasta zalanego blaskiem księżyca. — L. C. Reinbeck wyrwany z łóżka. „Halo, L. C.? Tu mówi T. W. Co, u diabła twój syn robi z moją córką?” — Turley roześmiał się gorzko.

Milly zdawała się niczego nie rozumieć.

— Masz absolutne prawo zadzwonić do niego czy kogokolwiek innego, jeśli naprawdę uważasz, że sytuacja jest krytyczna. To znaczy, wszyscy są wolni i równi o tej porze nocy.

— Mów za siebie — rzekł, szarżując, Turley. — Może ty byłaś wolna i równa z wielkim L. C. Reinbeckiem, ale ja nigdy. I co więcej, nigdy nie będę.

— Mówię tylko, że on jest człowiekiem — powiedziała Milly.

— Jesteś w tej dziedzinie znawczynią — prychnął Turley. — A ja z pewnością nie. Nigdy nie zabierał mnie na tańce do klubu podmiejskiego.

— Mnie też nie zabierał na tańce do klubu. Nie lubi tańczyć. A przynajmniej nie lubił — poprawiła się Milly.

— Przestań bawić się ze mną w szczegóły techniczne o tej porze nocy — ofuknął ją Turley. — Zatem zapraszał cię gdzieś tam i robił wszystko, na co miał ochotę. Tak czy owak, jesteś znawczynią, jeśli idzie o niego.

— Kochanie — powiedziała z udręką Milly — raz poszłam z nim na kolację do „Blue Mill”, a raz do kina. Zabrał mnie na Pościg za cieniem. On mówił, a ja słuchałam. Nie była to ani trochę romantyczna rozmowa. Dotyczyła tego, w jaki sposób zamierza przekształcić z powrotem fabrykę materiałów ściernych w fabrykę porcelany. Miał przygotować projekt. Nigdy nie zrobił nic podobnego, nie jestem więc znawczynią, jeśli idzie o wielkiego Louisa C. Reinbecka. — Położyła rękę na piersi. — Jestem znawczynią, jeśli idzie o ciebie — powiedziała — skoro już chcesz wiedzieć, w jakiej dziedzinie jestem biegła.

Turley wydał z siebie zwierzęcy pomruk.

— Słucham, kochanie? — spytała Milly.

— O mnie? — rzekł niecierpliwie Turley. — A w jakiej to dziedzinie?

Milly machnęła bezradnie ręką, czego Turley nie widział.

Stał nieporuszony jak skała, coraz bardziej wewnętrznie spięty. Nagle odwrócił się gwałtownie jak ogromna nakręcana zabawka. Podeszedł do telefonu stojącego na szafce przy łóżku.

— Właściwie dlaczego nie miałbym do niego zadzwonić? — zagrzmiał. — Dlaczego?

Zaczął szukać w książce telefonicznej numeru Louisa C. Reinbecka, myśląc o czasach, gdy firma Reinbecka zrywała go ze snu w środku nocy.

Wykręcił zły numer, odłożył słuchawkę i zbierał się w sobie, żeby zadzwonić ponownie. Odwaga opuszczała go w szybkim tempie.

Milly nie mogła znieść tego widoku.

— Nie będzie spał — powiedziała. — Właśnie odbywa się u nich przyjęcie.

— Co się u nich odbywa? — spytał Turley.

— Reinbeckowie wydają dzisiaj przyjęcie... albo właśnie się skończyło.

— Skąd wiesz?

— Przeczytałam w porannej gazecie, w rubryce towarzyskiej. Poza tym — mówiła dalej Milly — możesz pójść do kuchni i sprawdzić, czy pali się u nich światło.

— Z naszej kuchni widać dom Reinbecka? — zdziwił się Turley.

— Jasne — odrzekła Milly. — Musisz trochę opuścić głowę i przechylić ją lekko w bok, a wtedy zobaczysz ich dom w rogu okna.

Turley pokiwał zagadkowo głową, przyglądając się Milly i myśląc o niej intensywnie. Wykręcił jeszcze raz numer, odczekał dwa sygnały, po czym odłożył słuchawkę. Znowu panował nad żoną, domem, pokojami.

Milly zdawała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich trzydziestu sekund popełniła fatalną pomyłkę. Miała ochotę odgryźć sobie język.

— Czy za każdym razem, gdy Reinbeckowie cokolwiek organizują — spytał Turley — czytasz o tym od deski do deski w gazecie?

— Kochanie — odpowiedziała Milly — wszystkie kobiety czytują rubrykę towarzyską. To nie ma znaczenia. Po prostu taki głupi nawyk, gdy się dostaje gazetę. Wszystkie kobiety to robią.

— Jasne — syknął Turley. — Jasne. Ale ile z nich może sobie powiedzieć: „Mogłam być panią Louisową C. Reinbeckową”?

Turley uczynił wielki wysiłek, by zachować spokój, potraktować Milly po ojcowsku i z góry jej wybaczyć.

— Chcesz stawić czoło tej sytuacji z dziećmi, które włączą się gdzieś w świetle księżycy? — spytał. — Czy może wolisz dalej udawać, że każde z nas uważa to za rzecz przypadku?

Milly zamarła.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — powiedziała.

— Sto razy dziennie pochylasz głowę, żeby popatrzeć na tamten duży biały dom w rogu kuchennego okna, i nie wiesz, o co mi chodzi? — spytał ironicznie Turley.

— Nasza córka snuje się gdzieś w tę księżycową noc z chłopakiem, który odziedziczy

kiedyś ten dom, a ty nie wiesz, o co mi chodzi? Rozpuściłaś włosy i gapiłaś się w księżyc, nie słysząc prawie słowa z tego, co do ciebie mówiłem, i nie wiesz, o co mi chodzi? — Turley pokręcił dużą, królewską głową. — Nic ci nie wpada do głowy?



W białym domu na wzgórzu telefon zadzwonił dwa razy i umilkł. Louis C. Reinbeck siedział na białym żelaznym krześle na trawniku w świetle księżyca. Patrzył na nedorzecznie śliczne faliste pole golfowe, a za nim, poniżej, miasto. Wszystkie światła w domu były wygaszone. Myślał, że jego żona, Natalie, już śpi.

Louis pił. Myślał, że w blasku księżyca świat nie wygląda lepiej. Doszedł do wniosku, że w blasku księżyca świat wygląda gorzej, sprawia wrażenie martwego, tak jak księżyc.

To, że telefon zadzwonił dwa razy, a potem umilkł, pasowało świetnie do nastroju Louisa. Telefon był dobrym dodatkiem — pilna sprawa, która mogła czekać w nieskończoność.

— Zrzuć wiecór, a potem odłóż słuchawkę — powiedział głośno Louis.

Wraz z domem oraz Fabryką Materiałów Ściernych Reinbecka Louis odziedziczył po swym ojcu i dziadku głębokie i satysfakcjonujące uczucie, że został zepsuty przez handel. I podobnie jak oni, Louis myślał o sobie jako o wrażliwym producencie porcelany, a nie tarcz ściernych, który urodził się w nieodpowiednim czasie i nieodpowiednim miejscu.

Gdy telefon zadzwonił dwa razy we właściwym czasie, żona Louisa, Natalie, zjawiała się jak na zawołanie. Natalie była chłodną, smukłą dziewczyną z Bostonu. Jej rola polegała na nierozumieniu Louisa. Robiła to prześlicznie, rozbierając na części, niczym mechanik, jego refleksyjne nastroje.

— Louis, słyszałeś, że dzwonił telefon? — spytała.

— Hm? Ach, tak. Uhum — odpowiedział.

— Dzwonił, a potem przestał — rzekła Natalie.

— Wiem — potwierdził Louis. Westchnął, ostrzegając ją w ten sposób, że nie ma ochoty na rozmowę o telefonach lub czymkolwiek innym w rzeczowym, jankesowskim tonie.

Natalie zlekceważyła to ostrzeżenie.

— Nie jesteś ciekaw, kto dzwonił?

— Nie — odparł Louis.

— Może to gość, który czegoś zapomniał. Nie zauważyłeś, żeby ktoś tutaj coś zostawił?

— Nie.

— Może kolczyk albo coś w tym rodzaju?

Natalie miała na sobie bladoniebieski negliz, przypominający obłoczek. Prezent od Louisa. Pozbawiła jednak znaczenia fakt, że go włożyła, ciągnąc przez trawnik ciężkie żelazne krzesło i stawiając je obok krzesła Louisa. Poręcze stuknęły o siebie. Louis zdążył cofnąć palce w samą porę, by nie zostały zmiażdżone.

Natalie usiadła.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odrzekł Louis.

— Widzisz księżyc? — spytała.

— Tak — odpowiedział Louis.

— Myślisz, że ludzie dobrze się dzisiaj bawili?

— Nie wiem — odparł Louis — i jestem pewny, że nie. — Miał przez to na myśli, że zawsze jest jedynym artystą i filozofem na wydawanych przez siebie przyjęciach. Wszyscy inni są biznesmenami.

Natalie była do tego przyzwyczajona. Puściła jego słowa mimo uszu.

— O której wrócił Charlie? — zainteresowała się. Charlie był ich jedynakiem. W pełnym brzmieniu: Louis Charles Reinbeck junior.

— Naprawdę nie wiem — odpowiedział Louis. — Nie zameldował się u mnie. Nigdy tego nie robi.

Natalie, która napawała się widokiem księżyca, nagle usiadła, zdenerwowana.

— Jest w domu, prawda? — spytała.

— Nie mam zielonego pojęcia — odrzekł Louis.

Natalie zerwała się z krzesła.

Wpatrzyła się z napięciem w ciemność, próbując dojrzeć, czy samochód Charliego stoi w garażu.

— Z kim się wypuścił? — spytała.

— Nie rozmawia ze mną — odpowiedział Louis.

— Z kim jest? — powtórzyła z uporem Natalie.

— Jeśli nie sam, to zapewne z kimś, kogo nie aprobujesz.

Ale Natalie nie słyszała jego odpowiedzi. Biegła w stronę domu. Wówczas telefon znów zadzwonił i dzwonił, dopóki Natalie nie podniosła słuchawki.

Przyniosła aparat Louisowi.

— Jakiś facet o nazwisku Turley Whitman. Mówi, że jest jednym z twoich policjantów.

— Coś się stało w fabryce? — spytał Louis, biorąc od niej słuchawkę. — Pożar?

— Nie — odrzekła Natalie. — Nic aż tak poważnego. Louis wyczytał z jej miny, że zdarzyło się coś znacznie gorszego. — Nasz syn wypuścił się chyba gdzieś z córką pana Turleya. Powinni być już dawno w domu. Oczywiście, pan Turley martwi się niezmiernie o córkę.

— Pan Turley? — powiedział Louis do słuchawki.

— Mam na imię Turley, proszę pana, a nazywam się Whitman.

— Idę na górę do telefonu — rzekła szeptem Natalie. Podkasła negliż i wbiegła jak mężczyzna po schodach.

— Prawdopodobnie zna mnie pan z widzenia — oznajmił Turley. — Pilnuję głównego parkingu fabryki.

— Oczywiście, że pana znam — z widzenia i z nazwiska — powiedział Louis. Było to kłamstwo. — Co to za historia z moim synem i pańską córką?

Turley nie był jeszcze przygotowany na przejście do sedna sprawy. Nadal tkwił na etapie przedstawiania siebie i swojej rodziny.

— Zapewne zna pan moją żonę znacznie lepiej niż mnie — oświadczył.

Rozległ się cichy kobiecy krzyk zaskoczenia.

Przez krótką chwilę Louis nie był pewien, czy wyrwał się jego żonie, czy też żonie Turleya. Gdy jednak usłyszał odgłosy szamotaniny, jak gdyby ktoś chciał za wszelką cenę odłożyć słuchawkę, domyślił się, że to z tamtej strony telefonu. Najwyraźniej żona Turleya nie chciała, żeby wmieszano do rozmowy jej nazwisko.

Jednakże Turley był zdecydowany postawić na swoim i udało mu się.

— Znał ją pan, oczywiście, pod panińskim nazwiskiem — powiedział. — Milly... Mildred O'Shea.

Wszelkie protesty po stronie Turleya zamarły. Louis przeżył wstrząs, który spotęgowało wspomnienie młodej, czulej i ślicznej, zadziwiającej Milly O'Shea. Nie myślał o niej od wielu lat, nie miał pojęcia, jak potoczyły się jej losy.

Gdy jednak usłyszał jej imię, odniósł wrażenie, że myślał o niej stale od chwili, gdy pocałowała go na pożegnanie dawno temu, pewnej księżycowej nocy.

— Tak... tak — rzekł Louis. — Tak... pamiętam ją dobrze. — Miał ochotę zapłakać nad przemijaniem czasu, starzeniem się, nad nieszczęsnym końcem dzielnych młodych kochanków.

Od chwili gdy wspomniał imię Milly, Turley dzierżył prym w rozmowie z wielkim Louisem C. Reinbeckiem. Spełnił się cud równości. Turley i Louis rozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną, ojciec z ojcem, przy czym to Louis przeproszał i mamrotał krytyczne słowa wobec syna.

Louis podziękował Turleyowi za to, że zadzwonił na policję. On również do nich zadzwoni. Jeśli dowie się czegokolwiek, natychmiast powiadomi Turleya. Zwracał się do niego per pan.



Odwiesiwszy słuchawkę, Turley był w siódmym niebie.

— Przesyła ci serdeczne pozdrowienia, Milly — powiedział. Gdy się odwrócił, okazało się, że mówi do ściany. Milly wymknęła się cichaczem z pokoju, stąpając ostrożnie na palcach.

Turley znalazł ją w kuchni. Podgrzewała kawę na elektrycznej kuchence Globemaster, która miała bezsensownie skomplikowany układ regulacji. Owa kuchenka była spełnieniem tęsknego marzenia Milly. Spełniło się niewiele jej marzeń o ładnych rzeczach.

Kawa gotowała się, dzbanek prychał i skwierczał, ale Milly tego nie widziała, mimo że wpatrywała się weń ze straszliwą koncentracją. Kawa prysnęła jej na rękę, parząc ją. Milly rozplakała się i przyłożyła oparzoną dłoń do ust. I w tej samej chwili zobaczyła Turleya.

Próbowała prześlizgnąć się obok niego i wymknąć się z kuchni, ale chwycił ją za ramię.

— Kochanie — powiedział oszołomiony. Wyłączył wolną ręką rozgrzaną płytkę.
— Milly.

Milly rozpaczliwie pragnęła uciec, ale potężny Turley przytrzymał ją z taką łatwością, że prawie nie zdawał sobie sprawy, iż to robi. W końcu Milly się poddała, jej uroczą twarz była zaczerwieniona i wykrzywiona.

— Czy... czy nie powiesz mi, co się stało, kochanie? — spytał Turley.

— Nie przejmuj się mną — burknęła Milly. — Martw się o ludzi umierających w rowach.

Turley puścił ją.

— Powiedziałem coś niewłaściwego? — Był autentycznie zdziwiony.

— Och, Turley, Turley — westchnęła cicho Milly. — Nigdy nie przypuszczałam, że zrobisz mi taką przykrość... tak bardzo mnie zranisz. — Stuliła dłonie, jak gdyby trzymała w nich jakiś niezwykle cenny przedmiot. Następnie pozwoliła, by wypadł z nich, czymkolwiek był w jej wyobraźni.

Turley patrzył, jak spada, po czym spytał:

— Tylko dlatego, że wspomniałem mu twoje imię?

— Kiedy... kiedy wspomniałeś mu moje imię, powiedziałeś mu znacznie więcej.
— Starła się wybaczyć Turleyowi, ale było to zbyt trudne. — Nie sądzę, że zdawałeś sobie sprawę z tego, co mu mówisz. Nie mogłeś zdawać sobie sprawy.

— Wymieniłem tylko twoje imię — bronił się Turley.

— A to znaczyło dla Louisa C. Reinbecka — powiedziała Milly — że pewna kobieta z tego samego miasta miała z nim dwadzieścia lat temu dwie głupie randki i od tamtej pory nie mówi o niczym innym. A jej mąż również wie o tych dwóch głupich randkach — i jest z nich tak samo dumny jak ona. A nawet jeszcze bardziej!

Milly opuściła głowę i przechyliła ją na bok, wskazując na plamę jasnego światła w górnym rogu okna.

— Tam — rzekła cicho — wśród tych świateł jest gdzieś wielki Louis C. Reinbeck, który myśli teraz, że kochałam go przez wszystkie te lata. — Reflektory w domu Rein-

becków pogasły. — Teraz siedzi tam gdzieś w świetle księżyca, myśląc o tej nieszczęsnej kobiecie, tym nieszczęsnym mężczyźnie i ich nieszczęsnej córce. — Milly wzdrygnęła się. — A my nie jesteśmy żadnymi nieszczęśnikami. Przynajmniej nie byliśmy do dzisiejszego wieczora.



Wielki Louis C. Reinbeck wrócił do swego drinka i białego żelaznego krzesła na trawniku. Zadzwoił na policję, gdzie powiedziano mu to samo co wcześniej Turleyowi — że nie zdarzył się żaden wypadek, o którym by wiedzieli.

Natalie usiadła znów obok niego. Próbowała zmusić go, żeby na nią spojrzął, żeby zobaczył jej matczyne, żartobliwe uśmiech. Ale Louis odwracał wzrok.

— Ty... znałeś matkę tej dziewczyny, prawda? — spytała.

— Znałem — odpowiedział Louis.

— Umawiałeś się z nią podczas takich nocy jak ta? Pełnia księżyca i tak dalej?

— Możemy odnaleźć kalendarz sprzed dwudziestu lat i sprawdzić, jakie były fazy księżyca — rzekł cierpko Louis. — Nie da się uniknąć pełni. Tak czy owak zdarza się raz w miesiącu.

— W jakiej fazie był księżyc podczas naszej nocy poślubnej? — spytała Natalie.

— W pełni?

— W nowiu — odpowiedziała Natalie.

— Kobiety są bardziej wrażliwe na takie sprawy — rzekł Louis. — Dostrzegają różne rzeczy.

Zdziwił się, że w jego głosie zabrzmiała irytacja. Sumienie splątało mu figła, albowiem pamiętał niewiele z podróży poślubnej z Natalie.

Pamiętał natomiast ze szczegółami tamtą noc, gdy spacerowali z Milly po polu golfowym. Tamtą noc z Milly, gdy księżyc był w pełni.

Teraz Natalie coś mówiła. Gdy skończyła, Louis musiał poprosić ją, by powtórzyła. Nie usłyszał ani słowa.

— Spytałam: „Jak to jest?” — powiedziała Natalie.

— Co jak jest?

— Jak to jest być młodym Reinbeckiem — krewkim, z głową pełną marzeń, który zbiega ze wzgórza, porywając śliczną młodą dziewczynę z miasteczka i upajając się z nią blaskiem księżyca. — Roześmiała się drwiąco. — Musiałeś czuć się jak młody bóg.

— Nie — odparł Louis.

— Nie czułeś się jak bóg?

— Bóg? Nigdy w życiu nie czułem się bardziej ludzki! — Louis rzucił pusty kieliszek w stronę pola golfowego. Żałował, że nie jest na tyle silny, by dorzucić do miejsca, gdzie Milly pocałowała go na pożegnanie.

— Miejmy więc nadzieję, że Charlie ożeni się z tą małą namiętą dziewczyną z miasta — powiedziała Natalie. — Niech nastąpi koniec zimnych, nieludzkich żon Reinbecków podobnych do mnie. — Wstała. — Staw czoło tej prawdzie — byłbyś tysiąc razy szczęśliwszy, gdybyś ożenił się ze swoją Milly O'Shea.

Poszła spać.



— Kto tutaj kogo nabiera? — spytał Turley Whitman żonę. — Byłabyś milion razy szczęśliwsza, gdybyś wyszła za Louisa Reinbecka. — Zajął z powrotem swój posterunek przy oknie sypialni, z wielką stopą na kaloryferze.

Milly siedziała na brzegu łóżka.

— Nie milion razy, nie dwa razy, nie najmniejszą liczbę, jak istnieje, razy szczęśliwsza — powiedziała Milly. Czowała się okropnie. — Turley, proszę, nie mów więcej takich rzeczy. Nie mogę tego znieść, to po prostu szaleństwo.

— Cóż, przecież w kuchni sama nazwałaś rzeczy po imieniu — odrzekł Turley — robiąc mi piekło za to, że wspomniałem wielkiemu Louisowi Reinbeckowi twoje imię. Pozwól więc, że ja również nazwę rzeczy po imieniu i powiem, że żadne z nas nie chciałoby, żeby nasza córka popełniła taki sam błąd jak ty.

Milly podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Turley, proszę, to najgorsza rzecz, jaką mogłeś mi powiedzieć.

Zaczerwienił się, uparty, niewzruszony jak posąg.

— Pamiętam wszystkie wielkie obietnice, które ci składałem, wszystkie te ambitne plany — powiedział. — Żadne z nas nie uważa posady gliniarza pilnującego parkingu w firmie za najwspanialsze zajęcie dla mężczyzny.

Milly bez powodzenia próbowała nim potrząsnąć.

— Nie obchodzi mnie, gdzie pracujesz — wykrzyknęła.

— Zamierzałem zbić większą fortunę niż wielki L. C. Reinbeck — rzekł Turley — i zamierzałem dojść do niej sam. Pamiętasz, Milly? To naprawdę cię przekonało, może nie?

Ręce jej opadły.

— Nie — odparła.

— A co, moja słynna uroda? — spytał Turley.

— Miała z tym wiele wspólnego — przyznała Milly. Jego męska uroda pasowała doskonale do urody najładniejszej dziewczyny w mieście. — Ale przede wszystkim — powiedziała — był to wielki Louis C. Reinbeck oraz księżyc.

Wielki Louis C. Reinbeck znajdował się w sypialni. Jego żona leżała na łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Pokój był sprytnie urządzone, by stwarzać złudzenie romansu i nieśmiertelnej prawdziwej miłości, bez względu na to, co się w nim naprawdę działo.

Aż do tej chwili niemal wszystko, co się w nim działo, było dosyć przyjemne. Teraz okazało się, że małżeństwo Louisa i Natalie dobiegło końca. Gdy Louis zmusił ją, by odsłoniła twarz, zobaczył, że jest obrzmiała od płaczu. Najwyraźniej tak się sprawy mają. To koniec.

Louis był przygnębiony — nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że wszystko rozpadło się tak błyskawicznie.

— Nie... nie myślałem o Milly O'Shea od dwudziestu lat — powiedział.

— Proszę... nie. Nie kłam. Nie tłumacz się — wyszeptała Natalie.

— Przysięgam — rzekł Louis. — Nie widziałem jej od dwudziestu lat.

— Wierzę ci — powiedziała Natalie. — I to właśnie jeszcze pogarsza sprawę. Szkoda, że jej nie widywałeś — tak często, jak tylko miałeś ochotę. To już byłoby lepsze od tego całego... tego... — Usiadła, szukając w myśli właściwego słowa. — Od całego tego okropnego, pustego, bolesnego, dokuczliwego żalu. — Położyła się z powrotem.

— Z powodu Milly? — spytał Louis.

— Z powodu Milly, mnie, fabryki materiałów ściernych, z powodu wszystkich tych rzeczy, których pragnąłeś, a których nie dostałeś, a także tych, które dostałeś, a których nie pragnąłeś. Milly i ja — to doskonały przykład na to. Trudno o lepszy.

— Ja... ja jej nie kocham. Nigdy nie kochałem — powiedział Louis.

— Musiał ci się podobać ten jeden jedyny raz w życiu, gdy czułeś się człowiekiem — rzekła Natalie. — Cokolwiek zdarzyło się w świetle księżyca, musiało być przyjemne, znacznie przyjemniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek razem przeżyliśmy.

Koszmar Louisa pogłębił się, wiedział bowiem, że Natalie mówi prawdę. Nigdy nie przeżył niczego przyjemniejszego od tamtego spotkania z Milly w świetle księżyca.

— Nic się wtedy nie zdarzyło, co mogło być choćby zaczątkiem miłości — zaklinał się Louis. — Byliśmy sobie wówczas kompletnie obcy. Znałem ją tak mało, jak w tej chwili.

Mięśnie Louisa napięły się, mówił z wielkim trudem, ponieważ miał wrażenie, że zmusza się do powiedzenia czegoś ogromnie ważnego.

— Przypuszczam, że ona jest symbolem mojego rozczarowania samym sobą, symbolem wszystkiego, czym mógłbym być.

Podszedł do okna. W poświacie zachodzącego księżyca jego twarz miała niezdrowy wygląd. Promienie księżyca padały teraz płasko, rzucając długie cienie na pole golfowe i karykaturalnie wyolbrzymiając naturalną rzeźbę terenu. Tu i ówdzie powiewały flagi, oznaczając mniej niż nic. Właśnie tutaj rozegrała się wielka scena miłosna.

Nagle zrozumiał.

— Światło księżycy — powiedział cicho.

— Słucham? — spytała Natalie.

— To musiało być to. — Louis roześmiał się, ponieważ wyjaśnienie było tak wstrząsająco proste. — Musieliśmy być zakochani przy takim księżycu, w takim świecie. Wnien był księżyc.

Natalie usiadła, jej nastrój znacznie się poprawił.

— Najbogatszy chłopak w mieście i najładniejsza dziewczyna — powiedział Louis — nie mogliśmy zawieść księżycy, prawda?

Znów wybuchnął śmiechem, wyciągnął żonę z łóżka i zmusił, by popatrzyła razem z nim na księżyc.

— A ja aż do tej pory myślałem, że między mną a Milly zdarzyło się coś naprawdę wielkiego. — Pokręcił głową. Tymczasem wszystko było to czyste, piękne, zalane światłem księżycy oszukaństwo.

Poprowadził żonę do łóżka.

— Jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem. Godzinę temu nie wiedziałem o tym. Teraz wiem.

I wszystko skończyło się dobrze.



— Nie będę kłamała — powiedziała Milly Whitman do męża. — Przez krótką chwilę kochałam wielkiego Louisa C. Reinbecka. Wtedy na zalanym światłem księżycy polu golfowym. Musiałam po prostu się zakochać. Czy potrafisz to zrozumieć — że musiałam się w nim zakochać, mimo że nawet zbytnio się nie lubiliśmy?

Turley przyznał, że wyobraża sobie, jak to się stało, nie był jednak szczęśliwy z tego powodu.

— Pocałowaliśmy się tylko raz — powiedziała Milly. — I gdyby pocałował mnie tak, jak trzeba, pewnie rzeczywiście byłabym dzisiaj panią Louisową C. Reinbeckową. — Pokiwała głową. — Skoro nazywamy dzisiaj rzeczy po imieniu, sądzę, że i o tym możemy mówić bez ogródek. Na chwilę przed tym, jak mnie pocałował na polu golfowym, myślałam, jakim jest nieszczęśliwym bogatym chłopcem i o ile bardziej mogę go uszczęśliwić niż jakaś zimna, zadzierająca nosa dziewczyna z podmiejskiego klubu. I właśnie wtedy mnie pocałował, a ja zrozumiałam, że on nie jest zakochany, nie potrafiłby nigdy się zakochać. Postanowiłam więc, że będzie to pocałunek pożegnalny.

— I popełniłaś wielką pomyłkę — rzekł Turley.

— Nie — odparła Milly — ponieważ następny chłopak, który mnie pocałował, zrobił to, jak należy, udowodnił mi, że wie, co to miłość, mimo że noc nie była wtedy księżycy-

wa. A potem żyłam sobie szczęśliwie aż do dzisiejszego wieczora. — Objęła mocno Turleya. — A teraz pocałuj mnie znów w taki sposób jak za pierwszym razem i wszystko będzie dobrze.

Turley uczynił to, o co go prosiła, i wszystko było dobrze.



Mniej więcej w dwadzieścia minut później w obu domach zadzwoniły telefony, przekazując pomyślną wiadomość: Charlie Reinbeck i Nancy Whitman czują się dobrze. Zastosowali jednak własną wykładnię księżycowego blasku. Uznali, że Kopciuszek i Księżę mają taką samą szansę jak wszyscy inni na prawdziwie szczęśliwe życie. Toteż pobrali się.

A więc powstała nowa rodzina. Czy wszystko było, jak należy, dopiero się okaże. Księżyc zaszedł.

Znajdź dla mnie marzenie

Jeśli komuniści kiedykolwiek spodziewali się, że wyprzedzą państwa demokratyczne w produkcji rur kanalizacyjnych, z pewnością będą zmuszeni dobrze się wysilić, ponieważ tylko jedna fabryka w Creonie, w Pensylwanii, produkuje więcej rur w ciągu sześciu miesięcy niż Rosji i Chinom udaje się wyprodukować razem w ciągu roku. Tą wspaniałą fabryką jest Creon Works, zakład należący do General Forge and Foundry Company.

Arvin Borders, dyrektor zakładu, zwykł mówić każdemu nowo przyjmowanemu inżynierowi:

— Jeśli nie lubisz rur kanalizacyjnych, nie polubisz Creonu. — Sam Borders, czterdziestosześcioletni kawaler, był znany w całym przemyśle jako „Mr Pipe” — „Pan Rura”.

Creon nazywają Pipe City. Szkolna drużyna futbolu przybrała nazwę „Creon Pipers”. Jedyne klub podmiejski to „Pipe City Golf and Country Club”. W holu klubowym znajduje się stała ekspozycja rur, a zespół, który przygrywa do tańca w piątkowe wieczory, nosi nazwę „Andy Middleton and His Creon Pipe-Dreamers”.

Pewnej letniej piątkowej nocy Andy Middleton zrobił sobie krótką przerwę, powierając zespół swojemu pianiście. Wyszedł na pole golfowe, by zażyć chwili spokoju i zaczerpnąć świeżego powietrza. Zaskoczył tam ładną młodą kobietę. Płakała. Andy nie widział jej nigdy wcześniej. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat.

Spytał, czy może jej jakoś pomóc.

— Jestem okropną idiotką — powiedziała. — Wszystko w porządku. Po prostu jestem niemądra.

— Rozumiem — rzekł Andy.

— Mam oczy na mokrym miejscu — płaczę nawet wtedy, gdy nie mam powodu do płaczu — wyjaśniła.

— Może to wprawiać w zakłopotanie ludzi, którzy są z panią — powiedział Andy.

— Okropność — przyznała.

— Ale może się przydać, gdyby musiała pani kiedyś wziąć udział w pogrzebie kogoś, kogo pani nienawidzi — pocieszył ją Andy.

— Nie przyda się jednak raczej w przemyśle produkcji rur — odrzekła.
— A pani pracuje w przemyśle produkcji rur? — spytał.
— A czy wszyscy mieszkańcy Creonu nie są w nim zatrudnieni?
— Ja nie — odpowiedział Andy.
— To co pan robi, żeby nie umrzeć z głodu?
— Macham pałeczką, stojąc przed zespołem... daję lekcje muzyki... i takie tam rzeczy.
— O, Boże — muzyk — powiedziała, odwracając się do niego tyłem.
— To świadczy na moją niekorzyść? — spytał.
— Nie chcę już mieć do czynienia z żadnym muzykiem, dopóki żyję — oświadczyła.
— W takim razie — rzekł Andy — proszę zamknąć oczy, a ja oddalę się na palcach.
— Nie odszedł jednak.
— To pański zespół gra dzisiaj? — spytała.
Dźwięki muzyki słyszeć było całkiem wyraźnie.
— Tak jest — odpowiedział.
— Może pan zostać.
— Słucham?
— Nie jest pan muzykiem — powiedziała — w przeciwnym razie gra tego zespołu sprawiłaby, że zwinąłby się pan w kłębek i umarł.
— Jest pani pierwszą osobą, która go w ogóle słucha — rzekł Andy.
— Założę się, że to faktycznie prawda — prychnęła. Ci ludzie nie słyszą niczego, co nie wiąże się z rurami. Czy kiedy tańczą, udaje im się choć trochę utrzymać rytm?
— Kiedy co robią? — spytał.
— Kiedy tańczą — powtórzyła.
— Jak mogą tańczyć — odpowiedział — skoro mężczyźni spędzają cały wieczór w szatni, pijąc, grając w kości i rozmawiając o rurach kanalizacyjnych, a kobiety siedzą na tarasie, plotkując o tym, co podsłuchały na temat rur, o rzeczach, które kupiły za pieniądze zarobione w zakładzie produkującym rury, lub o rzeczach, które chciałyby kupić za pieniądze zarobione w zakładzie produkującym rury.
Kobieta znów się rozplakała.
— Znowu jest pani po prostu niemądra? — spytał Andy. — Nadal wszystko w porządku?
— Tak, wszystko w porządku — odrzekła.
Mały zdemoralizowany, niezgrany zespół kończył w pustej sali balowej kolejny kawalek, niemilosiernie fałszując.
— Jezu, ależ ta kapela nie cierpi muzyki! — dodała.
— Nie zawsze tak było — rzekł Andy.

— Co się stało? — zainteresowała się.

— Zrozumieli, że nigdy nigdzie nie wyjadą z Creonu, a w Creonie nikt nie będzie ich słuchał. Gdybym poszedł do nich i powiedział, że słucha ich piękna kobieta i popłakuje tutaj na dworze, być może odzyskaliby część dawnego kunsztu — i ofiarowaliby go pani w prezencie.

— Na jakim instrumencie pan gra?

— Na klarncie — odpowiedział. — Czy ma pani jakieś specjalne życzenie — jakieś melodie, które dobiegałyby z sali klubowej, podczas gdy pani będzie szlochać w samotności?

— Nie — odparła. — To bardzo miłe, ale nie chcę żadnej muzyki.

— Środek uspokajający? Aspirynę? — spytał. — Papierosa, gumę do żucia, cukierki?

— Drinka — odpowiedziała.



Przepychając się do załoczonego baru, który nosił nazwę „The Jolly Piper”, Andy dowiedział się wielu rzeczy o branży rur kanalizacyjnych. Mówiono, że Cleveland kupił mnóstwo tanich rur od innej firmy i będzie tego żałował przez następne dwadzieścia lat. Marynarka zamówiła rury produkowane w Creonie do wszystkich wznoszonych obecnie budynków i nikt nie będzie tego żałował. Usłyszał, że mało ludzi wie, iż cały świat ma stracha przed możliwościami Amerykanów w zakresie produkcji rur.

Dowiedział się również, kim jest kobieta, którą spotkał na polu golfowym. Przywiózł ją na dansing Arvin Borders, kawaler, dyrektor Creon Works. Borders poznał ją w Nowym Jorku. Była podrzędną aktorką, wdową po muzyku jazzowym, matką dwóch małych dziewczynek.

Wszystkie te wiadomości „sprzedał” mu barman. Arvin Borders, „Mr Pipe” we własnej osobie, wszedł do baru, wykręcając szyję i najwyraźniej kogoś szukając. Trzymał w dłoniach dwie wysokie szklanki z whisky z wodą. Lód w obu szklankach dawno się rozpuścił.

— Nie widziałem jej jeszcze, panie Borders — zawołał do niego barman.

Borders skinął głową z nieszczęśliwą miną i wyszedł.

— Kogo nie widziałeś? — spytał Andy barmana. Wtedy barman opowiedział mu wszystko, co wiedział o wdowie. Zdradził mu również półgębkiem opinię, że centrala General Forge and Foundry Company w Ilium, w stanie Nowy Jork, wie o romansie i odnosi się doń bardzo niechętnie.

— Powiedz mi, gdzie w całym Creonie — rzekł barman do Andy’ego — może pasować młoda nowojorska aktorka.

Andy dowiedział się, że kobieta posługuje się swoim nazwiskiem scenicznym, Hildy Matthews. Barman nie miał pojęcia, kim był jej mąż.

Gdy Andy przeszedł do sali balowej, by powiedzieć swoim „Pipe-Dreamers”, żeby grali nieco lepiej dla zapłakanej damy na polu golfowym, spotkał tam Arvina Bordersa. Borders, poważny, przysadzisty mężczyzna, prosił właśnie orkiestrę, by zagrała bardzo głośno Indian Love Call.

— Głośno? — zdziwił się Andy.

— Tak, żeby usłyszała, gdziekolwiek jest, i przyszła — wyjaśnił Borders. — Nie mam pojęcia, dokąd ją poniosło. Zostawiłem ją na chwilę na tarasie z innymi paniami — a ona po prostu wyparowała jak kamfora.

— Może miała dość całego tego gadania o rurach — powiedział Andy.

— Bardzo ją to interesuje — rzekł Borders. — Nie podejrzewałby pan o to kobiety o takim wyglądzie, ale potrafi słuchać godzinami, jak mówię o sprawach służbowych, i nigdy jej to nie męczy.

— Indian Love Call ściągnie ją tu z powrotem? — spytał Andy.

Borders wymamrotał coś niezrozumiałego.

— Słucham pana?

Borders zaczerwienił się i zadarł brodę do góry.

— Powiedziałem — rzekł szorstko — że to nasza melodia.

— Rozumiem — pokiwał głową Andy.

— Równie dobrze możecie się o tym dowiedzieć... Zamierzam poślubić tę dziewczynę — oznajmił Borders. — Chcemy ogłosić dzisiaj nasze zaręczyny.

Andy skłonił się lekko.

— Moje gratulacje — powiedział. Postawił swoje dwa drinki na krześle i wziął do ręki klarnet. — Indian Love Call, chłopcy — i to naprawdę głośno — zarządził.

Zespół reagował opieszale. Najwyraźniej nikt nie przejawiał zbytniej ochoty do grania, natomiast każdy próbował coś powiedzieć Andy'emu.

— O co chodzi? — zniecierpliwiał się Andy.

— Zanim zagramy, Andy — rzekł pianista — powinieneś wiedzieć, dla kogo gramy, dla wdowy po kim gramy.

— A mianowicie po kim? — spytał Andy.

— Nie miałem pojęcia, że był taki sławny — powiedział Borders. — Wspomniałem jego nazwisko twoim chłopcom, a oni niemal pospadali z krzeseł.

— No, kto to był?

— Narkoman, alkoholik, damski bokser i podrywacz, który został zastrzelony w zeszłym roku przez zazdrosnego męża — rzekł z oburzeniem Borders. — Nigdy nie rozumiem, jak ktoś może widzieć coś wspaniałego w takim facecie. — I wymienił nazwisko mężczyzny, który był prawdopodobnie największym muzykiem jazzowym, jakiego ziemia nosiła.



- Myślałam, że pan nigdy nie wróci — powiedziała, wyłaniając się z cienia.
- Musiałem zagrać na specjalną prośbę — wyjaśnił Andy. — Ktoś chciał, żebym zagrał Indian Love Call tak głośno, jak tylko się da.
- Och — powiedziała.
- Słyszała pani i nie przybiegła do niego? — spytał.
- Czy tego ode mnie oczekiwał?
- Powiedział, że to wasza melodia.
- To on wymyślił. Uważa, że jest to najpiękniejsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisano.
- Jak się poznaliście? — spytał Andy.
- Byłam kompletnie spłukana, szukałam jakiegokolwiek pracy — odpowiedziała. — W Nowym Jorku odbywało się zebranie handlowe General Forge and Foundry Company. Potrzebowali aktorki do skeczu, który mieli wystawić. Dostałam rolę.
- Jaką rolę? — zainteresował się Andy.
- Ubrali mnie w złotą lamę, włożyli koronę z armatury i przedstawili jako „Miss możliwości produkcji rur w złotych latach sześćdziesiątych” — wyjaśniła. — Był tam Arvin Borders. — Opróżniła szklankę. — Kismet — powiedziała.
- Kismet — powtórzył Andy.
- Wyjęła mu z dłoni szklankę z whisky.
- Przepraszam, ale będę potrzebowała jeszcze tego drinka — oznajmiła.
- I kolejnych dziesięciu?
- Jeśli dopiero po kolejnych dziesięciu uda mi się wrócić do wszystkich tych ludzi, świateł, rur, to wypiję jeszcze dziesięć.
- Podróż jest taka trudna? — spytał Andy.
- Och, gdybym nie zabłąkała się tutaj! — jęknęła. — Gdybym została tam!
- Chyba jedną z najgorszych pomyłek, jakie może popełnić człowiek — powiedział Andy — jest próba ucieczki od ludzi i oddanie się rozmyślaniom. W ten sposób traci się pęd do przodu.
- Orkiestra gra tak cicho, że prawie nie słyszę muzyki — zauważyła.
- Wiedzą, po kim wdowa ich słucha — rzekł Andy — i grają tak, żeby pani ich nie słyszała.
- Ach, wiedzą — powiedziała. — I pan wie.
- On... nic pani nie zostawił?
- Długi. Dwie córeczki... za które jestem naprawdę bardzo wdzięczna.
- Trąbkę?
- Została przy nim. Proszę... czy mogłabym dostać jeszcze jednego drinka?

— Jeszcze jeden drink — powiedział Andy — i będzie pani musiała wracać do narzeczonego na czworakach.

— Doskonale potrafię sama troszczyć się o siebie — rzekła stanowczo. — Nie musi pan bawić się w moją niańkę.

— Przepraszam.

Czknęła cichutko, melodyjnie.

— Nie miało mnie kiedy złapać — powiedziała. — To nie ma nic wspólnego z pićciem.

— Wierzę pani.

— Nie wierzy mi pan. Proszę poddać mnie jakiejś próbie. Na przykład, niech mi pan każe przejść po linii prostej albo powiedzieć coś skomplikowanego.

— Dajmy temu spokój — machnął ręką.

— Nie wierzy pan również, że kocham Arvina Bordersa, prawda? Cóż, powiem panu, że miłość to jedna z rzeczy, które potrafię robić najlepiej. Mam na myśli nie udawanie miłości, lecz prawdziwą miłość. Kiedy kogoś kocham, nie cofam się przed niczym. Idę na całość, a teraz akurat kocham Arvina Bordersa.

— Szczęściarz — powiedział Andy.

— Czy chciałby pan usłyszeć dokładnie, ile już nauczyłam się o rurach? — spytała.

— Proszę bardzo.

— Przeczytałam całą książkę o rurach. Poszłam do biblioteki publicznej i wypożyczyłam książkę o rurach, o niczym więcej, tylko o rurach.

— I co tam było napisane?

Od strony kortu tenisowego dobiegły ich słabe, jękliwe nawoływania. Borders przeczesywał teren klubu w poszukiwaniu swojej Hildy.

— Hildyyyyy — wołał. — Hildy?

— Chce pani, żebym krzyknął „ju-hu-hu”? — spytał Andy.

— Cśśś! — uciszyła go. I znowu czknęła cichutko, melodyjnie.

Arvin Borders powędrował na parking, jego głos ucichł w spowijającej go ciemności.

— Miała pani opowiedzieć mi o rurach — przypomniał Andy.

— Porozmawiajmy o panu — powiedziała.

— Co chciałaby pani o mnie wiedzieć? — spytał.

— Trzeba zadawać panu pytania, bo inaczej nie potrafi pan rozmawiać?

Wzruszył ramionami.

— Jestem podrzędnym muzykiem. Nigdy nie byłem żonaty. Kiedyś miałem wielkie marzenia. Wszystkie przeminęły z wiatrem.

— Wielkie marzenia o czym? — spytała.

— Żeby zostać muzykiem w połowie tak dobrym jak pani mąż — odpowiedział.

— Chce pani usłyszeć więcej?

— Uwielbiam słuchać o marzeniach innych ludzi — powiedziała.
— No dobrze, marzyłem o miłości.
— I nigdy pan jej nie przeżył?
— Nie taką, którą bym zauważył.
— Czy mogę zadać panu bardzo osobiste pytanie? — spytała.
— O moich możliwościach jako wielkiego kochanka?
— Nie — powiedziała. — To byłoby idiotyczne pytanie. Myślę, że każdy ma zadatki na wielkiego kochanka. Potrzebuje tylko szansy.
— Proszę, może mi pani zadać osobiste pytanie — zgodził się Andy.
— Czy zarabia pan jakieś pieniądze?
Andy nie odpowiedział od razu.
— Czy to zbyt osobiste pytanie?
— Nie sądzę, żebym padł trupem, odpowiadając na nie. — Andy dokonał w pamięci pewnych obliczeń, po czym złożył jej dokładny raport.
— Całkiem nieźle — powiedziała.
— Więcej niż nauczyciel, mniej niż woźny — zauważył.
— Wynajmuje pan mieszkanie czy jak? — spytała.
— Mam duży dom odziedziczony po rodzinie — odrzekł Andy.
— Gdyby się pan nad tym zastanowił, to doszedłby pan do wniosku, że jest pan całkiem nieźle sytuowany — powiedziała. — Czy lubi pan małe dzieci — małe dziewczynki?
— Może lepiej będzie, jeśli wróci pani do narzeczonego?
— Moje pytania stają się coraz bardziej osobiste — rzekła. — Nie mogę nic na to poradzić, moje własne życie było takie osobiste. Przez cały czas przydarzają mi się szalone, osobiste rzeczy.
— Chyba lepiej skończmy z tym — przerwał jej.
Nie zwróciła uwagi na jego słowa.
— Na przykład — powiedziała — modłę się, żeby ludzie pewnego rodzaju zjawiali się w moim życiu — i zjawiają się. Pewnego razu, gdy byłam bardzo młoda, modliłam się, żeby zjawił się wielki muzyk i zakochał się we mnie — i tak też się stało. Ja go też kochałam, mimo że był najgorszym mężem, jakiego można sobie wyobrazić. Taka jestem dobra w miłości.
— Hura! — rzekł cicho Andy.
— A potem — mówiła dalej — gdy umarł mój mąż i nie miałyśmy co jeść, i niedobrze mi się robiło od dzikich, szalonych nocy i dni, modliłam się o solidnego, rozsądnego, bogatego biznesmena.
— I zjawił się — powiedział Andy.
— A potem, gdy wybiegłam na pole golfowe, uciekając od wszystkich tych ludzi, którzy tak kochają rury — czy pan wie, o co się modliłam?

— Nie — odparł.

— Modliłam się, żeby mężczyzna przyniósł mi drinka. O nic więcej. Daję panu słowo honoru, że tylko o to.

— A ja przyniosłem pani dwa drinki.

— Ale to jeszcze nie wszystko — powiedziała.

— Tak?

— Myślę, że mogłabym pana bardzo pokochać.

— To byłoby dość trudne.

— Nie dla mnie. Sądzę, że miałby pan szansę zostać bardzo dobrym muzykiem, gdyby ktoś pana do tego dopingował. A ja mogłabym dać panu tę wielką i piękną miłość, której pan pragnie. Miałby to pan jak w banku.

— Czy to propozycja małżeństwa? — spytał Andy.

— Tak — potwierdziła. — I nie wiem, co zrobię, jeśli ją pan odrzuci. Wczołgam się pod krzaki i po prostu umrę. Nie mogę wrócić do tych wszystkich ludzi, których interesują wyłącznie rury, a tu nie ma gdzie iść.

— Mam powiedzieć „tak”? — spytał.

— Jeśli ma pan na to ochotę, proszę powiedzieć „tak” — odrzekła.

— Dobrze... — odpowiedział wreszcie — tak.

— Będziemy oboje szczęśliwi, że tak się stało.

— A co z Arvinem Bordersem? — spytał Andy.

— Wyświadczamy mu przysługę.

— Doprawdy?

— O, tak. Jakaś kobieta, która wyszła na taras, powiedziała, że Arvin zrukuje sobie karierę, poślubiając taką kobietę jak ja — i pan prawdopodobnie zdaje sobie z tego równie dobrze sprawę.

— Z tego powodu wylądowała pani w ciemności na polu golfowym?

— Tak — przyznała. — To było ogromnie przygnębiające. Nie chciałam zniszczyć swojej kariery.

— To ładnie z pani strony.

— Ale panu... — rzekła, ujmując go pod rękę — panu stworzę naprawdę cudowne życie. Proszę tylko zaczekać. Zobacz pan.

Uciezki

Zostawili list, w którym napisali, że nastolatki są tak samo zdolne do prawdziwej miłości jak wszyscy inni — a nawet bardziej. A następnie wyjechali w niewiadomym kierunku.

Wyjechali starym niebieskim fordem chłopca. Na wstecznym lusterku dyndały niemowlęce buciki, na popękany tylnym siedzeniu piętrzyła się sterta komiksów.

Natychmiast ogłoszono alarm policyjny, ich zdjęcia ukazały się w gazetach i w telewizji. Nie złapano ich jednak przez dwadzieścia cztery godziny. Zdołali dojechać do Chicago. Policjant na patrolu wypatrzył ich, gdy robili razem zakupy w supermarkecie. Wyglądało to na zapas słodczy, kosmetyków, napojów orzeźwiających i mrożonych pizz na całe życie.

Ojciec dziewczyny wypłacił policjantowi nagrodę w wysokości dwustu dolarów. Ojcem dziewczyny był Jesse K. Southard, gubernator stanu Indiana.

Dlatego sprawa była taka głośna. To niezwykle podniecające, gdy były wychowanek poprawczaka, chłopak, który obsługiwał kosiarkę w podmiejskim klubie gubernatora, uciekł z córką tegoż gubernatora.

Gdy stanowa policja przywiozła dziewczynę do rezydencji gubernatora w Indianapolis, gubernator Southard oświadczył, że podejmie natychmiastowe kroki w celu uzyskania unieważnienia. Dziennikarz, z wyraźnym lekceważeniem, zauważył, że nie może być mowy o unieważnieniu, ponieważ nie było małżeństwa.

Gubernator wpadł we wściekłość.

— Ten chłopak nigdy nie tknął jej nawet palcem — ryknął — ponieważ nie pozwoliłaby mu na to! I spuszczę tęgie lanie każdemu, kto ośmieli się powiedzieć, że było inaczej.

Dziennikarze oczywiście chcieli rozmawiać z dziewczyną i gubernator powiedział, że będzie miała dla nich gotowe oświadczenie za mniej więcej godzinę. Miała to być już nie pierwsza jej wypowiedź na temat eskapady. W Chicago ona i jej chłopiec wygłosili wobec dziennikarzy oraz policji wykład na temat miłości, hipokryzji, prześladowania nastolatków, nieczułości rodziców, a nawet rakiet, Rosji i bomby wodorowej.

Gdy dziewczyna zeszła na dół ze swoim nowym oświadczeniem, zaprzeczyła wszystkiemu, co powiedziała w Chicago. Przeczytała trzystronicowy, napisany na maszynie tekst, twierdząc, że podróż była istnym koszmarem, że nie kocha i nigdy nie kochała chłopca, z którym uciekła, że musiała być szalona i nie chce go już nigdy więcej widzieć.

Powiedziała, że jedynymi ludźmi, których kocha, są jej rodzice, że nie wie, jak ma im wynagrodzić wszystkie strapienia i przykrości, na które ich naraziła, że zamierza skoncentrować się na nauce, ponieważ będzie zdawała na studia. Dodała, że nie chce, by robiono jej zdjęcia, ponieważ wygląda okropnie po tych przejściach.

Wcale nie wyglądała szczególnie okropnie, poza tym że ufarbowała włosy na rudo, a chłopiec ostrzygł ją brzydko, chcąc zmienić jej wygląd. Trochę płakała. Nie była chyba zmęczona. Wyglądała młodo, buntowniczo i sprawiała wrażenie zwierzątka schwytanego w potrzask.

Miała na imię Annie. Annie Southard.

Gdy dziennikarze wyszli, udając się do chłopca, by pokazać mu ostatnie oświadczenie dziewczyny, gubernator odwrócił się do córki i powiedział:

— Chciałbym ci naprawdę podziękować. Nie wiem, jak ci się kiedykolwiek odwdzięczę.

— Dziękujesz mi za to, że nagadałam takich kłamstw? — spytała Annie.

— Za to, że uczyniłaś pierwszą niewielką próbę naprawienia szkód, które wyrządziłaś — odpowiedział ojciec.

— Mój rodzony ojciec, gubernator stanu Indiana — powiedziała Annie — kazał mi kłamać. Nigdy o tym nie zapomnę.

— To nie jest ostatnie polecenie, które ci wydaję — ostrzegł ją.

Annie nie powiedziała nic głośno, ale w myśli przeklęła rodziców. Nie jest im już nic winna. Będzie zimna i obojętna przez resztę swoich dni. Wprowadziła natychmiast swoje postanowienie w czyn.

Matka Annie, Mary, zeszła na dół kręconymi schodami. Słuchała kłamstw córki z górnego podestu.

— Uważam, że świetnie sobie z tym poradziłaś — powiedziała do męża.

— Na tyle, na ile mogłem w tej sytuacji — odrzekł.

— Żałuję jedynie, że nie mogliśmy wyjść i powiedzieć tego, co naprawdę mamy do powiedzenia — oświadczyła matka Annie. — Gdybyśmy tylko mieli sposobność zapewnić, że nie jesteśmy przeciwko miłości ani przeciwko ludziom, którzy nie mają pieniędzy. — Chciała pogłaskać krzepiąco córkę, ale wstrzymał ją wyraz oczu Annie. — Nie jesteśmy snobami, kochanie, i nie jesteśmy też niewrażliwi na miłość. Miłość jest najwspanialszą rzeczą na świecie.

Gubernator odwrócił się i wyjrzał przez okno.

— Wierzymy w miłość — zapewniła matka Annie. — Wiesz przecież, jak bardzo kocham twojego ojca i jak bardzo twój ojciec kocha mnie — i jak bardzo kochamy cię oboje.

— Jeśli zamierzasz wyjść i coś powiedzieć, zrób to teraz — rzekł gubernator.

— Chciałam to zrobić.

— Mów o pieniądzach, mów o wychowaniu, mów o nauce, mów o przyjaciółkach, mów o interesach — powiedział gubernator — a potem możesz wrócić do miłości, jeśli chcesz. — Spojrzał na kobiety. — Mów o szczęściu, na miłość boską. Zobacz się znowu z tym chłopcem, ciągnij tę historię, wyjdź za niego, gdy będziesz to mogła zrobić legalnie, kiedy nie będziemy mogli cię powstrzymać — powiedział do Annie — a nie tylko ty staniesz się najniezwyklejszą kobietą na świecie, ale i on najniezwyklejszym mężczyzną. Będziesz mogła być naprawdę dumna z bałaganu, który narobiłaś, ponieważ wyjdiesz za mąż, nie mając pojęcia, jak może wyglądać szczęśliwe małżeństwo. Co planowałaś zrobić dla przyjaciół? — spytał. — Dla jego paczki z sali bilardowej lub twojej paczki z klubu podmiejskiego? Czy zaczęłabyś od kupienia mu ładnego domu, mebli i samochodu, czy też zaczęłabyś, aż sam kupi te rzeczy, za które będzie gotów zapłacić na świętego nigdy? Czy lubisz komiksy tak bardzo jak on? Czy lubisz ten sam rodzaj komiksów? — wykrzykiwał gubernator. — Za kogo się uważasz? — spytał Annie. — Wydaje ci się, że jesteś Ewą, dla której Bóg stworzył jedyne Adama?

— Tak — odpowiedziała Annie i poszła na górę do swego pokoju. Zatrzasnęła z hukiem drzwi. W chwilę później dobiegły stamtąd dźwięki muzyki. Annie puściła płytę.

Gubernator oraz jego żona stali za drzwiami, słuchając słów piosenki.

Mówią, że nie wiemy, czym jest miłość,
Du-la-la-la, ło-ło je.
Ale my wiemy, co mamy zapisane w gwiazdach,
Du-la-la-la, ło-ło-je.
Przytul mnie mocno, kochanie,
A moje serce zaśpiewa,
Bo wszystko, co ci mówią, kochanie,
Nie ma żadnego znaczenia.



Dwanaście kilometrów dalej w kierunku południowym, po drugiej stronie śródmieścia, dziennikarze tłoczyli się na werandzie domu rodziców chłopca.

Był to stary tani drewniany bungalow z 1926 roku. Frontowe okna wychodziły na wiecznie wilgotną i ciemną ogromną werandę. Boczne okna dzieliło od okien sąsiadów zaledwie trzy metry. Światło wpadało do środka tylko przez okno z tyłu domu. Traf chciał, że oświetlało malutką spiżarnię.

Ani chłopiec, ani jego rodzice nie słyszeli pukania dziennikarzy. Telewizor w salonie oraz radio w kuchni były nastawione bardzo głośno, a rodzina kłóciła się w jadalni, znajdującej się pośrodku.

Kłótnia dotyczyła wszystkiego pod słońcem, ale w tej chwili chodziło konkretnie o wąsy chłopca. Zapuszczał je od miesiąca i został właśnie przyłapany przez ojca na czernieniu ich pastą do butów.

Chłopiec nazywał się Rice Brentner. Gazety pisały prawdę — Rice spędził trochę czasu w domu poprawczym. Od tamtej pory minęły trzy lata. Jego przestępstwo polegało na tym, że w wieku trzynastu lat ukradł szesnaście samochodów w ciągu tygodnia. Od tamtego incydentu nie pakował się w żadne kłopoty, pomijając eskapadę z Annie.

— Natychmiast marsz do łazienki — poleciała ostrym tonem matka. — Masz zgolić to ohydztwo.

Rice nie pomaszerował. Nie ruszył się z miejsca.

— Słyszałeś, co powiedziała matka — rzekł ojciec. Gdy Rice nadal nawet nie drgnął, ojciec spróbował zranić go pogardą. — Pewnie czuje się z tymi wąsami jak mężczyzna — jak dorosły mężczyzna.

— Tylko że wcale nie wygląda z nimi jak mężczyzna — powiedziała matka — ale jak jakieś Bóg-wie-co.

— Trafiłaś w samo sedno — przyznał ojciec. — Właśnie tym jest: Bóg-wie-czym! — Określenie syna tym mianem wyraźnie przyniosło ulgę ojcu chłopca. Był — jak podała najpierw jedna z gazet, a za nią wszystkie inne — zarabiającym osiemdziesiąt dziewięć dolarów i sześćdziesiąt dwa centy tygodniowo zaopatrzniowcem w centrali systemu szkół publicznych. Miał powód do oburzenia na skrupulatność dziennikarza, który wygrzebał tę liczbę z archiwum państwowego. Owe sześćdziesiąt dwa centy szczególnie go rozdrażniły. — Zaopatrzniowiec z pensją osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i sześćdziesięciu dwóch centów tygodniowo ma syna Bóg-wie-kogo — powiedział. — Rodzina Brentnerów święci dzisiaj swój dzień chwały.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jakie masz szczęście, że nie będziesz gnął w więzieniu? — spytała matka Rice'a. — Gdyby zapakowali cię do więzienia, nie tylko zgoliliby ci wąsy, nie pytając o pozwolenie, lecz ostrzygliby ci włosy na łysą pałę!

Rice prawie ich nie słuchał. Nurtowała go myśl o samochodzie. Zapłacił zań zarobionymi przez siebie pieniędzmi. Rodzice nie dołożyli ani grosika. Przysiągł sobie w tej chwili, że gdyby rodzice próbowali mu go zabrać, opuści dom na dobre.

— Wie, co oznacza więzienie — powiedział ojciec. — Siedział już w nim.

— Pozwól mu zostawić wąsy, skoro tak mu na tym zależy — rzekła matka. — Chciałabym tylko, żeby spojrzął w lustro i zobaczył, jak idiotycznie w nich wygląda.

— Dobrze, niech je zachowa — zgodził się ojciec — ale powiem ci, że jest jedna rzecz, której z pewnością nie zachowa, dając ci na to moje słowo honoru, a mianowicie samochodu!

— Amen! — powiedziała matka. — Ma pomaszerować do komisum samochodowego i sprzedać samochód, a potem pomaszerować do banku i włożyć pieniądze na rachunek oszczędnościowy, a następnie pomaszerować do domu i oddać nam książeczkę bankową. — Wypowiadając to skomplikowane polecenie, przybierała coraz bardziej kaprałski ton, a pod koniec maszerowała w miejscu jak John Philip Sousa.

— Dobrze mu powiedziałaś — rzekł ojciec.

Gdy już raz pojawił się temat samochodu, stał się dominujący i najgłośniejszy. Stary niebieski ford był dla rodziców Rice'a tak przerażającym symbolem katastrofalnej wolności, że mogli biadolić o nim bez końca.

— No, cóż, samochód odjeżdża — powiedziała w końcu bez tchu matka Rice'a.

— To koniec samochodu — dodał ojciec.

— I mój koniec — rzekł Rice. Wyszedł drzwiami kuchennymi, wsiadł do samochodu, włączył radio i odjechał.

Popłynęła muzyka. Piosenka mówiła o dwojgu nastolatków, którzy zamierzali się pobrać, mimo że byli kompletnie splukani. Refren brzmiał tak:

Nie dla nas drogie zasłony,
Kuchenki, lodówki, dywany.
Lecz nasze gniazdko będzie skrawkiem nieba,
Bo miłość jest wszystkim, czego nam trzeba.

Rice podjechał do budki telefonicznej, znajdującej się w odległości półtora kilometra od rezydencji gubernatora. Zadzwoił na prywatny numer rodziny gubernatora.

Zmienionym, wyższym o pół oktawy głosem poprosił do telefonu Annie.

Telefon odebrał kamerdyner.

— Przepraszam pana — powiedział — ale nie sądzę, żeby panienka mogła teraz podejść. Czy zechce pan zostawić swoje nazwisko?

— Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Bob Counsel — rzekł Rice. Counsel był synem człowieka, który wzbogacił się na pralniach na monety. Większość czasu spędzał w klubie podmiejskim. Był zakochany w Annie.

— W pierwszej chwili nie poznałem pańskiego głosu, panie Counsel — powiedział kamerdyner. — Proszę poczekać, jeśli pan tak uprzejmy.

W chwilę później do telefonu podeszła matka Annie. Tak rozpaczliwie pragnęła wierzyć, że rozmówcą jest grzeczny, atrakcyjny i przyzwoity Bob Counsel, że nawet nie podejrzewała oszustwa. To ona mówiła prawie przez cały czas, tak że Rice musiał tylko chrząkać od czasu do czasu.

— Och, Bob, och, Bob, och, Bob, drogi chłopcze — zachłystywała się. — Jak to miło, jak bardzo miło, że zadzwoniłeś. Właśnie o to się modliłam! Annie musi porozmawiać z kimś w jej wieku. Och, ja i mąż rozmawialiśmy z nią i chyba nas słyszała, ale w dzisiejszych czasach istnieje taka przepaść między pokoleniami...

— To... to, co zrobiła Annie — trąkotała dalej — to coś w rodzaju załamania nerwowego, nic więcej. Nie prawdziwe załamanie nerwowe, ale nie była sobą, nie była tą Annie, którą znamy. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Tak — odrzekł Rice.

— Och, Annie z pewnością się ucieszy, że zadzwoniłeś, Bob, z radością dowie się, że dawni przyjaciele, prawdziwi przyjaciele, jej nie opuścili. Słyszając twój głos — powiedziała żona gubernatora — nasza Annie zrozumie, że wszystko znowu wraca do normalności.

Poszła po Annie — i Rice słyszał dalekie odgłosy ostrej sprzeczki. Annie wykrzykiwała, że nienawidzi Boba Counsela, uważa go za palanta, zarozumiałego głupca i maminsynka. W tej samej chwili ktoś połapał się, by zasłonić słuchawkę dłonią, i Rice nie usłyszał więcej ani słowa, dopóki Annie nie podeszła do telefonu.

— Halo — powiedziała zrezygnowanym tonem.

— Pomyślałem, że może miałabyś ochotę na małą przejażdżkę, żeby zapomnieć o kłopotach — rzekł Rice.

— Słucham?

— Mówi Rice. Powiedz matce, że jedziesz do klubu pograć w tenisa ze starym poczciwym Bobem Counselem. Spotkamy się na stacji benzynowej na skrzyżowaniu Czterdziestej Szóstej i Illinois.

Tak więc w pół godziny później wyjechali znowu starym niebieskim fordem chłopca, w którym na wstecznym lusterku dyndały niemowlęce buciki, a na tylnym siedzeniu piętrzyła się sterta komiksów.

Gdy Annie i Rice opuszczali miasto, z radia w samochodzie płynęła piosenka:

Och, dziecinko, dziecinko moja,
Co za szczęśliwy, wspaniały dzień,
Twoja słodka miłość i pocałunki
Odpędzają wszelkie smutki.

I radosny pościg znów się rozpoczął.



Annie i Rice przekroczyli granicę Ohio i jadąc boczną drogą, słuchali radia, które zagłuszał lekko stukot żwiru o błotniki samochodu.

Wysłuchali z niecierpliwością wiadomości o rozruchach w Bangalurze, o katastrofie samolotu w Irlandii, o mężu, który wysadził w powietrze za pomocą nitrogliceryny swoją żonę w Wirginii Zachodniej. Prezenter zachował na koniec największą nowinę — że Annie i Rice, Julia i Romeo, znowu bawią się w kotka i myszkę.

Prezenter nazywał Rice'a „Rickiem”. Nikt do tej pory tak się do niego nie zwracał i Rice'owi i Annie bardzo się to spodobało.

— Od tej pory będę do ciebie mówiła Rick — powiedziała Annie.

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekł Rick.

— Wyglądasz bardziej na Ricka niż na Rice'a. Jak to się stało, że dali ci na imię Rice?

— Nigdy ci nie mówiłem? — spytał Rice.

— Jeśli nawet, to zapomniałam.

W rzeczywistości Rice mówił jej z dziesięć razy, dlaczego nadano mu takie imię, ale ona tak naprawdę nigdy go nie słuchała. Zresztą i Rice tak naprawdę nigdy jej nie słuchał. Oboje zanudziliby się na śmierć, gdyby słuchali się nawzajem, oszczędzili sobie jednak tego.

Toteż ich rozmowy były cudem braku związku. Mieli tylko dwa wspólne tematy — rozczulanie się nad sobą i coś, co nazywa się miłością.

— Moja matka miała kiedyś jakiegoś przodka o imieniu Rice — wyjaśnił chłopiec.
— Był lekarzem, chyba bardzo znanym, z tego co wiem.

— Doktor Siebolt jest jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek starał się mnie zrozumieć — powiedziała Annie. Doktor Siebolt był lekarzem rodziny gubernatora.

— Moja matka miała też innych znanych przodków — rzekł Rice. — Nie wiem, co robili, ale płynęła w nich szlachetna krew.

— Doktor Siebolt zawsze słuchał tego, co próbowałam powiedzieć — mówiła Annie.
— Moi rodzice nigdy nie mieli czasu, by mnie wysłuchać.

— Właśnie z tego powodu mój staruszek zawsze wścieka się na mnie — że płynie we mnie tyle krwi matki. Wiesz chcę robić różne rzeczy, mieć różne rzeczy, żyć i podejmować ryzyko, a rodzina z jego strony jest zupełnie inna.

— Mogę rozmawiać z doktorem Sieboltem o miłości, mogę rozmawiać z nim o wszystkim — powiedziała Annie. — Natomiast z rodzicami w wielu sprawach muszę trzymać buzię na kłódkę.

— Bezpieczeństwo na pierwszym miejscu — oto jest ich motto. No, cóż, nie jest to moje motto. Chcą, żebym skończył tak jak oni, a ja jestem zupełnie innym typem człowieka.

— To okropne kazać komuś tłumić w sobie wszystko. Ciągłe płaczę, a moi rodzice nigdy nie domyślają się dlaczego.

— Dlatego ukradłem tamte samochody. Pewnego dnia nagle kompletnie mi odbiło. Zmuszali mnie, żebym zachowywał się jak ojciec, a ja przecież nie jestem taki jak on. Nigdy mnie nie rozumieli. Nadal mnie nie rozumieją.

— Ale najgorszą rzeczą było, gdy mój ojciec kazał mi kłamać. Właśnie wtedy zrozumiałam, że moich rodziców nie obchodzi prawda. Obchodzi ich wyłącznie, co pomyślą sobie ludzie.

— Tego lata zarabiałem więcej niż mój stary i moi bracia. To ich naprawdę wkurzyło. Nie mogli tego znieść.

— Moja matka wygłosiła mi kazanie na temat miłości, a ja z trudem powstrzymałam się, by nie wykrzyknąć: „Nie masz pojęcia, co to jest miłość! Nigdy jej jeszcze nie poznałaś!”

— Moi rodzice wciąż mi powtarzali, że mam się zachowywać jak mężczyzna, a kiedy rzeczywiście zacząłem się tak zachowywać, wściekli się jak diabli. Co powinien robić facet?

— Nawet gdy wrzeszczałam na nią, wcale nie słuchała. Nigdy nie słucha. Chyba boi się słuchać. Wiesz, co mam na myśli?

— Mój starszy brat był ulubieńcem rodziny. Nigdy nie robił nic złego, w przeciwieństwie do mnie, który zawsze broiłem, oczywiście ich zdaniem. Nie poznałaś mojego brata, prawda?

— Mój ojciec zabił coś we mnie, gdy kazał mi kłamać.

— Naprawdę mamy szczęście, że się w życiu spotkaliśmy — oświadczył Rice.

— Słucham? — spytała Annie.

— Powiedziałem: „Naprawdę mamy szczęście, że się w życiu spotkaliśmy” — odrzekł Rice.

Annie wzięła go za rękę.

— O tak, o tak, o tak — potwierdziła żarliwie. — Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy tam, na polu golfowym, omal nie umarłam. Od razu wiedziałam, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Poza doktorem Sieboltem, jesteś pierwszym człowiekiem, który jest mi bliski.

— Doktorem jakim? — spytał Rice.



W gabinecie, w rezydencji gubernatora, gubernator Southard miał włączone radio. Annie i Rice zostali właśnie zatrzymani, trzydzieści kilometrów na zachód od Cleveland, i Southard chciał usłyszeć, co nowe serwisy mają na ten temat do powiedzenia.

Na razie nadawano tylko muzykę i gubernator słuchał słów piosenki:

Nie idźmy do szkoły dziś,
Moje ty słodkości.
Ukryjmy się w lesie i bawmy się,
Bawmy się, bawmy miłością.

Gubernator wyłączył radio.

— Jak oni śmiać puszczać takie rzeczy przez radio? — rzekł z oburzeniem. — Cały amerykański przemysł rozrywkowy nie robi nic innego, tylko mówi dzieciakom, jak zabijać rodziców — i je same przy okazji.

Postawił to pytanie żonie i Brentnerom, rodzicom chłopca, którzy siedzieli z nim w gabinecie.

Brentnerowie pokręcili głowami, co miało oznaczać, że nie znają odpowiedzi na pytanie gubernatora. Nie mówili prawie nic — nic poza uniżonymi, chaotycznymi przeprosinami na samym początku, gdy tylko przyszli. Potem siedzieli, zgadzając się tępo ze wszystkim, co powiedział gubernator.

A powiedział wiele, walcząc z tym, co nazwał najtrudniejszą decyzją w życiu. Próbował zdecydować za zgodą żony oraz Brentnerów, co zrobić, żeby uciekinierzy dorośli na tyle, by zdali sobie sprawę, co robią, jak ich urządzić, żeby już nigdy nie uciekli.

— Ma pan jakieś propozycje, panie Brentner? — spytał ojca Rice'a.

Pan Brentner wzruszył ramionami.

— Nie mam nad nim żadnej władzy, proszę pana — powiedział. — Gdyby ktoś podsunął mi sposób opanowania tego chłopaka, wypróbowałbym go z radością, ale... — Pozwolił, żeby zdanie zawisło w powietrzu.

— Ale co? — chciał wiedzieć gubernator.

— On jest już prawie dorosłym mężczyzną, panie gubernatorze — wyjaśnił ojciec Rice'a — i tak łatwo nim kierować jak każdym innym mężczyzną, to znaczy niełatwo. — Mruknął jeszcze pod nosem coś, czego gubernator nie zrozumiał, po czym znowu wzruszył ramionami.

— Słucham? — spytał gubernator.

— Powiedziałem, że on ma mnie za nic — powtórzył ojciec Rice'a nieco głośniejszym głosem niż za pierwszym razem.

— Do licha, z pewnością szanowałby pana, gdyby miał pan odwagę narzucić mu swoją wolę i egzekwować posłuszeństwo! — rzekł gubernator z żarliwym poczuciem słuszności.

Matka Rice'a uczyniła w tej chwili najodważniejszą rzecz w swoim życiu. Wzbierał w niej coraz większy gniew, że zrzuca się całą winę na jej syna, i nie pozostała dłużna gubernatorowi Indiany.

— Może gdybyśmy wychowali naszego syna w taki sposób, jak państwo swoją córkę, nie mielibyśmy dzisiaj kłopotu.

Gubernator sprawiał wrażenie zaskoczonego. Usiadł przy biurku.

— Dobrze powiedziane, proszę pani — rzekł. Spojrzał na żonę. — Z pewnością powinniśmy zdradzić światu tajemnicę wychowywania dzieci.

— Annie nie jest złą dziewczynką — powiedziała szybko.

— Ani nasz syn nie jest złym chłopcem — dodała z ożywieniem matka Rice'a, zadowolona, że zadała gubernatorowi bobu.

— Jestem... jestem pewna, że nie — zgodziła się żona gubernatora.

— On nie jest już złym chłopcem. Jest prawie dorosły — wypalił ojciec Rice'a. Idąc za przykładem żony, zebrał się na odwagę i dodał: — I wasza mała dziewczynka też nie jest już wcale mała.

— Proponuje pan, żeby się pobrali? — spytał z niedowierzaniem gubernator.

— Nie wiem, co proponuję — odparł ojciec Rice'a. — Nie jestem tutaj od proponowania. Ale może oni rzeczywiście się kochają. Może naprawdę są dla siebie stworzeni. Może będą szczęśliwi ze sobą przez resztę życia, począwszy od tej chwili, jeśli im na to pozwolimy. — Rozłożył bezradnie ręce. — Nie wiem — powiedział. — A państwo?



Annie i Rice rozmawiali z dziennikarzami w koszarach policji stanowej pod Cleveland. Czekali, aż zostaną odstawieni do domu. Twierdzili, że są nieszczęśliwi, ale wyglądało na to, że całkiem nieźle się bawią. W tej chwili mówili o pieniądzach.

— Ludzie za bardzo gonią za pieniędzmi — powiedziała Annie. — Czym są pieniądze, jeśli naprawdę przestanie się o nich myśleć?

— Nie chcemy pieniędzy od jej rodziców — dodał Rice. — Przypuszczam, że oni myślą, że chodzi mi o ich pieniądze. A ja pragnę tylko ich córki.

— Mam to w nosie, mogą mnie wydziedziczyć, jeśli chcą — wzruszyła ramionami Annie. — Z mojego doświadczenia dziecka, które wyrastało wśród bogatych ludzi, wynika, że pieniądze przynoszą ludziom same zmartwienia i nieszczęścia. Ci, którzy mają mnóstwo pieniędzy, tak martwią się ciągle, że mogą je kiedyś stracić, iż zapominają o życiu.

— Potrafię zawsze zarobić dość, żeby zapewnić nam dach nad głową i żebyśmy mieli co włożyć do garnka — rzekł Rice. — Zarabiam więcej niż mój staruszek. Sam spłaciłem swój samochód. Jest mój, bez żadnych obciążeń.

— Ja też potrafię zarobić pieniądze — zapewniła Annie. — Będę znacznie bardziej dumna z pracy niż z tego, czego oczekują ode mnie rodzice, a mianowicie włóczenia się z innymi zepsutymi dzieciakami i zbijania bąków.

Wszedł stanowy policjant i powiedział Annie, że dzwoni jej ojciec. Gubernator Indiany chciał rozmawiać z córką.

— Co dobrego może przynieść taka rozmowa? — spytała Annie. — Ich pokolenie nie rozumie naszego pokolenia i nigdy nie zrozumie. Nie mam ochoty z nim rozmawiać.

Policjant wyszedł, po czym wrócił po kilku minutach.

— Wciąż czeka przy telefonie? — zdziwiła się Annie.

— Nie, proszę pani — odrzekł policjant. — Mam przekazać pani wiadomość od niego.

— O, rany — jęknęła Annie. — To z pewnością coś super.

— To również wiadomość od twoich rodziców — powiedział policjant do Rice'a.

— Nie mogę się doczekać, żeby ją usłyszeć — rzekł ironicznie Rice.

— Oto jej treść — oznajmił policjant z oficjalnie obojętną miną. — Wracajcie do domu waszym samochodem, kiedy będziecie mieli na to ochotę. Po powrocie chćą, żebyście się jak najszybciej pobrali i wiedli odtąd szczęśliwe życie.

Annie i Rice wyruszyli do domu starym niebieskim fordem, z niemowlęcymi buciukami dyndającymi na wstecznym lusterku, ze stertą komiksów, piętzącą się na tylnym siedzeniu. Jechali głównymi autostradami. Nikt ich już nie szukał.

Mieli włączone radio, wszystkie dzienniki przekazywały radosną wiadomość: Annie i Rice mają się pobrać w najbliższym czasie. Prawdziwa miłość odniosła jeszcze jedno oszałamiające zwycięstwo.

Nim kochankowie dotarli do granicy Indiany, usłyszeli nowiny o swym nieopisanym szczęściu kilkanaście razy. Zaczynali przypominać sprzedawców w domu towarowym w okresie świąt Bożego Narodzenia, zdenerwowanych i wyczerpanych bezustannymi przyływami wielkiej radości.

Rice wyłączył radio. Annie westchnęła mimo woli z ulgą. Nie rozmawiali wiele w drodze do domu. Nie bardzo było o czym rozmawiać, wszystko zostało ustalone, jak to się mówi w interesach — sfinalizowane.

Annie i Rice utknęli w korku ulicznym w Indianapolis i raz za razem stawali pod czerwonymi światłami obok samochodu, w którym głośno płakało niemowlę. Rodzice dziecka byli bardzo młodzi. Żona besztiała męża, a on sprawiał wrażenie, jak gdyby za chwilę miał wyrwać kierownicę „z korzeniami” i rozwalić nią żonie czaszkę.

Rice włączył z powrotem radio, w którym nadawano właśnie piosenkę:

Plują sobie teraz w brodę ci,
Którzy wątpili w naszą miłość.
Ty masz mnie, ja mam ciebie
Teraz już na zawsze, na wieczność.

Było to jakieś szaleństwo, Annie miała nerwy napięte jak struny, Rice zmieniał bez przerwy stacje. Każda z nich trąbiła albo o zwycięstwie, albo o prześladowaniu młodzieńczej miłości. O tym właśnie trajkotało radio, gdy stary niebieski ford zatrzymał się przed wjazdem do rezydencji gubernatora.

Na powitanie młodych wyszedł tylko policjant strzegący wejścia.

— Moje gratulacje, proszę pana... proszę pani — powiedział obojętnie.

— Dziękuję — odrzekł Rice. Wyłączył silnik i radio umilkło. Ostatnie złudzenie przygody prysnęło, gdy silnik zamarł, a wraz z nim paplanina prezenterów.

Policjant otworzył ze skrzypem drzwi od strony Annie. Z samochodu wypadły dwie galaretki, jedna zielona, druga biała, z przyklejonymi do nich skrawkami gazy.

— Rice — powiedziała Annie.

— Słucham? — spytał.

— Przepraszam, nie uda mi się przez to przebrnąć — jęknęła.

Rice wydał z siebie dźwięk przypominający daleki gwizd pociągu towarowego. Był wdzięczny za to, że go uwolniła.

— Chcielibyśmy porozmawiać chwilę na osobności — powiedziała Annie do policjanta.

— Bardzo proszę — odrzekł policjant, wycofując się.

— Udałoby się nam? — spytała Annie Rice'a.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Przez krótki czas.

— Wiesz co?

— Co takiego?

— Jesteśmy zbyt młodzi — powiedziała Annie.

— Nie zbyt młodzi, by się kochać — zaprotestował Rice.

— Nie — zgodziła się Annie — nie jesteśmy zbyt młodzi, by się kochać, ale zbyt młodzi na wszystko inne, co się wiąże z miłością. — Pocałowała go. — Żegnaj, Rice, Kocham cię.

— Kocham cię — powtórzył jak echo.

Annie wysiadła, Rice odjechał.

Gdy włączył silnik, odezwało się znów radio. Grało teraz starą piosenkę, której słowa brzmiały:

Nadszedł czas słodkiego pożegnania

Tego, co istnieć nie miało szans,

Obietnic nie do dotrzymania,

Czaru, który łączył nas.

Nie próbujmy dowieść naszej miłości,

Bo narazimy ją na szwank,

Niech dotrwa bezpiecznie wieczności,

Żegnaj, nieznajoma, bye, bye.

2BR02B

Świat był absolutnie doskonały.

Nie było więzień, slumsów, szpitali psychiatrycznych, kalek, nędzy, wojen.

Zwalczono wszystkie choroby. Podobnie starość. Śmierć, wyjąwszy wypadki, była przygodą dla ochotników. Liczba mieszkańców Stanów Zjednoczonych została ustabilizowana na poziomie czterdziestu milionów.

Pewnego pogodnego poranka, w szpitalu położniczym w Chicago, pewien mężczyzna o nazwisku Edward K. Wehling jr. czekał, aż żona urodzi mu dziecko. Był jedynym oczekującym. Niewiele dzieci rodziło się codziennie.

Wehling miał pięćdziesiąt sześć lat. Był niemal młodzieńcem w społeczeństwie, w którym średnia wieku wynosiła sto dwadzieścia dziewięć lat.

Prześwietlenie wykazało, że jego żona urodzi trojaczki. Miały być pierwszymi dziećmi Wehlinga.

Młody Wehling siedział zgarbiony w fotelu, kryjąc twarz w dłoniach. Był taki wymięty, taki nieruchomy i taki bezbarwny, że praktycznie zlewał się z otoczeniem. Jego kamuflaż był doskonały, ponieważ w poczekalni panowała również atmosfera nieporządku i zniechęcenia. Fotele i popielniczki były odsunięte od ścian. Podłogę zakrywała ochronna folia zachlapaną farbami.

Pokój był odnawiany. Remontowano go dla uczczenia pamięci mężczyzny, który zgłosił się na ochotnika, by umrzeć.

Sardoniczny starszy mężczyzna, liczący sobie około dwustu lat, siedział na drabince, malując fresk, który mu się nie podobał. W dawnych latach, gdy ludzie starzeli się w sposób widoczny, dawano by mu pewnie ze trzydzieści pięć lat. Na tyle dotknęło go starzenie się, zanim wynaleziono na nie lekarstwo.

Malowidło ścienne, nad którym pracował, przedstawiało bardzo uporządkowany ogród. Mężczyźni i kobiety w bieli, lekarze i pielęgniarki, spulchniali ziemię, sadzili rozmaite rośliny, niszczyli sprayem szkodniki, rozsiewali nawozy. Kobiety i mężczyźni w fioletowych kombinezonach wrywali chwasty, wycinali stare, chore rośliny, grabili liście, nieśli śmieci do spalarni.

Nigdy, nigdy, nigdy — nawet w średniowiecznej Holandii lub starożytnej Japonii — ogród nie był bardziej tradycyjny, lepiej uprawiany. Każda roślina miała ilastą glebę, światło, wodę, powietrze oraz odpowiednie odżywianie.

Szpitalnym korytarzem szedł sanitariusz, nucąc cicho pod nosem popularną piosenkę:

Jeśli nie chcesz mych pocałunków,
Oto co zrobię, kochanie:
Pójdę do dziewczyny w fioletowym mundurku
I pocałuję ją na pożegnanie.
Jeśli nie chcesz mojej miłości,
Po co mam na próżno zajmować miejsce?
Porzucę tę starą kolebkę ludzkości,
Ustąpię miejsca słodkiemu maleństwu.

Sanitariusz popatrzył na malowidło oraz artystę.

— To takie realistyczne — powiedział — że potrafię sobie właściwie wyobrazić, że jestem w środku.

— A czemu uważasz, że nie jesteś? — spytał malarz. Uśmiechnął się ironicznie. — Wiesz przecież, że ten fresk nosi tytuł „Szczęśliwy ogród życia”.

— To zasługa doktora Hitza — powiedział sanitariusz.

Miał na myśli jedną z męskich postaci w bieli, która przedstawiała doktora Benjamina Hitza, głównego położnika szpitala. Hitz był olśniewająco przystojnym mężczyzną.

— Nadal jeszcze pozostało wiele twarzy do wypełnienia — rzekł sanitariusz. Chodziło mu o to, że twarze wielu postaci na malowidle są puste. Miały być wypełnione portretami ważnych osobistości albo ze szpitala, albo chicagowskiej filii Federalnego Biura Eliminacji.

— Umiejętność malowania takich obrazów musi sprawiać wiele przyjemności — zauważył sanitariusz.

Twarz artysty wykrzywił grymas pogardy.

— Myślisz, że jestem dumny z tej szarości? Myślisz, że według mnie tak właśnie wygląda życie?

— A jak pana zdaniem wygląda?

Malarz pokazał na brudną folię.

— To doskonały przykład — powiedział. — Opraw to w ramy, a uzyskasz obraz znacznie prawdziwszy od mojego.

— Jest pan starym ponurakiem, prawda? — spytał sanitariusz.

— Czy to zbrodnia?

— Jeśli ten świat tak się panu nie podoba, dziadku... — Sanitariusz zakończył swą myśl numerem telefonu, jaki powinni wykręcić ludzie, którzy nie chcą dłużej żyć. Zero w tym numerze zastąpił słowem „not”.

A był to numer 2BR02B.

Należał do instytucji, której nadawano wymyślne przezwiska, między innymi: „Automat”, „Ptasi raj”, „Fabryka konserw”, „Łapka na myszy”, „Odwszawialnia”, „Lekko, łatwo i przyjemnie”, „Żegnaj, mamó”, „Szczęśliwy chuligan”, „Całuj mnie szybko”, „Szczęściar Pierre”, „Dezynfekująca kąpiel dla owiec”, „Nie płacz więcej” i „Czemu się martwisz?”.

„To be or not to be” było numerem telefonu miejskiej komory gazowej w Federalnym Biurze Eliminacji.

W odpowiedzi malarz zagrał na nosie.

— Kiedy dojdę do wniosku, że czas odejść — oświadczył — z pewnością nie skorzystam z usług „Fabryki konserw”.

— Aha, załatwisz to we własnym zakresie, co? — rzekł sanitariusz. — Fatalna sprawa. Nie liczysz się ani trochę z ludźmi, którzy muszą po tobie sprzątać?

Malarz uczynił nieprzyzwoity gest, który miał wyrażać jego brak zainteresowania troskami ludzi, którzy go przeżyją.

— Świat poradzi sobie ze znacznie większym bałaganem — powiedział.

Sanitariusz roześmiał się i odszedł.

Wehling, przyszły ojciec, wymamrotał coś, nie podnosząc głowy, po czym umilkł.

Prostacka, budząca grozę kobieta wparadowała na szpilkach do poczekalni. Jej buty, pończochy, płaszcz, torebka i furażerka były w kolorze fioletowym, który malarz nazwał „kolorem winogron w dniu Sądu Ostatecznego”.

Medalion na jej torbie był pieczęcią Wydziału Usług Federalnego Biura Eliminacji. Przedstawiał orła siedzącego na kołowrocie.

Kobieta miała dość bujne owłosienie na twarzy — a zwłaszcza wyraźny wąsik. Przedziwna sprawa, ale hostessom komór gazowych, bez względu na to, jak urocze i kobiece były, gdy je przyjmowano do pracy, w ciągu mniej więcej pięciu lat wyrastały wąsiki.

— Czy tutaj właśnie miałam przyjść? — spytała malarza.

— Wiele zależy od tego, w jakiej sprawie — odpowiedział. — Nie spodziewa się pani dziecka, prawda?

— Powiedziano mi, że mam pozować do jakiegoś obrazu — wyjaśniła. — Nazywam się Leora Duncan. — Czekala na jego reakcję.

— Leora rozwora — mruknął pod nosem.

— Słucham?

— Nie, nic nie mówiłem.

— To naprawdę piękny obraz — powiedziała. — Wygląda jak niebo albo coś w tym rodzaju.

— Coś w tym rodzaju — odrzekł malarz. Wyjął z kieszeni kitla kartkę z wykazem nazwisk. — Duncan, Duncan, Duncan — powtarzał, przeglądając listę. — Tak, mam tu panią. Ma pani prawo do tego, by ją uwiecznić. Widzi pani jakąś postać bez twarzy, której chciałaby pani podarować swoją twarz? Zostało jeszcze kilka do wyboru.

Przyglądała się freskowi.

— Rany — powiedziała — wszystkie są dla mnie jednakowe. Nie mam zielonego pojęcia o sztuce.

— Ciała jak ciała, co? — mruknął. — No, dobra. Jako magister sztuk pięknych, polecam to ciało. — Pokazał kobiecą postać bez twarzy, niosącą suche łydygi do spalarni.

— Cóż — rzekła Leora Duncan — to raczej ludzie, zajmujący się usuwaniem. Ja nie mam z tym nic wspólnego, pracuję w obsłudze.

Malarz klasnął w dłonie z udawanym zachwytem.

— Mówi pani, że nie zna się na sztuce, a w chwilę później udowadnia, że wie o niej więcej ode mnie! Oczywiście, że hostessa nie może wynosić snopków! Odpowiedniejsze będzie dla pani ciachanie, przycinanie. — Wskazał na postać obcinającą suchą gałąź na jabłoni. — A co powie pani na nią? — spytał. — Podoba się pani?

— Mój Boże... — powiedziała z pokorą, czerwieniąc się jak piwonia. — To... to przecież doktor Hitz. Mam być tuż obok niego?

— Czy to panią denerwuje?

— Ależ skąd! — wykrzyknęła. — To dla mnie wielki zaszczyt.

— Ach, podziwia go pani?

— A kto go nie podziwia? — zauważyła, wpatrując się z uwielbieniem w portret Hitza. Był to portret opalonego, siwowłosego, wszechmocnego Zeusa w wieku dwustu czterdziestu lat. — Kto go nie podziwia? — powtórzyła. — To on stworzył pierwszą komorę gazową w Chicago.

— Z najwyższą przyjemnością umieszczę panią obok niego na wieczne czasy — rzekł malarz. — Odcinanie konarów — to wydaje się pani absolutnie stosowne?

— Mniej więcej tym się zajmuję — odpowiedziała. Była to nader skromna odpowiedź. Jej zadaniem było komfortowe wyprawianie ludzi na tamten świat.

Gdy Leora Duncan pozowała do portretu, do poczekalni wszedł energicznym krokiem sam doktor Hitz. Miał ponad dwa metry wzrostu, tryskał radością życia, emanowało z niego poczucie własnej ważności, wielkich osiągnięć.

— Ach, panna Duncan! — zawołał. — Panno Duncan, co pani tutaj robi? Tutaj ludzie nie odchodzą z tego świata, lecz nań przychodzą! — zażartował.

— Będziemy razem na tym samym obrazie — powiedziała nieśmiało.

— Świetnie! — rzekł doktor Hitz. — Czyż to nie jest kapitalny obraz?

— To dla mnie naprawdę wielki zaszczyt, że jestem na nim obok pana — odpowiedziała.

— Ja również jestem zaszczycony, że znalazłem się w pani towarzystwie. Bez takich kobiet jak pani ten cudowny świat, w którym żyjemy, nie byłby możliwy.

Zasalutował jej i podszedł do drzwi prowadzących do sali porodowej.

— Niech pani zgadnie, kto się właśnie urodził — powiedział.

— Nie mam pojęcia — odparła.

— Trojaczki!

— Trojaczki! — powtórzyła jak echo. Wiedziała doskonale, jakie są prawne implikacje tego faktu.

Prawo stanowiło, że żadne nowo narodzone dziecko nie może przeżyć, jeśli rodzice nie znajdą kogoś, kto umrze na ochotnika. Jeśli miały przeżyć trojaczki, potrzebni byli trzej ochotnicy.

— Czy rodzice znaleźli trzech ochotników? — spytała Leora Duncan.

— Słyszałem ostatnio — odrzekł doktor Hitz — że mają jednego i próbują wygrzebać spod ziemi pozostałych dwóch.

— Nie sądzę, by się im to udało — powiedziała. — Nikt nie zgłosił trzech osób. Do dziś były wyłącznie pojedyncze zgłoszenia, chyba że ktoś zadzwonił po moim wyjściu. Jak nazwisko?

— Wehling — odpowiedział siedzący w poczekalni mężczyzna. Miał zaczerwienione oczy i odzież w nieładzie. — Nazwisko przyszłego szczęśliwego ojca brzmi Edward K. Wehling.

Podniósł prawą dłoń, spojrział na plamę na ścianie i roześmiał się ochryple, z udręką.

— Obecny — powiedział.

— Och, panie Wehling — rzekł doktor Hitz. — Nie zauważyłem pana.

— Niewidzialny człowiek — wyszeptał Wehling.

— Przed chwilą dzwonili do mnie, że urodziły się panu trojaczki — powiedział doktor Hitz. — Czują się dobrze, matka również. Właśnie idę je zobaczyć.

— Hura — rzekł obojętnie Wehling.

— Nie słyhać, żeby był pan bardzo szczęśliwy — zauważył doktor Hitz.

— Jaki mężczyzna na moim miejscu byłby szczęśliwy? — spytał Wehling. Rozłożył bezradnie ręce. — Pozostało mi jedynie wybrać, które z trojaczek będzie żyło, następnie dostarczyć dziadka ze strony matki do „Szczęśliwego Chuligana” i wrócić tu z pokwitowaniem.

Doktor Hitz pochylił się groźnie nad Wehlingiem.

— Nie wierzy pan w regulację liczby ludności, panie Wehling? — spytał.

— Uważam, że jest bardzo ostra — odrzekł Wehling.

— Wolałby pan wrócić do dawnych dobrych czasów, gdy ludność Ziemi osiągnęła liczbę dwudziestu miliardów, z perspektywą szybkiego osiągnięcia czterdziestu, a następnie osiemdziesięciu i stu sześćdziesięciu miliardów? Wie pan, co to jest pestka, panie Wehling?

— Nie — odparł ponuro Wehling.

— Pestka, panie Wehling, to jedno z drobniutkich ziarenek w mięszu jeżyny — wyjaśnił doktor Hitz. — Gdyby nie regulacja liczby ludności, ludzkość byłaby teraz stłoczona na powierzchni tej starej planety jak pestki w jeżynie! Niech pan tylko pomyśli!

Wehling nie odrywał wzroku od plamy na ścianie.

— W dwutysięcznym roku — mówił dalej Hitz — zanim uczeni ustanowili i zaczęli rygorystycznie stosować prawo, brakowało wszędzie wody do picia, a pożywienie stanowiły wyłącznie wodorosty — a mimo to ludzie trwali uparcie przy swoim prawie do rozmnażania się jak króliki. Jak również prawie do tego, by — jeśli to możliwe — żyć wiecznie.

— Chcę mieć te dzieciaki — powiedział Wehling. — Chcę mieć całą trójkę.

— Oczywiście, że pan chce — rzekł doktor Hitz. — Jest pan tylko człowiekiem.

— Nie chcę też, żeby umarł mój dziadek — dodał Wehling.

— Nikt naprawdę nie jest szczęśliwy, gdy musi zaprowadzić kogoś z rodziny do „Łapki na myszy” — pokiwał głową ze współczuciem doktor Hitz.

— Wolałabym, żeby ludzie tak tego nie nazywali — powiedziała Leora Duncan.

— Słucham? — zdziwił się doktor Hitz.

— Wolałabym, żeby ludzie nie nazywali tego „Łapką na myszy” czy „Odwszawialnią” — powtórzyła. — To robi bardzo złe wrażenie.

— Ma pani absolutną słuszność — zgodził się doktor Hitz. — Proszę mi wybaczyć. — Poprawił się, wymieniając oficjalną nazwę miejskich komór gazowych, która nigdy nie była używana w rozmowach. — Powinienem był powiedzieć „Laboratorium etycznych samobójstw”.

— To brzmi znacznie lepiej — przyznała Leora Duncan.

— Pańskie dziecko — którekolwiek postanowi pan zatrzymać, panie Wehling — rzekł doktor Hitz — będzie żyło na szczęśliwej, przestronnej, czystej, bogatej planecie, a wszystko to dzięki regulacji liczby ludności. W ogrodzie podobnym do tego na fresku. — Pokręcił głową. — Dwa wieki temu, gdy byłem młodym mężczyzną, straszne było, że nikt nie myślał, iż może przeżyć jeszcze dwadzieścia lat. Teraz stoją przed nami otworem stulecia pokoju i zasobności, gdzie tylko zechce sięgnąć nasza wyobraźnia.

Uśmiechnął się promiennie.

Jego uśmiech zbladł, gdy zobaczył rewolwer w dłoni Wehlinga.

Wehling zastrzelił doktora Hitza.

— Jest miejsce dla jednego — kogoś wspaniałego — rzekł.

Następnie zastrzelił Leorę Duncan.

— To tylko śmierć — powiedział do niej, gdy osuwała się na podłogę. — Proszę! Jest już miejsce dla dwojga.

Po czym sam się zastrzelił, ustępując miejsca swemu trzeciemu dziecku.

Nikt nie nadbiegł. Najwyraźniej nikt nie słyszał strzałów. Malarz, siedzący na szczycie drabiny, spoglądał w zamyśleniu na przykrą scenę. Zastanawiał się nad smutną zagadką życia, które wymaga, by człowiek się urodził, a potem był płodny... rozmnażał się i żył jak najdłużej — a robił to wszystko na bardzo małej planecie, która musi trwać wiecznie.

Wszystkie odpowiedzi, które mu się nasuwały, były ponure. Bardziej nawet ponure od „Łapki na myszy”, „Szczęśliwego chuligana” czy „Fabryki konserw”. Pomyślał o wojnie. Pomyślał o zarazie. Pomyślał o głodzie.

Wiedział, że nic więcej już nigdy nie namaluje. Pozwolił, by pędzel spadł na folię na podłodze. A następnie uznał, że ma dość szczęśliwego ogrodu życia, i zszedł powoli z drabiny.

Wyjął rewolwer z dłoni Wehlinga, naprawdę zamierzając się zastrzelić. Zabrakło mu jednak odwagi.

Zauważył w rogu sali automat telefoniczny. Podszedł do niego i wykręcił dobrze zapamiętany numer: 2BR02B.

— Federalne Biuro Eliminacji — odezwał się ciepły głos hostessy.

— Jak szybko mógłbym umówić się na spotkanie? — spytał, starannie wymawiając słowa.

— Prawdopodobnie na dzisiejsze popołudnie, w nieco późniejszych godzinach, proszę pana — odpowiedziała hostessa. — Może nawet wcześniej, jeśli ktoś zrezygnuje.

— Dobrze — rzekł malarz — proszę mnie łaskawie zapisać. — I podał jej swoje nazwisko, literując je.

— Dziękuję panu — powiedziała hostessa. — Dziękuję panu pańskie miasto, pański kraj, pańska planeta. Ale najgłębsze podziękowania składają panu przyszłe pokolenia.

Anonimowi kochankowie

Herb White prowadzi księgowość dla różnych firm w naszym mieście i wypełnia praktycznie dla wszystkich zeznania podatkowe. Nasze miasto to North Crawford, w stanie New Hampshire. Herb nigdy nie ukończył studiów, które bez wątplenia szłyby mu świetnie. Nauczył się prowadzenia ksiąg rachunkowych oraz spraw podatkowych korespondencyjnie. Herb walczył w Korei, wrócił do domu jako bohater. Ożenił się z Sheilą Hinckley, bardzo ładną, inteligentną kobietą, o której poślubieniu marzyli właściwie wszyscy mężczyźni mniej więcej w moim wieku. To znaczy, obecnie mamy trzydzieści trzy, trzydzieści cztery i trzydzieści pięć lat.

W dniu ślubu Sheili mieliśmy dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa i dwadzieścia trzy lata. W noc poślubną Sheili poszliśmy wszyscy do gospody w North Crawford i upiliśmy się. Pewien nieszczęsny facet wdrapał się na bar i zaczął przemawiać:

— Panowie, przyjaciele, bracia, jestem pewien, że wszyscy życzymy nowożeńcom samego tylko szczęścia, ale muszą jednocześnie przyznać, że ból jątrzący nasze serca nigdy nie minie. Proponuję więc, żebyśmy powołali do życia bractwo wiecznych cierpiętników i pomagali sobie nawzajem na wszelkie możliwe sposoby, choć Bóg świadkiem, że niewiele da się zrobić w przypadku takiego cierpienia jak nasze.

Zebrani uznali to za świetny pomysł.

Hay Boyden, który później został przedsiębiorcą zajmującym się przeprowadzkami i wyburzaniem starych budynków, powiedział, że powinniśmy nazwać się Bractwem Facetów, Którzy Byli Zbyt Tępi, By Zrozumieć, Że Sheila Hinckley Może Chcieć Zostać Gospodynią Domową. Hay miał pijackie, skomplikowane powody, by zaproponować tę nazwę. Sheila była najzdolniejszą dziewczyną w szkole średniej i paliła się do studiów na Uniwersytecie w Vermont. Wszyscy przyjęliśmy założenie, że umizgi nie mają sensu, dopóki nie skończy college'u.

A tu nagle, w połowie trzeciego roku, przerwała studia i wyszła za mąż za Herba.

— Bracie Boyden — powiedział pijany facet przy barze — sądzę, że jest to godna podziwu propozycja. Ale z całą pokorą proponuję inną nazwę dla naszej organizacji, nazwę pod każdym względem gorszą od twojej, tyle że tysiąc razy łatwiejszą do wymówienia. Panowie, przyjaciele, bracia, proponuję, żebyśmy nazwali siebie „Anonimowymi kochankami”.

Wniosek przeszedł. Pijanym facetem przy barze byłem ja.

I jak wiele innych szaleństw w małych staromodnych miasteczkach, „Anonimowi kochankowie” przetrwali. Ilekroć kilku z nas, ze starej paczki, zbiera się razem, ktoś obowiązkowo mówi: „Anonimowi kochankowie, otwieramy zebranie”. Stereotypowy żart w mieście nawołuje wszystkich, którym złamano ostatnio serce, żeby przyłączyli się do bractwa. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nikt w „Anonimowych kochankach” nie usycha obecnie z tęsknoty za Sheilą. Przeważnie mamy już własne Sheile. Myślmy o Sheili więcej niż o naszych innych dawnych dziewczynach prawdopodobnie z powodu tych zwariowanych „Anonimowych kochanków”. Ale jak powiedział kiedyś hydraulik, Will Battola: „Sheila Hinckley jest teraz białościaną zapasową oponą w thunderbirdzie moich marzeń”.

Potem moja kochana żona zaserwowała mi paskudną nowinę wraz z poobiednią kawą i makaronikami. Powiedziała, że Herb i Sheila przestali ze sobą rozmawiać.

— I po co opowiadasz takie idiotyczne plotki? — spytałem.

— Myślałam, że to mój obowiązek wobec ciebie — odrzekła — skoro jesteś prezesem „Anonimowych kochanków”.

— Byłem jedynie obecny przy założeniu bractwa — zaprotestowałem — i jak dobrze wiesz, było to wiele, wiele lat temu.

— Cóż, sądzę, że możesz zacząć je rozwiązywać — powiedziała.

— Posłuchaj, niewiele jest życiowych prawidłowości, które przetrwały przez wieki, ale jedna z pewnością tak: ludzie, którzy zastanawiają się nad rozwodem, nie kupują podwójnych okien zimowych w aluminiowych ramach z siatkami do piętnastopokojowego domu. — Tym się właśnie zajmuję — sprzedają podwójnych okien zimowych w aluminiowych ramach z siatkami, niekiedy również armatury łazienkowej. Faktem było, że w ostatnich dniach Herb kupił trzydzieści siedem pierwszorzędnych okien Fleetwooda do piętnastopokojowej arki, którą nazywa domem.

— Rodziny, które nawet nie jadają razem, nie przetrwają długo — zawyrokowała moja żona.

— Co ty możesz wiedzieć o ich nawykach żywieniowych? — zainteresowałem się.

— Nic poza tym, czego dowiedziałam się przez przypadek — odpowiedziała. — Zbierałam wczoraj pieniądze na Fundusz Serc. — Wczoraj była niedziela. — Tak się złożyło, że trafiłam do nich w porze niedzielnego obiadu. Sheila i dziewczynki siedziały przy stole, jedząc obiad, ale Herba tam nie było.

— Prawdopodobnie załatwił jakieś interesy — zbagatelizowałem sprawę.

— Pomyślałam to samo, ale idąc do następnego domu, przeszłam przez ich starą przybudówkę — tam, gdzie trzymają drzewo na opał i narzędzia ogrodowe.

— I co?

— I Herb siedział tam na kartonie, jedząc lunch postawiony na wyższym pudle. Nigdy nie widziałam kogoś tak smutnego.

Nazajutrz Kennard Pelk, członek naszego bractwa i komendant policji, wszedł do mojego salonu sprzedaży i zaczął się uskarżać na okna, które kupił okazyjnie od firmy, która zwijała interes.

— Szyby są porysowane, a siatka zardzewiała — powiedział — aluminium zaś pokryte czymś, co wygląda jak niebieski cukier.

— To doprawdy wstyd — zauważyłem.

— Zwracam się do ciebie, bo nie mam pojęcia, gdzie indziej mogę liczyć na serwis.

— Czy nie możesz, przy twoich koneksjach — spytałem — dowiedzieć się, do którego więzienia wsadzają producentów?

Zgodziłem się w końcu przyjść do niego i zrobić, co w mojej mocy, pod warunkiem jednak, że zrozumie, iż nie reprezentuję całego przemysłu.

— Jedyne okna, za które biorę odpowiedzialność — powiedziałem — to te, które sprzedaję.

Potem opowiedział mi o dziwnej rzeczy, którą widział ubiegłej nocy w starej przybudówce Herba White'a. Kennard wracał do domu patrolowym radiowozem policyjnym około drugiej w nocy, gdy nagle zauważył blask świecy w przybudówce.

— Chodzi mi o to, że ten stary dom ma piętnaście pokoi, nie licząc przybudówki — wyjaśnił Kennard — i zajmuje go rodzina składająca się z czterech osób — no, pięciu, wliczając w to psa. Nie mogłem zrozumieć, po co ktoś, zwłaszcza o tej porze, miałby siedzieć w przybudówce. Pomyślałem, że może ktoś się włamał.

— Jediną rzeczą, którą warto ukraść w tym domu, są okna Fleetwooda.

— Tak czy owak, moim obowiązkiem było sprawdzić, co się dzieje — rzekł Kennard. — Podkrałem się do okna i zajrzałem do środka. I co zobaczyłem? Herba leżącego na materacu na podłodze. Obok niego stała butelka whisky i szklanka, w drugiej butelce była zatknięta świeca, przy której czytał jakieś czasopismo.

— Majstersztyk policyjnej roboty — powiedziałem.

— Dostrzegł mnie za oknem, toteż podszedłem bliżej, żeby zobaczyć, że to ja. Okno było otwarte, powiedziałem więc: „Cześć — zastanawiałem się właśnie, kto tu może być”, a on na to: „Robinson Crusoe”.

— Robinson Crusoe? — zdziwiłem się.

— Tak. Cały czas ironizował — odrzekł Kennard. — Spytał mnie, czy reszta bractwa „Anonimowych kochanków” jest ze mną. Odpowiedziałem, że nie. Wtedy spytał znowu, czy dom nadal jest twierdzą człowieka, o ile dotyczy to policji, czy ostatnio coś się zmieniło.

— I co mu odpowiedziałeś?

— A co miałem odpowiedzieć? Zapiąłem kaburę i pojechałem do domu.

Ledwie Kennard zdążył wyjść, w moim salonie sprzedaży pojawił się Herb White we własnej osobie. Wyglądał na tak zdrowego, szczęśliwego i ożywionego, jak czasem wygląda człowiek, który przeszedł obustronne zapalenie płuc.

— Chcę kupić jeszcze trzy okna Fleetwooda — oświadczył.

— Te okna są z pewnością produktem, który może wzbudzić ogólny entuzjazm — powiedziałem — ale przekraczasz chyba granice rozsądku. Masz w każdym pokoju okna Fleetwooda.

— Chcę zamontować je w przybudówce — odrzekł.

— Dobrze się czujesz, Herb? — spytałem. — Nie masz nawet mebli w połowie pokojów, które już zabezpieczyliśmy przed silnymi wiatrami. Poza tym wyglądasz, jakbyś miał gorączkę.

— Właśnie dokonałem gruntownego podsumowania mojego życia, to wszystko. Robisz ze mną interes czy nie?

— Interes musi być oparty na zdrowym rozsądku — odpowiedziałem — i staram się tego trzymać. Założę się, że w twojej starej przybudówce nie robiło się niczego od pięćdziesięciu lat. Oszalowanie ścian jest obluzowane, nie ma parapetów, wiatr gwizdże przez szpary. Równie dobrze mógłbyś zamontować podwójne okna w dziurawym serze.

— Właśnie odnawiam przybudówkę — wyjaśnił.

— Czy Sheila spodziewa się dziecka?

Spojrzał na mnie, mrużąc powieki.

— Mam szczerą nadzieję, że nie — odparł — przez wzgląd na nią, na mnie oraz na dziecko.

Jadłem tego dnia lunch w drugistorze, podobnie jak przynajmniej połowa członków bractwa „Anonimowi kochankowie”. Gdy usiadłem, Selma Deal spytała zza lady:

— Cóż, wielki kochanku, macie teraz kworum. Co zamierzacie przegłosować?

Hay Boyden, przedsiębiorca zajmujący się przeprowadzkami i wyburzaniem starych domów, popatrzył na mnie.

— Jakiś nowy interes, panie prezesie?

— Chciałbym, żebyście przestali nazywać mnie prezesem — powiedziałem. — Moje małżeństwo nigdy nie było stuprocentowo idealne, a to jeszcze dolewa oliwy do ognia.

— Skoro już mowa o idealnych małżeństwach — rzekł hydraulik, Will Battola — to czy przypadkiem nie sprzedałeś znowu ostatnio okien Herbowi White’owi?

— Skąd wiesz?

— Tak przypuszczałem — odpowiedział. — Porównywaliśmy notatki i okazało się, że Herb dał każdemu członkowi „Anonimowych kochanków” zamówienia na różne prace remontowe.

— Zbieg okoliczności — powiedziałem.

— Uważałbym tak samo — rzekł Will — gdyby udało mi się znaleźć kogokolwiek innego poza członkami bractwa, kto dostał jakieś zamówienie.

Oszacowaliśmy, że Herb zamierza włożyć w przybudówkę około sześciu tysięcy dolarów. To mnóstwo pieniędzy do wskrobania dla człowieka w jego sytuacji.

— Przeróbka nie kosztowałaby więcej niż trzy tysiące dolarów, gdyby Herb nie chciał zainstalować w przybudówce kuchni i łazienki — rzekł Will. — Ma już przecież i kuchnię, i łazienkę trzy metry od drzwi dzielących przybudówkę i dom.

— Zgodnie z planami, które Herb dał mi dziś rano — powiedział Al Tedler, stolarz — między przybudówką a domem nie będzie żadnych drzwi, lecz podwójna ściana z syntetycznych desek, wzmocniona słupkami i wypełniona w środku wełną mineralną.

— Po co ma być podwójna? — spytałem.

— Herb chce, żeby była dźwiękoszczelna.

— To w jaki sposób będzie się przechodziło z domu do przybudówki? — zainteresowałem się.

— Trzeba będzie wyjść na zewnątrz, przejść około dwudziestu metrów trawnikiem i wejść do środka przez frontowe drzwi przybudówki — odpowiedział Al.

— Dosyć przykra podróż w mroźną zimową noc — zauważyłem. — Niewiele osób zdecyduje się ją odbyć na bosaka.

I właśnie wtedy weszła Sheila Hinckley White.

Często słyszy się, jak ktoś mówi, że pani Taka-a-taka jest świetnie zakonserwowana. W dziewięciu przypadkach na dziesięć pani Taka-a-taka okazuje się chudą kobietą, z ustami wymalowanymi na różowo, która wygląda, jak gdyby wykąpała się w lanolinie. Ale Sheila naprawdę wygląda rewelacyjnie. Tamtego dnia w drugstorze nie dałbym jej więcej niż dwadzieścia dwa lata.

— Na Boga — rzekł Al Tedler — gdybym musiał gotować dla siebie, nie fundowałbym sobie dwóch kuchni.

Zwykle, gdy Sheila wchodziła do pomieszczenia, w którym znajdowało się kilku członków naszego bractwa, robiliśmy trochę zamieszania, żeby zwrócić jej uwagę, ona zaś rewanżowała się w równie idiotyczny sposób — poruszała brwiami lub mrugała do nas. Było to kompletnie bez znaczenia.

Ale tamtego dnia w drugstorze nie próbowaliśmy przyciągnąć jej spojrzenia, a ona udawała, że nas nie widzi. Była bardzo poważna. Miała ze sobą dużą czerwoną książkę wielkości pustaka. Zwróciła ją do wypożyczalni znajdującej się w sklepie, zapłaciła i wyszła.

— Ciekawe, o czym jest ta książka — powiedział Hay.

— Ma czerwoną okładkę — spekulowałem — więc zapewne dotyczy produkcji wozów strażackich.

Był to żart, który sięgał daleko wstecz — a dokładnie do tego, co Sheila napisała pod swoim zdjęciem w roczniku szkolnym po ukończeniu liceum. Każdy miał przewidzieć, jaki rodzaj pracy podejmie w przyszłości. Sheila napisała, że odkryje nową planetę albo zostanie pierwszą kobietą sędzią Sądu Najwyższego, ewentualnie prezesem firmy produkującej wozy strażackie.

Oczywiście żartowała, ale wszyscy — prawdopodobnie łącznie z samą Sheilą — byli przekonani, że zostanie, kimkolwiek sobie postanowi.

Pamiętam, że na jej ślubie z Herbem spytałem ją:

— No i co teraz będzie z produkcją wozów strażackich?

— Będzie musiała kuleć beze mnie — odpowiedziała Sheila, śmiejąc się. — Podejmuję pracę tysiąc razy ważniejszą — będę zajmowała się moim mężczyzną, żeby był zdrowy i szczęśliwy, i wychowywała jego dzieci.

— A co z miejscem, które zarezerwowali dla ciebie w Sądzie Najwyższym?

— Najszczęśliwszym miejscem dla mnie oraz dla każdej kobiety wartej miana prawdziwej kobiety — odrzekła — jest przytulna kuchnia z gromadką dzieci u stóp.

— Pozwolisz, żeby ktoś inny odkrył nową planetę, Sheilo?

— Planety to martwe kamienie — powiedziała Sheila. Ja chcę odkrywać mojego męża, moje dzieci, a przez nich siebie. Niech kto inny uczy się, czego tylko może, z kamieni.

Gdy Sheila wyszła z drugstore'u, podszedłem do wypożyczalni, żeby sprawdzić, o czym traktuje czerwona książka. Była napisana przez dyrektora pewnego żeńskiego college'u. Nosiła tytuł: Kobieta, zmarnowana płeć lub oszukańczy charakter instytucji gospodyni domowej.

Zajrzałem do spisu treści i przeczytałem tytuły pięciu części:

I. 5 000 000 p.n.e.-1865 n.e., Instynktownie niewolnicza płeć

II. 1866-1919, Płeć niewolnicza wzniesiona na piedestały

III. 1920-1945, Pozorna równość — od podfruwajki do robotnicy fabrycznej

IV. 1946-1963, Świadomie niewolnicza płeć, od balii z pieluchami do sputnika

V. Eksplozja i utopia

Reva Owley, kobieta, która sprzedaje kosmetyki i prowadzi wypożyczalnię, podeszła do mnie i spytała, czy może mi w czymś pomóc.

— Jasne — odrzekłem — może pani wrzucić ten śmieć do najbliższego rynsztoka.

— To bardzo popularna książka — powiedziała.

— Możliwe — rzekłem ze złością — whisky i wielostrzałowe karabiny cieszyły się wielkim powodzeniem u czerwonoskórych. Jeśli ten drugstore chce zrobić duże pieniądze, proszę wyłożyć na ladzie haszysz i heroinę dla nastolatków.

— Przeczytał pan tę książkę? — spytała.

— Tylko spis treści — odparłem.

— Przynajmniej otworzył pan książkę. To więcej, niż uczynił którykolwiek z członków „Anonimowych kochanków” przez ostatnie dziesięć lat.

— Chcę pani powiedzieć, że czytam bardzo dużo — powiedziałem.

— Nie wiedziałam, że napisano tyle książek o podwójnych oknach zimowych.
— Reva jest bardzo bystrą wdową.

— Czasami potrafi pani być bardzo nieuprzejma — wytknąłem jej.

— To dzięki książkom na temat tego, jaki bałagan zrobili ze świata mężczyźni — oświadczyła.

Skończyło się na tym, że przeczytałem to dzieło.

Cóż to była za książka! Przebrnięcie przez nią zajęło mi półtora tygodnia, a im dłużej czytałem, tym bardziej czułem się, jakbym miał na sobie barchanową bieliznę.

Pewnego razu Herb White wpadł do mojego salonu sprzedaży i przyłapał mnie na czytaniu jej.

— Widzę, że doskonalisz umysł — powiedział.

— Nie mam pojęcia, co mógłbym udoskonalić dzięki tej książce — odparłem.

— Przeczytałeś ją, prawda?

— Rzeczywiście, z dużą przyjemnością i satysfakcją — odrzekł. — W którym miejscu jesteś?

— Właśnie przegryzłem się przez najgorsze pięć milionów lat, w jakich można było żyć — powiedziałem. — I jakiś facet wreszcie zauważył, że być może sytuacja nie jest dla kobiet tak dobra, jak mogłaby być.

— Theodore Parker?

— Tak — potwierdziłem. Parker był kaznodzieją w Bostonie mniej więcej w okresie wojny domowej.

— Przeczytaj, co głosił — poprosił Herb.

Przeczytałem więc głośno:

— „Domowa rola kobiety nie wyczerpuje jej sił. Zmuszanie połowy rodzaju ludzkiego do zużywania energii jako gospodyni domowej, żony i matki jest potwornym marnotrawstwem najcenniejszego materiału, jaki Bóg kiedykolwiek stworzył”.

Herb słuchał mnie z zamkniętymi oczami. Gdy skończyłem, nadal ich nie otworzył.

— Czy rozumiesz, jak uderzyły mnie te słowa, wzięwszy pod uwagę, jaką mam żonę?

— No, cóż — powiedziałem — wszyscy wiemy, że coś cię trafiło, ale żaden z nas nie domyśla się co.

— Ta książka pałętała się w domu przez wiele tygodni — rzekł Herb. — Sheila ją czytała. Najpierw nie zwróciłem na nią uwagi. Potem któregoś wieczoru oglądaliśmy kanał drugi. — Kanał drugi to edukacyjna stacja telewizyjna w Bostonie. — Toczyła się dyskusja między profesorami pewnego college'u na temat różnych teorii narodzin systemu słonecznego. Ni stąd, ni zowąd Sheila wybuchnęła płaczem, powiedziała, że jej mózg zamienił się w papkę i nie ma już najmniejszego pojęcia o niczym.

Herb otworzył szeroko oczy.

— Nie potrafiłem jej pocieszyć. Położyła się spać. Książka leżała na stoliku obok fotela, w którym siedziała. Gdy ją podniosłem, otworzyła się na stronie, którą właśnie czytałeś.

— Herb — powiedziałem — to kompletnie nie moja sprawa, ale...

— To twoja sprawa — poprawił mnie. — Czyż nie jesteś prezesem „Anonimowych kochanków”?

— Chyba nie sądzisz poważnie, że coś takiego istnieje!

— Jeśli idzie o mnie — rzekł Herb — „Anonimowi kochankowie” są równie realni jak weterani wojenni. Jak potraktowałbyś klub, którego jedynym celem jest pilnowanie, żebyś traktował dobrze swoją żonę?

— Herb — przerwałem mu — daję ci słowo honoru...

Nie pozwolił mi dokończyć.

— Zdałem sobie sprawę teraz, po dziesięciu latach — powiedział — że zrujnowałem życie tej wspaniałej kobiety, przeze mnie zmarnowała całą swą inteligencję i talent... na co? — Wzruszył ramionami, rozłożył ręce. — Na prowadzenie domu małomiasteczkowemu księgowemu, któremu ledwie udało się skończyć szkołę średnią i który nigdy nie będzie nikim więcej niż w dniu swego ślubu.

Popukał się w czoło. Przypuszczam, że karał się w ten sposób, a może próbował zmusić swój mózg do sprawniejszego funkcjonowania.

— Dobra — powiedział — wzywam was wszystkich, anonimowych kochanków, do których mogę się zwrócić, żebyście pomogli mi to naprawić. Oczywiście nigdy nie uda mi się zrekompensować jej dziesięciu zmarnowanych lat. Gdy wyremontujemy przybudówkę, nie będę przynajmniej plątał się jej pod nogami, wymagając, żeby coś mi ugotowała, uszyła i zrobiła wszystkie inne rzeczy, których zwykle mąż oczekuje od żony. Będę miał swój mały dom — mówił dalej — i sam będę dla siebie w pewnym stopniu gospodynią domową. Kiedykolwiek Sheila zechce, może zapukać do moich drzwi i przekonać się, że nadal ją kocham. Może znowu zacząć studiować książki, zostać oceanografem czy kimkolwiek jej się spodoba. A jeśli będzie kiedykolwiek potrzebowała, żeby ktoś wykonał jakieś drobne prace w jej starym domu, jej sąsiad złota rączka — to znaczy ja — zawsze gotów będzie służyć pomocą.

Z bardzo ciężkim sercem udałem się tamtego popołudnia do domu Herba, by zmierzyć okna w przybudówce. Herb był w pracy, a bliźniaczki w szkole. Wydawało mi się, że Sheili również nie ma w domu. Zapukałem do drzwi kuchennych, ale jedynym dźwiękiem, który usłyszałem, był szum pralki automatycznej.

Skoro już tu przyszedłem, postanowiłem upewnić się, że okna Fleetwooda, które zainstalowałem, spisują się dobrze. Zerknąłem przypadkiem przez okno do salonu i zobaczyłem, że Sheila leży na kanapie. Wokół niej na podłodze były rozrzucone książki. Płakała.

Gdy okrążyłem dom, by dostać się do przybudówki, zauważyłem, że Herb naprawdę się tam urządził. Na stercie drewna stała nieduża kuchenka naftowa, obok garnków, patelni i konserw.

Znajdował się tam również klubowy fotel, nad którym zwisała lampa benzynowa, obok niego stał duży pień. Leżały na nim czasopisma Herba, jego fajka i tytoń. Urządził sobie na podłodze prowizoryczne łóżko, ale było ono schludnie zasłane, pościel starannie złożona. Na ścianach wisiały zdjęcia Herba w wojsku, w szkolnej drużynie baseballowej oraz wspinała kolorowa odbitka pogromcy Indian, George'a Custer.

Drzwi między przybudówką a głównym domem były zamknięte, toteż nie miałem skrupułów, by wejść przez okno, nie zakłócając spokoju Sheili. Chciałem sprawdzić, jaki jest stan ram okiennych od wewnątrz. Przycupnąłem w klubowym fotelu i zrobiłem parę notatek.

Następnie rozsiadłem się wygodnie i zapaliłem papierosa. Fotel klubowy to dobra rzecz. Nie zauważyłem nawet, że do przybudówki weszła Sheila.

— Przytulnie, prawda? — spytała. — Myślę, że każdy mężczyzna w twoim wieku powinien mieć własną kryjówkę. Herb zamówił podwójne zimowe okna do swojego rajy na ziemi, tak?

— Okna Fleetwooda — potwierdziłem.

— Świetnie — ucieszyła się. — Wszyscy wiedzą, że okna Fleetwooda są najlepsze. — Spojrzała w górę od spodu na spróchniałą konstrukcję dachu. Przez drobne szpary prześwitywało niebo. — Przypuszczam, że to, co się dzieje między mną a Herbem, nie jest tajemnicą — powiedziała.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

— Możesz poinformować „Anonimowych kochanków” i wspomagające ich damy, że Herb i ja nigdy nie byliśmy szczęśliwi.

W dalszym ciągu brakowało mi języka w gębie. Wydawało mi się, że przeprowadzka Herba do przybudówki była wielką tragedią dzisiejszych czasów.

— Możesz im również powiedzieć, że to Herb pierwszy poczuł się szczęśliwy. Mieliśmy idiotyczną sprzeczkę o to, że mój mózg zamienił się w papkę. Potem poszłam na górę i czekałam, aż przyjdzie spać do sypialni — a on nie przyszedł. Nazajutrz rano odkryłam, że zatargał materac do przybudówki i śpi jak suseł. Popatrzyłam na niego, takiego szczęśliwego tutaj, i rozplakałam się. Zdałam sobie sprawę, że był niewolnikiem przez całe życie, robił rzeczy, których nienawidził, żeby utrzymać matkę, a potem mnie i dziewczynki. Jego pierwsza noc tutaj była prawdopodobnie pierwszą nocą w życiu, kiedy położył się spać, zastanawiając się, kim mógłby być, co mógłby robić, kim nadal może zostać.

— Przypuszczam, że powodem tego, iż świat niekiedy staje na głowie — powiedziałem — jest fakt, że każdy uważa, iż robi coś ze względu na drugiego człowieka. Herb wykombinował sobie, że przerabiając tę całą przybudówkę, wyświadcza ci przysługę.

— Wszystko, co go uszczęśliwia, jest dla mnie radością — oświadczyła.

— Przeczytałem tę absurdalną książkę — a raczej czytam ją — powiedziałem.

— Instytucja gospodyni domowej jest wielkim oszukaństwem, jeśli kobietę stać na więcej — rzekła z mocą Sheila.

— A ty zamierzasz robić coś więcej? — spytałem.

— Tak — odrzekła. I przedstawiła mi plan, który zakładał, że za dwa lata ukończy studia. Osiągnie to dzięki kombinacji kursów korespondencyjnych, kursów dla eksternistów oraz kilku letnich sesji w Durham, gdzie znajduje się uniwersytet stanowy. Potem zamierza uczyć.

— Nigdy nie zdobyłabym się na takie plany — przyznała — gdyby Herb nie zmusił mnie do odkrycia kart. Kobiety potrafią okropnie mydlić oczy. Zaczęłam się uczyć — mówiła dalej. — Wiem, że zajrzałeś przez okno i widziałeś, jak leżę na kanapie wśród moich wszystkich książek i płaczę.

— Nie przypuszczałem, że mnie zobaczyłaś — powiedziałem. — Nie zamierzałem wtrącać nosa w cudze sprawy. Kennard Pelk i ja musimy czasami zaglądać przez okno z powodów służbowych.

— Płakałam, ponieważ uświadomiłam sobie, jaką byłam blagierką w szkole. W tym idiotycznym okresie udawałam tylko, że interesuje mnie to, czego się uczę. Teraz interesuje mnie naprawdę. Dlatego płakałam. Płakałam o wiele za późno, ale to był dobry, oczyszczający płacz. Wiązał się z przełomem, z dojrzałą radością.

Musiałem przyznać, że rozwiązanie, które zastosowali Sheila i Herb, było interesujące. Zaniepokoiła mnie jednak pewna sprawa, ale nie istniał elegancki sposób zapytania o nią. Zastanawiałem się, czy zamierzali przestać w ogóle ze sobą sypiać.

Sheila zaspokoiliła moją ciekawość z własnej woli, nie musiałem o nic pytać.

— Nie ma złej drogi do swej niebogi — powiedziała.

W jakiś tydzień później zabrałem książkę Kobieta, zmarnowana płeć lub oszukańczy charakter instytucji gospodyni domowej do drugstore'u na spotkanie przy lunchu bractwa „Anonimowi kochankowie”. Udało mi się w końcu zmęczyć to dzieło i przekazałem je innym.

— Nie pozwoliłeś przeczytać tego swojej żonie, co? — spytał Hay Boyden.

— Jasne, że pozwoliłem — odpowiedziałem.

— Odejdzie od ciebie i dzieciaków — prorokował Hay — i zostanie kontradmirałem.

— Nie — odparłem.

— Daj kobiecie do rąk taką książkę — rzekł Al Tedler — a możesz się spodziewać samych kłopotów.

— Niekoniecznie — powiedziałem. — Dając jej to dzieło, dołączyłem magiczną zakładkę. — Pokiwałem głową. — Ta magiczna zakładka sprawiła, że przez cały czas udało jej się zachować rozsądek.

Wszyscy chcieli koniecznie dowiedzieć się, jaka to była zakładka.

— Jedno z jej starych świadectw szkolnych — odpowiedziałem.

Cudowna lampa

Hala Irwina

Hal Irwin zbudował swoją cudowną lampę w suterenie domu w Indianapolis, w lecie 1929 roku. Miała wyglądać jak lampa Aladyna. Był to stary blaszany czajnik z kawałkiem waty w dziobku zamiast knota. Hal wywiercił w czajniku dziurę i zainstalował w niej przycisk dzwonka, do którego były przymocowane w środku dwie baterie od latarki i brzęczyk. Podobnie jak wielu ówczesnych mężów, miał w suterenie warsztat.

Miał to być oryginalny sposób wzywania służących. Pocierałeś czajnik, jak gdyby był magiczną lampą, przyciskając jednocześnie guzik z boku. Włączał się brzęczyk i służąca — o ile ją miałeś — przychodziła i pytała, czego sobie życzysz.

Hal nie miał służącej, ale zamierzał pożyczyć ją od przyjaciela. Hal obsługiwał klientów w firmie maklerskiej i znał swój fach na wylot. Zarobił pół miliona dolarów na giełdzie i nikt o tym nie wiedział. Nawet jego żona.

Skonstruował cudowną lampę jako niespodziankę dla żony. Zamierzał powiedzieć, że ma ona magiczne właściwości. A następnie chciał ją potrzeć i zażyczyć sobie dużego nowego domu. Potem zamierzał udowodnić, że lampa naprawdę jest cudowna, albowiem spełnia każde życzenie.

Gdy konstruował lampę, dekorator wnętrz kończył urządzać duży nowy francuski zamek, który Hal kazał wybudować przy North Meridian Street.

Kiedy Hal pracował nad lampą, mieszkali z Mary w brzydkim domu przy rogu Siedemnastej i Illinois Street. Byli małżeństwem od dwóch lat, a Hal wypuścił się gdzieś z żoną zaledwie pięć, góra sześć razy. Nie był skąpy. Oszczędzał, żeby kupić jej szczęście, o jakim marzy każda dziewczyna, i zamierzał je podarować jej za jednym zamachem.

Hal był o dziesięć lat starszy od Mary, toteż łatwo mu było onieśmielić ją wieloma rzeczami, z których jedną były pieniądze. Nie rozmawiał z nią o nich, nigdy nie oglądała żadnego rachunku czy wyciągu bankowego, nigdy nie informował jej o swoich dochodach ani co robi z pieniędzmi. Mary dysponowała jedynie niewielką pensją, którą dawał jej na prowadzenie domu, toteż przypuszczała, że są goli jak święty turecki.

Mary to nie przeszkadzało. Dziewczyna była tak zdrowa jak brzoskwinia i szklanka mleka. Fakt, że była biedna, pozwolił jej zwrócić się bardziej ku religii. Gdy nadchodził

koniec miesiąca, a oni jedli całkiem nieźle i nie prosiła Hala nawet o dodatkowy grosik, czuła się, jakby złapała Pana Boga za nogi. I myślała, że Hal jest szczęśliwy, mimo iż nawet nie śmierdzi groszem, ponieważ obdarowywała go miłością wartą sto milionów dolarów.

Jeśli idzie o brak pieniędzy, jedna tylko sprawa martwiła Mary, a mianowicie to, że Hal najwyraźniej myślał, że chciałaby być bogata. Robiła, co mogła, żeby go przekonać, iż jest inaczej.

Kiedy Hal opowiadał, jak dobrze się powodzi innym ludziom, zachwycał się ekskluzywnym życiem w klubach podmiejskich i nad jeziorami, Mary mówiła o milionach ludzi w Chinach, którzy nie mają dachu nad głową i głodują.

— Radzę sobie bardzo dobrze jak na Chińczyka — rzekł Hal pewnego wieczoru.

— Radzisz sobie bardzo dobrze jak na Amerykanina albo kogokolwiek! — powiedziała Mary. Uściskała go, żeby czuł się dumny, silny i szczęśliwy.

— No, cóż, twój wspaniale prosperujący Chińczyk ma dla ciebie nowinę — oznajmił Hal. — Od jutra będziemy mieli kucharkę. Poprosiłem w biurze zatrudnienia, żeby nam jakąś przysłano.

W rzeczywistości Ella Rice, osoba, która miała się zjawić nazajutrz, wcale nie była kucharką ani nie przysłało jej biuro zatrudnienia. Pracowała już u przyjaciela Hala, którego Mary nie znała. Przyjaciel dał jej wychodne, żeby mogła odegrać rolę dzinna.

Hal odbył z nią próbę w domu przyjaciela i obiecał dobrze zapłacić. Potrzebowała dodatkowych pieniędzy, ponieważ spodziewała się dziecka za sześć tygodni. Miała tylko w odpowiedniej chwili włożyć turban, a gdy Hal pokaże Mary swoją cudowną lampę, potrze ją i włączy się brzęczyk, powinna spytać: „Jestem dzinnem. Czego sobie życzysz?”

Wówczas Hal zacznie prosić o drogie rzeczy, których jest już właścicielem, a których Mary nie widziała. Jego pierwszym życzeniem będzie luksusowy samochód, zaparkowany wcześniej przed domem. Za każdym razem, gdy wypowie życzenie, poczynając od tego pierwszego, Ella Rice będzie mówiła: „Jest twój”.

Ale to miało nastąpić jutro, a dzień dzisiejszy był dniem dzisiejszym i Mary pomyślała, że Halowi nie smakuje jej kuchnia. A gotowała wspaniale.

— Kochanie — powiedziała — czy naprawdę tak fatalnie gotuję?

— Ależ skąd. Jak na razie nie mam najmniejszych zastrzeżeń.

— Po cóż więc potrzebna nam kucharka?

Popatrzył na nią, jak gdyby była głucha, tępa i ślepa.

— Nie pomyślałaś nigdy o mojej dumie? — spytał. Zasłonił jej dłonią usta. — Kochanie, nie opowiadaj mi znów o ludziach umierających jak muchy w Chinach. Jestem tym, kim jestem, tu, gdzie jestem, i mam swoją dumę.

Mary była bliska płaczu. Pomyślała, że chcąc sprawić, by Hal poczuł się lepiej, doprowadziła do tego, że poczuł się gorzej.

— Jak ci się wydaje, co czuję, widząc Beę Muller czy Nancy Gossett, paradujące po centrum miasta w futrach i wykupujące domy towarowe? — spytał Hal. — Myślę o tobie, tkwiącej w tym domu. Myślę, cóż, faktem jest, że byłem prezesem bractwa ich mężów! Faktem jest, że ja, Harve Muller i George Gossett byliśmy wielkim triumwiratem. Tak nazywano naszą trójkę w college'u — wielkim triumwiratem! Rządziliśmy całym college'em, wcale nie żartuję. Założyliśmy Klub Sowy, a ja zostałem jego prezesem. Popatrz, gdzie oni mieszkają, a gdzie my — mówił dalej Hal. — Powinniśmy być ich sąsiadami przy rogu Pięćdziesiątej Siódmej i North Meridian! Powinniśmy mieć letni domek obok ich domku nad jeziorem Maxinkuckee! Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby zafundować żonie kucharkę.



Ella Rice zjawiała się nazajutrz w ich domu o trzeciej po południu, zgodnie z planem. Turban, który dał jej Hal, miała schowany w papierowej torbie. Hala nie było jeszcze w domu. Ella miała udawać, że jest nową kucharką, a nie dzinnem, dopóki Hal nie wróci z pracy o wpół do czwartej. Tak też uczyniła.

Jednego Hal nie przewidział, a mianowicie, że Mary uzna Ellę za nader sympatyczną osobę, nie kucharkę, lecz pokrewną istotę, która znalazła się w okropnych kłopotach. Spodziewał się, że pójdą do kuchni, żeby pogadać o tym i o tamtym, co Hal lubi jeść i tak dalej. Tymczasem Mary zaczęła wypytywać Ellę o jej tak bardzo widoczną ciążę. Ella, która nie była aktorką i znajdowała się u kresu wytrzymałości, wybuchnęła płaczem. Tak więc dwie kobiety, biała i czarna, pozostały w salonie, rozmawiając o swym życiu.

Ella nie była mężatką. Ojciec jej dziecka pobił ją dotkliwie, gdy dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży, i wyjechał w nieznanym kierunku. Bolało ją całe ciało, nie miała krewnych, nie wiedziała, jak uda jej się dłużej sprzątać. Powtórzyła to, co mówiła Halowi, że ma urodzić za mniej więcej sześć tygodni. Mary powiedziała, że bardzo chciałyby mieć dziecko, ale nie może.

Gdy Hal zaparkował nowy samochód od frontu i wszedł do domu, żadna z kobiet nie potrafiłaby cieszyć się przedstawieniem, które zaplanował. Obie były w fatalnym stanie. Pomyślał jednak, że jego cudowna lampa rozweseli je. Poszedł na górę, by wyjąć ją z szafy, gdzie była schowana, następnie wkroczył z nią do salonu i powiedział:

— Mój Boże! Popatrzcie tylko, co znalazłem. To chyba cudowna lampa. Może gdy ją potrę, zjawi się dzinn i spełni nasze życzenia.

Nie wziął ani przez chwilę pod uwagę możliwości, by wynająć czarnoskórego mężczyznę do zagrania dzinna. Bał się czarnoskórego mężczyzn.

Ella Rice zareagowała na jego sygnał i wstała z kanapy, żeby zrobić dziwną rzecz, za którą płacił biały mężczyzna. Za pieniądze — wszystko. Stanie po przesiedzeniu pół godziny sprawiało jej ból. Nawet Hal to widział.

Hal zażyczył sobie luksusowego samochodu, na co dzinn w osobie Elli odpowiedział:

— Jest twój.

Wszyscy troje wyszli na ulicę i Hal powiedział, że samochód należy do niego, że zapłacił za niego każdego centa i zaprosił obie kobiety, żeby wsiadły. Gdy usadowiły się z tyłu, Mary powiedziała do Elli, nie do Hala:

— Wielkie dzięki. To wspaniałe. Chyba za chwilę oszaleję.

Hal jechał North Meridian Street, pokazując na okazałe domy po obu stronach ulicy. Za każdym razem, gdy to robił, Mary mówiła, że nie chce nic takiego, że jeśli o nią chodzi, Hal może wyrzucić swoją cudowną lampę przez okno. W rzeczywistości była ogromnie zdenerwowana, że jej mąż wykorzystuje i upokarza jej nową przyjaciółkę, Ellę.

Hal zatrzymał samochód przed francuskim zamkiem, który właśnie wykańczali robotnicy. Wyłączył silnik, potarł lampę, uruchomił brzęczyk i zażądał:

— Dżinnie, daj mi nowy dom przy North Meridian Street pięć tysięcy sześćset czterdzieści cztery.

— Nie musisz tego robić — powiedziała Mary do Elli. — Nie odpowiadaj mu.

— Zapłacono mi za to! — rozłościła się na nią Ella. Jej wymowa i akcent były typowe dla jej rasy, klasy i stopnia wykształcenia. Nagle jęknęła. Zaczynał się poród.



Zawieźli Ellę Rice do szpitala miejskiego, jedyne, który przyjmował Murzynów. Urodziła zdrowego chłopczyka. Za szpital zapłacił Hal.

Hal i Mary zabrali ją z dzieckiem do swego nowego domu. Stary został wystawiony na sprzedaż. Mary, która sama nie mogła mieć dziecka, przeznaczyła jedną z siedmiu sypialń dla matki i niemowlęcia. Była ślicznie umeblowana, wytapetowana i wyposażona w mnóstwo zabawek, którymi dziecko nie mogło się bawić, ponieważ było jeszcze za małe. Matka i dziecko mieli oddzielną łazienkę.

Niemowlę zostało ochrzczone w murzyńskim kościele, Mary uczestniczyła w uroczystości, Hal nie. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Ella dała maleństwu na imię Irwin, na cześć ludzi, którzy byli dla niej tacy dobrzy. Nazwisko chłopczyk nosił po niej. Nazywał się Irwin Rice.

Mary nigdy nie kochała Hala, ale udawało jej się go lubić. To była jej praca. W tamtych czasach kobiety miały niewiele sposobów zarabiania pieniędzy, ona zaś nie odziedziczyła żadnego spadku i nie odziedziczy, dopóki Hal nie umrze. Hal nie był głupszy od większości mężczyzn, których znała, a z pewnością nie chciała być sama. Mieli czarnego ogrodnika, czarną praczkę i białą służącą z Irlandii, która mieszkała w rezydencji. Mary uparła się, że będzie gotować. Ella Rice proponowała, że będzie to robiła, przynajmniej dla siebie, ale nikomu poza Mary nie wolno było zajmować się garnkami.

Mary tak straszliwie nienawidziła nowego domu i gigantycznego samochodu, który ją żenował, że nie potrafiła już nawet lubić Hala. Ta sytuacja była dla Hala trudna do zniesienia, bardzo trudna, jak zresztą łatwo sobie wyobrazić. Kobieta, którą poślubił, nie tylko nie darzyła go miłością czy nawet jej namiastką, lecz przelała ją w zwielokrotnionym stopniu na dziecko czarne jak as pikowy!

Hal nie zdradził nikomu w pracy, jak wygląda jego domowa sytuacja, ponieważ wyszedłby na mięczaka. Służąca Irlandka tak właśnie go traktowała, jak gdyby to Mary stanowiła prawdziwą siłę, szalona jak pluskwa.

Oczywiście, Ella Rice słała swoje łóżko i utrzymywała swoją sypialnię i łazienkę w absolutnej czystości. Nie uważała, że sytuacja jest normalna, ale co mogła na to poradzić? Ella karmiła dziecko, toteż jedzenie dla niej było przedmiotem szczególnej troski. Nie jadała na dole z Irwinami. Mary nie dopuszczała nawet myśli, żeby jadła ze służącymi w kuchni. Ella zabierała na górę wszystko, co Mary dla niej ugotowała, i jadła w sypialni.

W pracy Hal zarabiał coraz więcej, handlując akcjami i obligacjami innych ludzi, ale też sam inwestował ostro na boku w akcje i w obligacje. „Na boku” oznaczało, że płacił jedynie część pełnej ceny papierów wartościowych, a resztę był winien biurze maklerskiemu, w którym pracował. A wtedy wartość akcji szła w górę, ponieważ inni ludzie rzucali się na nie, i Hal je sprzedawał. Spłacał dług w biurze maklerskim, a resztę zysku zatrzymywał.

Mógł w ten sposób kupić więcej akcji „na boku”.



W trzy miesiące po epizodzie z cudowną lampą nastąpił krach na giełdzie. Akcje, które Hal kupił na boku, stały się bezwartościowe. Nieoczekiwanie wszyscy doszli do wniosku, że są zbyt drogie za każdą cenę. W ten sposób to, co Hal był winien biurze maklerskiemu i z kolei biuro maklerskie bankowi, przekroczyło wartość wszystkiego, co posiadał — nowego domu, nie sprzedanego starego domu, mebli, samochodu i tak dalej. I tyle!

Nawet w dobrych czasach nie kochano go w domu, toteż Hal wyszedł przez okno na siedemnastym piętrze bez spadochronu. W całym kraju niekochani mężczyźni, wykonujący podobną pracę jak Hal, wyskoczyli z okien bez spadochronów. Bank przejął całe mienie — obydwie domy, jak również samochód. Następnie bank splajtował i każdy, kto trzymał w nim oszczędności, również.

Mary miała gdzie się udać, a mianowicie do domu na farmie jej owdowiałego ojca w pobliżu miasta Crawfordsville. Jedynym miejscem, o którym mogła myśleć Ella Rice, był murzyński kościół, w którym mały został ochrzczony. Mary pojechała z nimi. Spało

tam wiele matek z małymi dziećmi, staruszków, kalek, a nawet absolutnie zdrowych młodych ludzi. Jedzenia było dość. Mary nie pytała, skąd je mają. Tutaj po raz ostatni widziała Ellę i Irwina Rice'ów. Ella jadła, po czym miała nakarmić dziecko.

W domu ojca Mary przeciekał dach i wyłączono prąd. Ale ojciec przyjął ją. Jakże mogło być inaczej? Opowiedziała mu o bezdomnych w murzyńskim kościele. Spytała go, jak myśli, co stanie się z nimi w tych okropnych czasach.

— Biedacy zaopiekują się biedakami — odpowiedział.

Oda do mojego pisarstwa dla periodyków

Niektóre z zamieszczonych tutaj opowiadań zostały zredagowane specjalnie do tej książki, z mniejszymi lub większymi modyfikacjami. Powinienem był to zrobić wraz z redaktorami, jeszcze zanim ukazały się po raz pierwszy w druku. Ponowna lektura trzech z nich tak mnie przygnębiła — albowiem przesłanki i postacie były ogromnie obiecujące, natomiast rozwiązanie sytuacji kompletnie idiotyczne — że praktycznie napisałem zakończenie od nowa, zanim zdołałem się powstrzymać. Niewielka redakcja! Były to: Niebieskoszary smok, Chłopiec, który nienawidził dziewcząt i Cudowna lampa Hala Irwina. Tak jak skamieliny są fałszerstwem w rodzaju człowieka z Piltown, ja byłem na wpół istotą ludzką, na wpół orangutanem.

Niezależnie od tego, jak niezręcznie pisałem w swoich początkach, zdarzały się czasopisma, które publikowały wycieczki takich orangutanów. Były również takie, które nie dotknęłyby moich tekstów nawet w gumowych rękawiczkach. Nie czułem się obrażony ani się nie wstydziłem. Rozumiałem to. Byłem niczym, a najwyżej kimś nader skromnym. Pamiętam film rysunkowy, który widziałem dawno temu. Psychiatra mówi w nim do pacjenta: „Nie ma pan kompleksu niższości. Jest pan gorszy”. Skoro pacjenta stać na psychiatrę, zarabia jakoś na życie, mimo wrodzonej pośledniości. To również mój przypadek i dowód na to, że się poprawiłem.

Dzięki popularnym czasopismom wdrożyłem się do pracy literackiej. Taka płatna praktyka pisarska, przy niskich wymaganiach, jeśli idzie o realizację, już od dawna nie istnieje. Moja była sposobnością, bym poznał siebie lepiej. Ci, którzy pisali po to, by nieśmiało publikować utwory literackie, odnosili tę korzyść, poza rozwijaniem talentu i wyrabianiem się, że wiedzieli już, na co ich stać i kim są.

Być może więcej niż kiedykolwiek Amerykanów wyrusza obecnie w podróż ku poznaniu samego siebie przez pisanie opowiadań, bez względu na konsekwencje. Każdego roku prowadzę wykłady w ośmiu college'ach i uniwersytetach i robię to już od dwudziestu lat. Połowa z tych stu sześćdziesięciu instytucji ma pisarza związanego z nią, ale nie prowadzi żadnych kursów twórczego pisania. Gdy zrezygnowałem z pracy w General Electric, by poświęcić się pisaniu, istniały tylko dwa takie kursy, jeden na Uniwersytecie w Iowa, drugi w Stanford, gdzie studiuje obecnie córka mojego prezydenta.

Wziąwszy pod uwagę, że nie ma w dzisiejszych czasach możliwości, by utrzymać się z pisania opowiadań, a jeśli chodzi o powieści szanse powodzenia wynoszą jeden do tysiąca, kursy twórczego pisania byłyby postrzegane jako oszustwo, tak jak traktowano by kursy farmaceutyczne, gdyby nie było aptek. Tak czy inaczej, studenci sami żądali organizowania kursów twórczego pisania, wówczas gdy walczyli o wiele innych spraw, namiętnie i chaotycznie, podczas wojny wietnamskiej.

Uzyskali wtedy to, co mają obecnie ich dzieci, a mianowicie tani sposób uzewnętrzniania tego, co w nich siedzi, zobaczenia czarno-białego obrazu, kim są i kim mogą zostać. Wyróżniłem słowo „tani”, ponieważ nakręcenie filmu czy przedstawienia telewizyjnego pochłania masę pieniędzy. Nie mówiąc o tym, że człowiek musi mieć do czynienia z wszelką szumowiną, gdy próbuje coś zrobić.

Jest wiele ośrodków uniwersyteckich, a także miejscowych gazet, tygodników lub miesięczników, które publikują opowiadania, ale nie płacą za nie. Do licha, przecież zajmowanie się sztuką nie jest sposobem zarabiania pieniędzy. To sposób na wewnętrzne wzbogacanie człowieka.

Bon voyage.

Nadal pisuję od czasu do czasu do periodyków, ale tylko wówczas, gdy mnie ktoś o to poprosi, i nie są to utwory literackie. Nie jestem już dynamicznym zapaleńcem jak niegdyś. Świetny alternatywny tygodnik z Indianapolis, „NUVO”, poprosił mnie zaledwie miesiąc temu, żebym napisał nieodpłatnie esej o tym, jak to jest być rodowitym mieszkańcem Środkowego Zachodu. Odpowiedziałem w sposób następujący:

Jest-że gdzie człowiek, są-ż gdzie samoluby,
Co nigdy w sercu, nigdy w myślach swoich,
Nie rzekli z czuciem miłości i chluby:
„To jest ojczyzna, to kraj ojców moich!”

Znane wysławianie bezmyślnego patriotyzmu przez Szkota, sir Waltera Scotta (1771-1832), odarte z szowinistycznego romantyzmu, sprowadza się jedynie do tego: ludzie przychodzą na ten świat dla własnego dobra, instynktownie terytorialni jak szare wilki lub pszczoły. Niedawno ludzie, którzy zabłąkali się zbyt daleko od miejsca urodzenia i krewnych, podobnie jak wszystkie inne zwierzęta, popełniali samobójstwo.

Obawa, by nie przekroczyć właściwie pojętych granic geograficznych, nadal ma uzasadnienie w wielu częściach świata, na przykład w europejskiej Jugosławii czy w afrykańskiej Rwandzie. Dzięki Bogu jednak w przeważającej części Ameryki Północnej jest to obecnie zbędny instynktowny bagaż. Egzystuje w tym kraju, jak to często bywa z zanikającymi instynktami przeżycia, jako uczucia i zachowania, w większości nieszkodliwe, które mogą być nawet zabawne.

Dlatego ja oraz miliony podobnych mnie mówią nieznanym, że pochodzą ze Środkowego Zachodu, jak gdyby należał nam się za to jakiś medal. Wszystko, co mogę powiedzieć na naszą obronę, to że rodowici teksańczycy lub brooklyńczycy zachowują się jeszcze bardziej nedorzecznie i są jeszcze bardziej próżni, jeśli idzie o ich przynależność terytorialną.

Niezliczone filmy o Tekszańczykach i brooklyńczykach stanowią lekcję dla takich ludzi, jak mają zachowywać się bardziej stereotypowo. Dlaczego nie ma filmów o podobno typowych bohaterach Środkowego Zachodu, modelach, do których mogliby się wówczas upodabniać?

W tej chwili wyróżnia mnie jedynie nieznośnie nosowa wymowa.

Co do mojej wymowy: gdy byłem w wojsku podczas drugiej wojny światowej, biały południowiec spytał mnie: „Czy musisz mówić w taki sposób?”

Mogłem mu odpowiedzieć: „Tak? Moi przodkowie przynajmniej nigdy nie mieli niewolników”, ale ćwiczenia w strzelaniu w Fort Bragg w Karolinie Północnej nie wydały mi się ani odpowiednią chwilą, ani odpowiednim miejscem, żeby się z nim rozprawić.

Mogłem dodać, że wiele najwspanialszych przemówień w historii Ameryki zostało wygłoszonych przez ludzi o takiej nosowej wymowie, z typowym żydowskim śpiewnym akcentem, nie wyłączając mowy Abrahama Lincolna w Gettysburgu, w stanie Illinois, albo przemówienia Eugene’a V. Debsa w Terre Haute, w stanie Indiana: „Dopóki istnieje klasa niższa, jestem w niej; dopóki istnieją elementy przestępcze, jestem poza nimi; dopóki jest choć jeden człowiek w więzieniu, nie jestem wolny”.

Zachowałem dla siebie, że gdy byłem małym chłopcem, w granicach Indiany znajdowało się nie tylko miejsce urodzenia Eugene’a V. Debsa, lecz również kwatery główna Ku Klux Klanu.

Illinois miało Carla Sandburga i Ala Capone.

Wszelkie rasy i podrasy oraz ich mieszanki zamieszkują Środkowy Zachód. Ja sam jestem czystej krwi Niemcem. Nasza wymowa nie jest absolutnie jednolita. Moje mówienie z akcentem nosowym jest dość typowe tylko dla Amerykanów pochodzenia europejskiego, wychowujących się w pewnej odległości na północ od dawnych Skonfederowanych Stanów Ameryki. Gdy zacząłem pisać ten esej, wydało mi się, że daremnie tracę czas, że można nas opisać en masse, zaznaczając tylko, kim nie jesteśmy. A nie jesteśmy Tekszańczykami, brooklyńczykami, Kalifornijczykami, południowcami i tak dalej.

Aby udowodnić sobie szaleństwo odróżniania nas od Amerykanów urodzonych gdziekolwiek indziej, wyobraziłem sobie tłum na Piątej Alei w Nowym Jorku, gdzie teraz mieszkam, oraz inny tłum na State Street w Chicago, gdzie uczęszczałem na uniwersytet i pracowałem jako dziennikarz pół wieku temu. Nie myliłem się co do podobieństwa twarzy, ubrań i widocznych nastrojów.

Im dłużej jednak myślałem o mieszkańcach Chicago, tym bardziej uderzała mnie ich ogromna liczebność. To było niemal jak muzyka, której nie słycać w Nowym Jorku, Bostonie, San Francisco czy Nowym Orleanie.

Przypominało mi to jezioro Michigan, bezmiar czystej wody.

Nigdzie indziej na półkuli północnej nie ma tak ogromnych akwenów czystej wody, jak nasze Wielkie Jeziora, z wyjątkiem Azji, gdzie jest tylko jezioro Bajkał. A zatem jednak coś wyróżnia rodowitych mieszkańców Środkowego Zachodu. Tam, gdzie się urodziłem, otaczały nas niewiarygodne ilości słodkiej wody, w jeziorach, strumieniach i rzekach, w kropłach deszczu i śnieżnych zaspach. I nigdzie ani kropli słonej wody!

Nawet moje kubki smakowe są typowe dla tego regionu kraju. Gdy zażywam kąpieli w Atlantyku czy Pacyfiku, woda ma dla mnie ohydny smak, mimo że w rzeczywistości nie jest bardziej obrzydliwa — dopóki jej nie połkniesz — od rosołu z kury.

W czasach naszego dzieciństwa otaczały nas i nasze matki również miliony akrów ziemi uprawnej, tak płaskiej jak stół bilardowy i tak tłustej jak ciasto czekoladowe. Środkowy Zachód nie jest pustynią.

Gdy się urodziłem w 1922 roku, prawie w sto lat po tym, jak Indiana została dziewiętnastym stanem Unii, Środkowy Zachód już szczyił się konstelacją miast z orkiestrami symfonicznymi, muzeami, bibliotekami, wyższymi uczelniami, szkołami muzycznymi, akademiami sztuk pięknych, przypominających monarchię austro-węgierską przed pierwszą wojną światową. Można by powiedzieć, że Chicago było naszym Wiedniem, Cincinnati naszym Budapesztem, a Cleveland naszym Bukaresztem.

Dla mnie, który wyrastałem w takim mieście, instytucje kulturalne były czymś tak powszednim jak posterunki policji czy straż pożarna. Dlatego nie było niczym dziwnym, że młody człowiek marzył o tym, by zostać artystą lub intelektualistą, jeśli nie policjantem czy strażakiem. Ja o tym marzyłem. I wielu innych podobnych do mnie.

Takie prowincjonalne stolice, jak by je nazywano w Europie, były uroczym samowystarczalne w dziedzinie sztuk pięknych. Czasami dyrygent Orkiestry Symfonicznej Indianapolis bywał u nas na kolacji, podobnie zresztą jak pisarze, malarze i architekci (którym był również mój ojciec), cieszący się lokalną sławą.

Uczyłem się gry na klawirze u najlepszego klawirzysty z naszej orkiestry symfonicznej. Pamiętam jej wykonanie Uwertury 1812 Czajkowskiego, gdzie huk dział imitował policjanta strzelający ślepymi nabojami do pustego pojemnika na śmieci. Znałem tego policjanta. Czasami strzegł przejścia dla pieszych, z którego korzystali uczniowie szkoły numer 43, mojej szkoły, szkoły imienia Jamesa Whitcomba Rileya.

W tej sytuacji nie dziwi fakt, że Środkowy Zachód jest kolebką tylu artystów różnej rangi, od światowej klasy do przeciętnych, co prowincjonalne stolice i miasta w Europie.

Nie widzę powodu, żeby ten zadowolający stan rzeczy nie miał trwać w nieskończoność, chyba że zostaną wycofane fundusze na naukę i celebrowanie sztuki, zwłaszcza w systemie szkół publicznych.

Uczestniczenie w sztuce nie jest po prostu jednym z wielu możliwych sposobów zarabiania na życie, zanikającym zawodem na progu dwutysięcznego roku. Uczestniczenie w sztuce, w gruncie rzeczy, nie ma nic wspólnego z zarabianiem na utrzymanie. Uczestniczenie w sztuce, mimo że nie nagrodzone bogactwem czy sławą, jest drogą rozwoju wewnętrznego, co jest zgodne z inspirowaniem przez Środkowy Zachód swojej młodzieży do odkrywania samych siebie.

Jednakże żadni artyści, skądkolwiek pochodzili, nawet Szekspir, Beethoven, James Whitcomb Riley, nie zmienili biegu życia tak wielu ludzi na całej planecie, jak nasi czterej prostacy w Ohio, dwaj w Dayton i dwaj w Akron. Jakże żałowałem, że Dayton i Akron nie leżą w Indianie! Ohio mogło mieć Kokomo i Gary.

Orville i Wilbur Wright mieszkali w Dayton w 1903 roku, gdy wynaleźli aeroplan.

Doktor Robert Holbrook Smith i William Griffith Wilson mieszkali w Akron w 1935 roku, gdy obmyślili dwanaście kroków do trzeźwości Anonimowych Alkoholików. W porównaniu ze Smithem i Wilsonem, Zygmunt Freud był człowiekiem bez fantazji, jeśli idzie o leczenie zaburzeń umysłowych.

To przechodzi ludzkie pojęcie! Reszta świata musi to jakoś przełknąć. A Cole Porter, Hoagy Carmichael, Frank Lloyd Wright, Louis Sullivan, Twyla Tharp, Bob Fosse, Ernest Hemingway, Saul Bellow, Mike Nichols, Elaine May, Toni Morrison, Larry Bird!

Nowy Jork, Boston i inne nadatlantyckie porty uważają Europę za wpływowego, często natrętnego sąsiada. Mieszkańcy Środkowego Zachodu — nie. Wielu z nas, których przodkowie pochodzą z Europy, nie ma pojęcia o przeszłości naszych rodzin w Starym Świecie i tamtej kulturze. Nasze jedyne dziedzictwo jest amerykańskie. Gdy Niemcy wzięli mnie do niewoli podczas drugiej wojny światowej, jeden z nich spytał mnie: „Czemu walczysz ze swoimi braćmi?”. Nie miałem pojęcia, o czym mówi...

Anglo-Amerykanie i Afro-Amerykanie, których przodkowie przybyli na Środkowy Zachód z Południa, zwykle są bardziej świadomi swego pochodzenia niż ja — oczywiście w Dixie, a nie na Wyspach Brytyjskich czy w Afryce.

Położenie geograficzne może dać wszystkim mieszkańcom Środkowego Zachodu — jeśli na to pozwolą — oprócz słodkiej wody i żyznej gleby, respekt dla urodzajnego kontynentu rozciągającego się we wszystkich kierunkach.

Sprawia, że stajesz się religijny. Zapiera ci dech w piersi.